

ZESZYT, DWUDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

WARSZAWY



LITERACKI

1972

ZESZYT DWUDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 223

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

Paweł KORZEC
C.N.R.S. — Paris

M A T E R I A Ł Y DO STUDIÓW NAD HISTORIOGRAFIĄ PRL W ZAKRESIE HISTORII NAJNOWSZEJ

R o z d z i a ł II*

OKRES „STURM UND DRANG” (Dyskusje i polemiki lat 1956-1959)

Stalinizm dokonujący największych spustoszeń na odcinku nauk humanistycznych, w tych sferach wywołał też najszybszą i najostrzejszą reakcję. Rzecz godna podkreślenia że reakcja ta wyszła ze sfer młodej partyjnej inteligencji, która ogarnięta entuzjazmem wierzyła w możliwość humanizacji komunizmu.

Już w 1955 roku organizacja partyjna Instytutu Historii PAN zorganizowała dyskusję na temat „Prawda i fałsz w nauce historycznej”, w toku której poddano krytyce praktyki wydawnicze WHP oraz innych „poprawiaczy” historii i „poprawiaczy” dokumentów. Wkrótce potem organizacje partyjne Instytutu Historii, Instytutu Badań Literackich, PWN i tygodnika *Przegląd kulturalny* odbyły wspólną dyskusję na temat zadań organizacji partyjnej w instytucjach naukowych i kulturalnych.

Przełomowe znaczenie w procesie destalinizacji w Polsce miały masowe „otwarte” zebrania partyjne, na których odczytywano słynny tajny referat Chruszczowa z XX zjazdu. W Instytucie Historii po odczytaniu tekstu Chruszczowa rozwinęła się ożywiona dyskusja na temat oceny polityki naukowej w historiografii polskiej, lat 1948-1955. Organizacja partyjna I.H. stwierdziła „wręcz alarmujący stan badań nad historią najnowszą Polski”. Wysłunięto jako najpilniejsze zadanie badania historii ruchu

* Rozdział I-szy ukazał się w *Zeszytach Historycznych* nr 20ty, 1971.

robotniczego i ludowego, historii partii burżuazyjnych, polityki wewnętrznej i zagranicznej II Rzeczypospolitej oraz nad historią narodu polskiego w czasie II wojny światowej.

Zebranie zaatakowało istniejącą politykę kadrową zwyczaj ob-sadzania stanowisk ludźmi nefachowymi. Postanowiono przystą-pić do wydawania fachowych czasopism o daleko idącej specja-lizacji (późniejsze serie: „Najnowsze dzieje Polski”). Wszystkie te postulaty sformułowano w dokumencie zebrania z 4. czerwca 1956 roku „Uchwała o najpilniejszych zadaniach partii w dzie-dzinie nauki historycznej”¹.

W trzy tygodnie później 25 i 26 czerwca 1956 roku w toku burzliwej destalinizacji odbyło się „otwarte” posiedzenie Rady Naukowej I.H. PAN poświęcone dyskusji „nad obecnym sta-nem i możliwościami rozwojowymi naszej nauki historycznej”. W wielogodzinnych ożywionych obradach wzięło udział około 60 osób, członków Rady Naukowej i pracowników I.H. oraz reprezentantów innych ośrodków. Podstawą dyskusji był referat Witolda Kuli, który dał dość szeroki przegląd sytuacji w minio-nych latach. Najgorsze zło, zdaniem Kuli, polegało na zwulgaryzo-waniu nauki, monopolu nielicznej grupy „wtajemniczonych” i braku dyskusji naukowej. M.in. stwierdzał on: — „Trudna me-todologia marksistowska okazała się niezwykle łatwa. Wystar-czało powiedzieć kilka słów o antynarodowej postawie klas po-siadających, coś brzydkiego o stosunku któregoś z krajów zachod-nich do Polski aby uchodzić za marksistę. Uprawianie żonglerki słownej w rodzaju 'obiektywnej postępowości' aby uchodzić za dialektyka”. Mimo, że Kula usiłował wskazać na pewne osiągnię-cia ostatnich lat i na nieźle perspektywy na przyszłość, to jednak zasadniczy wniosek referenta był raczej pesymistyczny. Stwier-dzając mianowicie oczywisty fakt degradacji nauki historycznej konkludował z goryczą: „Gdy społeczeństwo nie ma zaufania do nauki nie warto pracować”².

Niektórzy dyskutanci ostrzej niż Kula przedstawiali sytuację w nauce historycznej. Znany historyk Kieniewicz przyznał z własnego doświadczenia pisarskiego, że nawet sumienni autorzy ulegali w ostatnich latach skłonności do dobierania materiału źródłowego i retuszowania wniosków w kierunku uznanym za prawidłowy.

Badacz historiografii Marian Serejski — nie bez słuszności — stwierdzał, że nawet w wystąpieniu Kuli i niektórych dyskutan-

1. Jedlicki J. i Zienkowska K.: „Z prac organizacji partyjnej w IH PAN” K.H., 1956, nr 4-5, str. 530-535.

2. Kula W.: „W sprawie naszej polityki naukowej, K.H. 1956 nr 3, str. 150-156.

tów dostrzega tendencje do tuszowania prawdy i pocieszania się, że w porównaniu z innymi krajami w Polsce nie było tak źle.

Na temat sytuacji w historii historiografii Serejski mówił, że odgórne narzucanie autorytatywnych i uproszczonych poglądów oddziaływało paraliżująco na pracę naukową. Ludzie interesujący się problemami teoretycznymi i historiograficznymi woleli „nie kłaść palców między drzwi” i usuwali się od tych badań. Jako przykład niezdrowej sytuacji wskazywał, że ogłoszona w 1956 r. książka A. Schaffa „Obiektywny charakter praw historii” nie doczekała się żadnej recenzji w piśmie historycznym, mimo ostrych zastrzeżeń prywatnych.

Dyskusja stwierdziła, że najgorsza sytuacja panowała w Historii najnowszej, aczkolwiek i poprzednie okresy nie były wolne od „błędów i wypaczeń”.

Dyskusja nie ograniczała się do krytyki błędów przeszłości ale usiłowała sformułować tezy zawierające program działania w kierunku uzdrowienia sytuacji:

1. Przyjęto zasadę odpowiedzialności pracowników nauki za naruszenie etyki badawczej i nierzetelny stosunek do badań. Szczególnie postulowano konieczność walki z „prezentyzmem” i zwulgaryzowanym „upolitycznieniem” nauki rozumianym jako dorabianie naukowych argumentów do potrzeb każdej aktualnej sytuacji politycznej. Podkreślano także konieczność przezwyżenia wypaczeń w stosunkach z nauką sowiecką. Polegały one na bezkrytycznym wychwalaniu i naśladowaniu nauki sowieckiej, nawet gdy to dochodziło do absolutnego absurdu.

2. Stojąc na stanowisku metodologii marksistowskiej zwracano uwagę na konieczność zerwania z dogmatyzmem i fetyszyzacją niektórych błędnie rozumianych tez i założeń metodologicznych.

3. Położono duży nacisk na konieczność szybkiego i gruntownego ulepszenia warsztatu badawczego historyka. W tym kierunku postulowano zwłaszcza reorganizację służby archiwalnej i pełnego udostępnienia archiwów, odbudowy i rozwoju nauk pomocniczych historii, a szczególnie źródłoznawstwa.

4. Uznając że Instytut Historii PAN spełnia rolę pozytywną, wskazywano na pewne jego tendencje „monopolistyczne”. Polegało to między innymi na tym, że ogalał on uniwersytety prowincjonalne z najlepszej kadry naukowej. Zwrócono też uwagę na sprawę „odnowy życia” placówek badawczych uniwersytetów. Ponieważ najgorsza sytuacja panowała w historii najnowszej, narada doszła do wniosku, że należy powołać do życia ośrodek koordynujący badania nad historią najnowszą.

5. Niemal wszyscy dyskutanci stwierdzali katastrofalną izo-

lację polskiej nauki historycznej i podkreślali konieczność odbudowania wielostronnych kontaktów z nauką światową³.

Zatrzymaliśmy się nieco obszerniej nad przebiegiem narady Instytutu Historii z dwóch powodów. Po pierwsze sam przebieg dyskusji tego dobranej grona polskich historyków jest dobitnym świadectwem katastrofalnej sytuacji w jakiej znalazła się wówczas polska historiografia, jak zresztą w ogóle nauka historyczna krajów socjalistycznych. Po drugie narada wskazywała drogi przezwyciężenia kryzysu i rzeczywiście otwierała możliwość renesansu polskiej nauki historycznej.

Jak określić ferment, który ogarnął w tym czasie nie tylko nauki humanistyczne, ale całą naukę i życie kulturalne w Polsce? Ożywały w niej oczywiście pewne tendencje konserwatywne i antysocjalistyczne. Na ogół jednak zwraca uwagę dość daleko posunięta jednomyślność większości naukowców i afirmacja nowych założeń metodologicznych (oczywiście z odrzuceniem tendencji monopolu wszelkiego rodzaju). Nie był to w każdym razie bunt przeciw istniejącemu systemowi politycznemu, a próba pomyślnego ułożenia stosunków i wyzwolenia nauki od wypaczeń i nadużyć ze strony państwa. Tendencje ówczesne może najtrafniej określił wybitny filozof polski Tadeusz Kotarbiński, wybrany wówczas na prezesa Polskiej Akademii Nauk. W wywiadzie przeprowadzonym z nim przez dziennikarzy buntowniczego studenckiego pisma *Po prostu*, zapytany o sprawę wolności nauki, odpowiedział z dużą dawką realizmu: „'Wolność zupełna' to jest wyrażenie poetyckie. Dbajmy raczej o optimum wolności. Zamknąłem to w innym słowie mówiąc o autonomiczności nauki”⁴.

Tymczasem Polska stała się areną przełomowych wydarzeń politycznych. W październiku 1956 dokonał się faktyczny przewrót, który w pewnym momencie został zahamowany dramatycznym przebiegiem powstania węgierskiego. Jednakże na szereg miesięcy w Polsce zapanowała wolność słowa i prasy i nabrzmiały problemy polskiej historiografii przedostawały się poza mury uniwersytetów i instytutów naukowych. Rozpoczął się okres burzliwych dyskusji w pismach fachowych i publicystycznych, a nawet w gazetach codziennych.

Pierwszą ciekawą polemikę zapoczątkował artykuł na temat PPS opublikowany w końcu 1956 roku w *Przeglądzie Kulturalnym*⁵. Autor, młody naukowiec i syn dawnego działacza PPS, poddał druzgocącej krytyce historiografię ruchu robotniczego.

3. Sprawozdanie z narady IH PAN, K.H. 1956, nr 6, str. 151-166.

4. *Po prostu*, 27 I. 1957, nr 4.

5. Najder Zdzisław: „Dług i skarb”. *Przegląd Kulturalny*, grudzień 1956, nr 51-52.

Stwierdzał, że doprowadziła ona do niesłychanego zubożenia i ograniczenia bogatych tradycji polskiego ruchu socjalistycznego. Domagał się rehabilitacji myśli politycznej i działalności PPS, przywrócenie społeczeństwu sylwetek i twórczości całej plejady wybitnych działaczy tej Partii. Prace ich bowiem stały się „prohibitami” uległy niemal zapomnieniu. Artykuł Najdera był hymnem pochwalnym na cześć PPS. Kończył się apelem: „Musimy spłacić dług. Musimy podjąć pozostawiony skarb”.

Ten niewielki rozmiarami publicystyczny artykuł trafił na podatny grunt i zapoczątkował serię polemik wokół PPS. Ich główne nasilenie trwało w latach 1957-1958, ale wracano do dyskusji także w następnych latach. Podtekst tych dyskusji i emocje rozpętane wokół nich były o wiele szersze niż sprawa roli historycznej jednej z partii politycznych.

Był to okres, gdy w dyskusjach publicznych i prasowych rozważano i poddawano krytyce podstawowy kanon wszystkich reżymów komunistycznych: monopartyjność. Ze względów taktycznych nikt nie wysuwał postulatu reaktywowania „burżuazyjnych” partii politycznych. Wypowiadano jednak dość powszechnie pogląd, że zjednoczenie partii robotniczych w 1948 roku było posunięciem wymuszonym na PPS i przyniosło szkody polityczne polskiemu ruchowi robotniczemu. Zarówno zwolennicy PPS jak i tzw. „rewizjoniści” oceniali istniejącą partię jako bezkształtny twór polityczny i wysuwali program utworzenia na jej miejsce dwóch partii: komunistycznej i socjalistycznej. Spór o tradycje PPS stanowił w tej sytuacji podbudowę dla istniejących tendencji politycznych. Nowe kierownictwo partyjne zaś z Gomułką na czele strzegło zasady monopartyjności, jak „żreńcy oka”.

W Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR (dawne IKKN) odbyła się dyskusja nad artykułem Najdera. W jej wyniku bardziej konserwatywnych historyków opublikowało artykuły polemiczne w sprawie „długu i skarbu”. Nie kwestionując, że odnośnie PPS lansowano w przeszłości wiele niesłusznych i uproszczonych ocen, przeciwstawiali się oni jednocześnie „przejęciu pałki” w drugą stronę — fetyszyzacji PPS. W artykułach Turlejskiej, Kancewicz i Najdus wykazywano nacjonalizm PPS, jej reformizm ideologiczny, ugodowość. Po raz pierwszy dyskutowano nad PPS z emocją ale bez inwektyw i „etykietek”.

Konsternację czynników partyjnych wywołało włączenie się do dyskusji Prof. Natalii Gąsiorowskiej. Była ona wybitnym historykiem gospodarczym i członkiem prezydium Akademii Nauk, a przy tym jednym z najstarszych działaczy dawnej PPS-Lewicy. W PZPR lansowano ją jako sztandarowego członka tej partii.

W 1956 roku z okazji 50 rocznicy powstania PPS-Lewicy, WHP opublikował zbiór materiałów i dokumentów poświęconych tej partii. Gąsiorowska na publikację tę zareagowała bardzo ostrą recenzją wydrukowaną w partyjnym organie teoretycznym *Nowe Drogi*. Recenzentka wskazywała, że publikacja niewiele odbiega pod względem stylu i poprawności naukowej od zdecydowanie już skrytykowanych wzorów. W szczególności zwracała uwagę na niski poziom wstępu, zawierającego sporo pustej frazeologii i „etykietek”. Oceniając książkę jako tendencyjną i „szkolarsko-propagandową” Gąsiorowska stwierdzała „nie odpowiada wymaganiom naukowym ani pod względem merytorycznym ani metodologicznym”.

Recenzja ta spotkała się z repliką ze strony zespołu wydawców. Ich zdaniem zarzut tendencyjności jest bezpodstawny i że dużo zarzutów Gąsiorowskiej było wynikiem reakcji starego działacza PPS na okres fałszerstw, a dostało się niesłusznie im, mającym najlepsze intencje. Zapowiadali też ukazanie się wielkiej publikacji źródeł do historii PPS-Lewicy⁷.

Tymczasem polemika wokół PPS, a na jej przykładzie nad całą historią najnowszą przybierała coraz bardziej na sile. W ciągu I-ej połowy 1957 roku w Zakładzie Historii Partii (ZHP), w Instytucie Nauk Społecznych (INS), a także w innych ośrodkach naukowych odbyło się kilka zasadniczych dyskusji nad problematyką PPS, w czasie których poddano zasadniczej krytyce dotychczasowe ujęcia problemu. W czasie dyskusji w dniu 3. I. 1957 roku w ZHP poddano surowej krytyce ostatnie publikacje tej instytucji (z lat 1955 i 1956), które mimo uprzednich krytyk nie wyzbyły się starych schematów i uproszczeń. Jan Kanczewicz zwracał uwagę na konieczność nowego naukowego spojrzenia na historię polskiego ruchu robotniczego na ziemiach polskich w ogóle. Krzywdzące oceny dotyczyły nie tylko PPS. Podkreślał on, że szczególnie fałszywie ujmowano dotąd dzieje Bundu i nie chciano dostrzec ogromnej roli odegranej przez tę partię w dziejach rosyjskiego i polskiego ruchu robotniczego, zwłaszcza w latach 1905-1907.

Kanczewicz zwracał uwagę na jeszcze jedno wypaczenie polskiej historiografii, na unikanie problemów narodowościowych. O Poale Syjon i innych żydowskich ugrupowaniach robotniczych można co najwyżej znaleźć bardzo króciutkie wzmianki, oczywiście

6. *Z pola walki*, nr 2 Warszawa 1956. Recenzja Gąsiorowskiej zob. *Nowe Drogi*, marzec 1957, nr 3 str. 113-118.

7. Jeszcze w sprawie PPS-Lewicy (W związku z recenzją Natalii Gąsiorowskiej).

cie negatywne. Uważał on to za objaw nienormalny, bo poza archiwami sowieckimi, właśnie polskie archiwa zawierają cenne materiały nigdy nie wykorzystane do tych zagadnień.

Ożywiona dyskusja potoczyła się również wokół sylwetki politycznej Róży Luksemburg — czołowego teoretyka i przywódcy SDKPiL. Zapoczątkował ją profesor Julian Hochfeld drukując w *Po prostu* wstęp do tłumaczenia pracy Róży Luksemburg pt. „Rewolucja Rosyjska”^{7a}.

Hochfeld wskazywał, że „Róża Luksemburg to jedna z najwybitniejszych postaci polskiego, rosyjskiego i niemieckiego ruchu robotniczego, jeden z najświetniejszych intelektów i charakterów międzynarodowego socjalizmu”. Tymczasem wiedza o niej w Polsce została niesłuchanie zwulgaryzowana i sprowadza się do kilku stereotypowych frazesów. Jest ona „orłem rewolucji” i popełniała błędy... Błędne były jej koncepcje w kwestii narodowej, agrarnej, w teorii akumulacji kapitału, w teorii imperializmu, w stanowisku filozoficznym, w kwestiach organizacyjnych, w ocenie rewolucji październikowej... we wszystkim. Hochfeld słusznie więc pyta skąd ten tytuł „orła rewolucji”.

Stwierdza on nadal, że pokolenie aktywistów partyjnych wychowano w kwestii Róży Luksemburg w oparciu o lekturę artykułu Stalina opublikowanego w 1931 roku „O pewnych zagadnieniach historii bolszewizmu”. Artykuł ten brutalny i gwałtowny w tonie przypisywał wprawdzie Róży Luksemburg jakieś zasługi rewolucyjne, a równocześnie obsypywał ją stekiem inwektyw.

Atak Stalina był skierowany także przeciw historykom usiłującym realnie przedstawić stosunki między bolszewikami a niebolszewicką lewicą. Stalin określił ich jako oszczerców i fałszerzy, jako ludzi snujących ordynarne i plugawe przypuszczenia, jako plugawców i zwyrodnialców. Hochfeld zapytuje — czy można się dziwić atmosferze, która w świetle tych „dyrektyw” zapanała wokół Róży Luksemburg.

Mimo że Róża Luksemburg była Polką, mimo, że w całym świecie istnieje ogromne zainteresowanie jej twórczością, jej dzieła są w Polsce niemal nieznanne. Tak więc w 1950 roku wydano jej „Listy z więzienia”, nie zapomniawszy, by w krótkim wstępie wytknąć jej wszystkie błędy, ale mimo to Róża Luksemburg wychodziła na postać świetlaną. Panowało w tym względzie jakieś dziwne rozdzielenie i brak konsekwencji.

W 1951 roku (80 rocznica urodzin) wydano skromny zbio-

^{7a} Hochfeld Julian: „Z zapomnianych polemik”. *Po prostu*, 17. II. 1957, nr 7.

rek artykułów, głównie z okresu rewolucji 1905 roku, ale i tu nie zapomniano o wszystkich jej błędach.

Omawiając broszurę Róży Luksemburg „Die Russische Revolution”, która ukazała się w 1921 roku Hochfeld podkreślał jej wartość. Wbrew Leninowi przewidywała ona już w pierwszych latach możliwości zbrodni i degeneracji systemu sowieckiego, głównie na skutek braku demokracji i kontroli społecznej. Występowała w niej zdecydowanie przeciw rozpędzeniu konstytuanty i przeciw terrorowi.

Wokół artykułu o Róży Luksemburg potoczyła się na łamach *Po prostu* namiętna dyskusja, głównie między Hochfeldem, a Romanem Werflem^{7b}.

W toczącej się dyskusji coraz częściej zabierali głos młodzi historycy. Bardzo interesujący był artykuł opublikowany przez Jerzego Holzera w nowym nieoficjalnym partyjnym tygodniku *Polityka*⁸. Zwracał on przede wszystkim uwagę, że zarówno w dotychczasowych badaniach, jak i toczącej się dyskusji uwagę skoncentrowano na sprawach szczegółowych. Omawiano na ogół problemy dwóch partii KPP i PPS. Już w tym fakcie Holzer dostrzega rażące wypaczenie. Dotąd pod szyldem historii ruchu robotniczego w Polsce mieściła się faktycznie zniekształcona historia KPP. Czasem obok niej występowało jako symboliczny „Schwarzcharakter” tzw. prawicowe kierownictwo PPS, ale tylko o tyle aby wytłumaczyć dlaczego dobrej KPP nie udało się wywołać rewolucji socjalistycznej. Bliżej nie określone masy, zawsze lewicowe ciążyły ku KPP ale były oszukiwane, otumanione.

Tymczasem przy tym straszhwym zniekształceniu i zubożeniu historii polskiego ruchu robotniczego, głosy krytyki ograniczają się jedynie do postulatu skorygowania niektórych poglądów na PPS. Holzer domagał się pełnego i uczciwego wachlarza badań. Wzywał by nareszcie wziąć pod uwagę wielonarodowość

7b. Hochfeld J.: „Jeszcze o Róży Luksemburg” *Po prostu* 1957, nr 9, tegoż autora „Mit i delfin” tamże nr 10 oraz „Mity i metody” tamże nr 12. Artykuły polemiczne Werfela opublikowane zostały „Za zgodą — czy bez zgody”, tamże nr 12. Do dyskusji włączył się Józef Kowalski drukując artykuł w *Trybunie Ludu*, 1957, nr 107.

Hochfeld polemizował z Werflem, który w 1947 roku pisał gołosłownie, że Róża Luksemburg nie chciała wydać swej broszury i kazała wstrzymać jej druk. Zarzucał też Werflowi nieuczciwe metody dyskusji. Mianowicie w artykule przeciw Hochfeldowi „Nieudana obrona”, *Nowe Drogi*, 1947 r. nr 4 Wertel szantażował go zarzutem „renegactwa”. Obecnie — zdaniem Hochfelda — Werfel usiłuje stosować te same chwytty. Szantażuje go wypowiedziami Lenina o zdradzie Paul Levy’ego, który wbrew woli R.L. wydał „Rewolucję rosyjską” już po jej śmierci.

8. Holzer J.: „Uwagi o metodzie badań historii ruchu robotniczego”, *Polityka*, 26, 6. 1957, nr 18.

wy charakter proletariatu przed II wojną (Żydzi, Niemcy, Ukraińcy). Domagał się rozpoczęcia badań nad Bundem, P.C., Niemiecką Socjalistyczną Partią Robotniczą, Ukraińską Partią Social-Demokratyczną itp. Wskazuje wreszcie, że ruch robotniczy nie był wyłącznie socjalistyczny i postuluje badania nad NPR, Chrześcijańską Demokracją, ZZZ, BBS itd.

Holzer zarzucał badaniom polskich historyków partykularyzm oderwanie od życia i walki ruchu robotniczego w innych krajach. Brak prac o międzynarodowym ruchu socjalistycznym itp. Na koniec Holzer bardzo gwałtownie rozprawił się z ciągle istniejącym pojęciem „partyjności” w nauce. Jego zdaniem w sposób perfidny usiłuje się postawić znak równania między subiektywizmem historyka, a „partyjnością”. Historyk ma oczywiście swoje poglądy, ale uczciwy historyk nie powinien świadomie dostosowywać naukowych badań do swych przekonań politycznych. Tymczasem pod pojęciem „partyjności” kryło się wulgarne fałszowanie prawdy i nauki pod dyktando agitacji politycznej, zaś uczciwość badacza i tendencję do prawdy piętnowano jako „burżuazyjny obiektywizm”.

Streszczony powyżej artykuł Holzera, zawierał najostrzejszą zapewne krytykę historiografii, kiedykolwiek sformułowaną na łamach komunistycznego czasopisma⁹.

Atmosfera wolności naukowej stwarzała grunt do zażartych dyskusji również nad konkretnymi węzłowymi problemami historii Polski. Udostępnienia dotąd zamkniętych zespołów archiwalnych, wywołało żywe zainteresowanie archiwaliami, a u młodych historyków ujawniała się tendencja do zbyt pochopnego formułowania ocen i wniosków na podstawie nie poddanych odpowiedniej analizie krytycznej źródeł. Kryła się w tym też może tendencja do nowych „odkryć” i sensacji.

Jesienią 1957 roku dwoje młodych historyków Garlicki i Krzywobłocka opublikowało w *Polityce* artykuł pt. „Czy władza leżała w 1918 roku na ulicy”. Poddali oni całkowitej rewizji dotychczasowe ujęcia sytuacji w tym przełomowym okresie. Zakwestionowali w ogóle tezę o możliwości rewolucji w Polsce w tym okresie i o negatywnej roli odegranej w tej kwestii przez PPS. Ich zdaniem, skrajna lewica nie mogła wówczas myśleć o uchwyceniu władzy, nawet we współpracy z PPS, gdyż obydwie te

9. Skrajnie negatywną ocenę sytuacji w historii przed 1956 rokiem dał również historyk starszego pokolenia — Józef Sieradzki. Zob. jego artykuł „Proza dla dorosłych”, *Polityka*, 7. 12. 1957, nr 57. Krytyczny, ale bardziej wyważony w tonie był artykuł absolwenta IKKN Cz. Madajczyka: (obecnie jeden z głównych reżymowych historiografów). W sprawie badań z zakresu najnowszej historii Polski. *K.H.* 1957, nr 1.

grupy były zbyt słabe. Na pytanie zawarte w tytule odpowiadali negatywnie i stwierdzali, że jedyną siłą przygotowawczą byli „piłsudczycy”.

W oparciu o dokumenty o niepewnej wartości podali oni tezę jakoby emisariusze rządu sowieckiego (Lenina) usiłowali jesienią 1918 roku doprowadzić do wspólnego frontu całej polskiej Lewicy, z zapewnieniem kierownictwa politycznego PPS¹⁰.

Niewielki rozmiarami artykuł rozpętał burzę. Autorzy zostali gwałtownie zaatakowani przez przedstawicieli partyjnego konserwatyzmu. Stary działacz partyjny Sz. Zachariasz opublikował napastliwy artykuł, żywo przypominający tonem i sposobem polemiki lata stalinizmu. Józef Kowalski powtarzał swoje stare tezy o roli PPS w tym okresie, ale unikał zajęcia stanowiska czy można było wtedy podjąć walkę o władzę. O wiele łagodniejszy w tonie był polemiczny artykuł Kancewicza. Wyrażał on obawę, że tego rodzaju słabo udokumentowane rewelacje mogą posłużyć jako woda na młyn „administratorów politycznych od nauki”, którzy szukają okazji do wykorzystania potknięć by móc wrócić do praktyk poprzedniego okresu. Równocześnie polemizował on z napastliwym tonem artykułu Zachariasza. Spokojnie i rzeczowo polemizował z autorami artykułu J. Holzer. W sposób przekonujący dowiódł, że dokumenty, na których autorzy oparli swoje rewelacje, są wątpliwej wartości i nie należy darzyć ich zaufaniem. Poparł natomiast zasadniczą tezę autorów, że lewica nie była wówczas zdolna do podjęcia walki o władzę¹¹.

Zaatakowani autorzy artykułu odpowiedzieli na łamach *Polityki*. Wyjaśniali, że w artykule postawili sobie za cel poddanie rewizji pewnego schematu, który bezpodstawnie przyjęty został przez większość historyków partyjnych. Schemat ten wyglądał w głównym założeniu tak: w 1918 roku w Polsce była sytuacja rewolucyjna, która wskutek zdrady interesów klasy robotniczej przez PPS nie doprowadziła do rewolucji socjalistycznej. Ich zdaniem sprowadzenie procesów historycznych do dobrej lub złej woli przywódców jakiejś partii jest „łagodnie mówiąc naiwnością”. Na zarzut Kowalskiego, że ich artykuł jest rewizjonistyczny autorzy odpowiadali: „Bez ciągłego rewidowania przyjętych schematów, definicji, twierdzeń, niemożliwy byłby wszelki postęp w nauce”. Zaś słabość nauk humanistycznych w Polsce polegała ich zdaniem na tym głównie, że były zbyt mocno krępowane różnego rodzaju „niepodważalnymi twierdzeniami”. W spornej spr-

10. *Polityka*, 23. 11. 1957, nr 39.

11. Artykuły polemiczne Kowalskiego J., Zachariasza Sz., Rakowskiego M. Kuncewicza i J. Holzera opublikowano w grudniu 1957 w *Polityce* (nry 40, 41 i 42).

wie wartości historycznej zakwestionowanych dokumentów, widać u autorów pewne wątpliwości, mimo, że nadal przytaczali pewne argumenty w ich obronie¹².

Był to okres gdy reżym Gomułki wyraźnie już wycofywał się z programu „polskiego października” i sytuacja w historiografii wyraźnie zaczynała niepokoić kierownictwo partyjne. 4 i 11 marca 1958 roku została zwołana w Zakładzie Historii Partii (ZHP) konferencja pracowników tej instytucji oraz partyjnych historyków z IH PAN i Uniwersytetu Warszawskiego. Celem konferencji było „dokonanie wymiany poglądów w sprawie postawy członków partii-historyków wobec prób zniekształcenia niektórych węzłowych zagadnień najnowszej historii Polski, a w szczególności historii ruchu robotniczego”. Naradę zagał dyrektor ZHP Tadeusz Daniszewski. Poruszono w niej zagadnienia partyjności w nauce historycznej, stosunku nauki do polityki, kwestie metodologii i warsztatu naukowego. W szczególności podkreślano konieczność zwiększenia aktywności historyków-członków partii. Narada jednak wykazała, że część partyjnych historyków negatywnie ustosunkowywała się do nowej próby podporządkowania nauki historycznej dyrektywom partyjnym¹³. Na zbyt drastyczne posunięcia partia nie mogła sobie jeszcze w tym czasie pozwolić.

Ważnym wydarzeniem w nauce był VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich w dniach 10-17. IX. 1958 w Krakowie. W zjeździe wzięło udział wiele setek nauczycieli oraz około 400 pracowników nauki w tym wielu z zagranicy. Miał on dokonać przeglądu sytuacji w nauce historycznej w ciągu 10 lat które minęły od VII wrocławskiego Zjazdu. Bilans tego dziesięciolecia nie był optymistyczny, ale wydawało się wówczas że okres schematyzmu i wulgaryzacji w historiografii polskiej należą do bezpowrotnej przeszłości.

Panujący wówczas w Polsce ferment ideologiczny odbił się wyraźnie na przebiegu zjazdu. Upływał on pod znakiem wolności

12. Garlicki A. i Krzywobłocka B.: „Fakty to rzecz uparta”. *Polityka*, 18. I. 1958, nr 3. Głos w dyskusji zabrał w tymże numerze *Polityki* profesor Sieradzki Józef.

Zapoczątkowana dyskusja przeniosła się następnie do fachowych pism historycznych. Krzywobłocka B. opublikowała artykuł: Ugrupowania lewicowe w Królestwie po rewolucji październikowej w raportach MSW Rady Regencyjnej, w którym usiłowała bronić swe uprzednie stanowisko (*K.H.* 1958, nr 1). Gruntowną i rzeczową krytykę jej stanowiska znajdujemy w artykule Jana Molendy „W sprawie rokowań między SDKP i L, PPS-Lewicą i Bundem, a PPS Frakcją Rewolucyjną w grudniu 1917 i lipcu 1918 roku” (*Z.P.W.* 1962, nr 2).

13. *Z Pola walki*, 1958, nr 3.

słowa i walki poglądów. Przemówienie zasadnicze na temat rozwoju nauk historycznych w latach 1948-1958 wygłosił na plenarnym zebraniu zjazdu dyrektor I.H. PAN prof. T. Manteuffel. W zasadzie podzielał on tezy Witolda Kuli, ogłoszone w 1957 r. M.in. wskazał na trudności, które hamowały rozwój niektórych zwłaszcza dyscyplin. Były to jego zdaniem braki źródłowe i metodyczne historii najnowszej, przerost historii gospodarczej nad polityczną, nacisk ujęć propagandowo-politycznych, odcięcie od kontaktów z nauką zagraniczną.

Nie przewidziano, zapewne celowo, dyskusji nad tą zdecydowanie negatywną oceną wybitnego historyka. Potoczyła się ona wobec tego w późniejszych dyskusjach sekcyjnych. Polemizowali z nim zdecydowanie niektórzy partyjni historycy, zwłaszcza w dziedzinie oceny historiografii dziejów najnowszych. Wypowiadali oni pogląd że Manteuffel uwypuklił cienie a nie wydobyl osiągnięć.

Niespodziewanie ostrą dyskusję wywołał referat plenarny H. Wereszyckiego: „Powstania jako problem międzynarodowy”. Autor wysuwał generalną tezę, że niepodległość Polski mogła być przywrócona jedynie przy pomocy mocarstw. Podważał natomiast powszechnie w historiografii Polski Ludowej przyjętą tezę, reprezentowaną przez wybitnego historyka Stefana Kieniewicza, jakoby główną przyczyną upadku powstań była słaba aktywizacja mas ludowych. Zdaniem Wereszyckiego sama aktywizacja mas ludowych nic nie rozwiązywała. Równocześnie jednak stwierdzał, że powstania były nieuniknione. W dyskusji zarzucano autorowi „pesymizm” historyczny.

Na marginesie referatu Wereszyckiego doszło także do ostrej wymiany poglądów o charakterze politycznym. Mianowicie profesor Krzyżanowski, robiąc dygresję od tematu, w dłuższym wywodzie przedstawił swoje poglądy na temat nie tylko dawnych, ale i współczesnych wojen i stosunków międzynarodowych. Robił on przy tym niedwuznaczne aluzje do polityki ZSSR. Polemizowali z nim Leśnodorski i Kieniewicz określając wystąpienie Krzyżanowskiego jako próbę rzutowania przeszłości w aktualne stosunki wewnętrzne i międzynarodowe. W dyskusji był też głos domagający się rehabilitacji politycznej przywódcy powstań śląskich, Wojciecha Korfanteo.

Ożywioną dyskusję wywołał także referat Henryka Jabłońskiego „Powstanie II Rzeczypospolitej Polskiej w 1918 roku na tle dziejów Europy”. Dyskusja podkreślała zbyt jednostronne ujęcie roli rewolucji październikowej dla niepodległości Polski, przy wyraźnym niedocenieniu roli mocarstw zachodnich. Podkreślano też niedocnienie roli wewnętrznych dążeń i ruchów

narodowo-wyzwoleńczych. Jabłoński na dyskusję się nie stawiał i tym ją częściowo osłabił.

W sekcji historii najnowszej bardzo interesujący i równocześnie dyskusyjny był referat Konstantego Grzybowskiego „Parlamentaryzm Polski w dwudziestolecie”, w którym autor wysoko ocenił model i rolę polskiego parlamentu. Główni dyskutanci (Madajczyk, Drozdowski, Ajnenkiel) zarzucali referentowi, że oparł swój referat głównie na kryteriach formalno-prawnych i teoretycznych, pomijając niemal całkowicie realną sytuację polityczną państwa Polskiego. Kwestionowali oni tezę o suwerenności konstytuancy. Zarzucali autorowi idealizowanie polskiego parlamentaryzmu w latach 1927-1939 oraz fakt, że nie zwrócił on uwagi na szereg posunięć prowadzących ku faszyzmowi i ku upadkowi systemu parlamentarnego.

Grzybowski w podsumowaniu stwierdził, że dotychczasowych badaniach problem polskiego parlamentaryzmu był wyraźnie zaniedbany i upraszczany. Bronił się argumentem, że w rozważaniach o parlamentaryzmie kryteria formalne i litera prawa mają także poważne znaczenie.

Ożywioną dyskusję wywołały referaty Józefa Kowalskiego „Z zagadnień rozwoju ideologicznego KPRP w latach 1918-1923” oraz Marii Turlejskiej: „Sprawa polska w czasie II wojny światowej”. W dyskusji nad tym ostatnim wykazywano niski poziom historiografii polskiej okresu II wojny światowej, postulowano uwzględnienie literatury polskiej i obcej wydanej na zachodzie. Polemikę wywołały tendencyjne tezy autorki o stosunkach między aliantami a ZSSR w czasie wojny. Postulowano bliższe oświecenie stosunków polsko-sowieckich oraz między Polską a krajami Europy Środkowo-Wschodniej w latach II Wojny światowej. M.in. prof. Batowski zwrócił uwagę na interesującą koncepcję Sikorskiego o utworzeniu konfederacji państw środkowo-europejskich.

Na końcowym zebraniu plenarnym zjazdu zabrał głos dyrektor ZHP Tadeusz Daniszewski. Polemizował on z negatywną oceną Manteuffla, a także i innych mówców, roli i działalności partyjnych placówek naukowych (dawne WHP, INS). Przemówienie Daniszewskiego można było potraktować jako oficjalne stanowisko partii. Było ono dowodem, że kierownictwo partii otrząsnęło się już z kryzysu politycznego lat 1956-1957 i że bynajmniej nie zamierza zrezygnować ze swej „kierowniczej roli” w nauce w ogóle, a w naukach historycznych w szczególności. Atak na prof. Manteuffla miał niewątpliwie na celu zastraszenie i „przywołanie do porządku” historyków młodego pokolenia zarówno bezpartyjnych jak i partyjnych.

Ogłoszony drukiem dwutomowy „Pamiętnik VIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich” stanowi niezwykle bogate i interesujące źródło do dziejów historiografii Polski Ludowej¹⁴.

Nieco więcej uwagi zamierzam poświęcić dyskusji wokół artykułu Aleksandra Litwina o problemach 1918-1919 roku w Polsce¹⁵. Zasluguje on na uwagę z dwóch względów. Po pierwsze ze względu na węzłowe problemy jakie poruszał, po drugie, ze względu na zajądłą polemikę jaką artykuł ten wywołał i która zakończyła się sankcjami administracyjnymi w stosunku do autora. A. Litwin bowiem, stary działacz partyjny i wieloletni pracownik ZHP, został usunięty z pracy i przeniesiony na emeryturę mimo, że był w pełni swych sił twórczych.

Artykuł Litwina zbiegł się w czasie z III zjazdem PZPR, który nakreślił plan ofensywy ideologicznej na froncie kulturalnym i naukowym. Uchwały III zjazdu PZPR zostały przedstawione w artykule wstępnym tego samego zeszytu *Z pola walki*, w którym drukowano artykuł Litwina: „Partia nasza może na swym zjeździe podjąć nowe ambitne zadania, gdyż wzmocniła się ideologicznie i organizacyjnie w walce z rewizjonizmem i dogmatyzmem [...]. Równolegle z ofensywą w dziedzinie budownictwa gospodarczego i kulturalnego partia nasza nakreśla plan ofensywy na froncie ideologicznym”.

Redakcja zwracała uwagę na doniosłe znaczenie jakie ma „dla ideowo-politycznego wzmocnienia partii dla krzewienia idei socjalistycznych [...] wierne odtworzenie naszych rewolucyjnych tradycji” i podkreślała „ważną rolę jaką mają do spełnienia na froncie ofensywy ideologicznej członkowie partii — badacze polskiego ruchu robotniczego i dziejów klasy robotniczej”.

Rzecz ciekawa, że w tymże numerze poprzedzonym tak „bojowym” wstępem, co dotąd nie zdarzało się w *Z pola walki*, redakcja zamieszcza artykuł Litwina, który zaopatruje odcinającą się i dyskwalifikującą z politycznego punktu widzenia notą: „Redakcja nie akceptując wielu tez niniejszego artykułu zamieszcza go w przekonaniu, że wywoła on dyskusję i polemikę dokoła ważnych i istotnych zagadnień w nim poruszonych. Artykuł został napisany przed ogłoszeniem tez KC PZPR w 40-lecie KPP¹⁶”.

Ten przypis jest wiele mówiący. Po pierwsze wskazywał on, że *Z pola walki* odstępował od swego niedawno ogłoszonego programu pisma mającego służyć rzetelnym badaniom naukowym.

14. VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich, t. I-II. Warszawa, 1959-1960.

15. Litwin A.: „O niektórych problemach 1918 roku w świetle publikacji KPP”. *Z pola walki*, 1959, nr 1.

16. *ibidem*, str. 39.

Stanowił zapowiedź, że rezultaty badań naukowych mają znowu być *a priori* określone tezami i uchwałami KC PZPR i tym samym stwierdzał odwrót od programu „października”, który postulował uniezależnienie badań naukowych od polityki.

Z drugiej strony było znamienne, że redakcja partyjnego czasopisma (*Z pola walki* było organem ZHP) drukuje „błędny” artykuł, mimo ogłoszonych już też KC PZPR, które uznawało dla siebie za wiążące. Czyżby był to przejaw liberalizmu i braku partyjnej dyscypliny. Sądzę, że raczej nie. Ogromna polemika, która rozwiązała się wokół artykułu Litwina była niewątpliwie inspirowana przez sfery partyjne. Późniejsze losy autora i cała atmosfera wokół tej dyskusji, każą sądzić, że celowo wykorzystano Litwina, by przywołać do porządku historyków polskich, by skończyć z „burżuazyjnym obiektywizmem”, by skończyć również z liberalizmem na tym ważnym odcinku „frontu ideologicznego” jakim jest nauka historyczna. W zasadzie, jak się wydaje na tym zakończył się okres burzliwych polemik zarówno na zebraniach i zjazdach naukowych, jak i w czasopiśmiennictwie. Likwidacja niektórych czasopism, reorganizacje i zmiany personalne w innych ułatwiały „zaprorowadzenie porządku” w publicystyce i w nowoczesnej historiografii.

Litwin w artykule swoim polemizował z tezami głoszonymi przez teoretyków KPP (Bittner „Bicz”, Brun, Ryng, Fidler i inni) i przejętymi później przez płytką historiografię polską i sowiecką (Kowalska, Kuszyk, Misko). Przyjęty schemat sprowadzał się do tego że w Polsce na przełomie 1918 i 1919 roku istniała sytuacja rewolucyjna, która jednak nie przerosła w rewolucję na skutek braku czynnika decydującego — partii bolszewickiej. Błędem luksemburgizmu przypisywano, że nie umiano wykorzystać tej sytuacji i istniejących Rad Delatatów Robotniczych dla rzużenia ich w ostateczny bój przeciw kapitalizmowi w imię komunizmu i Polskiej Republiki Sowieckiej¹⁷.

Litwin poddał ten schemat druzgocącej krytyce. Podkreślał całkowitą odmiennosć ówczesnej sytuacji w Polsce, mimo, że ta znajdowała się między rewolucyjną Rosją i zrewolucjonizowanymi Niemcami. Podkreślał słabość ruchu robotniczego i jego partii oraz fakt, że w Radach Delegatów Robotniczych przeważały wpływy PPS i innych grup reformistycznych. Litwin zwracał uwagę na oczywisty fakt, że dla ogromnej większości społeczeństwa polskiego czołowym problemem była w tym czasie kwestia narodowa i uzyskanie niepodległości. W przeobrażeniach lat

17. Zob. wstęp do zbioru dokumentów pt. „Rady Delegatów Robotniczych w Polsce” opracował M. Bicz (Bittner) Moskwa 1934.

1918-1919 klasa robotnicza i jej partie nie były w stanie odegrać roli hegemonu. Litwin zwalczał subiektywizm swych poprzedników i stwierdzał: „takie czy inne, mniej lub bardziej ważne błędy w taktyce i strategii partii rewolucyjnych wpływają niewątpliwie na kształtowanie się sytuacji w kraju. W Polsce w listopadzie 1918 roku zaważyła jednakże sytuacja obiektywna na układzie sił społecznych. Polska nie była brzemienista w rewolucję. Istniejący układ sił nie stworzył warunków dla objęcia przez proletariat władzy w przełomowych dniach pierwszej połowy listopada” (str. 47).

Na poparcie swych tez Litwin wskazywał na niski stopień świadomości w niektórych warstwach społecznych, np. u chłopstwa, oraz na silny nacjonalizm. M.in. wspomina o zejściu ruchu chłopskiego na manowce, robiąc wyraźną aluzję do fali pogromów antyżydowskich. Omawia ujęcie kwestii agrarnej i narodowej w programie polskich partii rewolucyjnych i dochodzi do śmiałej konkluzji zarzucającej lewicy KPP awanturniczość i subiektywizm: „Awangardystyczne wystąpienia, nie oparte na szerokim ruchu mas, mogłyby doprowadzić jedynie do poważnych porażek ruchu robotniczego” (str. 51).

W sumie ocenić należy artykuł Litwina jako bardzo ciekawy. Stawiał on śmiało na porządku dziennym kluczowe zagadnienia, które dotąd były przemilczane, lub wulgaryzowane, mimo że stanowiły jeden z czołowych problemów najnowszej historii Polski.

Pierwszy zabrał głos w dyskusji Józef Kowalski wicedyrektor ZHP i czołowy partyjny historyk KPP¹⁸. Przyznawał, że publicystyka KKP lat 1929-1933 przeceniała rolę czynnika, abstrahując od obiektywnej sytuacji. Zarzucał jednak Litwinowi, że popada w drugą skrajność: widzi tylko warunki obiektywne i to przez „czarne okulary”. Jego zdaniem, Litwin nie docenia napięcia i roli walk masowych, obniża wagę Rad Delegatów Robotniczych i Czerwonej Gwardii w Zagłębiu Dąbrowskim. Nie wdając się w szczegóły wywodów Kowalskiego trzeba stwierdzić, że w gruncie rzeczy nie podważył on w istotny sposób żadnej zasadniczej tezy Litwina.

W tymże numerze *Z pola walki* do ataku przeciw Litwinowi ruszył inny pracownik ZHP¹⁹. Ten nie siłił się nawet na rzeczową dyskusję, z wyjątkiem poruszenia kwestii agrarnej w Polsce, która u Litwina stanowiła problem drugorzędny. Wysu-

18. Kowalski Józef: „Uwagi na marginesie artykułu A. Litwina 'O niektórych problemach...'”, *Z pola walki*, 1959, nr 2.

19. Malinowski Henryk: „O niektórych problemach lat 1918-1919”, *Z pola walki*, 1959, nr 2.

wał natomiast szereg zarzutów natury formalnej. Np. na wstępie zarzucał Litwinowi, że swym artykułem nic nie rozstrzygnął, gdyż postawił w nim za dużo trudnych problemów, których nie mógł rozwiązać. Był to zarzut absurdalny, bo w tego rodzaju artykule chodzi głównie o postawienie problemów, o obalenie prawd objawionych i wywołanie dyskusji. Malinowski sam zdaje sobie sprawę ze swej bezradności konkludując: „Zdaję sobie sprawę, że moje uwagi jedynie w nieznacznym stopniu zawierają odpowiedź na postawione przez autora problemy...” (str. 114). Nasuwa się pytanie po co w takim razie zabrał głos w dyskusji.

Niezwykłe agresywny i przypominający stalinowskie metody polemiki był artykuł Al. Lenowicza²⁰, który wypowiadał się gromko w obronie KPP zaatakowanej przez Litwina. Stwierdzał, że „jest rzeczą niedopuszczalną” przypisywanie sekciarstwa takim działaczom jak Ryng, Brun, Fidler. Ostro atakował tezę, że Polska nie była brzemienne w rewolucję i że dominował w niej „nurt reformistyczny”, powołując się na szereg opinii przeciwników politycznych. Ale równocześnie zaatakował Litwina w sposób demagogiczny: „Przytoczone tu myśli i argumenty nie są oryginalne. Coś podobnego słyszeliśmy już w 1919 roku [...] z ust Jaworowskich, Malinowskich i Ziemięckich”.

Jego ocena roli PPS i KPP żywo przypominała najgorsze wulgaryzacje okresu stalinowskiego. Tak więc stwierdzał, że PPS świadomie hamowała rewolucyjny rozpęd w masach i utorowała drogę do Brześcia, Berezy i września 1939 roku. Natomiast „KPP mimo popełnionych błędów zajmowała jedynie słuszne historycznie stanowisko, bo orientowała się na zwycięstwo sił socjalistycznej rewolucji. A co się tyczy kwestii niepodległości, to niewątpliwie KPRP popełniła szereg podstawowych błędów i zbyt powoli je naprawiała. Ale czy mogła KPP stanąć na gruncie obrony burżuazyjnej treści nowo powstałej państwowości polskiej przeciw „bolszewizmowi” zamiast walczyć o jej zrewolucjonizowanie” (str. 81). Dziwna to zaiste polemika. Lenowicz w tym jednym ustępie kilkakrotnie sam sobie zaprzecza.

Ostatni akapit Lenowicza brzmi jak sentencja wyroku sądowego: „Nie wolno prowadzić badań historycznych zapominając o podstawowych prawidłowościach procesu historycznego [...]. Tylko badanie zagadnień społecznych z pozycji proletariatu, klasy jedynie zdolnej do zwycięskiego przeobrażenia świata zapewni prawdziwą naukowość i obiektywność badań. Niektórzy z naszych historyków — w tym również A. Litwin — starają się

20. Lenowicz Al.: „Bezdroża woluntarystycznej historiografii”. Na marginesie dyskusji w sprawie sytuacji w latach 1918-1919. *Z pola walki*, 1959, nr 3.

być „bezstronni” i to ich sprowadza na manowce [...]” (str. 82).

W toczącej się dyskusji jedynie rzeczowy i spokojny w tonie był artykuł T. Jędruszcza²¹. Oceniał on wystąpienie Litwina jako dyskusyjną ale ciekawą próbę oceny publicystyki KPP. Przypominał, że brak jest poważniejszej publikacji historycznej o polskim przedwojennym piśmiennictwie komunistycznym.

Jędruszcza również zarzuca Litwinowi jednostronność, ale równocześnie logicznie stwierdza, że jest absurdalny często zgłaszany postulat (ma zapewne na myśli swych poprzedników w dyskusji) zgodnie z którym każdemu krytycznemu stwierdzeniu musi odpowiadać dla równowagi pochwała. Uważa, że krytyka dorobku publicystycznego KPP jest zgodna z duchem marksizmu.

W zagadnieniach merytorycznych podziela podstawowe tezy Litwina, a zwłaszcza pogląd, że w 1918 roku „Polska nie była brzemienista w rewolucję”. Stwierdza, że siły społeczne i polityczne dążące do rewolucji były prawie zupełnie nie uzbrojone i w tym stanie rzeczy nawet słabe siły zbrojne Piłsudskiego już dawały mu zdecydowaną przewagę. Z innych czynników wymienia decydujący wpływ ententy w wielu krajach w tym również i w Polsce.

Sprawę KPP i jej błędów Jędruszcza oceniał jako drugorzędną w porównaniu z problemami wysuniętymi przez Litwina. Proponowana przez niego ocena sytuacji niewiele różniła się od oceny Litwina. W zakończeniu swojego artykułu Jędruszcza robi wyraźną aluzję do poziomu toczącej się dyskusji. Stwierdza, że poruszone problemy są często dyskutowane, bo stanowią wielkie wydarzenie historyczne. „Dlatego warto tę sprawę badać i rozpatrywać, byle tylko w oparciu o fakty a nie, jak to niekiedy zdarza się jeszcze — metoda przyjmowania życzeń za rzeczywistość” (str. 87).

Dyskusję wokół tez Litwina podsumowała redakcja *Z pola walki* w artykule redakcyjnym²², podkreślając w nim, że zjawiskiem pozytywnym jest sama próba krytycznej analizy tez publicystyki KPP, dotyczącej lat 1918-1919. Ale równocześnie redakcja podjęła zarzut jednostronności Litwina i niedoceniań przez niego ruchów masowych. O wiele wymowniejszy był zarzut — powtórzony za Leninem — że Litwin podejmuje w pewnej mierze tezy reformistów z PPS.

W konkluzji redakcja stwierdzała, że zamieszczenie artykułu A. Litwina i dyskusja były rzeczą pożyteczną „że przyczyni się

21. Jędruszcza T.: „W sprawie publicystyki KPP i walki o władzę w Polsce w 1918 roku”. *Z pola walki*, 1960, nr 3.

22. „W sprawie dyskusji wokół zagadnień lat 1918-1919”, *Z pola walki*, 1960, nr 4.

to w przyszłości do dalszych badań i płodnych dyskusji w tej dziedzinie” (str. 66).

Była to czysta frazeologia. Atmosfera dyskusji bynajmniej nie zachęcała, a odstraszała od jej kontynuacji. Do tego doszły represje wobec Litwina. W kręgach historyków polskich oceniono go jako Don Kichota, który chce przełamać niezłomne tabu i walczyć w Polsce Ludowej o prawdę historyczną wokół sprawy KPP.

Zdarzały się i w latach następnych dyskusje i polemiki np. nad problemami PPS-Lewicy zorganizowanej 12. X. 1961 roku w ZHP), ale na ogół unikano problemów szczególnie drastycznych, a dyskusje nabierały raczej charakteru erudycyjnych sporów wąskiej grupy specjalistów.

Paweł KORZEC

E. ŻAGIELL

DWADZIEŚCIA LAT NIEPODLEGŁEJ LITWY

Dwudziestolecie nie jest terminem matematycznie ścisłym, bowiem akt o Niepodległości Litwy został ogłoszony dnia 16. 2. 1918 roku, a Najwyższy Sowiet zatwierdził włączenie Republiki Litewskiej do Związku Sowieckiego dnia 3. 8. 1940 roku, więc formalnie okres niepodległości liczył bez mała 22 i pół lat. W praktyce jednak pierwsze półtora roku Litwa była pod niemiecką okupacją, a później znaczne jej połacie zajmowali bolszewicy i ostatnio tzw. Bermontczycy, zaś po 20 latach już 10. 10. 1939 roku zostały wprowadzone garnizony sowieckie i niepodległość stała się fikcją.

W polskim piśmiennictwie obszernie był omawiany litewski ruch odrodzenia narodowego (M. Romer i W. Wielhorski) a później stosunki polsko-litewskie, natomiast mało jest prac poświęconych dziejom stosunków wewnętrznych i rozwojowi tzw. Litwy Kowieńskiej, odgródzonej od Polski przez długie lata „zieloną granicą” czy też „kurtyną nienawiści”.

Zadaniem niniejszej pracy jest choćby częściowe wypełnienie tej luki. Lecz najpierw parę słów o genezie „kurtyny nienawiści”.

Polskie dążenia wznowienia wspólnoty państwowej z Litwą nie miały poparcia żadnej warstwy społecznej na Litwie, prócz polskiej mniejszości liczącej naówczas mniej więcej 10 % ludności. Małorolni i bezrolni przewidywali, że wpływy polskich „panów” nie dopuszczą do przeprowadzenia radykalnej parcelacji dworów. Zamożni chłopci wiedzieli, że spośród ich synów będzie się rekrutować inteligencja rządząca krajem, o ile nie będzie musiała konkurować z liczną i bardziej wyrobioną inteligencją polską. Jeszcze 5 lat po ogłoszeniu niepodległości było tylko 35 tysięcy rdzennych Litwinów pracujących umysłowo. Dlatego m.in. owa nieliczna inteligencja, oficerowie, kler itd. byli prze-

ciwni unii. Poza tym nie tylko niemiecka i rosyjska mniejszość, ale również Żydzi (7,6 % ludności) naówczas liczyli na to, że Litwa się nie ostanie i wejdzie w skład Rosji, co im bardziej odpowiadało. Ekonomisci mogli przewidywać, że oparcie o Niemcy da rolniczej Litwie lepsze warunki zbytu niż łączność z Polską, którą mogliby jedynie popierać politycy rzeczywiście dalekowzroczni; lecz w owym czasie nie był to czynnik mogący zawżyć na szali. Jak głęboko była zakorzeniona obawa przed Polską, świadczy relacja amb. Jules Laroche („La Pologne de Pilsudski”) z okresu o 10 lat późniejszego: „Prezydent Smetona pozwolił sobie na powiedzenie posłowi szwedzkiemu: Wznowiecie normalnych stosunków z Polską, byłoby końcem Litwy”.

Takie były z grubsza elementy nastawienia obronnego w stosunku do Polski. Niestety, weszły jeszcze w grę elementy inne. Jak Polacy w Niemczech rzucili hasło: „Jesteśmy jednej krwi” i cała Polska uważała, że odniemczenie Mazurów i Ślązaków jest słuszne i chwalebne, tak też Litwini sądzili, że odpolszczenie Wilnian jest słuszne i konieczne. Litwini przemilczają jubileusze Unii Lubelskiej, a i my nigdy nie obchodzimy rocznic włączenia do cesarstwa księstw śląskich. A jest tu pewna analogia. To nieuznawanie przez Litwinów zasady Wilsona, samookreślenia narodów, w konsekwencji bezwzględного dążenia do „odpolszczenia” Wilnian spowodowało, że konflikt był nie do rozwiązania. Nie bez znaczenia było też poparcie Niemiec i Rosji, jako że prof. Voldemaras był mniemania, że klucz do Wilna leży w Berlinie.



Pod koniec roku 1919 sytuacja na Litwie już się mniej więcej ustabilizowała. Oddziały rosyjsko-niemieckie dnia 15. 12. 1919 roku opuściły Litwę, zajęcie Dyneburga 5. 1. 1920 roku przez połączone siły polsko-łotewskie zwinęło front litewsko-bolszewicki, Polska Organizacja Wojskowa (P.O.W.) była już zlikwidowana w sierpniu 1919 roku, a od Polski oddzielała linia demarkacyjna, na której tylko czasami zdarzały się drobne potyczki. W Kłajpedzie siedzieli wówczas Francuzi, w Kownie urządował prezydent Smetona, premierem był inż. Gałwanauskas, a ministrem spraw zagranicznych prof. Voldemaras. Do rządu wchodził ministrowie spraw żydowskich i białoruskich, lecz nigdy nie było ministra spraw polskich. Już w maju zebrał się sejm ustawodawczy wybrany według pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej. Zarysowały się następujące ugrupowania: najliczniejsze — chrześcijańskiej demokracji (59 mandatów na 112 ogółem), na drugim miejscu ludowcy (29 mandatów) i na trzecim

socjal-demokraci (13 mandatów). Poza tym były reprezentowane mniejszości narodowe (Żydzi 6, Polacy 3 mandaty) oraz Związek Ludzi Pracy (1 mandat), a elitarne i prawicowe ugrupowanie prezydenta Smetony („Pažanga”), nie miało ani jednego posła w Sejmie. Prezydentem został wybrany agronom A. Stulginskis ch.-dem.), a premierem ludowiec dr Grinius.

Pierwszym zadaniem nowego rządu było zawarcie traktatu pokojowego ze Związkiem Sowieckim. Nastąpiło to 12. 7. 1920 roku, w chwili odwrotu wojsk polskich ze wschodu. Traktat oddawał Wilno Litwie. Koalicyjny rząd istniał do dnia 18. 1. 1922 roku, kiedy go zastąpił nowy, również koalicyjny, pod przewodnictwem inż. E. Gałwanauskasa. Oba stronnictwa łącznie dysponowały znaczną większością, mając poparcie mas włościańskich stanowiących większość narodu.

Po nowych wyborach powstał dnia 10. 6. 1924 roku rząd wyłącznie chrz.-demokratów, którzy uzyskali większość w Sejmie. Premierzy się zmieniali, lecz właściwym przywódcą był minister rolnictwa ks. Krupavicius.

Wybory w roku 1926 pozbawiły chrz.-demokratów większości i powstał rząd koalicyjny wszystkich przeciw chrz.-demokratom. Przeważały wówczas wpływy lewicy, a w pewnych wypadkach rząd nawet szukał poparcia posłów polskich, w zamian za zezwolenie na rozbudowę szkolnictwa polskiego. Narodowcy mieli już w tym Sejmie trzech posłów. Prezydentem został dr Grinius a premierem M. Sleževicius, obaj ludowcy.

Przewrót dnia 17. 12. 1926 roku dokonany przez narodowców („Tautininkai”) z Smetoną i Voldemarasem na czele, oddał rządy w ich ręce, w pierwszym okresie ze współudziałem chrz.-demokratów.

W okresie rządów sejmowych należy zanotować następujące ważniejsze wypadki: krótkotrwałe odzyskanie Wilna w roku 1920, uznanie Litwy *de iure* przez mocarstwa zachodnie i Watykan w roku 1922; przyłączenie okręgu kłapedzkiego w roku 1923 oraz uchwalenie ustawy o reformie rolnej w roku 1922. Przyłączenie Kłajpedy było poufnie uzgodnione z Niemcami, więc nie zepsuło stosunków z z Rzeszą. Okręg uzyskał dosyć szeroką autonomię. Rokowania z aliantami napotkały na znaczne trudności, lecz w końcu Kłajpedę przyznano Litwie, poniekąd jako rekompensatę za uznanie przez Radę Ambasadorów wschodnich granic Polski obejmujących również Wilno. W tychże latach został zawarty pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim, tak że Litwa miała unormowane stosunki ze wszystkimi prócz Polski i... Watykanu. Trwał spór ze Stolicą Apostolską o utworzenie niezależnej prowincji kościelnej i o włączenie do niej Wilna.

Największe napięcie stosunków było w okresie niepodzielnych rządów katolickiej chrz.-dem., co doprowadziło do faktycznego zerwania stosunków dyplomatycznych z Watykanem, spowodowanego m.in. zawarciem Konkordatu z Polską, włączającego Wilno do polskiej prowincji kościelnej. Konkordat z Litwą został zawarty dopiero po paru latach, już przez rząd narodowców zwalczający organizacje młodzieży katolickiej, liczące do stu tysięcy członków.

Jesień 1926 roku pod rządami lewicy była dość burzliwa. Ugrupowania skrajnie lewicowe i komuniści wywierali presję za pomocą wieców, uchwał, strajków itd., co powodowało pewną anarchię. Ludowcy, mało się różniący w swym programie z chrz.-dem., chcieli najpierw oczyścić administrację i przeprowadzić swe postulaty w dziedzinach różniących ich z chrz.-dem., a później utworzyć z nimi trwały rząd. Jednak prawica zaczęła się burzyć; doszło do aresztów studentów i popularnych oficerów; wreszcie ci ostatni zorganizowali przewrót grudniowy z nieoficjalnym poparciem narodowców i ku zadowoleniu chrześcijańskiej-demokracji. Prezydent Grinius ustąpił i następcą jego został ponownie Antoni Smetona, który powierzył utworzenie rządu Voldemarasowi. Weszli też w skład rządu trzej chrz.-dem. Już dnia 12. 6. 1927 roku rząd otrzymał votum nieufności, lecz zamiast ustąpić rozwiązał Sejm i, wbrew konstytucji, nie rozpisał nowych wyborów. Chrz.-dem. wystąpiła z rządu. Władzę objęli narodowcy z Voldemarasem na czele, opierającym się na organizacji „Żelaznego Wilka” i wzorującym się na włoskim faszystwie. Niedługo potem nastąpiła słaba próba lewicowego przewrotu, stłumiona tego samego dnia (9. 9. 1927). Te kłopoty rządu wzmogły opozycję i spowodowały zaostrenie rządów twardej ręki. Dnia 15. 5. 1928 roku ogłoszono nową konstytucję utrwalającą rządy prezydenckie, i której 5-ty paragraf stwierdzał, że stolicą Litwy jest Wilno. Z biegiem czasu premier Voldemaras stawał się kłopotliwy i niesforny; prezydent dobrawszy odpowiedni moment w 1929 roku go usunął. Następcą jego został szwagier prezydenta agronom J. Tubelis lepszy gospodarz niż polityk. Kurs nieco zelżał, odbyły się wybory do samorządów a później ponowny wybór A. Smetony na prezydenta, lecz nie przez Sejm a przez specjalnych przedstawicieli na modłę nieco faszystowską.

W grudniu 1927 roku na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w Genewie, Voldemaras spotkał się z Piłsudskim, który go zapytał wręcz: „Pokój czy wojna?” Voldemaras odpowiedział, że wybiera pokój. Jednak późniejsze dwukrotne polsko-litewskie konferencje w Królewcu, nie dały wyników. Granica pozostała

zamknięta, nie było między obu państwami stosunków dyplomatycznych ani handlowych, istniał jedynie tzw. mały ruch graniczny.

W tym czasie Litwa wygrała dwie sprawy w Trybunale Haskim: polskiego tranzytu Niemnem i rozwiązania dyrektoriatu kłajpedzkiego.

Zwolennicy Voldemarasa próbowali 7. 6. 1934 roku dokonać przewrotu wojskowego, w następstwie czego Voldemaras i kilku uczestników zostało skazanych na długoletnie więzienie, a wielu oficerów usunięto z wojska. W tymże roku ustąpił minister spraw zagranicznych D. Zaunius, którego zastąpił St. Łozorajtis.

Oba te posunięcia osłabiły wpływy niemieckie, toteż nastąpiło pogorszenie stosunków z Rzeszą, naówczas już hitlerowską. Niemcy podnieśli głowy. Odbył się przewlekły proces 34 hitlerowców kłajpedzkich, w następstwie czego Niemcy wstrzymali zakupy produktów rolnych, co z kolei spowodowało obniżenie cen na nie i strajk rolny w Suwalszczyźnie — krwawo stłumiony. Dopiero po strajku zarządzono wybory do Sejmu, który ani nie odzwierciedlał opinii kraju, ani też nie miał istotnych uprawnień.

Niebawem rozpoczęły się nieoficjalne rozmowy o ułożenie stosunków z Polską, co miało ten skutek, że niemiecki nacisk nieco zelżał.

Dnia 17 marca 1938 roku nadeszło polskie ultimatum z żądaniem nawiązania stosunków dyplomatycznych między obu krajami. Według oficjalnej wersji było to zupełnym zaskoczeniem dla rządu litewskiego. W rzeczywistości, w drodze poufnych rokowań osiągnięto w zasadzie porozumienie, które miało być sfinalizowane na spotkaniu w Gdańsku. Litwini jednak tam nie przybyli i dalej zwlekali, zasłaniając się chorobą premiera Tubelisa, co zniecierpliviło min. Becka i doprowadziło do ultimatywnego żądania zakończenia groteskowej sytuacji ni wojny ni pokoju. Warto jednak podać również inną wersję zaczerpniętą z powojennego pamiętnikarstwa litewskiego (Augustaitis): Sytuacja była jasna dla obu stron. Rząd prezydencki oparty na „autorytecie moralnym” i nacjonalistycznych kołach oficerstwa i biurokracji, który od lat urabiał opinię publiczną przeciw Polsce, nie mógł nagle pogodzić się bez utraty twarzy i załamania się reżymu z „okupantem stolicy”. Jednak ze względu na naciski niemieckie i potrzebę swobody manewru, porozumienie z Polską było bardzo wskazane.

Ten węzeł gordyjski nie nadawał się do rozsypiania, musiał być w danych warunkach rozcięty za pomocą ultimatum lub przewrotu.

Ta druga wersja o uprzednim uzgodnieniu ultimatum została

zacytowana nie dlatego, że tak było, ale dlatego, że była na tyle prawdopodobna, że mogła znaleźć wiarę wśród części litewskiej emigracji. Badanie źródeł podanych przez p. Augustailisa wykazało, że wersja ta nie jest zgodna z prawdą.

Dla zilustrowania wzajemnej korelacji stosunków Litwy z obu sąsiadami, wybiegniemy wypadkom rok naprzód, i zacytujemy anegdotę, która czasem może lepiej naświetlić sytuację niż dokumenty, zwłaszcza gdy ich brak. Latem 1939 roku naczelny wódz gen. Rastikis, udał się z wizytą do Polski, co było sukcesem polskiej dyplomacji. Było to w kilka miesięcy po zagarnięciu Kłajpedy, gdy Niemcy zobowiązali się do pewnych odszkodowań za urządzenia portowe, lecz nie śpieszyli się z regulowaniem rachunków. Zaraz jednak po wizycie warszawskiej Rastikisa zgłosili gotowość do rozmów i nawet częściowego płacenia. W kowieńskich kołach rządowych, skrzętnych gospodarzy, obiegał dowcip: Dobrze nam się Rastikis spisał, w ciągu 5 dni zarobił dla Litwy milion litów.

Jak wiemy ultimatum polskie zostało przyjęte i stosunki między obu państwami zaczęły się poprawiać, a niebawem ośrodek antypolskiej propagandy — Związek Odzyskania Wilna — został rozwiązany.

W pewnym okresie litewskie koła wojskowe były zainteresowane by Polska, łącznie z innymi państwami, gwarantowała Litwie Kłajpedę. Rozmowy te nie dały konkretnych wyników i nie minął rok gdy Litwa otrzymała ultimatum niemieckie na skutek czego musiała wyrzec się okręgu kłajpedzkiego i swego jedyne go portu, w którego rozbudowę włożono kilkadziesiąt milionów litów. Po polskim ultimatum ustąpił premier J. Tubelis a nowy rząd utworzył ks. Mironas, zaś Łozorajtis pozostał na swym stanowisku. Po utracie Kłajpedy powstał pierwszy od wielu lat, rząd koalicyjny gen. J. Cerniusa, z udziałem chrz.-dem. i ludowców. Ostatni rząd koalicyjny pod przewodnictwem narodowca Merkisa, a zarazem ostatni rząd niepodległej Litwy urzędujący od 17. 6. 1940 roku, powstał już podczas wojny, po umowie litewsko-sowieckiej, na podstawie której Moskwa oddawała Litwie Wilno ze skrawkiem Wileńszczyzny i wprowadzała do Litwy garnizony sowieckie. Ministrem spraw zagranicznych w ciągu ostatniego półtora roku był J. Urbsys, uprzednio długoletni zastępca Łozorajtisa.

Rok 1939 obfitował w ogólnie znane wypadki, jak wspomniana wyżej wizyta w Polsce gen. Rastikisa, który zapewnił o neutralności Litwy w razie agresji niemieckiej przeciwko Polsce. Neutralność ta została utrzymana w czasie wojny polsko-niemieckiej pomimo silnych nacisków ze strony Rzeszy, obiecu-

jącej Litwinom Wilno. Litwa jednak nie chciała się angażować w wojnie światowej po stronie, w której ostateczne zwycięstwo nie wierzyła.

Po klęsce wrześniowej oddziały wojsk polskich zostały internowane i przybyło sporo cywilnych uchodźców. Stosunek do polskich uchodźców był na ogół poprawny, odwrotnie od polityki władz litewskich względem polskiej ludności przyłączonej Wileńszczyzny. Litwini w ciągu 20 lat byli karmieni propagandą, że Wilno jest litewskie, i rządy swe dostosowali nie do stanu faktycznego lecz do swej wizji niezgodnej z prawdą, bo w parę lat później niemiecki spis ludności wykazał ponad 70 % Polaków w mieście.

Pomimo tych wstrząsów, życie na Litwie płynęło normalnie, nie było braku towarów i gdy rząd sowiecki przejął Bank Litewski, lit miał w 44 % pokrycie w złocie.



W ostatnich latach partie opozycyjne czy też dawne sejmowe, aczkolwiek wchodziły do rządu to jednak miały bardzo mały wpływ na politykę litewską. Nie powołano sejmku, nie zmieniono ustaw o charakterze faszystowskim. Konstytucja dawała ogromną władzę prezydentowi, który musiał jednak liczyć się bardzo z armią. Toteż gdy w Polsce marszałek Rydz-Śmigły był oficjalnie pierwszą osobą po prezydencie, na Litwie odgrywał podobną rolę gen. Rastikis. Pod jego to naciskiem powołano rząd koalicyjny.

Litwa w poczuciu zagrożenia przez sąsiadów i nieustabilizowania granic, stale utrzymywała dosyć liczną armię. Na obronę przeznaczano w ciągu całego 20-lecia przeciętnie 20-24 % budżetu państwowego; w roku 1938 wynosiło to 85 milionów litów.

W okresie wojny polsko-niemieckiej Litwa przeprowadziła częściową mobilizację, co było kosztowne, toteż gdy ustały walki w Polsce zaraz przeprowadzono demobilizację i wówczas to właśnie Sowiety zażądały wprowadzenia swych garnizonów.

Armia litewska w normalnych czasach posiadała 9 pułków piechoty nazwanych imionami książąt: Giedymina, Olgerda, Kiejstuta, Witolda, Mendoga itd., 3 pułki kawalerii im. Janusza Radziwiłła, Biruty i Żelaznych Wilków, 4 pułki artylerii oraz zmotoryzowany oddział przeciwlotniczy. Poza tym były oddziały pograniczne, kolejowe, techniczne, kompania czołgów, pociąg pancerny, samochody pancerne itd. Lotnictwo ogółem posiadało około stu samolotów.

Armia litewska w ostatnich latach liczyła dwadzieścia kilka tysięcy ludzi w tym 1.100 zawodowych oficerów i 1.200 podoficerów. Poza tym istniała paramilitarna organizacja „Szaulisów” (Strzelców) licząca 60 tysięcy członków. Wojsko litewskie zostało później włączone do armii sowieckiej i wywiezione. Ponoć tylko 5 tysięcy zdołało ostać się w kraju. Losy większości oficerów i kierownictwa „Szaulisów” są mało znane, lecz prawdopodobnie niewiele odbiegają od katyńskiego wzorca.

Na Litwie tak zwanej „kowieńskiej”, na co się składały b. gubernia kowieńska, skrawek wileńskiej i większa część suwalskiej, o ludności 2,4 milionów (ponadto autonomiczny okręg kłajpedzki — 150 tysięcy ludności) Litwini stanowili mniej więcej 80 % ludności, a mieli w roku 1918 w swym posiadaniu mniej niż połowę ziemi. Resztę stanowiła własność 2 tysięcy rodzin polskich, kilkudziesięciu rosyjskich magnatów i niemieckich baronów, lasy państwowe oraz wsie grupujące kilka tysięcy tzw. Starowierów. Dlatego też prócz haseł socjalnych idących z Rosji, również względy narodowe spowodowały, że reforma ustroju agrarnego stała się pierwszym zadaniem młodego państwa.

Już w zaraniu niepodległości obiecano ochotnikom do woj-ska nadziały ziemi. W roku 1920 upaństwowiono większe lasy, a w roku 1922 sejm uchwalił ustawę o reformie rolnej. Nie była ona tak radykalna jak na Łotwie, gdzie właścicielom zostawiono tylko 40 hektarów (około 100 akrów) i to bez centralnych zabudowań, gdyż na Litwie tzw. nietykalna norma wynosiła 80 hektarów. Maksymalny obszar prywatnego lasu wynosił 25 ha. W pierwszych latach zdarzało się również przejmowanie inwentarza. Najszybciej przeprowadzono parcelację w południowej, najbardziej polskiej, części kraju, zaczynając od większych majątków. O ile właściciel służył w wojsku polskim, zabierana była całość bez odszkodowania. Po latach zaczęto wypłacać odszkodowania w wysokości 1-2 % ceny rynkowej. Reforma rolna objęła 720 tysięcy hektarów (nie licząc ponad pół miliona prywatnych lasów). 450 tysięcy hektarów nadzielono bezrolnym i małorolnym tworząc 38 tysięcy nowych gospodarstw. Nowo-osiedleńcy otrzymywali drewno na budowę, pewne zasiłki na zagospodarowanie się, i byli obciążeni długoterminowymi nieznacznymi spłatami. Ogółem około miliona hektarów zmieniło właścicieli przechodząc z rąk przeważnie polskich w przeważnie litewskie.

Po grudniowym przewrocie w roku 1926, nietykalną normę powiększono do 150 ha; paręset majątków zachowało nieco większe obszary jako tzw. gospodarstwa wzorowe, obciążone obowiązkiem hodowli zarodowej, nasiennictwa itd. Ta łagodniejsza parcelacja dotyczyła głównie Żmudzi oraz mniejszych fol-

warków. W międzyczasie 80 hektarówki wokół Kowna, przeszły już przeważnie w litewskie ręce.

Na ogół parcelacja została przeprowadzona sprawnie i wbrew obawom nie spowodowała przejściowego wielkiego spadku produkcji. Poza tym w okresie niepodległości przeprowadzono całkowitą komasację wsi, co objęło ponad półtora miliona hektarów. To gruntownie zreformowane rolnictwo poczyniło znaczne postępy. Urodzaje z lat 1934-1938 wzrosły w stosunku do lat 1909-1913 o 86 %. Przeciętne urodzaje zbóż były mniej więcej takie same jak w Polsce Centralnej. Rolnictwo litewskie przestawiło się w porę na kierunek hodowlany, eksportując bekony i masło do Anglii a inne produkty hodowli do Niemiec. Wywóz zboża był tak nieznaczny że nie odgrywał większej roli.

Tym wielkim przemianom towarzyszyła szybka rozbudowa szkolnictwa zawodowego. Powstały szkoły techników melioracyjnych, leśników, zoo-techników itd. Popularne, apolityczne, fachowe tygodniki rolnicze miały nakłady po sto tysięcy i utrzymywały stałych korespondentów w Londynie i Berlinie, informujących o tendencjach na rynkach.

Trzeba zaznaczyć, że przeważnie prezydent albo premier, byli z wykształcenia agronomami, a i ogromna większość polityków wyrosła na roli.

Eksport mięsa, zboża, masła itd. był w rękach central koope-ratyw, które też odgrywały dominującą rolę w handlu wewnętrznym w tych dziedzinach. Z innych działów rolnictwa warto wymienić tradycyjną uprawę lnu, przeważnie na eksport, oraz nowoprowadzone cukrownictwo, które uczyniło Litwę w tej dziedzinie samowystarczalną.

Wbrew opinii, że „tam na północ, hen daleko, szumią puszcze ponad rzeką” Litwa 'kowieńska' miała procentowo mniej lasów niż ówczesna Polska, a lasy te były mocno wyszczerbione przez wojny, przebudowę wsi, jak i przez łatanie bilansu płatniczego w trudniejszych momentach.

Przemysł zatrudniał ostatnio 35 tysięcy pracowników. Jego produkcja w okresie niepodległości wzrosła ponoć trzykrotnie. W Kłajpedzie już istniały fabryki celulozy i superfosfatu. Rozwinał się przemysł włókienniczy (7 tysięcy pracowników) i przetworów rolnych (6 tysięcy). W handlu zagranicznym w pierwszej dekadzie przodowały Niemcy, a w drugiej Anglia. Przed utratą Kłajpedy przechodziło przez ten port 75 % obrotów litewskiego handlu zagranicznego. Tonaż okrętów morskich i rzecznych wpływających do portu, sięgał miliona rocznie.

W roku 1922 została wprowadzona własna waluta, która zastąpiła zdewaluowane ost-ruble, marki niemieckie i nieoficjal-

nie dolary. Nową jednostką był *Litas* odpowiadający ówczesnym 10 centom amerykańskim, lecz oparty na złocie (150 miligramów), toteż po dewaluacji dolara lit był wart 17 centów względnie 88 groszy polskich. Dzięki ostrożnej polityce finansowej i wysokiemu pokryciu w złocie, lit był ponoć jedyną walutą, która nie uległa dewaluacji w tym okresie. Dyrektor Banku Litewskiego hołdował zasadzie: Waluta państwa politycznie niestabilizowanego, musi mieć mocne podstawy finansowe.

Budżet państwowy w roku 1925 wynosił sumę 259 milionów litów, a w roku 1939 — 370 milionów litów. Inwestycje kapitałów zagranicznych były minimalne: głównie przedwojenne belgijskie koncesje w elektrowniach oraz później szwedzki monopol zapałczany. Znamienne, że pomimo dominującej roli Wielkiej Brytanii w handlu zagranicznym, inwestycje brytyjskie wyrażały się cyfrą 0.

Struktura gospodarcza i społeczna kraju była dosyć prymitywna. Śródmieście Kowna z ozdobnymi gmachami rządowymi, oraz Kłajpeda, miały wygląd całkiem europejski w odróżnieniu od skromnych domków drewnianych wsi i przedmieść. Miernikiem stopnia motoryzacji może służyć fakt, że w roku 1938 import nafty i jej przetworów wynosił tylko nieco ponad milion dolarów. Struktura społeczna miała jedną wielką zaletę: tylko co czwarty mieszkaniec Litwy był najemnikiem, podczas gdy w nowoczesnym ustroju przemysłowym, tylko co czwarty nie jest najemnikiem. Sieć kolei i szos była na Litwie niewielka, lecz tak koleje jak i poczta funkcjonowały sprawnie. W okresie niepodległości wybudowano linię Szawle - Kretynga, łączącą Żmudź z portem w Kłajpedzie. Wielki nacisk kładziono na utrzymanie wiejskich dróg w dobrym stanie, aby z każdej osady w ciągu całego roku dostarczanie mleka do mleczarni nie napotykało na trudności.

Budżet państwowy przewidywał około 50 milionów litów rocznie na oświatę i w tej dziedzinie Litwa poczyniła wielkie postępy. Zaczęła się masowa produkcja nowej inteligencji, tudzież zwalczanie analfabetyzmu — pozostałości po czasach rosyjskich. Ilość szkół średnich wzrosła z 30 na 80, a w pewnym okresie sięgała setki. W szkolnictwie powszechnym najpierw wprowadzono kurs czteroletni, a później, stopniowo, sześcioletni, zwłaszcza w miastach. Wciąż był brak nauczycieli i na jednego wykładowcę przypadało bez mała 50 uczniów.

Poza licznymi szkołami zawodowymi były następujące wyższe uczelnie: Uniwersytet Witolda Wielkiego, Szkoła Sztuk Pięknych, Konserwatorium i Instytut Weterynaryjny w Kownie, Wyższa Szkoła Handlowa i Konserwatorium w Kłajpedzie oraz

Akademia Rolnicza w Datnowie. Sporo młodej elity wyjeżdżało na studia uzupełniające za granicę. W dziedzinie kultury starano się szybko odrobić wiekowe zaległości. Nieliczna w pierwszych latach elita umysłowa, dwoiła się i troiła w rozmaitych dziedzinach działania. Pisarze, artyści, politycy, poświęcali znaczną część czasu nauczaniu. Prezydent czy minister „w stanie spoczynku” był wykładowcą na uniwersytecie. Inżynier, minister komunikacji, był tłumaczem „Pana Tadeusza”. Litwa przedwojenna była w zasięgu wpływów kulturalnych polskich i rosyjskich. Oba te źródła zostały zamknięte. Polskie wpływy zachowały się częściowo w muzyce, a rosyjskie były silne w teatrze i balecie.

Tendencje sztuki ludowej, mentalność pierwszego pokolenia wyrosłego na wsi, stykały się z nowoczesnymi kierunkami w sztuce i filozofii starych kultur zachodnio-europejskich. Posługiwanie się nowoczesnymi wzorami powstałymi raczej w wielkomiejskich środowiskach, nie znajdowało tu szerszego oddźwięku. Kompozytor wzorujący się na Szymanowskim, nie mógł liczyć na powodzenie. Zresztą koncerty symfoniczne nie były w Kownie popularne. Kowno miało orkiestrę operową i Litewskiego Radia. Koncerty symfoniczne i kameralne miały bardziej podatny grunt w Kłapedzie.

Po rewolucji rosyjskiej wrócił na Litwę tenor, były solista opery cesarskiej Kipras Petrauskas, co dodało bodźca do założenia opery i później baletu — wielce popularnych i o poziomie, jak na niewielkie miasto, dosyć dobrym. Powstał też Teatr Państwowy w Kownie. Kierownictwo jego nie mogło w ostatnich latach narzekać na brak rodzimego repertuaru, a raczej na jego nadmiar, niezawsze na wysokim poziomie. Prócz dramatów i komedii, powstało też parę oper. Nic jednak z tych utworów nie poszło w świat poza Litwę.

Przedwojenny znany malarz Curlonis, symbolista, abstrakcjonista i mistyk, nie znalazł następców i nie stworzył na Litwie swej szkoły. Tworzyły się grupy impresjonistów, realistów, a w roku 1932 odbyła się pierwsza wystawa młodych zwących się indywidualistami, a zwalczających akademizm starych. Narybek szkoły sztuk pięknych musiał być niezły, bo na emigracji sporo litewskich malarzy, grafików i rzeźbiarzy pracowało później z powodzeniem.

Literatura litewska jest mało dostępna ze względu na trudności językowe i małą ilość tłumaczeń, toteż obszerne omówienie i cytowanie licznych nazwisk, nie byłoby celowe. Starsze pokolenie pisarzy zaczęło w tym okresie schodzić ze sceny, a młody narybek był liczny, bo związek literatów liczył około stu członków. Powieści powstało niedużo, przeważały krótsze

opowiadania, poezje, utwory satyryczne i dramaty historyczne. Wśród pisarzy było wielu dyplomatów, profesorów, wicepremier, a nawet szef wywiadu. Tłumaczone na obce języki były głównie zbiory „*Dain*” litewskich, natomiast tłumaczeń z obcych języków było bardzo dużo, młody inteligent litewski nie władający obcymi językami, mógł zatem mniej więcej orientować się w literaturze światowej. Względnie mniej było tłumaczeń z języka angielskiego (Szekspir, London) a więcej z polskiego, rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego. W uniwersytecie kładziono nacisk na lituanistykę, gdyż właśnie w tym okresie język litewski ostatecznie się sformował, jak też na studia historyczne, w wyniku których dzieje stosunków polsko-litewskich zostały przepisane na nowo, w wersji zgoła odmiennej od polskiej.

Na Litwie, jako w kraju rolniczym, sport nie był bardzo rozwinięty. Popularna była piłka nożna, lecz narodowym sportem była koszykówka w której, w latach 1937/39 Litwa dzierżyła mistrzostwo Europy.



W tym krótkim rzucie oka na dzieje Litwy niepodległej, losy tamtejszych Polaków zostały prawie pominięte, ponieważ literatura na ten temat jest dość obfita. Warto tylko nadmienić, że według prof. W. Wielhorskiego na omawianym obszarze w roku 1918 Polacy stanowili 12 % ludności, dane polskiego komitetu wyborczego w kilka lat później podają 10 %, a oficjalna statystyka litewska 3 %. Wobec szybkiego kurczenia się Polonii litewskiej, właściwej cyfry dla lat trzydziestych trzeba szukać gdzieś po środku.

E. ŻAGIELL

Piotr WANDYCZ

SPRAWA JÓZEFA BECKA JAKO ATTACHÉ WOJSKOWEGO W PARYŻU

Od wielu już lat utrzymuje się wersja o odwołaniu Józefa Becka z attachatu wojskowego w Paryżu w wyniku presji rządu francuskiego. Przybiera ona bądź to formę suchego stwierdzenia rzekomego faktu, bądź też bywa ubarwiana wzmiankami o jakimś tajemniczym skandalu natury szpiegowskiej, w który Beck miał być zamieszany. Wiarygodnych przekazów źródłowych nie ma i autorzy najczęściej powołują się na jedno krótkie zdanie b. ambasadora francuskiego w Polsce, Leona Noëla, które znalazło się w jego książce *L'Agression allemande contre la Pologne*. Wybitny amerykański historyk Henry L. Roberts w swym skądinąd interesującym artykule o Becku (w zbiorze Gordona Craiga i F. Gilberta, *The Diplomats*, przedrukowanym później w Roberts'a *Eastern Europe: Politics, Evolution and Diplomacy*) pisze, że w 1923 roku Beck został „nagle odwołany w nieprzyjemnych, choć dość tajemniczych okolicznościach”. Młody historyk polski Zdzisław Wroniak, w niedawno wydanej w kraju książce *Polska-Francja 1926*, powołuje się również na Noëla a następnie dodaje własny komentarz: „Przypuszczalnie przychwycono go [Becka — P.W.] na próbie szpiegostwa, może świadomie wyreżyserowanego ze strony francuskich kół wojskowych, aby go się pozbyć z Paryża ze względu na zbytnią samodzielność” (str. 163 odsyłacz 123). Jest to oczywiście czysta spekulacja.

Zdanie Noëla, które jest chyba jedynym „wyjaśnieniem” ze strony francuskiej brzmi: „*Le major Beck ne resta pas longtemps dans notre capitale. Un incident, dont le caractère exact est demeuré assez mystérieux, le mit aux prises avec notre Etat-*

major, et entraînâ son brusque rappel” (str. 107). Czytając to zdanie uważnie odnosi się wrażenie, że Noël który notorycznie nie znosił Becka, powtarza raczej jakąś zasłyszaną plotkę a nie cytuje faktu co do którego byłby sam dobrze poinformowany. Mówi o „incydencie o dość tajemniczym charakterze” o jakimś konflikcie ze sztabem i nie precyzuje nawet czy odwołanie nastąpiło na życzenie Francji. Do sprawy tej zresztą nie powrócił już później — vide wywiad z Noëlem w *Polityce* z 6. IV. 1968 roku pt. „Beck i Francja”. Jest nader interesujące, że poprzednik jego na placówce w Warszawie, Jules Laroche, wspomina jedynie w swoim pamiętniku *La Pologne de Piłsudski* (polskie tłumaczenie wydane w kraju nosi tytuł *Polska lat 1926-1935*), że znał Becka z okresu jego attachatu w Paryżu (str. 26) a następnie dodaje, że Beck mimo swego pobytu w Paryżu nie poznał dobrze mentalności zachodniej (str. 103). Czyżby Laroche był aż tak dyskretny, czy też nie pisał o sprawie Becka w Paryżu, gdyż sprawa taka w ogóle nie istniała?

Próbując dotrzeć do sedna rzeczy starałem się uzyskać informacje od dwóch osób, które powinny były znać sprawę z pierwszej ręki. Są to: pierwsza żona Józefa Becka, która towarzyszyła mu do Paryża i Wacław Jędrzejewicz, który zajmował wówczas stanowisko w sztabie generalnym związane z działem attachatów wojskowych. Wobec nagłej śmierci p. Beckowej uzyskałem następujące informacje od jej syna: „kilka lat temu rozmawiałem z Matką na temat jej pobytu z moim Ojcem w czasie gdy on był attaché w Paryżu. Matka kategorycznie zaprzeczyła temu, że odwołanie Ojca z Paryża nastąpiło z powodu interwencji rządu francuskiego. Odwołanie jak na tamte czasy było normalne, a powodem było nieprzychylnie nastawienie ówczesnego rządu w Warszawie do ludzi bliskich Piłsudskiemu i chęć obstawienia tak ważnej placówki jak Paryż swoimi ludźmi” (list z dnia 5. III. 1972 do autora). Wacław Jędrzejewicz niezależnie od wyrażenia wobec mnie podobnej opinii, uprzejmie zwrócił moją uwagę na swój artykuł pt. „Beck i Francja”, który ukazał się w *Wiadomościach* londyńskich w nrze 639, 29. VI. 1958 roku. Jędrzejewicz opisuje w nim szczegółowo zmianę warunków politycznych w Polsce, poprzedzających odwołanie Becka z Paryża jesienią 1923 roku. Zauważa też słusznie, że Beck był w Paryżu przez prawie dwa lata — od stycznia 1922 — i że w maju 1923 towarzyszył marszałkowi Fochowi podczas jego wizyty w Polsce. Po ustąpieniu Piłsudskiego i objęciu szefostwa sztabu przez gen. Szeptyckiego, pisze Jędrzejewicz, los Becka był przesądzony. „Toteż nikt z nas w sztabie nie zdziwił się, gdyśmy otrzymali polecenie gen. Szeptyckiego, aby przygotować odwoła-

nie Becka z Paryża. Beck, oczywiście, był dużo wcześniej uprzedzony, że będzie odwołany. Późną jesienią 1923 powrócił z odznaczeniami belgijskimi i Legią Honorową Francji, przypiętą mu przez marszałka Focha na pl. Saskim w Warszawie". Jędrzejewicz stwierdza kategorycznie, że „to rząd polski z własnej inicjatywy, zdecydował o zmianie polskiego attaché wojskowego w Paryżu". Jędrzejewicz pisał powyższy artykuł zanim otwarto w Instytucie im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku archiwa Adju-tantury Generalnej Naczelnego Dowództwa za okres 1918-22 i popełnił pewne pomyłki jak np. nazywając Becka kapitanem, gdy ten był już majorem, oraz wspominając o łatwym uzyskaniu dla niego *agreement* na attaché wojskowego. Obecnie Jędrzejewicz pracując od szeregu lat naukowo i przebadawszy gruntownie archiwa, sam zwrócił mi uwagę na pewne dokumenty, które mogą rzucić nowe światło na całą sprawę.

Historyk, nawet jeśli jest skonfrontowany z tak miarodajnymi wypowiedziami jak cytowane wyżej oświadczenia ówczesnej pani Beckowej i Ministra Jędrzejewicza, powinien w miarę możliwości szukać dalszych wyjaśnień. Jeśli zakładamy, że Beck nie został odwołany z Paryża pod naciskiem Francji i że nie było żadnego skandalu szpiegowskiego, nasuwa się pytanie jak powstała plotka, tak uporczywie powtarzana od tylu lat. Otóż wydaje mi się, że ma ona swój początek w związku ze sprawą *mianowania* Becka, na przełomie lat 1921-1922, a nie z jego odwołaniem w roku 1923. W artykule pt. „Henrys i Niessel: Dwaj pierwsi szefowie francuskiej misji wojskowej w Polsce 1919-1921", *Bellona* XLIV, str. 3-19, przedstawiłem konflikt między Piłsudskim a gen. Niessellem, który zakończył się odwołaniem tego ostatniego z Warszawy. Cytując list Juliusza Łukasiewicza do Kazimierza Świtalskiego z 19. XI. 1921 wspominałem mimochodem obawy Łukasiewicza, iż konflikt z francuską misją wojskową w Warszawie utrudni uzyskanie *agreement* dla mjr. Becka w Paryżu. Obecnie wydaje się celowe przytoczyć nie tylko ten list ale i inne dokumenty dotyczące Becka, które znajdują się w archiwum Instytutu Piłsudskiego a także zreferować publiczny atak na Becka przeprowadzony przez jeden z największych dzienników paryskich.

Pierwszy ślad trudności na jakie napotkano w Paryżu w związku z proponowaną nominacją Becka na attaché wojskowego, znajdujemy w raporcie kpt. Morstina, oficera łącznikowego przy sztabie marszałka Focha. W raporcie datowanym 28. X. 1921 (teka 61 dokument 8274) Morstin pisał: „Co do majora Becka stwierdziłem naocznie, że istnieje intryga misji francuskiej przeciwko niemu, która jak najgorzej usposobiła przeciwko majo-

rowi tutejsze Ministerstwo Wojny". Morstin nie był widać zorientowany w konflikcie między misją a Piłsudskim, gdyż łączył niechęć misji do Becka z jakimś „błahym zatargiem” o wydawanie przepustek, zapewne oficerom francuskim w Polsce. Trzy tygodnie później w wyżej wspomnianym odręcznym piśmie Łukasiewicza do Świtalskiego sprawa jest już naświetlona szerzej. Donosząc o nieprzyjemnych trudnościach w związku z *agreement* dla Becka, Łukasiewicz pisał co następuje: „Przez pierwszych kilka dni przypuszczaliśmy, że pochodzą one od Niessela i jego otoczenia. Dopiero w tym tygodniu Weygand wygadał się o co właściwie chodzi i przesłał Wielowieyskiemu list płk. Wieniawy, który jest kamieniem obrazy. W liście tym płk Wieniawa zapytuje w sposób bardzo kategoryczny kiedy wreszcie zostanie odwołany Niessel. Weygand zreferował ten list ministrowi wojny Barthou, a 'ten czuje się oburzony'”. Łukasiewicz podkreślał, że „wszystko to utrudniło bardzo i pokrzyżowało starania o *agreement* dla Becka” i choć liczył, że sprawę się załatwi i że nie chodzi tu personalnie o Becka, radził aby Warszawa wyjaśniła, że list Wieniawy był napisany z jego własnej inicjatywy. Łukasiewicz dodaje, że poselstwo polskie w Paryżu przyjmie Becka jak najlepiej i że może liczyć na lojalną współpracę.

Naciski polskie najwidoczniej odniosły swój skutek i Beck *agreement* otrzymał. W odręcznym liście do Świtalskiego z 18. I. 1922, donosił on: „Przyjęto mnie tu lepiej niż można było przypuszczać po panicznych zapowiedziach. Osobliwie Weygand. Przy tej okazji przypominam się posłusznie ze sprawą listu Komendanta do W[eygada], o której pisałem poprzednim razem. Szczegóły spraw posuszonych znajdziesz w raporcie” (teka 61 dok. 8529/T4). W załączonym raporcie Beck melduje o wizytach złożonych 14 stycznia w Ministerstwie Wojny i w sztabie marszałka Focha. Weygand — pisze Beck — „przyjął mnie bardzo uprzejmie”. U gen. Buata przyjęcie było „poprawne”, u sous-chef’a gen. Maurin przyjęcie szorstkie. W tym tylko się wyraziło na razie zapowiadane przez gen. Niessel’a złe przyjęcie w ministerium”. optymizm Becka był przedwczesny, gdyż 31 stycznia 1922 znany dziennik paryski *L'Ère Nouvelle* zamieścił bardzo ostry atak na nowego attaché wojskowego. O artykule tym wspomina krótko Józef Kukułka w swej pracy *Francja a Polska po traktacie wersalskim* str. 492, ale w tym kontekście zasługuje on na szersze omówienie.

L'Ère Nouvelle określała siebie jako „organ quotidien des gauches” i według *Annuaire de la Presse Française* z roku 1922 liczyła wśród swych współpracowników ludzi o tak znanych nazwiskach politycznych jak Doumergue, Painlevé, Paul Boncour,

Auriol, gen. Serrail, Yvon Delbos i inni. Kto podsunął redakcji myśl artykułu o Becku, trudno dociec. Może dalsze badania wyjaśniłyby tę interesującą i ważną zagadkę. Istotny dla nas jest fakt, że w artykule wysunięte są różne zarzuty właśnie o charakterze na wpół szpiegowskim, które przez następne dziesiątki lat będzie się łączyło z rzekomo nagłym odwołaniem Becka z paryskiej placówki. Już sam tytuł artykułu, umieszczonego na stronie wiadomości z życia międzynarodowego pod nagłówkiem „France et Pologne”, jest dość sensacyjny. Brzmi on „Un indésirable” (Osobnik niepożądany). Autor niepodpisanego artykułu zaczyna od szeregu retorycznych pytań: „*Est-il exact que le Gouvernement polonais ait, ces jours derniers, poussé son affectueuse sollicitude vis-à-vis de la France jusqu'à envoyer à Paris un nouvel attaché militaire?*” A następnie: „*Est-il exact que les protestations unanimes aient été faites par la Mission militaire française de Varsovie, contre la désignation de cet officier, et que certain généraux polonais aient joint leurs voix à celles des Français?*” I wreszcie: „*Est-il vrai aussi que devant la persistante volonté de M. Pilsudski, qui en a fait une affaire personnelle, nos dirigeants aient baissé pavillon et accepté de recevoir cet indésirable personnage?*”. Jak widać z tego wstępu mamy tu i ironiczne uwagi na temat potrzeby przysyłania attaché wojskowego jak też i podkreślenie opozycji misji francuskiej w Warszawie i generałów francuskich i rzekomo polskich. Wreszcie dochodzi krytyka rządu francuskiego za uległość wobec Piłsudskiego. Artykuł jest pisany wkrótce po upadku rządu Brianda i po objęciu premierostwa i ministerstwa spraw zagranicznych przez Poincaré'go. Czyżby więc krytyka rządu przez organ opozycyjnej lewicy wynikała też z przesłanek wewnątrzno-politycznych? Ale najważniejsze zarzuty przeciwko Beckowi wysunięte są w dalszej części artykułu. Autor używa stale metody pytań i posługuje się trybem warunkowym. A więc: „*On affirme, en effet, que ce nouvel attaché, ancien officier autrichien, ayant servi pendant toute la guerre contre nous, se serait toujours fait remarquer comme un francophobe notoire et impénitent, admirateur fidèle et passionné de ses vieux amis de Berlin. Il se serait employé, sans compter, auprès du chef de l'Etat polonais, dont il fut un des légionnaires, pour combattre l'influence française dans toute la mesure de ses moyens. Et enfin, chose plus grave encore, ne chuchote-t-on pas que cet officier, employé au services des renseignements de l'armée polonaise, aurait été, l'an passé, alors qu'il était en mission à Vienne, très compromis dans une tentative d'achat du code télégraphique secret de l'état-major français?*”

W tych kilku wierszach znajdujemy prawie wszystkie elementy późniejszych insynuacji w stosunku do Becka. Jest więc i germanofilizm łącznie „ze starymi przyjaciółmi z Berlina”, jest zarzut o zwalczaniu wszędzie wpływów francuskich, a wreszcie oskarżenie w dość perfidnej formie — „szepce się, że” — Becka o próbę kupna tajnego szyfru francuskiego sztabu generalnego. Ale na tym nie koniec. W dalszej części artykułu, po uwadze że należałoby prosić Warszawę, *„envoyer ce trop astucieux militaire exercer ses petits talents ailleurs qu'à Paris”*, autor atakuje wyraźnie Piłsudskiego. Stwierdza, że Piłsudski nie jest na szczęście całą Polską i że jego gwiazda zaczyna błędnąć. W tych warunkach, autor dziwi się, że w Polsce, nie mówiąc już o Paryżu, nie znalazł się nikt, kto by zapobiegł nominacji nowego attaché wojskowego. Chyba, że... i tu autor posuwa się prawie do granic prowokacji... chodzi tu o jakąś *„mission ténébreuse”* którą powierzono agentowi *„aussi marqué”*. *„Espère-t-on mieux réussir à Paris le coup qui a été manqué à Vienne?”* Autor kończy artykuł wyrażeniem nadziei, że jeśli informacje podane powyżej są nieścisłe — *„ce que nous souhaitons vivement, sans y croire”* — nastąpi wyjaśnienie, które pozwoli je zdementować. *„Nous l'attendons”*.

Jak wspomniałem powyżej kulisy tego artykułu są niezbadane i spekulacje w obecnym stanie badań nie byłyby pożyteczne. Zresztą chodzi tu raczej o wykazanie, że prawie wszystkie późniejsze plotki na temat attachatu wojskowego Becka mogą łatwo wywodzić się z tego artykułu. Oczywiście władze polskie interweniowały i *L'Ere Nouvelle* zamieściło 3 lutego 1922 dementi. Nowy artykuł pod nagłówkiem „France et Pologne” wyraża radość, że poprzednie obawy były nieuzasadnione, że Beck *„n'aurait jamais été envoyé en mission à Vienne ni mêlé à une affaire d'achat du code télégraphique français”*. Pismo wyjaśnia, że *„la bonne foi de notre rédacteur avait été surprise”*. Następuje też krótki życiorys Becka, w którym podkreślono jego odmowę złożenia przysięgi władzom niemieckim podczas wojny.

Trudno przypuścić, aby pierwszy artykuł w tak wpływowym organie paryskim pozostał wszakże bez echa. Niewątpliwie wielu czytelników uznało, że nie ma dymu bez ognia. Podobne opinie wyrażano zapewne w kołach politycznych i wojskowych. Nowy attaché wojskowy musiał stać się osobą co najmniej nieco podejrzaną. Ten fakt mógł wystarczyć, aby stworzyć wokół misji paryskiej Becka aurę nieprzyjemnej tajemniczości gdyż trudno sobie wyobrazić aby po takim przyjęciu Beck był nieostrożny w swych paryskich poczynaniach. Na wiosnę 1923 towarzyszył Fochowi do Polski, a więc jakiś skandal musiałby nastąpić wkrótce po tym.

Wobec braku jakichkolwiek dowodów, wydaje się iż można uznać, że długoletnia plotka o powodach odwołania Becka z Paryża nie ma żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Piotr WANDYCZ

DOKUMENTY

Stanisław KIRKOR

ROZMOWY POLSKO-SOWIECKIE W 1944 ROKU

W 1970 roku w zeszycie osiemnastym *Zeszytów Historycznych* opublikowałem „Urywek Wspomnień” o rozmowach z amb. Lebediewem w Londynie w maju i czerwcu 1944 roku. Nie były mi wtedy znane we wszystkich szczegółach sprawozdania Stanisława Grabskiego z tych rozmów. Sprawozdania te Mikołajczyk przed swym wyjazdem z Londynu zwrócił Grabskiemu, a ten z kolei chciał je u mnie zostawić, gdy jednak wyraziłem obawę, czy będę mógł je bezpiecznie przechować, oddał je p. Liebermanowej. Potem żałowałem mych wahań i dałem temu wyraz, gdy Grabski był w Londynie w styczniu 1947 roku. Dał mi wtedy bilet swój z takim przekazem dla p. Liebermanowej:

Szanowna Pani. Jeśli Pani posiada protokoły moich rozmów z ambasadorem Lebediewem proszę o łaskawe danie ich, albo ich odpisów mojemu siostrzeńcowi Kirkorowi.

St. G r a b s k i

Na tej zasadzie miałem otrzymać odpisy sprawozdań Grabskiego, nim jednak były gotowe musiałem wyjechać do Afryki, a potem p. Liebermanowa umarła. Wiedziałem, że odpisy dla mnie zrobiła lecz nie wiedziałem u kogo je zostawiła. Przypuszczając, że oryginały weszły do archiwum Stanisława Mikołajczyka w Waszyngtonie, zwróciłem się do niego i on obiecał zrobić nowe odpisy lub fotokopie tych dokumentów i przesłać mi je do Addis Abeby. I on, niestety, umarł zanim tej obietnicy do-

pełnił. Natomiast w sposób dla mnie zupełnie nieoczekiwany trafiły do mnie wreszcie te odpisy które zrobiła p. Liebermanowa. W kopercie przysypanej kurzem czasu leżały u jednego z moich znajomych, który czekał na moje zgłoszenie się po tę kopertę i teraz mi ją doręczył.

Porównując te teksty z moim „Urywkiem Wspomnień” widzę, że tylko w paru drobnych szczegółach pamięć moja mnie zawiodła. Uważam, że opublikowanie w całości tych tekstów będzie ważnym przyczynkiem do historii tamtych czasów, dlatego podaję je poniżej. Żaden z nich nie był podpisany lecz wiem, że były pisane własnoręcznie przez Stanisława Grabskiego.

I

Sprawozdanie z rozmowy mojej z Ambasadorem Lebiediewym w dniu 20 maja 1944 roku.

Odpowiednio do przedwstępnego porozumienia, zakomunikowanego mi przez Ministra Banaczyka, znajdowałem się o godz. 4 min. 30 w Kensington Parku niedaleko mostu wraz z p. Korejwo. Za chwilę przybył tam sekretarz p. Lebiediewa, znany mi ze wspólnej podróży statkiem z Archangielska do Anglii w 1941 roku i zaprosił mnie w imieniu Ambasadora do jego prywatnego mieszkania. Gdym tam przybył po paru słowach przywitania się p. Lebiediew poprosił mnie o zajęcie miejsca przy stole zastawionym do kawy czarnej wraz z koniakiem i kanapkami z kawio-rem, po czym gdym poczęstowany papierosami powiedział, że nie palę — wszczął rozmowę towarzyską na temat szkodliwości palenia, czego jednak tacy młodzi ludzie, jak jego sekretarz, nie rozumieją. Potem nastąpiła chwila milczenia.

A wtedy pierwszy zacząłem mówić o sprawie. Powiedziałem, że cieszę się z naszego wzajemnego poznania się, bo mam nadzieję, że może ono przyczyni się do wejścia obu naszych narodów w trwałą współpracę, nie tylko na czas wojny, lecz i na daleką przyszłość. Mamy i mieć będziemy różne ustroje społeczne i polityczne. Ale nigdy w dotychczasowej historii nie było jednego ustroju we wszystkich państwach. Ja to osobiście uważałem od dawna, a obecne wypadki to stwierdzają, że reżym bolszewicki wzmógł znacznie siłę i bogactwo państwa. Ale Polsce by on nie odpowiadał. (Potakiwanie Lebiediewa, że nie dla wszystkich narodów jest to samo dobre i że narody nie powinny się mieszać do wewnętrznych spraw innych narodów). Pomimo to są wspólne pewne interesy i dążenia Polski i Rosji, a mia-

nowicie: zabezpieczenie trwałego pokoju przez po pierwsze osłabienie siły Niemiec, a następnie przez położenie tamy jej ekspansji kulturalnej, gospodarczej i politycznej na terenie Środkowej Europy. Pierwsze może Rosja osiągnąć swą potęgą militarną. Ale drugiego siłą jedynie zbrojną nie da się osiągnąć. Trzeba niemieckiemu parciu kulturalno-gospodarczemu przeciwstawić solidarny odpór wszystkich słowiańskich narodów. Polskie społeczeństwo zdaje sobie sprawę, że w solidarnym obozie słowiańskich państw pierwsze miejsce faktycznie posiadać będzie Rosja. Ale Polska się tego nie obawia, jeśli będzie zapewniona w powojennym życiu międzynarodowym całkowita samodzielność państw niezależnie od ich wielkości. Solidarna, oparta na wzajemnym konsultowaniu się — a nie na przewadze jednego nad drugim — współpraca na terenie międzynarodowej polityki Polski z Rosją będzie najlepszą gwarancją pokoju w Europie. A obydwie narody zapóźnione w cywilizacyjnym rozwoju (silne potakiwania Lebidiewa) potrzebują długiego okresu pokojowej twórczej pracy. Naród polski tak dalece zdaje sobie sprawę z wieczystego swego antagonizmu z Niemcami, że chciałby móc zapomnieć o wszystkim, co go przez paręset lat — a szczególnie w ostatnich stu latach — dzieliło z Rosją, o ile Rosja zechce swe dalsze do Polski stosunki opierać na zasadzie pełnego uznawania przez obie strony żywotnych interesów każdej z nich.

Lebidiew oświadczył, że taki sam zupełnie jest i jego pogląd — ale czy to nie są wyłącznie moje osobiste poglądy, bo nie należę do żadnego stronnictwa. Ja — podkreśliwszy, że specyficzne warunki w których żył naród polski, wytworzyły typ działaczy państwowych i narodowych nie związanych z jednym tylko stronnictwem, ale cieszących się zaufaniem większego ich szeregu — oświadczyłem, że jako Przewodniczący Rady Narodowej, której zadaniem jest służyć doradą Prezydentowi i Rządowi, stwierdzam, że Rada Narodowa, Rząd i Prezydent patrzą w ten sam sposób na zagadnienie stosunku Polski do Niemiec i Rosji.

Lebidiew podnosi wątpliwość, bo przecież Polska współpracowała w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną z Niemcami.

Ja odpowiadam: próbował tej współpracy nieznaczny odłam społeczeństwa polskiego, który — choć zdobył władzę — nie potrafił nigdy swej ideologii narzucić narodowi polskiemu. Świadczy o tym dwukrotny bojkot wyborów przez 80 % społeczeństwa nie godzącego się z sanacyjną ordynacją wyborczą. I zdecydowanie antyniemieckie stanowisko tych 80 % narodu polskiego zmusiło nawet pp. Becka i Mościckiego do odrzucenia niemieckich propozycji wspólnej wyprawy przeciwko Rosji. Za-

den rząd nie zdoła nigdy w Polsce poprowadzić skutecznie polityki międzynarodowej, sprzecznej z przeświadczeniem większości narodu.

Lebiediew jeszcze raz mówi, że podziela zasadnicze myśli, które wypowiedziałem. Ale są one tak ogólne, że samo ich stwierdzenie nie posunie naprzód sprawy rosyjsko polskiej współpracy politycznej.

Ja proszę go by on zechciał z kolei powiedzieć, jak on sobie wyobraża przyszłość tej współpracy.

Lebiediew odpowiada, że on jako ambasador nie jest upoważniony do bardziej konkretnego wypowiadania się na ten temat, ale ja jestem w możności swobodniejszego konkretyzowania swych myśli.

Ja podkreśliłem przede wszystkim, że istotnie mówię od siebie, choć moje myśli nie różnią się zasadniczo od myśli polskiego ogółu narodowego, a następnie jako moje zapatrywanie powiedziałem, że uznaję, iż żywotnym interesem Rosji może być, by w Polsce nie było ośrodka separatyzmu ukraińskiego, ale żywotnym interesem Polski jest zachowanie Wilna i Lwowa oraz nie pomniejszanie jej terytorium państwowego. Polska nie zamierza zatrzymywać w swych granicach ludności, która by wołała być w Związku Sowieckim, ale nie może zgodzić się na odrywanie od niej przymocą jej dzielnic. Pozostałoby w tym ostatnim razie w narodzie polskim uczucie niezatartej krzywdy, iż za to, że pierwsza sprzeciwiła się agresji niemieckiej na wszystkie sprzymierzone kraje, przez jednego ze sprzymierzeńców została osłabiona i pomniejszona.

Lebiediew: — Rosja pragnie Polski nieosłabionej i dopomoże jej do rozszerzenia swego terytorium na zachód.

Ja: — Tak, ale to co możemy otrzymać z obecnego terytorium niemieckiego, to zaledwie 1/3 tego, co według dotychczasowych deklaracji rządu sowieckiego pragnie on oderwać od Polski. Polska nie może bez poczucia głębokiej krzywdy wyjść z tej wojny pod żadnym względem pomniejszona.

Lebiediew: — Ale w 20-tym roku Polska oderwała od Rosji ziemie białoruskie i ukraińskie.

Ja: — Gdy Lenin przekreślił traktaty rozbiorowe zawarte przez Rosję z Austrią i Prusami — ziemie oderwane przez Rosję od Polski podczas rozbiorów przestały być terenem państwowym Rosji. Polska miała pełne prawo znów je złączyć z Polską — bo Litwa swego czasu w większości składająca się z Białorusinów i Ukraińców wybrała Unię z Polską, a nie z Moskwą i przez 400 lat była w dobrowolnej Unii z Polską, a z Rosją tylko przez 100 lat w związku przymusowym. Pomimo to w Rydze

— właśnie z mej przede wszystkim inicjatywy — przeprowadziliśmy zgodnie, na zasadzie pokoju bez zwycięzców i bez zwyciężonych, podział ziem oderwanych od Polski w czasie rozbiorów na dwie części: zachodnią — ciążącą bardziej ku polskiej cywilizacji, i wschodnią, na której w ciągu XIX wieku, po rozbiorach Polski, uzyskała przewagę rosyjska cywilizacja. Jako uczestnik rokowań w Rydze stwierdzam, że delegacja rosyjska uznała ustaloną wówczas granicę za całkowicie sprawiedliwą.

Lebiediew jeszcze próbował dowodzić, że to Polska w 19-tym roku wszczęła wojnę z Rosją. Ale po moim zaprzeczeniu i odeszowaniu się, że gdy będziemy sobie wzajemnie wypominali spory przeszłości, to żadne rozmowy nie doprowadzą do polepszenia wzajemnych stosunków — zaprzestał tej dyskusji.

Ja ją zakończyłem słowami: — Nasza przyszła współpraca zależy całkowicie od tego, czy Rosja uważa, że lepiej dla niej mieć za sąsiada Polskę osłabioną, ale nieprzyjazną, bo z uczuciem głębokiej krzywdy, czy silną i szczerze przyjazną.

Lebiediew: — Pan ze złego zaczyna końca. Trzeba zacząć od ustalenia sposobu przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych. Gdy te stosunki będą przywrócone, to wtedy oba rządy przez swych ambasadorów te wszystkie sprawy przyszłej współpracy będą ustalać. Obecnie może on tylko powiedzieć, że rząd jego pragnie przywrócenia tych normalnych stosunków.

W trakcie poprzedniej wymiany zdań, powiedział on dwa zdania, które muszę zanotować:

1. — Rosja pragnie nie tylko ludności, ale i ziemi, na co natychmiast zareagowałem, że ma ona i tak już za dużo ziemi w stosunku do zaludnienia, gdy Polska ma jej za mało;
2. — rząd rosyjski już określił swe stanowisko w sprawie swych terytorialnych żądań i nie wie on, by w tym względzie nastąpiła zmiana.

Na powiedzenie Lebiediewa, że trzeba zacząć od ustalenia sposobu przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych, powiedziałem, że przecież rząd polski parokrotnie ostatnimi czasami to pragnienie wypowiadał, dodając, że gotów jest przystąpić do omawiania z rządem rosyjskim całokształtu spraw spornych — ale nie miało to żadnego skutku.

Lebiediew: — oczekiwał on, że ja teraz przyjdę z propozycjami sposobu ruszenia tej sprawy z martwego punktu, czy więc widzę jaki sposób.

Ja: — odpowiedź na to pytanie dam Panu jutro.

Lebiediew: — Jutro jest niedziela.

Ja: — Więc może w poniedziałek.

Lebiediew: — nie dając na razie na to odpowiedzi, zaczął wywodzić, że on ze swej strony stwierdza, że stosunki dyplomatyczne polsko-rosyjskie zostały zawieszone z powodu głębokiej krzywdy, jaką Rząd Polski wyrządził Rosji, przyłączając się do niemieckiego oskarżenia jej o zbrodnicze wymordowanie polskich oficerów w Katyniu.

Ja: — Nie mówmy o krzywdach, które były robione, bo były większe krzywdy wyrządzone Polsce przez Rosję. Daleko większą krzywdą było nasamprzód uniemożliwienie Polsce dalszego oporu przeciwko Niemcom w 1939 roku na wschodniej połowie Polski; następnie deportowanie kilkuset tysięcy polskich obywateli, wreszcie odebranie — bez żadnego powodu — obywatelstwa polskiego tym deportowanym, po przyznaniu im go już uprzednio. Ale ja nie chcę na te tematy mówić. Natomiast stwierdzam stanowczo, że wysoce krzywdzącym dla naszego rządu było oskarżenie go, że w sprawie katyńskiej współdziałał z Niemcami. O chęć współpracy posądzanie Sikorskiego było zupełnym niezrozumieniem jego działalności. Z Sikorskim byłem w najbliższym stosunku. Znałem wszystkie motywy jego postępowania. W Polsce są tysiące bliskich krewnych oficerów, którzy byli internowani w Kozielsku i Starobielsku. Naraz wszelka wieść o nich i od nich ustała. Rząd Polski z 10 razy się o nich zapytywał, co się z nimi stało. Ale nigdy nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. To w Kraju wiedzano. Toteż gdy Niemcy ogłosiły i forsownie rozgłaszały że znaleźli w Katyniu groby tych 10.000 oficerów polskich — gołosłowne twierdzenie nawet gen. Sikorskiego, że to sami Niemcy pomordowali oficerów tych nie stworzyłoby należytej przeciwwagi propagandzie niemieckiej. Taką przeciwwagę mogło dać tylko zbadanie sprawy przez bezstronny międzynarodowy czynnik jakim jest Czerwony Krzyż.

Lebiediew: — Obiektywnie to wyglądało inaczej. Trzeba, żeby dla przywrócenia stosunków dyplomatycznych przede wszystkim Polska tę krzywdę Rosji naprawiła.

Ja: — Czy Pan sądzi, że Polska powinna paść na kolana przed Rosją, pokajać się że jest winna? Nie sądzę, by dobrym sposobem poprawiania wzajemnych stosunków była chęć upokarzania nas.

Lebiediew: — Rosja nie chce Polski upokarzać, ale żeby Rząd Polski odciął się stanowczo od propagandy niemieckiej w sprawie Katyńskiej.

Ja: — Uważam, że to jest możliwe, ale w formie zgodnej z naszym narodowym honorem. Ale Pan powiedział „nasamprzód”, więc co Pan ma „następnie”?

Lebiediew na to nie dał odpowiedzi, natomiast wręcz się zwrócił z zapytaniem, kto w Rządzie Polskim jest przeciwny porozumieniu z Rosją.

Ja: — Rząd w całości swej jednogłośną swą uchwałą oświadczył ostatnimi czasy dwukrotnie chęć dobrego porozumienia z Rosją. Nie ma w Rządzie nikogo, kto by tego porozumienia nie chciał. Jeśli są między jego poszczególnymi członkami różnice zapatrywań na Rosję — to tylko te, że jedni bardziej jej ufają, a drudzy bardziej są nieufni. Ale takie różnice w stosunku do Polski istnieją i w Rosji.

Lebiediew: — A generał Sosnkowski?

Ja: — Najlepszym tego dowodem jest rozkaz do Armii Krajowej współdziałania z wojskami sowieckimi, co już nastąpiło na Wołyniu.

Lebiediew: — Ale potem wydał on inny rozkaz.

Ja przeczę temu.

Lebiediew upiera się przy tym twierdzeniu, ja znowu przeczę.

Lebiediew: — A generał Kukiel, czy nie on winien w sprawie katyńskiej?

Ja: — Generał Kukiel był zawsze stanowczym przeciwnikiem progermańskiej polityki Becka. Za to rząd sanacyjny pozbawił go nawet katedry w uniwersytecie krakowskim. Pan wie, że na Radzie Narodowej zajmowaliśmy się krytycznie obu generałami Sosnkowskim i Kukiелеm. Ale to nasza sprawa wewnętrzna. Nie sądzę, by było dobrze komplikowanie jej przez naciski z zewnątrz. Jedno stanowczo stwierdzam — jeśli dojdziemy do ustalenia zasad współpracy w czasie tej wojny, nie utrudnią jej z naszej strony żadne względy personalne.

Lebiediew: — Dotychczas Rząd Polski nie okazał konkretnie jakiegokolwiek chęci współpracy.

Ja: — Jest wręcz inaczej. Konkretną propozycją polską była koncepcja linii demarkacyjnej, biegnącej na wschód od Wilna i Lwowa, i zgoda, by na wschód od tej linii była ustalona przez władze sowieckie administracja cywilna, a na zachód od niej administracja polskiego rządu i jego władz krajowych. Jeszcze bardziej konkretnym dowodem chęci współpracy z naszej strony był wspomniany rozkaz do Armii Krajowej nawiązywania łączności z wojskami sowieckimi. Trzecim przejawem tej chęci było odrzucenie stanowcze propozycji niemieckich normalizacji stosunków w Generał-Gubernatorstwie za udział polskiego narodu w kampanii propagandowej antykomunistycznej. Stwierdzam: były oddziały francuskie, norweskie, holenderskie, łotewskie, litewskie, ukraińskie walczące po stronie Niemiec przeciwko Rosji — ale nie było najmniejszego oddziału polskiego. To się nie

stało bez udziału bardzo silnego wskazań Rządu Polskiego, który ma w Kraju absolutny posłuch. Dodaję, że według mego zdania, w razie ustalenia się zgodnej współpracy Rządu Sowieckiego i Rządu Polskiego zmieni się stosunek czterech głównych stronnictw polskich i do partii komunistycznej.

Lebiediew: — Oni nas nie obchodzą. My się do wewnętrznych spraw Polski nie mieszkamy. Ale nie może być rosyjski rząd obojętny na to, że w armii polskiej panuje wrogi do Rosji stosunek.

Ja: — Nie może się Pan chyba dziwić, że żołnierze polscy, pochodzący z Wileńskiego, Lwowskiego, Tarnopolskiego województwa, słysząc że Rosja chce ich pozbawić ojczyzny anektując ich rodzinne miejscowości, jak również żołnierze mający swych rodziców, swe żony czy dzieci w Kazachstanie pozbawione opieki Rządu Polskiego i praw polskiego obywatelstwa — czują żal do Rosji. Ale to ustanie od razu, jeśli nastąpi unormowanie dobrych stosunków między naszymi narodami.

Lebiediew: — Nie chodzi mi o uczucia poszczególnych żołnierzy, ale o kierunek kształcenia wojska idący od Ministra Wojny. On wie, że w waszym wojsku studiuje się plany wojny z Rosją, a nie z Niemcami.

Ja: — Nigdy o niczym podobnym nie słyszałem.

Lebiediew się upiera.

Ja: — Byłem we Lwowie, gdzie przez 2 tygodnie broniliśmy się skutecznie przed Niemcami dopóki nie zagroziły naszym tyłom wojska sowieckie: wzięci w kleszcze przez obie armie niemiecką i sowiecką — poddaliśmy się ostatecznie wojskom rosyjskim — nie niemieckim. To wyraźnie mówi o nastawieniu naszej armii od początku wojny. A teraz chyba także wymownie o tym mówi Cassino.

Podnoszę się, by się pożegnać, przy czym powtarzam, że na zadane mi pytanie, jakie miałbym do zrobienia propozycje w sprawie przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych — dam odpowiedź konkretną w poniedziałek.

Lebiediew wątpi, by mógł kontynuować rozmowę naszą w poniedziałek, ale następnie porozumie on się ze mną co do dalszego spotkania, a to przez dotychczasowego naszego łącznika (Korejwę).

Dodatkowe uwagi

Lebiediew wyraźnie dążył do uzyskania podstawy dla jakiegoś dzielenia Rządu na skrzydło przychylne Rosji i nieprzychylne. Zgodnie zresztą z tradycyjną metodą rosyjskiej dyplomacji

występował co chwila z jakimiś pretensjami i oskarżeniami. Reagowałem na to stanowczo, ale bardzo spokojnie.

Z jego powiedzeń w trakcie dyskusji notuję jeszcze: „Rosja nie jest teraz tak słaba militarnie jak w poprzedniej wojnie, jest potęgą. Armie sowieckie przejdą Polskę, wejdą do Berlina, ale potem wyjdą i z Berlina i z Polski”. Ten marsz naprzód wojsk rosyjskich akcentował parokrotnie.

Na moją sugestię, by następna nasza rozmowa odbyła się u mnie, Lebediew — niby nie odmawiając — stanowczo wyrażał obawy, że jego przyjazd do mnie może być zauważony i wiadomość o naszych rozmowach się rozniesie. Miałem wrażenie, że jemu bardzo zależało na kontynuowaniu rozmowy u niego. Sekretarz jego niczego nie notował — więc podejrzewam, że było nagrywanie rozmowy.

Z charakterystycznych odczuć się Lebediewa jeszcze notuję: „Niemcy pędzą obecnie przez Polskę masy ludności rosyjskiej na zachód. On ma informacje o niej. Wszędzie po dworach, plebaniach, chatach otrzymują Rosjanie jak najlepsze przyjęcie. To samo mówią i uciekający z Niemiec przez Polskę do posuwającej się naprzód Czerwonej Armii. Rosja zawdzięcza to Hitlerowi, który swym postępowaniem zdarł bielmo z oczu polskich w stosunku do Rosji”.

Ja, reagując na to, stwierdziłem, że to nie sam Hitler zrobił, ale przede wszystkim zdziałała odpowiednio organizująca odpór przeciwko niemu działalność polskich władz rządowych i w Kraju i w Londynie.

II

We wtorek dnia 30 maja 1944 Sekretarz Ambasady Sowietkiej Sziborin przybył do mnie i oświadczył mi, że p. Lebediew chce mnie rewizytować. Ustaliliśmy tę wizytę na 31 maja 5 p.p.

O oznaczonej godzinie przybył Ambasador Lebediew z p. Sziborinem. Po przywitaniu i zaofiarowaniu mu kieliszka sherry oraz herbaty, powiedziałem, że gen. Żeligowski nie wie jeszcze, czy odpisze gen. Berlingowi.

Lebediew: bardzo by pragnął osobiście poznać generała.

Ja: — Jeżeli nasza świeża znajomość się ustali i będziemy kontynuować nasze rozmowy, to może to nastąpi kiedyś u mnie.

Lebediew: — Czemu by nie miały się kontynuować nasze rozmowy?

Ja: — W każdym razie nie z mej strony zjawić by się mogły ku temu przeszkody.

Lebediew: ani z jego.

Ja: — W takim razie nasze rozmowy będą — być może — mogły usunąć dzielące nasze narody nieufności.

Lebiediew: — Ale co ku temu potrzebne?

Ja: — Tylko dobra wola i szczerłość po obu stronach. (Lebiediew przytakuje). Ot od razu Panu mówię: mam konkretną odpowiedź na postawione mi przez Pana w ostatniej naszej rozmowie pytanie.

Lebiediew: pyta się o jakim jego pytaniu mówię.

Ja: — Pytał się mnie Pan, jak wyobrażam sobie ruszenie z martwego punktu sprawy ponownego nawiązania stosunków dyplomatycznych.

Lebiediew przytakuje i okazuje zaciekawienie.

Ja: — Podkreślił Pan, że zaprzestanie stosunków dyplomatycznych nastąpiło wskutek sprawy katyńskiej. A więc, by to nieporozumienie usunąć projektuję, aby z naszej strony Premier Mikołajczyk wygłosił przemówienie radiowe, w którym, mówiąc o zbliżającej się ofensywie wspólnej wszystkich sprzymierzonych wojsk, powiedziałby, że wojska polskie — gdziekolwiek w tej ofensywie wezmą udział, będą miały jako sojuszników obok wojsk angielskich i amerykańskich również armie rosyjskie. Niemcy na pewno będą używać wszelkich wysiłków, dla wzbudzenia waśni między sojusznikami, szczególnie między Polakami a Rosjanami. Ale im się to nie uda. Nawet bowiem niezwykle zręczne niemieckie kłamliwe, jak wykazały już dochodzenia komisji sowieckich, oskarżenia Sowietów o zbrodnię katyńską, nie osłabiły ani na chwilę walki przeciwko Niemcom Krajowej Armii. Naczelny Wódz będzie mógł równocześnie dać nowy rozkaz dla Armii Krajowej rozszerzenia tego współdziałania z Armiami Sowieckimi, jakie już się zaczęło na Wołyniu. Nie uważamy bowiem za stosowne politycznych wypowiedzi Naczelnego Wodza. Po takim wypowiedzeniu się naszego Premiera — sądzę — nastąpiłby odpowiedni rozkaz Wodza Ludów Sowieckich Stalina do wojsk sowieckich posuwających się nadal na ziemiach polskich i oświadczenie jego, że wobec konieczności ścisłej — w tej fazie wojny — współpracy polsko-rosyjskiej i ustania nieporozumień w sprawie katyńskiej, przywraca on przerwane z Polskim Rządem stosunki dyplomatyczne. A wtedy natychmiast po przywróceniu tych stosunków zostałaby omówiona podróż Premiera Mikołajczyka na czele specjalnej delegacji do Moskwy dla zawarcia uzupełniającego umowę z lipca 1941 układu — której przecie Sowiety nie wypowiedziały — regulującego współdziałanie polskiej Armii Krajowej i polskich organów rządowych podziemnych z wojskami sowieckimi. Ale przyzna Pan, że nie może

jechać Premier Mikołajczyk do Moskwy przed nawiązaniem z powrotem normalnych stosunków dyplomatycznych.

Lebiediew: — To oczywiście nie stanie na przeszkodzie. (Jeszcze w dalszej rozmowie powiedział całkiem już wyraźnie, że jest osobiście przekonany, że stosunki dyplomatyczne zostaną przywrócone). Poza tym dodał: Umowy z 1941 roku istotnie Sowiety nie zerwały, tylko przerwały stosunki dyplomatyczne. A dalej pyta on, czy może on z mych słów wnioskować, że Premier Mikołajczyk wie o naszych rozmowach.

Ja: Naturalnie.

Lebiediew: A czy aprobują te nasze rozmowy i inni członkowie Rządu?

Ja: Wie o nich tylko Premier i Minister Spraw Zagranicznych. Gdyby wiedział cały Rząd — rozeszłaby się wiadomość o naszych rozmowach przedwcześnie. Ale ręczę Panu, że nasz Premier — jeśli dojdziemy do dobrego wyniku — będzie miał aprobatę całego rządu. Dotychczas wszystkie jego wnioski w sprawach polityki zagranicznej Rząd przyjmował jednogłośnie.

Lebiediew: pyta się o Prezydenta.

Ja: Gdy raz była niewielka różnica zdań między Premierem a Gen. Sosnkowskim właśnie w sprawie stosunku do Rosji Sowieckiej — Prezydent przyznał rację Premierowi.

Lebiediew: wyraża życzenie poznania osobiście Premiera Mikołajczyka, przy czym dodaje, że po rozmowie z Premierem otrzymałby — jak się spodziewa — konkretne już dla dalszych rozmów dyspozycje z Moskwy.

Ja: — Dowiem się, czy Pan Premier mógłby się spotkać z Panem u mnie. Nie byłaby to oczywiście jeszcze oficjalna ale i nie wyłącznie prywatna rozmowa (po rosyjsku — *nie oficjalnyj no oficjornyj razgovor*).

Lebiediew: — Toć i nasze rozmowy nie są wyłącznie prywatne. Ja jestem Posłem, a Pan Prezesem Rady. Ale jakbym mógł się dowiedzieć o ewentualnym spotkaniu z Premierem?

Ja: proszę Sziborina żeby zaszedł do mnie o 10-ej rano w piątek.

Lebiediew: pyta czy znam układ Sowietów z Czechosłowacją.

Ja: niezupełnie.

Lebiediew: podkreśla, że układ Anglii i Ameryki z Belgią i Holandią mówi, że po zajęciu kraju przez wojska alianckie będzie zarząd krajem w rękach dowództwa tych wojsk do czasu, póki ono nie uzna, że może wracać władza odnośnych rządów krajowych. A z Czechami Sowiety ustaliły, że natychmiast z usuwaniem okupacji niemieckiej wchodzi w działanie władze rządu czeskiego. Niemcy straszyły ciągle Polskę, że Rosja Sowiecka chce jej narzucić swe rządy. Nawet w Rumunii nie ustanawiają woj-

ska sowieckie władz sowieckich, ale przywracają dawne władze rumuńskie.

Ja: — U nas są nowe Podziemne, ale wszędzie gotowe władze naszego Rządu, przywracania przedwojennych z doby Mościcki-Beck wcale sobie nie życzymy.

Lebiediew: — Oczywiście, ale jeśli tak postępują Sowiety wobec nieprzyjawnego narodu, to oczywiście tym bardziej nie będą narzucać swych władz sojuszniczemu narodowi polskiemu.

Ja: — Cieszy mnie to Pańskie oświadczenie, bo muszę Panu powiedzieć — stuletnia walka o niepodległość wytworzyła w całym naszym narodzie, całym od chłopu po profesora uniwersytetu, szczególną drażliwość na punkcie naszej państwowej niezależności. Chętnie będziemy uzgadniać naszą politykę międzynarodową z Rosją Sowiecką. Jestem przekonany, że jednakowo jesteśmy zainteresowani w złamaniu całkowitym siły Niemiec, ale dlatego jest konieczne, byśmy byli pewni, że nie będzie nam Rosja próbowała narzucać swej woli, szczególnie w sprawach własnej naszej organizacji państwowej. Wszystko, co by przypominało czasy „protekcji” Piotra Wielkiego i cesarzowej Katarzyny zabiłoby wzajemne zaufanie. Zresztą naród rosyjski tak samo okazał najwyższą swą dbałość o swą niepodległość nie tylko teraz ale i w pierwszych latach po rewolucji bolszewickiej, kiedy bohatercko pod wodzą genialnego Lenina — naprawdę uważam go za wielki geniusz — odparł próby zachodnich państw kapitalistycznych wmieszania się do jego spraw wewnętrznych.

Lebiediew: — Dbałość o własną niepodległość jest bardzo szlachetna i Rosja będzie ją szanować w narodzie polskim.

W trakcie rozmowy powiedziałem, że ewentualna jazda delegacji polskiej z Premierem Mikołajczykiem do Moskwy musiałaby być naprzód na zwykłej już drodze dyplomatycznej należyście przygotowana, oraz lekko wspomniałem o linii demarkacyjnej. Widząc gotowość Lebiediewa do umożliwienia podróży Premiera przez przywrócenie stosunków dyplomatycznych, nie chciałem za wiele w tych nieoficjalnych rozmowach mówić o tej dodatkowej do układu z roku 1941 umowie, żeby tym bardziej mu zależało na przystąpieniu do oficjalnych rozmów.

Lebiediew, żegnając się powiedział, iż uważa że dziś dowiedział się dużo bardzo interesujących rzeczy, przekonał się o prawdziwie szczerzej mej chęci dobrej współpracy polsko-rosyjskiej i jest przekonany, żeśmy zrobili poważny krok na drodze ku niej.

Jeszcze były dwa charakterystyczne momenty rozmowy.

A: Gdym powiedział o deklaracji Premiera, że wobec wspólnej akcji wszystkich sojusznicznych armii przeciwko Niemcom będzie współdziałać faktycznie wszelka polska siła zbrojna, gdzie-

kolwiek będzie walczyć z armiami sowieckimi, Lebediew spytał czy odnosi się to i do obecnie sformowanych na terenie ZSSR dywizyj polskich.

Ja: — Co innego jest sprawa samego gen. Berlinga. To będzie nasza sprawa wewnętrzna (przytaknięcie Lebediewa), a co innego są dywizje polskie, walczące przeciwko Niemcom wspólnie z wojskami sowieckimi. Gdy ustalimy zasady współdziałania, będą się one i ich dotyczyć.

B: Gdym powiedział, że niebezpieczne byłoby przedwczesne ujawnianie naszych rozmów, Lebediew z uśmiechem wyraził przypuszczenie, że po pewnym czasie Anglicy pokażą nam protokół naszej dzisiejszej rozmowy. Ale uważa on, że nie należy się obawiać, by Anglicy wzięli ją nam za złe, bo nie powiedzieliśmy przecie niczego niechętnego o Wielkiej Brytanii.

Ja: — Ode mnie nawet Anglicy nie dowiedzą się o naszych rozmowach, póki sami nie postanowimy ich ujawnić. Ale jestem tego samego co i Pan zdania — Anglicy mogą być tylko zadowoleni z naszych rozmów. Toć są oni sojusznikami zarówno Rosji jak i Polski.

III

W porozumieniu z Min. Romerem i za pośrednictwem Min. Banaczyka zakomunikowałem przez Koreję Ambasadorowi Lebediewowi, że chętnie bym się z nim widział jeszcze przed przyjazdem Premiera. W podobny sposób jak 20-go maja udałem się do mieszkania Lebediewa 10-go czerwca o godz. 5 min. 15.

Po przywitaniu powiedziałem mu, że pragnę mu wyjaśnić, dlaczego powiedziałem był Sziborinowi 31-go maja, że pomimo życzenia Ambasadora nie wydaje mi się możliwe, by w rozmowie Premiera z Ambasadorem wziął udział gen. Modelski. I ja obojście i Premier mamy pełne zaufanie do gen. Modelskiego i dużo dlań przyjaźni jako człowieka, który nigdy się nie był ugiął przed reżymem Piłsudskiego, ale zasadniczo stara się Premier trzymać generałów z dala od polityki, bo właśnie reżym Piłsudskiego podporządkowywał polityczne władze wojskowym, a obecnie są już bardzo skutecznie władze wojskowe podporządkowywane politycznym. Ale wobec życzenia Lebediewa spotkania się z gen. Modelskim chętnie — jeśli on nadal tego sobie życzy — zaproszę go wraz z gen. Modelskim do siebie po powrocie Premiera.

Lebediew: nie bardzo rozumie tę subtelność dyplomatyczną, u nich generałowie robią politykę, robi ją nawet każdy żołnierz.

Ja: — Tak, ale ściśle wedle wskazań Stalina i Partii i to tylko w szeregach armii.

Lebiediew: — Toć my nie robimy polityki, tylko wymieniamy się naszymi życzeniami.

Ja: — I dlatego uważam za możliwy udział gen. Modelskiego w naszych spotkaniach. Ale Pańska rozmowa, choć na razie nieoficjalna, z Premierem — będzie już niewątpliwie krokiem politycznym.

Lebiediew: pyta się, czy jednak nie ma jakiegoś przeciwieństwa pomiędzy Premierem, a Modelskim.

Ja: raz jeszcze stwierdzam przyjazny ich stosunek.

Lebiediew: — Nie widziałem Modelskiego, ale ponieważ nasze rozmowy wyszły naprawdę z inicjatywy gen. Modelskiego, uważam, że sama przyzwoitość nakazuje mi, gdy ta jego inicjatywa dała wyniki, się z nim spotkać.

Ja: — Toteż proponuję Panu spotkanie się z nim u mnie po powrocie Premiera, który spodziewam się rychło nastąpi.

Lebiediew pyta się, czy jesteśmy w kontakcie z Premierem.

Ja: Tak, ale Premier zachowuje ostrożność nakazaną tym, że nigdy nie wiadomo, czy szyfr nie zostanie odczytany przez przeciwników.

Lebiediew pyta się mnie o wrażenie moje z inwazji w Normandii.

Ja: wyrażam podziw dla sprawności sojuszników i mówię, że niewątpliwie odbije się ona dobrze i na froncie wschodnim.

Lebiediew: — Od dawna armia sowiecka wyczekiwała otwarcia zachodniego frontu, ale i sama biła skutecznie Niemców. Po czym wdaje się w dłuższe wyjaśnianie strategii rosyjskiej, która umyślnie pozwalała zapuszczać się Niemcom jak najdalej w głąb Rosji, przy czym ZSSR ewakuowała cały wielki przemysł wczas z Ukrainy za Ural.

Ja tę rozmowę kończę powiedzeniem, że wojna obecna stwierdza niezbicie, że ustrój sowiecki jest najodpowiedniejszy dla ludu rosyjskiego.

Lebiediew pyta, czy nie sędzę, że wzory jego przydałyby się i Polsce?

Ja: Niektóre, tak jak np. planowe szybkie uprzemysłowienie Kraju, ale zasadnicze podstawy potrzebnego Polsce ustroju są inne od podstaw korzystnego dla Rosji ustroju. Różnica jednak ustrojów, nie wyklucza współdziałania na polu międzynarodowym i gospodarczej współpracy.

Lebiediew wyraża zdanie, że najbardziej by zacieśniło dobrą po wojnie współpracę polsko-rosyjską, gdyby Polska w przyszłości zamiast 10 % swych obrotów handlowych z ZSSR a 90 %

z Zachodem, miała odwrotnie 90 % wymiany z ZSSR, a 10 % z Zachodem.

Ja: Wiele surowców, które sprowadzaliśmy z Ameryki i Szwecji moglibyśmy sprowadzać z ZSSR, o ile chcielibyście je eksportować. Wiem, że ZSSR mogłaby jeszcze znacznie wzmóc swą produkcję bawełny oraz dobrej surówki żelaza. Ale obok wzmoczenia naszej wymiany handlowej sędzę, że najważniejsze byłoby usunięcie wspólnymi siłami penetracji niemieckiego przemysłu z całej środkowej Europy. W tym możemy być pewni chętnego współdziałania Czechosłowacji. Gdy przy tym wspomniałem o Beneszu, Lebediew zapytał mnie (wie on, że miał przed swym wyjazdem Premier Mikołajczyk rozmowę z Beneszem), czy mógłbym mu powiedzieć o wyniku tej rozmowy, bo on się z Beneszem nie widział po tej rozmowie.

Ja: Coś mi Premier o tej rozmowie wspominał, ale boję się przekreślić, więc sędzę, że lepiej by on sam Pana poinformował przy spodziewanym spotkaniu.

Lebediew: usilnie prosi, bym choć ogólnikowo poinformował go zanim jeszcze Premier wróci.

Ja: Najogólniej mówiąc Premier uważa wszelkie sprawy personalne za naszą wewnętrzną sprawę.

Lebediew: — Oczywiście, to są wyłącznie polskie sprawy wewnętrzne, ale gdyby zostały załatwione z własnej polskiej inicjatywy w pewien sposób, wszystkie sprawy sporne między Rosją a Polską byłyby załatwione następnie łatwo i korzystnie dla Polski i bardzo szybko mogłaby się odbyć podróż Premiera Mikołajczyka do Moskwy.

Ja: Przypominam, co już powiedziałem: jeżeli się ustalą podstawy naszej współpracy — sprawy personalne nie będą jej utrudniać.

Lebediew: Jeśliby po pobycie w Moskwie Premiera Rząd Polski przeprowadzał zmiany personalne, w całym świecie będzie wrażenie, że uczynił to na żądanie ZSSR, a to powinno być przecie czysto wewnętrzną sprawą polską.

Ja: Utrudnia ją właśnie rozgłaszanie pewnych pragnień ze strony ZSSR zmian personalnych we władzach polskich przez Ks. Orlemańskiego i prof. Langego. Sędzę, że w tych warunkach trzeba by nasamprzód dojść do dobrego załatwienia spraw merytorycznych. (Spojrząwszy na zegarek). — Mam za kwadrans inne spotkanie. (Wstaje i żegna się).

Lebediew: odprowadzając mnie jeszcze w przedpokoju prosił, bym pomyślał jeszcze nad jego słowami dotyczącymi ułatwień, jakie by ustaleniu dobrych wzajemnych stosunków dało załatwienie spraw personalnych wewnętrznymi naszymi decyzjami

i starał się w tym kierunku oddziałać. Będzie to — jego zdaniem — wielkie dzieło historyczne.

IV

20 czerwca o godz. 6-ej po południu przybyli do mego mieszkania pp. Lebediew i Sziborin. Za chwilę przybył Premier Mikołajczyk.

Po przywitaniu się Premier Mikołajczyk powiedział, że cieszy się z tego spotkania, uważa bowiem, że potrzebna jest dla zapewnienia trwałego pokoju współpraca polsko-rosyjska przez długi przeciąg czasu po wojnie. Nie jest to jego osobiste tylko, czy jego tylko stronnictwa zdanie. Pochodząc z ludu zna on doskonale jego uczucia. Równie dobrze zna on też i nastroje innych warstw i stwierdza, że w narodzie polskim istnieje jedno zdecydowane nastawienie antyniemieckie, a nie ma antyrosyjskiego. Ale dla współpracy trzeba, by chciały jej obie strony. Premier pragnie, by wojna na ziemiach polskich trwała jak najkrócej i już dla tego samego uznał za potrzebną obecnie współpracę Armii Krajowej z armią sowiecką. W myśl otrzymanych stąd rozkazów współpraca ta została nawiązana na Wołyniu. Na podstawie otrzymanych z Kraju raportów nie ma nic do zarzucenia zachowaniu się władz sowieckich w tej współpracy.

Lebediew: — Były różne starcia w przeszłości i nawet w tej wojnie między Polską a Rosją. Ale — stwierdza on — głównym instygatorem ich były zawsze Niemcy. Wie on dobrze, że teraz ta nawet część polskiego narodu, która była nastawiona nienawistnie do Rosji, zwraca się całkowicie przeciwko Niemcom. Jest to jedyny bodaj moment dla ustalenia przyjaznej współpracy rosyjsko-polskiej.

Premier wtrąca: — W Polsce nie ma nienawiści do Rosji, jeśli co jest, to tylko obawa przed nią.

Lebediew: — Linią polityki Stalina było zawsze pragnienie silnej, niepodległej i przyjaznej dla Rosji Polski. I ta linia jest nadal utrzymana. Rosja dzisiejsza nie pojmuje słowiańskiej jedności w sensie dawnego panslawizmu, który chciał wszystkie słowiańskie narody poddać władzy cesarzy rosyjskich. Rosja sowiecka w solidarności słowiańskiej widzi tylko związek obronny narodów słowiańskich.

Premier mówi, że nie jest wyznawcą polityki mocarstwowej ze swej strony i uznaje fakt wielkiej siły, której złożyło dowód państwo sowieckie. Ale i jako Polak i jako przedstawiciel ludu — na pierwszym miejscu stawia całkowitą niepodległość Polski.

Lebiediew: Rosja zdała w tej wojnie egzamin dziejowy, wykazała, że zasługuje na istnienie. Tak samo wykazała swe prawo do istnienia Polska swą nieugiętą walką przeciwko Niemcom. Rządowi ZSSR zależy na jak największej sile tych polskich działaczy, którzy pragną współpracy polsko-rosyjskiej.

Z powodu odgłosu jakiegoś wybuchu nastąpiła trwająca kilka minut rozmowa towarzyska o nowej broni niemieckiej i niemieckiej bladej propagandowej.

Po czym Premier zwraca się do Lebiediewa z pytaniem, co według niego miałyby być uczynione dla przywrócenia przerwanych ale nie zerwanych stosunków dyplomatycznych?

Lebiediew: nie posiada on na ten temat instrukcyj od swego Rządu, ale może powiedzieć, że Marszałek Stalin pragnie wejść w porozumienie z Rządem Polskim niewątpliwie przyjaznym wobec Rosji, nie krępowanym w swej współpracy z Rosją przez wrogię jej czynniki.

Premier stanowczo stwierdza, że sprawa Prezydenta Raczkiewicza nie może być w Polsce przez nikogo poruszana. A co do jego następcy — to przestaje nim być gen. Sosnkowski. Przy tym będzie wkrótce przeprowadzona ustawa — podporządkowanie całkowite sił zbrojnych i ich polityki — Rządowi. Zresztą i dotychczas Naczelný Wódz w swych rozkazach do armii stosował się do uchwał Rządu, a nie wpływał na te uchwały w jakikolwiek sposób, który by zmieniał linię polityczną Rządu. Co się zaś tyczy Rządu — wszystkie jego uchwały w sprawie stosunków polsko-rosyjskich zapadały jednomyślnie. Nie ma więc w nim czynników nieprzyjaznych Rosji. Minister Kukiel był zawsze szczerym demokratą — wrogiem reżymu Piłsudskiego oraz jego polityki zagranicznej. To samo dotyczy Ministra Kota.

Lebiediew wyraża zdziwienie, że Premier tak dobrze wie do kogo Sowiety nie mają zaufania.

Premier: Powiedział mi to Benesz.

Lebiediew: tą odpowiedzią wyraźnie był zdetonowany (po chwili milczenia) — Jeśliby Rząd Polski gwarantował swym pozbyciem się budzących w ZSSR nieufność osób przyjazną w przyszłości współpracę — wszystkie sporne kwestie byłyby łatwo załatwione w bezpośrednim porozumieniu marszałka Stalina z Premierem Polskim.

Premier nie uważa, by życzenie posiadania personalnych gwarancji przyjaznej do ZSSR polityki Rządu Polskiego naruszało suwerenność państwa polskiego, ale, mówiąc po prostu, po kupiecku, nie może on stwarzać składu rządu bardziej odpowiedniego dla przeprowadzenia porozumienia i współdziałania, póki

nie ma tego porozumienia. Nasamprzód muszą być ustalone zasady:

1. przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych;
2. wspólnego planu akcji bojowej polskiej Armii Krajowej i armii sowieckiej;
3. współdziałania krajowych władz Polskiego Rządu jako władz administracyjnych z wchodzącymi na ziemie polskie sowieckimi władzami wojskowymi i
4. odłożenie sprawy ewentualnej zmiany granicy do końca wojny.

Lebiediew: Układ dotyczący stosunku polskiej rządowej administracji z wojskami sowieckimi wymaga dokładnego sformułowania. A to zabierze dużo czasu. Już z tego powodu mógłby być zrobiony dopiero po porozumieniu się Premiera z Marszałkiem Stalinem.

Premier raz jeszcze oświadcza, że nie może dostosowywać składu władz państwowych polskich do współpracy, której zasady nie zostały ustalone. Zdaje on sobie dobrze sprawę, że administracja cywilna nie wejdzie w działanie praktycznie, póki dowództwo wojskowe nie uzna tego za możliwe. Ale układ taki jest konieczny, jako uznanie przez ZSSR suwerenności polskich władz państwowych. Zresztą Lange mówił Premierowi, że Stalin powiedział, iż gdyby nie doszedł do porozumienia z Rządem Polskim to i tak administrację cywilną odda miejscowemu społeczeństwu, bo chce by naród polski wiedział, że wojska sowieckie wchodzi do Polski nie dla narzucenia jej rządów rosyjskich.

Lebiediew: Jeśli nie o szczegółowy układ, ale o zasady chodzi, to nie widzi trudności w ich ustaleniu. Układ ZSSR z Czechosłowacją przewiduje natychmiastowe przejęcie administracji cywilnej przez państwowe władze czesko-słowackie, gdy tylko ustąpią władze okupacyjne niemieckie. ZSSR przyjęła propozycje czesko-słowackie nie zmieniając w nich ani słowa. Tak samo podpisała, nie wnosząc żadnych ze swej strony zmian, układy anglo-amerykańskie z Belgią, Holandią i Norwegią. I gdy tamte układy nie zostały opublikowane, układ rosyjsko-czeski jest opublikowany. Jest on o wiele korzystniejszy od anglo-amerykańsko-belgijskiego. Wypowiada swe osobiste silne przeświadczenie, że układ polsko-rosyjski nie będzie w żadnym razie mniej korzystny dla Polski niż układ rosyjsko-czesko-słowacki dla Czechosłowacji.

Premier: O ile by nasamprzód zostały w rokowaniach mych z Panem Ambasadorem na podstawie otrzymanych przezeń pełnomocnictw ustalone zasady rozwiązania wyliczonych czterech spraw, mógłby Rząd Polski dać dowód najdalej idącego przyjaznego usposobienia dla Rosji przez odpowiednie przesunięcia w

składzie polskich władz państwowych przed jazdą Premiera do Moskwy.

Lebiediew pyta się czy ściśle zrozumiał i powoli, prosząc mnie o tłumaczenie każdego zdania po zdaniu, mówi: jeżeli on da konkretną odpowiedź pozytywną w sprawie:

1. podjęcia z powrotem stosunków dyplomatycznych;
2. odłożenia sprawy granicy polsko-rosyjskiej do końca wojny;
3. planu wspólnej akcji bojowej armii polskiej z sowiecką na ziemi polskiej;
4. administracji polskiej na terytorium polskim i jej współdziałania z wojskami sowieckimi;

to Premier gotów będzie przeprowadzić przed wyjazdem do Moskwy odpowiednie zmiany personalne. Przy tym pyta się, czy odpowiedź uprzednia w sprawie tych czterech punktów potrzebna jest Premierowi do opublikowania jej, czy też dla zakomunikowania Rządowi Polskiemu.

Premier stwierdza, że Ambasador dobrze streścić jego myśl i że przedwstępne porozumienie co do zasad układu dotyczącego wymienionych czterech spraw potrzebne mu jest dla przedstawienia decydującym o polityce polskiej czynnikom.

Lebiediew proponuje zakończenie na tym dzisiejszej rozmowy i kontynuowanie jej wtedy, gdy otrzyma odpowiednie pełnomocnictwa.

Datę nowego spotkania ustali ze mną przez Sziborina.

V

Dnia 22 czerwca o godz. 3 min. 45 p.p. zjawił się u mnie Sziborin, prosząc o natychmiastową rozmowę Lebiediewa z Premierem. Po telefonicznym rozmówieniu się moim z Premierem ustaliliśmy termin rozmowy na godz. 6 min. 30 tegoż dnia.

Po przywitaniu się Lebiediew oświadczył, że prosił o tę rozmowę, gdyż pragnie wypowiedzieć się na temat poruszonych przez Premiera w dniu 20 czerwca czterech spraw. Co do pierwszej — tj. przywrócenia stosunków dyplomatycznych — uważa je za niewątpliwe. Również nie widzi, by cokolwiek stało na przeszkodzie zawarciu układu, dotyczącego polskiej administracji na ziemiach polskich, zajmowanych przez wojska sowieckie. Ale pragnie on otrzymać bliższe wyjaśnienie, co oznacza postulat odłożenia sprawy przyszłej polsko-sowieckiej granicy do końca wojny.

Premier: — Rząd Polski nie jest uprawniony konstytucyjnie do odstępowania jakiegokolwiek części polskiego państwowego terytorium. I już dlatego nie może teraz zawierać układu zmieniającego dotychczasową granicę polsko-sowiecką. Ale Rząd Polski oświadczył już był publicznie i Premier oświadczenie to powtarza, że gotów jest podjąć rozmowy na tematy graniczne w łączności z całokształtem przyszłych zagadnień terytorialnych. Na razie zaś ważne jest ustalenie linii demarkacyjnej, na zachód od której istniałaby administracja Państwowa Polskiego. Ta linia demarkacyjna powinna zapewniać maksymalny wysiłek bojowy narodu polskiego we wspólnej przeciwko Niemcom walce. A zatem powinna ona oddawać administracji Państwa Polskiego te jego ziemie, w których znajdują się główne skupiska polskiej ludności. Granica wszakże etnograficzna nie jest prosta. Na północy i na południu główne skupiska polskie są znacznie bardziej wysunięte na wschód niż w środkowych województwach. Linia demarkacyjna oparta na jedynie słusznej zasadzie etnograficznej byłaby więc silnie powyginana. I dlatego już nie może być identyczna z nową, jaka mogłaby być ustanowiona granicą państwową. Trzeba każdą z tych spraw traktować oddzielnie i odmiennie.

Lebiediew: — Sprawy te jednak zahaczają o siebie wzajemnie. Rząd sowiecki stoi nadal na stanowisku, że przyszłą granicą powinna być zasadniczo linia Curzona i od niej należałoby rozpocząć rozmowy.

Premier: — Granica na tej linii pozbawiłaby Polskę połowy jej terytorium z 11 milionami ludności, w tym 5 milionów Polaków. Byłoby to tak ciężkie pokrzywdzenie Narodu Polskiego, że uniemożliwiłoby następnie przyjazną współpracę polityczną czy inną polsko-rosyjską. Wobec tego granica na tej linii jest dla Polski nie do przyjęcia.

Lebiediew: — Naród polski porozumiewszy się z Rosją sowiecką o nową granicę otrzymałby tak korzystną poprawę swej obecnej granicy na północy i na zachodzie, że nie byłby skrzywdzony.

Ja: — To, co w najlepszym razie mogłaby Polska uzyskać na zachodzie i północy, byłoby ledwo jedną trzecią tego, co utraciłaby przyjmując granicę wschodnią na linii Curzona.

Lebiediew: — Mówiąc o linii Curzona przedstawia on zasadnicze stanowisko Rządu Sowieckiego. Nie prowadzimy obecnie rokowań, tylko wyjaśniamy sobie wzajemne stanowiska. Pragnie więc on wiedzieć, jakie jest stanowisko w tej sprawie polskie.

Premier: — przypomina raz jeszcze swe słowa, że Polska goto-

wa jest podjąć rozmowy na tematy graniczne. Między Polską a Rosją Sowiecką istnieje obecnie tylko jedna granica, tj. granica sprzed września 1939 roku, gdyż linię Ribbentrop-Mołotow państwo sowieckie przekreśliło układem z 1941 roku. A linia Curzona nie miała nigdy prawnie uznanego przez Polskę i ZSSR znaczenia. Ale rokowania o rewizji granicy dotychczasowej polsko-sowieckiej możliwe są dla Rządu Polskiego tylko w łączności ze sprawą zabezpieczenia Polsce lepszych granic na zachodzie i północy. Dotychczas jednak żąda się, by Polska zrzekła się swych ziem na wschodzie, a sprawa powiększenia jej terytorium na zachodzie i północy — choć się o tym mówi — naprawdę wisi w powietrzu. Gdyby Rząd Sowiecki i w tej sprawie chciał wejść w konkretne rokowania, możliwe byłoby przedwstępne układy w sprawie całokształtu granic przyszłych Polski. A podstawą tych rokowań powinna być zasada, że Polska nie może wyjść z tej wojny pomniejszona. Wysuwając tę zasadę, Premier jednocześnie oświadcza, że Polska nie zamierza siłą zatrzymywać w swych granicach ludności, która by wolała żyć w Związku Sowieckim.

Ja: (wtrącam) — By przyszłe stosunki polsko-rosyjskie były naprawdę przyjazne, rokowania o zmiany terytorialne powinny być oparte na zasadzie równomiernego uwzględnienia żywotnych interesów obydwu stron. Otóż uznaję w pełni, że żywotnym interesem Rosji jest uzyskanie realnych gwarancji, że w Polsce nie będzie podstaw antyrosyjskiej ukraińskiej irredenty. Natomiast nie jest żywotnym jej interesem nieznaczne stosunkowo powiększenie olbrzymiego jej i słabo zaludnionego terytorium. Gdy dla Polski już obecnie przeludnionej najżywotniejszym jej interesem jest, by jej państwowe terytorium nie zostało pomniejszone, a raczej w zamian za te cierpienia, które przeszła, powiększone.

Lebiediew: — Czy to znaczy, że terytorium Polski miałoby w całości wraz z nabytkami na zachodzie i północy nie być pomniejszone?

Ja: — Tak!

Premier: przytakuje.

Lebiediew: pragnie ściślejszego określenia punktami geograficznymi proponowanej przez Polskę linii demarkacyjnej. Oparcie jej na zasadzie etnograficznej uznaje za słuszne, ale etnografię można rozmaicie tłumaczyć.

Premier: uważa za przedwczesne w tej fazie rozmów określanie szczegółowe punktami geograficznymi przebiegu tej linii, uważa, że wystarcza oznaczenie obecnie jej zasadniczej podstawy.

Lebiediew: stwierdza, że dobiega godz. 7 min. 30, a on o tej porze ma proszony obiad. Ustala wraz z Premierem dalszy ciąg rozmowy na dzień 23 czerwca o godz. 6-ej wieczorem.

VI

Dnia 23 czerwca 1944 roku godz. 6-ta wieczorem w mym mieszkaniu.

Lebiediew: uważa, że obecnie należałoby zsumować wyniki wczorajszej rozmowy. Otóż stwierdza on, że w sprawie linii demarkacyjnej, o której po raz pierwszy wczoraj posłyszał, nie ma żadnych wskazań swego Rządu. A co się tyczy przyszłej granicy — to stanowisko Rządu Sowieckiego jest jak już powiedział — nowa granica na linii Curzona. Od tej linii też byłaby na zachód administracja polska po wejściu poza nią wojsk sowieckich. Nie wie on jednak, jakie jest w tej sprawie stanowisko polskie.

Premier: powtarza to, co powiedział wczoraj: Rząd nie ma prawa odstępować jakiejkolwiek części ziem państwa polskiego. I nie może dyskutować o ewentualnej rewizji postanowień traktatu ryskiego, nie wiedząc co się stanie z granicami Polski na północy i zachodzie. Najodpowiedniejszym więc byłoby odłożenie dyskusji na temat granicy polsko-sowieckiej do końca wojny, ustalając obecnie tylko zasady tych przyszłych rokowań. Te zasady sformułował on wczoraj wyraźnie: Polska nie może wyjść z tej wojny terytorialnie pomniejszona. Polska nie zamierza przymocą zatrzymywać w swych granicach ludności, która pozostać w nich nie chce. Gdyby Rząd Sowiecki chciał konkretnie przedyskutować teraz całość polskich spraw granicznych — Rząd Polski się od takiej dyskusji nie uchyli.

Lebiediew: oświadcza, że ma upoważnienie zakomunikować panu Mikołajczykowi stanowisko Rządu Sowieckiego. Warunkiem pierwszym przywrócenia stosunków dyplomatycznych jest ustąpienie ze stanowisk, wpływających na politykę Rządu Polskiego, Prezydenta Raczkiewicza, Generała Sosnkowskiego, Ministra Kuksa i Ministra Kota. Ale nie wystarczy usunięcie z Rządu paru ministrów. Pan Mikołajczyk powinien przeprowadzić generalną rekonstrukcję swego rządu, wprowadzając doń przedstawicieli londyńskich Polaków, Rady Narodowej w Polsce, Polaków w Rosji Sowieckiej i Polaków w Ameryce. Tak zrekonstruowany rząd powinien potępić poprzedni, za błąd zrobiony w sprawie katyńskiej. O ile to nastąpi — będzie nawiązanie stosunków polsko-sowieckich i zawarty układ o administracji polskiej w Polsce.

Premier: powtarza po angielsku punkty oświadczenia Lebiediewa i pyta się, czy je dobrze powtórzył.

(Odpowiedź potakująca).

Po chwili milczenia Premier: — Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Lebiediew (milczy około dwóch minut, po czym mówi): — Zatem wyczerpaliliśmy temat naszych rozmów. I żegna się.

Premier (przy pożegnaniu): — O ile którego z nas bomba nie zabije, żyć będziemy, a gdy ludzie żyją mogą się zawsze z sobą jeszcze spotkać.

U w a g a d o d a t k o w a

23 czerwca, *Lebiediew*, który poprzednio kilkakrotnie zaznaczał, że mówi od siebie, po raz pierwszy powiedział, że ma upoważnienie zakomunikowania „*Panu Mikołajczykowi*” (po raz pierwszy też użył tego zwrotu, gdy uprzednio mówił „*Panu Premierowi*”) stanowiska Rządu Sowieckiego. Gdy poprzedni ton jego wypowiedzi się był ciepły i zaznaczał on, że wszystko co mówi jest tylko zaznaczaniem sowieckich punktów wyjścia do przyjaznej dyskusji, to w dniu tym miał sposób wyrażania się niemal opryskliwy. Robiło to wrażenie, że zaszło coś nowego, czy jakaś interwencja tu w Londynie, czy ponowna zmiana kierunku politycznego w Moskwie, co mu nakazało zachować się w sposób, który musiał doprowadzić do zaprzestania rozmów. Szczególnie znamienne przy tym jest, że gdy w poprzednich ze mną rozmowach twierdził stanowczo, że polscy komuniści nic Rządu Sowieckiego nie obchodzą, gdyż nie zamierza się on mieszać do spraw wewnętrznych Polski, że Rząd Sowiecki szanuje w pełni polską drażliwość na punkcie państwowej niepodległości, że rozumie, że sprawa jakichkolwiek zmian w składzie Rządu Polskiego musi być jego wewnętrzną sprawą i że trzeba uniknąć wszystkiego, co by robiło wrażenie nacisku sowieckiego w tym kierunku, że przyznaje, że również sprawa gen. Berlinga jest wewnętrzną sprawą polską — to dnia 23 czerwca postawił niemal ultymatywnie żądanie, by Polska nie tylko wyrzekła się połowy swego terytorium, ale ponadto wyrzekła się swej niepodległości, uznając prawo Rządu Sowieckiego do decydowania, kto ma być Jej Prezydentem i kto ma wchodzić w skład Jej Rządu, a poza tym jeszcze by się upokorzyła, potępiając zachowanie się Rządu Generała Sikorskiego w sprawie katyńskiej.

Lebiediew nie mógł się łudzić, że o takim ultimatum nie możemy nawet rozmawiać.

(Koniec sprawozdań)

W sprawozdaniach powyższych występują nazwiska ministra Banaczka i jego urzędnika Korejwy, oraz gen. Modelskiego. W rozmowach ze mną Grabski nigdy tych nazwisk nie wymienił. Lebediew mówi o gen. Modelskim, że to z jego inicjatywy podjęte zostały rozmowy i dlatego chce się on z nim spotkać. Mikołajczyk najwyraźniej nie chciał wprowadzać gen. Modelskiego do rozmów i istotnie w żadnej z tych rozmów on nie brał udziału. Osobiście traktuję wysuwanie przez Lebediewa gen. Modelskiego w roli inicjatora rozmów jako zasłonę dymną ze względów taktycznych lub prestiżowych, gdyż Grabski mówił mi wyraźnie, że inicjatywa wyszła od rządu sowieckiego przez pośrednika, którym w moim przekonaniu był Benesz. Uważam, że jest wykluczone by rząd sowiecki wchodził w tak poważne rozmowy z inicjatywy kogoś nie mającego żadnej wagi politycznej. Natomiast jest możliwe, że Benesz kontaktował się z gen. Modelskim i zwrócił na niego uwagę Lebediewa. Co do min. Banaczka i Korejwy, to widać ze sprawozdań, że w ich rękach spoczywała tylko techniczna strona organizowania tajemniczych spotkań. W czasie drugiego spotkania, które miało miejsce we wtorek 30 maja w mieszkaniu Grabskiego, Lebediew na końcu rozmowy dał wyraz swemu przypuszczeniu, że w tym mieszkaniu są założone przez Anglików aparaty podsłuchowe. Nie przypuszczam by tak było. W tej rozmowie była mowa o tym, że w piątek 2 czerwca o 10-ej rano Sziborin, sekretarz Lebediewa, ma być u Grabskiego by się dowiedzieć kiedy Lebediew będzie mógł spotkać się z Mikołajczykiem. Jak napisałem w mym „Urywku Wspomnień”, Grabski tegoż właśnie dnia, 2 czerwca, w czasie obiadu, mówił mi o mającym nastąpić spotkaniu które miało miejsce tegoż dnia wieczorem przy kolacji u Grabskiego. Niestety, z tego spotkania nie ma spisanego sprawozdania, ale ta luka nie ma wielkiego znaczenia gdyż wiemy — tak z tego co mi mówił Grabski, jak i z tego co napisał Mikołajczyk w swej książce — że Mikołajczyk uchylił się wtedy od merytorycznej rozmowy i podjął ją dopiero 20 czerwca. Jeśli chodzi o tło i moją ocenę znaczenia tych rozmów, odsyłam czytelnika do mego „Urywka Wspomnień”, w którym, w świetle ogłaszanych obecnie dokumentów, nic nie muszę zmieniać.

Stanisław KIRKOR

(Otrzymany dokument drukujemy bez najmniejszych zmian. Poprawiono jedynie pisownię. Wstrzymujemy się również od komentarzy. Wymowa powyższego dokumentu jest przeraźliwie jasna tak ze strony sowieckiej jak i polskiej. — *Red.*)

MELDUNEK SPECJALNY 1/R. Nr 242 POCISKI RAKIETOWE

Po skutecznym zbombardowaniu przez RAF w nocy z 17/18 sierpnia 1943 niemieckiej stacji doświadczalnej broni raketowej „V” w Peenemünde na wyspie Uznam — Niemcy, chcąc odsunąć te drogocenne urządzenia poza zasięg lotnictwa Sprzymierzonych przenieśli doświadczenia do Polski. Wybrano obóz-polygon „Heidelager” koło miejscowości Blizna-Pustków w widłach Wisły i Sanu.

RAF, stosując bombardowania nocne, nie uzyskał zasięgu nad Polskę. Masowe bombardowania dzienne w lotach „wahadłowych” lotnictwa amerykańskiego z lądowaniem na lotniskach sowieckich rozpoczęły się dopiero w ciągu 1944 roku. Niemcy mogli więc uważać w jesieni 1943, że obszar centralnej Polski jest względnie bezpieczny z powietrza.

Już wkrótce po zbombardowaniu Peenemünde Niemcy zaczęli przygotowywać „Heidelager” Blizna do tego nowego zadania. Wywiad AK, panujący swą siecią obserwacyjną nad całym terenem kraju, rozpoznał te czynności. Był to jednak bardzo ciężki okres dla wywiadu AK, spowodowany całą serią aresztowań przez Gestapo. Pomiędzy wrześniem a grudniem 1943 Gestapo aresztowało kolejno b. szefa wywiadu ppłk. dypl. Wacława Berkę, ps. „Brodowicz”, jego następcę ppłk. dypl. Mariana Drobika, ps. „Dzięcioł”, szefa wywiadu frontu wschodniego ppłk. dypl. Władysława Szczekowskiego, ps. „Leszczyc”, kierowniczkę wydziału łączności wywiadu Marię Strońską, ps. „Kwiatkowska”.

Zostali zagrożeni, musieli opuścić swe posterunki służbowe i na kilka miesięcy wyjechać na prowincję szef Biura Studiów Wywiadu ppłk. dypl. Franciszek Herman, ps. „Nowak” i szef wywiadu obronnego Bernard Krawiec, ps. „Oskar”. Warsztaty pracy tj. sekretariaty tych najważniejszych komórek, z których chociaż pewne ocalały, musiały z powodu zagrożenia również przerwać pracę, a pracownicy wyjechali z Warszawy. Nieomal doszczętnie zostały rozbite aresztowaniami komórki łączności wewnętrznej i kurierskiej centrali wywiadu z terenem. Sporadyczne aresztowania objęły też i inne komórki centrali i placówek terenowych.

Kierowanie tym nadwątlonym aparatem dowódca AK w grudniu 1943 powierzył mnie, wyznaczając mnie na stanowisko szefa Oddz. II. Komendy Głównej AK. Zgodnie z przyjętą w AK

zasadą, odpowiadającą warunkom konspiracji, po otrzymaniu nowego przydziału, przyjąłem nowe pseudonimy wewnątrz Komendy Głównej „w górę” do przełożonych ps. „Heller”, wewnątrz O. II do podwładnych ps. „Makary”, a dla Londynu pozostał ps. „Antoni”.

Zadane ciosy zaciążyły na wydajności pracy wywiadu, gdyż niezależnie od ubytku najcenniejszych pracowników, trzeba było ogniwa i ich technikę pracy, rozpoznanej częściowo przez Gestapo, przestawić na nową modłę, przechodząc jeszcze głębiej w „podziemie”. Polegało to na zmianie wszystkich kryptonimów i pseudonimów, „spalonych” lokali konspiracyjnych i punktów alarmowych, kodów i szyfrów wewnętrznych a przede wszystkim trzeba było regenerować system nerwowy oddziału tj. łączność, bez której funkcjonowania, szczególnie w konspiracji, ustawała cała praca.

W tym krytycznym okresie zjawilo się przed wywiadem AK zadanie niezwykle ważne dla Zachodu — rozpoznawanie postępów doświadczeń niemieckich nad bronią raketową.

W centrali wywiadu Komendy Głównej AK sprawy niemieckich doświadczeń nad tajemniczą, nową bronią były studiowane już od dłuższego czasu. Meldowane do Londynu wyniki rozpoznania przyczyniły się m.in. do nalotu RAF na Peenemünde.

Opracowywanie zdobywanych wiadomości o broni „V” koncentrowało się w Wydziale Studiów O. II., którego szefem był ppłk. dypl. Franciszek Herman, a po jego „spaleniu” i wyjeździe z Warszawy pod koniec 1943 obowiązki jego objął mjr dypl. Bohdan Zieliński, ps. „Tytus”. Wydział Studiów składał się z kilku referatów oraz Biura Studiów Przemysłowo-Gospodarczych, którym kierował Jerzy Chmielewski, ps. „Jacek” do września 1942 tj. do chwili aresztowania go przez Gestapo; obowiązki jego przejął zastępca mgr Adam Mickiewicz, ps. „Telesfor”. Chmielewskiego — nie rozpoznanego jako żołnierza AK — udało się w marcu 1944 wydobyć z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po powrocie do sił objął poprzednio zajmowane stanowisko.

Gdy pojawiło się zagadnienie niemieckiej tajemniczej broni utworzono w Biurze Studiów Przemysłowo-Gospodarczych referat dla jej badania pod przewodnictwem inż. Antoniego Kocjana, ps. „Korona”, znanego sprzed wojny konstruktora lotniczego i szybowcowego. Oddanym mu współpracownikiem i pomocnikiem był inż. Stefan Waciurski, ps. „Funio”. Do współpracy, poza personelem referatu, pociągano specjalistów wielu dziedzin, profesorów politechniki i inżynierów.

Wydajność badań nad bronią „V” zależna była od ilości i wartości materiałów zdobywanych przez placówki terenowe. Gdy doświadczenia niemieckie prowadzone były w Peenemünde, materiał nie był zbyt obfity. Jego zdobywaniem zajmowała się komórka wywiadowcza O. II. z siedzibą w Warszawie pod kryptonimem „Lombard”, kierowana przez mjr. Jerzego Jettera, ps. „Dyrektor”. Przeznaczeniem jej było rozpoznawanie biegu spraw i życia gospodarczego w Rzeszy oraz ruchu w portach niemieckich. W tym celu w wielu punktach i w portach w Rzeszy „Lombard” utworzył swe placówki.

Po przeniesieniu doświadczeń niemieckich do Polski ich rozpoznanie powierzono terenowym placówkom wywiadowczym. Poligon Blizna znajdował się na terenie Krakowskiego Okręgu AK, toteż tamtejszy wywiad otrzymał odpowiednie wskazówki odnośnie zbierania wiadomości i sposobów ich przekazywania do Warszawy. Teren wokół Blizny był gęsto zalesiony a administracja leśna była obsadzona przeważnie przez Polaków. Wielu z nich należało do AK, innych pociągnięto do współpracy. Przez tę gęstą sieć została zapewniona ciągła nieomal obserwacja wokół obozu. Nie udało się przeniknąć do wnętrza obozu wobec niezwykle surowej kontroli i nawet Niemcy i SS-mani mieli tam wstęp tylko za specjalnymi przepustkami.

Licząc się z obostrzeniami niemieckimi wokół Blizny i możliwością wysp w sieci obserwacyjnej, co mogłoby jej działalność sparaliżować, poleciłem by „Lombard” zorganizował wokół obozu własne „zamrożone” placówki obserwacyjne. Miały one przygotować się do czynnego działania na wypadek obezwładnienia sieci miejscowej. Mimo „zamrożenia” również i placówki „Lombardu” nadsyłały nieco informacji z obserwacji zewnętrznej poligonu.

Dla skontrolowania niektórych meldowanych zjawisk inżynierowie z referatu inż. Kocjana wyjeżdżali w pobliże Blizny dla osobistej obserwacji. W ten sposób zapewnione zostało rozpoznanie do czasu, gdy pociski upadały wewnątrz poligonu.

Z początkiem 1944 wyrzucane pociski przekraczały granice poligonu i upadały na wschód od Sanu i po obu brzegach środkowej Wisły na terenie Okręgów AK Lubelskiego i wschodniej części Obszaru Warszawskiego, a zdarzały się upadki i w Okręgu Radomsko-Kieleckim.

Na moją interwencję dowódca AK wydał rozkaz dowódcom tych Okręgów wyznaczenia specjalnych lotnych oddziałów z zadaniem zbierania odłamków po wybuchu pocisków. Największa ilość pocisków upadła w rejonie Sarnak na południe od Bugu w siedleckim, gdzie przed strzelaniem zjawiała się niemiecka ko-

misja z różnymi urządzeniami pomiarowymi. Na całym obszarze gdzie spadały pociski, rozmieszczone gęsto samochodowe patrole niemieckie zdążyły natychmiast na miejsce wybuchu dla zbierania odłamków. Dochodziło czasem do wyścigu polskich i niemieckich patroli zbieraczy, a również i do starć zbrojnych między nimi. Największą ilość zdobyczy mogą zapisać na swym koncie patrole 22 p.p. AK w siedleckim.

Zebraną zdobycz w postaci odłamków dostarczano na punkty kontaktowe w Warszawie, skąd przekazywano je do laboratoriów inż. Kocjana. Transport odłamków był czynnością bardzo skomplikowaną wobec niezwykle surowej niemieckiej kontroli ruchu drogowego, szczególnie wokół Warszawy. Trzeba było używać różnych przemysłnych sposobów i skrytek dla uniknięcia wysp.

W miarę jak pracownie inż. Kocjana wzbogacały się coraz to większą ilością części tej tajemniczej broni i narastały meldunki z obserwacji wystrzeliwania pocisków, ich lotu, upadku i siły wybuchu rysował się coraz to wyraźniejszy obraz doświadczeń; były to niewątpliwie próby broni raketowej.

Po wybuchu pocisku-rakiety pozostawały w lejach czasem nawet duże jej części (głowice, rury etc.), które zdołano wprowadzić ukryć przed patrolami niemieckimi, ale nie dało się ich przetransportować do Warszawy. W końcu maja zdołano ukryć pod Sarnakami niewypał rakiety; była to jedna z największych zdobyczy. Wyjeżdżali wówczas z Warszawy w teren specjaliści dla dokonania pomiarów, zdjęć foto, etc. Pocisk składał się z olbrzymiej ilości części i rozpoznawanie ich przeznaczenia lub działania wymagało znajomości najrozmaitszych dziedzin wiedzy technicznej, konstrukcyjnej, radiowej, chemicznej. Powiększał się skutek tego zakres wiedzy fachowej potrzebnej do rozgryzienia działania rakiety, a wiele problemów, przed którymi stawał referat inż. Kocjana, wymagało mojej aprobaty, decyzji, uzgodnienia we-wnątrz Komendy Głównej. Dla przyspieszenia procedury, by ominąć ogniwa organizacyjne, przez które musiały przechodzić te sprawy (od Kocjana przez Chmielewskiego i Zielińskiego do mnie) co szczególnie w technice pracy konspiracyjnej zajmowało wiele czasu, wyłączyłem na wiosnę 1944 referat inż. Kocjana z Wydziału Studiów i powierzając całość spraw Chmielewskiemu podporządkowałem sobie wszystkie prace z tym związane.

Na gorączkowość i pośpiech w załatwianiu tych spraw wpływały również interwencje Londynu. Sztab Naczelnego Wodza był — oczywiście — stale informowany depeszami radiowymi o każdym nowym osiągnięciu. W miarę jak w Londynie rysowała się groźba, jaką dla wyniku wojny mogła stanowić broń raketowa, nadsyłało zapytania i ponaglenia o wyjaśnienie naj-

rozmaitszych szczegółów konstrukcyjnych i działania rakiety. To też wysyłałiśmy po kilka lub kilkanaście depesz radiowych tygodniowo z wynikami dokonanych rozpoznai.

Ciosem dla naszego świata technicznego, wstrząsem i zahamowaniem prac referatu było aresztowanie przez Gestapo 1 czerwca inż. Antoniego Kocjana; więzionego na Pawiaku po długotrwałych przesłuchaniach i zadanych torturach rozstrzelali Niemcy 13 sierpnia podczas Powstania Warszawskiego.

Gdy od 13 czerwca zaczęły padać na Anglię bomby V 1 zainteresowanie Londynu bronią V 2 jeszcze wzrosło. Szczególnie cenne byłoby dla specjalistów brytyjskich, badających te zagadnienia w Londynie, gdyby mogli niektóre części rakiety mieć w swych laboratoriach. Dostarczenie do Anglii takiej przesyłki było możliwe, gdyż już dwukrotnie, w kwietniu i w maju 1944 roku, przybyłe nocą z bazy włoskiej w Brindisi samoloty podjęły z konspiracyjnych lądowisk w Polsce kurierów i pocztę. Operacjom tym nadano kryptonim „Most”.

Po uzgodnieniu między Londynem a Warszawą postanowiono przeprowadzić w połowie lipca następną operację „Most III”. „Mostem” tym miał się udać do Londynu jeden ze specjalistów i zabrać ze sobą odpowiednio dobrane części rakiety wraz z meldunkiem opisującym dane charakterystyczne i działanie rakiety. Zadanie to powierzyłem Chmielewskiemu, który w tej misji przyjął pseudonim „Rafał”. Do Londynu mieli też udać się Tomasz Arciszewski, ppor. Tadeusz Chciuk, ppor. Czesław Miciński i Józef Retinger. Termin przybycia pasażerów na lądowisko pod Tarnowem pomiędzy wsiami Zaborów-Biskupice-Wał Ruda został wyznaczony na 15 lipca.

Po zreferowaniu mi przez „Rafała” meldunku do Londynu i po przepisaniu, został przedłożony do aprobaty szefowi sztabu gen. Tadeuszowi Pełczyńskiemu, ps. „Grzegorz” i dowódcy AK gen. Tadeuszowi Borowi-Komorowskiemu i przez niego podpisany pseudonimem „Lawina” 12 lipca. Meldunek ten zamieszczony jest poniżej w pełnym brzmieniu, tak jak został odszyfrowany w Londynie. Jego treść wskazuje jaka ilość materiału została zdobyta i jaką pracę wykonano, by rozgryźć tę jeszcze wówczas tajemniczą broń. Odprawiając „Rafała” zleciłem mu, że po przybyciu na Zachód przesyłkę może wydać tylko oficerowi polskiemu na pisemne upoważnienie szefa sztabu N.W., by nie dostała się w niepowołane ręce.

Po przybyciu na lądowisko 15 lipca, wskutek złej pogody na trasie lotu, trzeba było przez 10 dni oczekiwać na przylot Dakoty. Dodatkową niesprzyjającą okolicznością było przybycie

na kwatery do kilku okolicznych wiosek różnych oddziałów niemieckich. Wymagało to wzmocnienia ubezpieczeń wokół lądowiska i wzmożonej czujności.

Dopiero nocą 25/26 lipca nadleciała Dakota. Po kilku dramatycznych próbach startu, a nawet groźby spalenia samolotu, gdy początkowe próby zawiodły — Dakota, po 65 minutach pobytu na polskiej ziemi, wzniosła się w górę¹. W dwa dni później części rakiety i meldunek specjalny 1/R 242 znalazły się w Londynie w sztabie N.W., skąd przekazano sztabom Sprzymierzonym.

MELDUNEK SPECJALNY 1/R Nr 242 POCISKI RAKIETOWE

Meldunek niniejszy obejmuje gros wiadomości o pociskach raketowych, niemniej stanowi uzupełnienie meldunków znajdujących się już w posiadaniu Centrali, zawiera też sprostowanie stwierdzonych po dokładniejszym rozpoznaniu nieścisłych lub błędnych informacji, znajdujących się w meldunkach dotąd przekazanych.

Obok wiernego przedstawienia w meldunku niniejszym zebranych informacji przedstawiono w niektórych wypadkach, gdzie zdobyty materiał na to pozwolił, hipotezy, na tej zdobyczy oraz wiedzy fachowej opracowującego oparte.

Podkreślić należy, iż na podstawie obserwacji skutków działania pocisku, w niniejszym meldunku przedstawiono, oraz obecności w terenie po wybuchu różnych materiałów, określanych jako balast, wnioskować można, że do doświadczeń użyto pocisków tylko częściowo wypełnionych materiałem wybuchowym, co wskazywałoby na to, że efekt działania pocisku „prawdziwego” byłby niewspółmiernie większy.

W poszczególnych częściach meldunku przedstawiam:

W części I, wykaz — a) załączonych oryginalnych części pocisku, oraz b) zdjęć i rysunków niektórych części załączonych i tych, które wobec trudności technicznych nie mogły być odtransportowane.

W części II — a) wykaz części zdobytych,

b) opracowanie speców na podstawie materiałów rzeczowych oraz materiałów wiarygodnych,

c) hipotezy.

W części III — wyniki obserwacji prób dokonanych z pociskiem raketowym na terenie zasięgu sieci wraz ze szkicem sytuacyjnym i planem poligonu Blizna (w załączniku A) oraz szkicem obszaru spadku pocisku w rejonie m. Sarnaki (w załączniku B).

W części IV — posiadane fragmenty wiadomości dotyczące zakładów produkujących pociski raketowe.

W załączniku I zestawienie znakowań na częściach pocisku.

W załączniku II informacje fragmentaryczne, luźne — nie potwierdzone i nieprzepracowane, które podane tu zostały z obowiązku, z zastrzeżeniem co do wartości.

1. Szczegółowy opis odlotu Dakoty można znaleźć w książce Michała Wojewódzkiego, pt. „Akcja V 1 - V 2”, Instytut Wydawniczy Pax, 1970.

I. WYKAZ ZAŁĄCZNIKÓW ORYGINALNYCH CZĘŚCI, ZDJĘĆ I RYSUNKÓW

A. Załącznik części oryginalnych:

- Nr 1. przekładnia satelitowa.
- Nr 2. Geraetegruppe 5.
- Nr 3. przekładnik Bosch Nr 19 - 581 - a - 3.
- Nr 4 a. serwomotor.
- Nr 4 b. przekładnik 3 — uzwojeniowy.
- Nr 5. zawór.
- Nr 6. wkładka z kwarcem z aparatu radiowego Nr 0984.
- Nr 7. lampa RV 12 P 2001 z aparatu RD 0984.
- Nr 8. różne drobne części i kawałki.
- Nr 9. żyroskop.

B. Foto wraz z objaśnieniami:

- 1. Fragment statecznika kadłuba.
 - a) segment koła zębatego łańcucha napędu steru, schowanego (oprofilowanego) w okryciu blachy (patrz rysunek 1 a).
 - b) Na tej części wałka jest zamocowany do dwu spawalnych blaszek x — lotka (patrz rysunek 1 a).
 - c) Dźwigar z blachy stalowej.
 - d) W tym miejscu było łożysko kulkowe (porównaj rysunek 1 a oraz foto 2).
- 2. Wał napędu steru (drażony) i segmenty koła zębatego łańcucha.
 - a) Jeden, a dwa — miejsca na łożyska kulkowe.
 - b) wieloklin.
 - c) segment (3/4) koła zębatego łańcucha.
 - d) w tym miejscu jest umieszczony ster (patrz rysunek 1 a).
- 3. Wał pośredni napędu steru.
 - a) rura stalowa średnica 60 / średnica 52.
 - b) widelec przenoszący napęd na wał (patrz rysunek 3 cz. I).
 - c) koło zębate łańcucha.
 - d) miejsce na łożysko kulkowe.
 - e) pierścień wewnętrzny łożyska kulkowego (patrz rysunek 1 a oraz 3).
- 4. Aparat radiowy nadawczo-odbiorczy Nr 0984.
(1, 2, 3).
- 5. (1) Kłapa sterująca (z prasowanego grafitu).
 - a) łożysko kulkowe, na którym kłapa może się obracać.
 - b) widelec napędu kłapy (na stałe umocowany z wałem kłapy) (fragment w skali: 1 : 1 widelca b), patrz rysunek 5 oraz foto 5/4).
 - c) śruby mocujące (sztuk 8) okucie kłapy z częścią grafitową.
- 5. (2) Kłapa sterująca. Widok w kierunku X.
 - a) odłamany cieńszy profil kłapy grafitowej.
 - b) łożysko kulkowe.
 - c) część (fragment) kłapy z grafitu prasowanego.
 - d) okucie (stal, ceówka, płaskownik).
- 5. (3) Kłapa sterująca.
- 5. (4) Kłapa sterująca — widelec napędu kłapy na stałe zmocowany z wałem kłapy (patrz foto 5/1 oraz rysunek 4) — wygięty na skutek uderzenia o ziemię.

5. (5) Kłapa sterująca.
 - a) łożysko kulkowe obrotu wału kłapy,
 - b) fragment kłapy z grafitu.
 - c) stalowe okucie kłapy.
5. (6) Kłapa sterująca z prasowanego grafitu.
6. Butla do sprężonego powietrza. Napisy: ciśnienie próbne 300 atm, ciśnienie pow. 200 atm, pusta waży 7,46 kg., pojemność 7 ltr. data 14. I. 44.
7. (1) Serwomotor (wzmocniacz).
 - a) pompa olejowa 3-kołowa (trybikowa).
 - b) zaworki przelewowe pompy.
 - c) podstawa mocująca pompę olejową do karteru serwomotoru.
 - d) miejsce, z którego wychodziła końcówka napędu pompy.
 - e) nadlew na karterze, w którym chodzi tłok serwomotoru (wzmocniacz).
 - f) Tłok.
 - g) ząbki Hirtha do umocowania ramienia uchwytu łożyska kulkowego.
 - h) kołnierz wału przenoszącego ruch tłoków serwomotoru na dźwignię.
 - i) prowadzenie dla ramienia łożyska kulkowego (porównaj rysunek 6).
7. (2) Silnik elektryczny do napędu pompy serwomotoru.
7. (3) Silnik elektryczny na karterze serwomotoru.
7. (4) Widok ogólny serwomotoru (wzmocniacz).
8. (1) Fragment zbiornika (porównaj rysunek 8).
8. (2) Fragment zbiornika (porównaj rysunek 8).
8. (3) Fragment zbiornika (porównaj rysunek 8).
8. (4) Fragment zbiornika (porównaj rysunek 8).
9. a) Zawór redukcyjny ze stopu elektrycznego.
 - b) Kołnierz z fragmentem rury (stal).
 - c) Śrubunek wchodzący w wylot.
 - d) (porównaj rysunek 9.1.).
10. Szczątki zbiornika.
 - a) obsada na wtyczkę elektryczną, materiał blacha — hydronal/glin, magnez i domieszki Si, Mn i Fe (porównaj rysunek 7).
10. (1) Dysza główna rakietowa.
 - a) Jedyna nóżka (było prawdopodobnie sztuk 4) — (dospawana rura stalowa) z gwintem do umocowania silnika na pocisku rakietowym.
 - b) 6 rur stalowych prawdopodobnie do odsysania warstwy przysięciennej (patrz rysunek 11).
 - c) część wylotowa izolowana (między podwójnymi ściankami) watą szklaną.
 - d) przewody (półkoliste) naspawane do płaszczyzny zewnętrznej dyszy (patrz rysunek 11).
10. (2) Dysza silnika rakietowego.
 - a) przewody paliwowe.
 - b) przewody aluminiowe (?) do pompy ssącej (?) przysysającej warstwę przysięcinną.
 - c) doprowadzenie paliwa (?) do przestrzeni odparowania (?).
 - d) przewód (półkolisty) naspawany do płaszczyzny zewnętrznej dyszy (przestrz. odpar.) (?) patrz rysunek 11.
10. (3) Dysza.
10. (4) Dysza — widok od strony komory mieszkankowej.

10. (5) Dysza — widok od strony komory mieszkankowej.
 - a) koncerz dla rury aluminiowej, średnica 150.
 - b) podłączona rura L. średnica 10 (18 sztuk).
 - c) końcówka do podłączacza przewodów paliwa (sztuk 4).
 - d) nóżka (rura stalowa) gwintowana do podłączacza na płatowcu rakiety (sztuk 4) — (patrz rysunek 11).
10. (6) Dysza — widok od strony komory mieszkankowej (patrz rysunek 11).
10. (7) Dysza — widok od strony wylotu (patrz rysunek 11).
10. (8) Dysza — widok od strony komory mieszkankowej (patrz rysunek 11).
11. Stożkowo-walcowa część aluminiowa z umocowanym na śruby żebrzem.
 - a) Część stożkowo-walcowa (rysunek 11-1).
 - b) Żebro (rysunek 11/2).
 - c) Miejsce na śruby (porównaj rysunek 10/1/2/3).
12. (1) Serwomotor (zawór).
 - a) ruszający się trzon tłoka zaworu.
 - b) wylot perhydrolu.
 - c) otwory do wnętrza cylindra (przelewowe).
12. (2) Zawór.
 - a) zbiornik (fragment).
 - b) korpus zaworu.
 - c) uchwyt korpusu zaworu (patrz rysunek 10).
- 12 a. (1) Turbosprężarka (patrz rysunek 11) średnica zewnętrzna 1200, łopatki — szerokość 200, wysokość 25. Na niektórych częściach stemple WF 7 i WK 11.
- 12 a. (2) Dysza silnika reakcyjnego (patrz rysunek 11). Widoczna pompa odr.-próżn.
- 12 a. (3) Turbosprężarka (na gazy spalinowe czy pary utleniacza) (porównaj rysunek 11).
13. (1) Krater po pocisku raketowym.
13. (2) Krater po pocisku raketowym.
14. (1) Podgrzewacz utleniarza (perhydrolu).
14. (2) Podgrzewacz utleniacza (perhydrolu).
15. (1) Fragment instalacji? rozruchu? czy napędu turbiny spalinowej?? 1 zbiornik, w którym znaleziono „KmnO₄” (nadmanganian potasu), średnica tego zbiornika 220 mm, z blachy żelaznej długości 315 mm, 2 zbiorniki z blachy stalowej o podwójnych ściankami, między którymi znaleziono watę szklaną, wewnątrz jak wykazują ślady miało miejsce spalanie, średnica 140 mm, długość 250 mm.
15. (2) Fragment instalacji rozruchu? (czy do napędu turbiny spalinami?) (Patrz foto 15/12).
15. (3) Fragment instalacji rozruchu czy instalacji wytwarzającej spaliny do napędu turbiny spalinowej?
15. (4) Fragment instalacji rozruchu czy instalacji wytwarzającej spaliny do napędu turbiny spalinowej? (1). (2) patrz foto.
15. (5) Fragment instalacji rozruchu czy instalacji wytwarzającej spaliny do napędu turbiny spalinowej?
 - a) zawór redukcyjny? ze stopu elektron? (porównaj foto 2 a).

15. (6) a) Urządzenie elektryczne, do którego dochodzą przewody elektryczne dla zapłonu.
15. (7) Szczegóły fragmentu inst. 15 (1) — (2).
16. (1) Przekładnia satelitowa zał. rzeczowy Nr 1 (w środku napęd od silniczka el.). Napęd przenosi się ostatecznie na łańcuchowe koło zębowe (pasuje do łańcucha roweru).
 - a) 3 satelity.
 - b) łożysko ślizgowe fibrowe dla koła zębatego łańcucha, którego części a. -c — (ślizga się po — d).
16. (2) Przekładnia? zmontowana — rozmontowana — patrz foto.
17. (1, 2, 3) Geraetegruppe 5.
18. Zbiornik czy pływak.
19. (1) Żyroskop napędzany prądem zmiennym 3-fazowym, o dużej częstotliwości ciężar wirnika 275 g. moc do 10 W.
19. (2, 3, 15) Żyroskop.

C. Rysunki:

1. Schemat układu nadawczo-odbiorczego aparatu radiowego Nr 0984, a) schemat zrekonstruowanego fragmentu statecznika kadłuba.
2. Schematy, a — wał napędu lotki statecznika, b — segment koła zębatego łańcucha.
3. Schemat 1 — widelec napędzający część 2. 2 — wał pośredni napędu lotki.
4. Schemat widełca napędu kłapy grafitowej.
5. Schemat pompy ol. (kołowa zęb.).
6. Schemat ogólny serwomotoru (wzmocn.).
7. Schemat 1 — szczątki zbiornika, 2 — obsada wtyczki, 3 — wtyczka.
8. Schemat fragmentu kołnierza.
9. Schemat 1 — końcowy rury, 2 — omegówka, 3 — omegówka, 4 — prowadnica pierścieni.
10. Schemat 1 — część stoż* walcowa, 2 — żebro z blachy aluminiowej, 3 — nakładka mocująca, 4 — wzmacniacz, 5 — uchwyt wzmacniacza, 6 — zbiornik.
11. Schemat ogólny silnika reakcyjnego.
12. Schemat Geraetegruppe 5.

II. DANE TECHNICZNE KONSTRUKCYJNE

Na podstawie obserwacji i częściowego rozpracowania spadłych części pocisku w rej. Sarnaki poczynionych przez specjalnie delegowanych rzeczoznawców i sieć wywiadu oraz na podstawie obserwacji sieci w rej. poligonu Blizna w maju i czerwcu 44 r.:

— ogólne wymiary pocisku, podane przez sieć z poligonu w Blźnie wskazują na istnienie dwu rodzajów pocisków:

mniejszy o długości około 5-6 m. i maksymalnej średnicy 1,5 m.
i większy długości około 12 m. i maksymalnej średnicy około 2 m.

Fragmenty części fragmentowej pocisku:

* Szyfr niedokończony.

a) urządzenia elektryczne:

1) nadawczo odbiorczy aparat radiowy Nr 0984, urządzony jest w całości zmontowanej w pudle ze stopu lekkiego o wymiarach: $370 \times 260 \times 150$ mm. Ciężar całkowity około 10 kg. Ogólny schemat układu na rysunku 1. Odbiornik: 5 stopni jednolampowych z obwodami nastrojonymi. Sygnał odbierany o częstotliwości około 21 megacykli (fala około 14 m.), wchodzi z anteny na I. stopień i wzmacniany jest w stopniach II. i III., a następnie wchodzi do stopnia VI., sterowanego kwarcem o częstotliwości około 200 megacykli, gdzie się przypuszczalnie obniża częstotliwość i przechodzi do stopni IV i V.

Nadajnik: 4 stopnie, z których 6, 7 i 8 jednolampowe (stopień wyjściowy IX), dwie lampy równoległe dla uzyskania większej mocy wyjściowej od kilku do kilkunastu Watt. Stopień VI — sterowany kwarcem o częstotliwości około 200 megacykli, stopnie 7 i 8 wzmacniające i podwyższające częstotliwość do około 40 megacykli (fala około 7,5 m.), stopień wyjściowy IX — wyjściowy na antenę nadawczą.

Prostownik: Transformator zasilający, dławik, kondensatory blokujące i lampa prostownicza. Częstotliwość prądu zmiennego prawdopodobnie kilkakrotnie wyższa niż 50 cykli ze względu na małe wymiary rdzeni i kondensatorów blokujących. Prąd zmienny czerpany przypuszczalnie z prądniczki, napędzanej mechanicznie (propelerem). Do pudła dochodzi kabel 14-przewodowy, w którym są prowadzone przewody zasilające prądu zmiennego, dodatkowe przewody do ewentualnie pomocniczych napięć, przewody żarzenia i ewentualnie przewody od urządzeń przekaźnikowych do sterowania rakiety sygnałami, przyjmowanymi przez część odbiorczą urządzenia, oraz wysyłania danych przez raketę.

Z pudła wyprowadzone są dwa gniazdka dla anteny odbiorczej i nadawczej.

Lampy (11 sztuk) — nowego typu wojskowego (przypuszczalnie rt Telefunken) 6-cionóżkowe z wyjątkiem stopni IX i prostowniczej, które mają cokoł taki jak lampy bateryjne serii D. Przypuszczalne przeznaczenie urządzenia nadawczo-odbiorczego:

Urządzenie nadawczo odbiorcze przyjmuje sygnały na częstotliwości około 21 megacykli, które mogą brać tam przekaźnikowe urządzenia do sterowania rakiety. Jednocześnie pobudzany jest własny nadajnik, który wysyła swoje sygnały o częstotliwości około 40 megacykli, dzięki czemu można w każdej chwili określić miejsce rakiety w przestrzeni w czasie ruchu i wyznaczyć jej tor. Rakieta może również nadawać swą wysokość na podstawie wskazań altymetru. Nie jest wykluczone, że nadajnik rakiety działa dopiero pod wpływem sygnału, wysłanego z ziemi i odebranego przez raketę. Na foto Nr (1, 2, 3, ... 11) — zdjęcia aparatu i ciekawszych części. W załączniku rzeczowym Nr 3 wkładka z kwarcem oscylatora kwarcowego na częstotliwości paru dziesiątków megacykli z wyż. wym. apa.

W załączniku rzeczowym Nr 7 lampa RV 12 p.2001 ze stopni IV. aparatu.

2. Geraetegruppe 5 (nazwana mylnie przekaźnikiem w meldunku wywiadowczym wysłanym) — patrz foto 17 a (1, 2, 3) oraz załączniku rzeczowym Nr 2 — jest to przypuszczalnie układ modulacyjny lub detekcyjny na częstotliwości w zakresie akustycznym (wtórne uzwojenie transformatora 117 daje słaby rezonans przy około 230 cykli).

Schemat — patrz rysunki 1, 2, 3.

3. Wzmacniacz. Na częstotliwości 1,5 megacykli (prawdopodobnie pośrednia w stosunku do całego urządzenia radiowego pocisku) — 5-ciostopniowy z obwodami strojonymi, w stopniu końcowym 2 lampy.

4. Przekaznik Bosch Nr 19 — 5810 A-3. Uruchamiany z 24 Volt i 0,25 Amp., włączający lokalny obwód prądowy dużego natężenia (2 styki po około 30 mm² powierzchni) — patrz załącznik rzeczowy Nr 3.

5. Przekaznik 3 uzwojeniony. Jedno uzwojenie przypuszczalnie polaryzujące, 2 inne służą do przerzucania kotwiczki w położenie skrajne. Przekaznik ten — załącznik rzeczowy Nr 4.b. uruchamia wentyle serwowatora do napędu sterowego pocisku.

Serwowator — patrz załącznik rzeczowy 4 a i foto 7 (1, 3, 4) oraz rysunek 6.

6. Zawór. Uruchamiany elektrycznie (z 6 Volt, 0,13 Amp.), załącznik rzeczowy Nr 55 opracowanie specjalisty na podstawie badań przeprowadzonych nad oryginalnym urządzeniem.

b) Główna dysza napędowa wraz z komorą spalania (silnik raketowy?)

W sprostowaniu meldunku wywiadowczego 366 pkt 2. — wygląd dyszy podano wiernie na podstawie oryginału na rysunku 11 wraz z koncepcją jej działania.

Wymiary przybliżone. Komora spalania zamknięta jest głowicą, która jest prawdopodobnie przestrzenią mieszkankową. W przestrzeni tej jest umieszczonych 18 „garnków” o podwójnych sitowatych ścianach (patrz foto 10 (7, 6, 5, 4). Garnki te wg koncepcji służą do tworzenia mieszanek.

Podwójny płaszcz dyszy stanowi zbiornik, który prawdopodobnie jest wypełniony utleniaczem (perhydrol 100 %). Przyjawszy to założenie, utleniacz odparowuje, w tym jakby kotle i jednocześnie chłodzi ścianki dyszy oraz pary jego nabierają odpowiedniej prężności aby móc przedostać się prawdopodobnie jednym z przedziałów głowicy do przewodu śred 150, położonego w osi dyszy.

Przewód ten w połączeniu z częściami pokazanymi na foto 14 (1, 2) pozwala przypuszczać, że para utleniacza przechodzi z niego do podgrzewacza w formie mosiężnej miedzianej rury, podgrzewającego zbiornik utleniacza płynnego i następnie idzie do zasobnika, z którego przez 18 przewodów dostaje się do garnków.

Uwaga — słabym punktem tej koncepcji jest fakt podgrzewania zastosowanego tu utleniacza, wobec możliwości utraty w tym procesie specyficznych zdolności utleniających perhydrolu przez jego rozkład.

Widoczne na rysunku 11 i foto 10 (1, 2) 4 przewody, połączone odnogami z obwodowymi kolektorkami na płaszczu zewnętrznym dyszy są prawdopodobnie przewodami paliwowymi.

Kolektorki w liczbie 7 spełniają tę samą rolę w stosunku do paliwa, co przestrzeń międzypłaszczowa dla utleniacza, tj. powodują odparowania i nabranie odpowiedniej prężności pozwalającej na przejście par paliwa przez drugi „przedział” głowicy do garnków.

W garnkach pomiędzy ich ściankami następuje wymieszanie par paliwa i utleniacza, skąd mieszanina przez otwory sita zewnętrznego dna garnka dostaje się do komory spalania.

Kolektor na obwodzie przy wylocie służy prawdopodobnie do przysysania strumienia spalin do ścian dyszy przez wysysanie części spalin za pomocą szeregu otworków na jej zewnętrznej ścianie.

6 stalowych końcówek na kolektorze — foto 10 (1, 2) połączonych jest za pomocą rur z lekkiego stopu z 1 lub wieloma sprężarkami, wysysającymi spaliny.

Szczątki sprężarki — foto 12 (1, 2, 3).

Przysysanie to miałoby na celu skrócenie dyszy przez umożliwienie

zwiększenia kąta rozwarcia (z 10 stopni — kąt optymalny na kąt 25 stopni — kąt dyszy pocisku).

Istnieje możliwość, że wysysane spaliny są użyte do podgrzewania utleniacza lub paliwa (?).

Przyuszczalnie wyliczone ciśnienie w komorze spalania wynosi około 1,4 atm. Powyższa hipoteza określa część napędową pocisku jako silnik reakcyjny z dyszą zamkniętą.

c) Napęd sterów.

Na rysunku 1 a schemat napędu sterów.

Ster posiada powierzchnię około 0,061 metra² i obraca się na wałku stalowym, do którego jest zamocowany za pomocą przyspawanych blaszek. Wykonanie — blacha żelazna, żeberka bisymetryczne z normalnymi otworami ulgowymi.

Wałek chodzi na dwu łożyskach kulkowych, na jego końcu jest zamocowany segment (3/4) obwodu koła zębatego łańcuchowego (patrz także rysunek 2 i foto 2), który jest całkowicie schowany wewnątrz statecznika.

Napęd na segment przenoszący jest przez łańcuch kalibrowany (ze śrubą regulacyjną do ustalania odległości), który z kolei napędzany jest kołem łańcuchowym, zamocowanym na drugim wale (rysunek 3. część 2) wykonanym ze stali spawalnej, a na pewnym odcinku z rury stalowej średnicy 60 / śr. 52 i osadzony na 2 łożyskach kulkowych (patrz rysunek 1 a po prawej stronie).

Na końcu wału, przeciwnym do zamocowanego koła łańcuchowego, osadzony jest na wieloklinie widelec (patrz rysunek 3, część 1), który, albo bezpośrednio, albo za pośrednictwem jeszcze jednego z układu dźwigni, jest napędzany przez serwowmotor (wzmocniacz — patrz rysunek 9, foto 7 (1, 3, 4) oraz załącznik rzeczowy Nr 4 a. Wzmocniacz ten prócz cylindra z tłokami i przekładnią napędzającą za pośrednictwem wałka widelec (patrz rysunek 3, część 1) posiada jeszcze w swoim karterze 3-kołową zębatą pompkę olejową (patrz rysunek 5 i foto 7/1) i silnik elektryczny napędzający ją, zamocowany na specjalnym kołnierzu przy karterze.

W ten sposób za pomocą odpowiedniego obwodu elektrycznego (np. na skutek impulsu spowodowanego przez odbiornik radiowy — patrz pkt a 5) można spowodować wychylenie sterów.

Swobodny z obiegu olej wypełnia karter serwowmotoru.

Wszystkie przewody i urządzenia elektryczne wewnątrz są zabezpieczone przed działaniem oleju.

Pompa olejowa posiada dwa zawory przelewowe — na wypadek powstałych ewentualnie za dużych nadciśnień. Urządzenie to służy prawdopodobnie do napędu sterów wysokości, gdyż znaleziono podobne mniejsze (foto 16/1, 2), które ze względu na mniejsze siły napędowe są chyba sterem kierunkowym.

d. Różne części.

1) *Antena.* Antena nawinięta jest na 6-ciokątowej oprawce porcelanowej, wewnątrz której znajduje się cewka z galalitu. Całość umieszczona jest w pochwie z prasowanej masy papierowej o wymiarach: długość 500, średnica zewnętrzna 80, średnica wewnętrzna 40.

III. OBSERWACJE PRÓBY STRZELAŃ

1) *Poligony.* W uzupełnieniu Meldunku Wywiadowczego Nr 189 i 326.

a) Blizna, w załączeniu szkic sytuacyjny i plan poligonu. Wg informacji z końca czerwca teren doświadczalny powiększono, włączając doń m. Niwiska, tak, że póln. granicą stał się odcinek szosy prowadzącej z Dobrynia do Trześni.

Wg potwierdzonych informacji z czerwca zaobserwowano następujące urządzenia: hangar i hala montażowa wyposażona w obrabiarki, spawarki i dużą ilość sprzętów, prawdopodobnie 3 wyrzutnie torpedowe w rejonie Nanie od budynku szkoły, baraki mieszkalne dla obsługi i kierownictwa, betonowe studzienki dla przechowywania dostarczonych cieczy, lądowisko na póln. od budynku szkoły w Bliźnie, radiostacja, własna elektrownia polowa, linie telefoniczne do posterunku obserwacyjnego na terenie folwarku Przecław i do centrali obozu w Pustkowie, skąd jest doprowadzona też linia wysokiego napięcia, bocznica kolejowa i autostrada ze st. Kochanówka.

Wszystkie budynki i urządzenia na terenie poligonu są maskowane.

O.P.L. wokół poligonu rozmieszczono 12 dział plot. kal 150 i 88 mm oraz ckm. Załoga 650 ludzi, w tym około 30 specjalistów cywilnych reszta wojskowi.

Na jednej z „erkennungsmarke” zaobserwowano napis: Eis. O ers. 918 — batt. 800”. Ludzie ci rzekomo już od początku wojny pracują przy doświadczeniach z pociskami rakietowymi.

b) Krosno. Według niesprawdzonych informacji w rejonie Krosno istnieje rzekomo drugi teren doświadczalny skąd pociski są kierowane na Słowację. W sprawdzeniu.

c) Sarnaki. W załączniku B, — szkic obszaru spadku pocisków w rejonie m. Sarnaki.

Wg informacji z czerwca w terenie urzędowała komisja rozporządzająca radiostacją na samochodzie ciężarowym, telefonem polowym i nierozpoznanym aparatem umieszczonym w skrzynce o wymiarach około: 60, 40, 25 cm ustawionym na trójnogu na wzgórzu na plus minus 10 minut przed nadłeceniem pocisku.

Rozrzuty pocisków spadłych w rejonie Sarnaki obejmuje mniej więcej koło o średnicy około 10 km.

W końcu maja próby na tym terenie jakoby zakończono.

2) Start. Nie posiadamy pewnych informacji na ten temat. Z obowiązku podajemy na podstawie meldunków sieci z maja i czerwca następujące wersje z zastrzeżeniem ich prawdopodobieństwa:

a) Wyrzutnia w kształcie pomostu zbudowana na żelbetonowej podstawie. Nachylenie pomostu około 45 stopni, długość około 75 m. Pocisk startuje na szynach.

Wg jednych informacji start jest zupełnie cichy, według innych — towarzyszy mu głośny warkot. W chwili po starcie — tylna ścięta część pocisku posiada barwę jasno czerwoną. (Dowodziłoby to startu za pomocą silnika rakietowego).

b) Wyrzutnia posiada kształt rury o długości równej około 2/3 długości pocisku. Umieszczona w dole betonowym o głębokości 9 m. i średnicy 5 m. i skierowana pionowo. W momencie wyrzutu słychać głuchy odgłos po czym widać pocisk lecący pionowo w górę. W tyle pocisku ukazują się płomień i słychać przenikliwy warkot.

3) Obserwacja w locie. Brak wiarygodnych informacji. Wg. przygodnych źródeł — szybkość pocisku przekracza 1.000 km. na godzinę. Wysokość lotu jest podawana na około 6.000 m. (?), wg innej informacji 10.000 metrów (?).

4. Przebieg prób. W okresie 16. I. - 22. VI. 44 r. stwierdzono, że prowadzono próby zasadnicze dwu rodzajów:

a) małe pociski próbne wyrzucane z poligonu Blizna i spadające w pobliżu punktu wyrzucania;

b) pociski o donośności około 250 km wyrzucane z poligonu Blizna.

T A B E L A
ZAOBSERWOWANYCH STARTÓW I SPADKÓW POCISKÓW

<i>data</i>	<i>miejsce startu</i>	<i>miejsce spadku</i>	<i>ilość pocisków</i>	<i>uwagi</i>
16. I.	Blizna	—	1	
17. I.	"	—	1	
29. I.	"	Blizna	1	
2. II.	"	m. Rucisko	1	niewypał
7. II.	"	m. Ruda Sokola	1	
15. II.	"	—	1	
16. II.	"	Niwiska	1	
16. II.	"	Blizna	1	niewypał
19. II.	"	—	1	
23. II.	"	—	1	
24. II.	"	—	1	
26. II.	"	Niwiska	1	
2. III.	"	—	1	
4. III.	"	Blizna	2	
5. III.	"	—	1	
9. III.	"	Niwiska	1	
13. III.	"	Blizna	1	
16. 17. 18. III.	"	Górno	4	
19. III.	"	—	1	
20. 21-26. III.	"	—	3	
26. III.	"	Trześnia	1	
28. III.	"	Niwiska	1	
31. III.	"	—	1	
31. III.	"	Niwiska	1	
1. IV.	"	rejon m. Sawin	11	
2. IV.	"	Niwiska	2	
4. IV.	"	—	1	
5. IV.	"	Kolbuszowa	1	
6. IV.	"	—	1	wybuch nad wyrzutnią, straty w załodze. Przerwa w działalności poligonu.
14. IV.	"	Dąbnówka 6 pocisków	12	miejsca lądowania pozostałych 6 pocisków nieznane.
15. IV.	"	prawy brzeg Sanu NE Blizny 1 pocisk	12	miejsca upadku 11 pocisków nieznane.
14. 15. 16. IV.	"	strzelanie w kierunku Kolbuszowej	?	
19. IV.	"	—	1	
20. IV.	"	Blizna	2	

<i>d a t a</i>	<i>miejsce startu</i>	<i>miejsce spadku</i>	<i>ilość pocisków</i>	<i>uwagi</i>
20. IV.	Blizna	rejon Sarnak (Mężenin)	1	pocisk w Dębni niewypał
20. IV.	"	Kozienice	1	
22. IV.	"	rejon Sarnak		
		Siemiatycze	3	
29. IV.	"	rejon Sarnak	2	
30. IV.	"	rejon Sarnak, Wólka Klasztorna (23 km od Dębina)	2	
1. V.	"	Dębnia 1 pocisk rejon Sarnak, 4 koło Tarnobrzega	5	
2. V.	"	rejon Sarnak	5	
3. V.	"	rejon Sarnak	1	
4. V.	"	Ruda Sokola	2	
5. V.	"	Mokoszyn		
		k/Sandomierza	1	
6. V.	"	rejon Sarnak	1	
7. V.	"	rejon Sarnak	2	
23. V.	"	rejon Sarnak	1	
29. V.	"	rejon Sokółów Podlaski	2	
18. VI.	"	Budy Grabowskie (18 km od Skierniewic)	1	
22. VI.	"	Budy Grabowskie	1	
23. VI.	"	Wola Pękoszewska (Skierniewice)	1	
24. VI.	"	rejon Żyrandowa	1	

Tabela sporządzona na podstawie informacji sieci. Może być niekompletna i niezupełnie dokładna.

IV. R Ó Ż N E

Zakłady zatrudnione przy produkcji pocisków raketowych.

Wg niesprawdzonych informacji następujące fabryki są zaangażowane w produkcji pocisków raketowych:

1. Hartman i Braun — brak określenia położenia zakładów.
2. Westfälische Annalitische Sprengstoff Werk — Herrenwald Allendorf, kr. Marburg.
3. Bosch, brak określenia położenia zakładu.
4. Siemens, brak określenia położenia zakładu.
5. Brown Boveri Frankfurt nad Menem.
6. Hallesche Maschinen Fabrick, Halle a/Saale.
7. Tornwalder Maschinen Fabrick, Tornwald b. Gablenz.
8. Linke Hoffman, Wrocław.
9. Adler Werke, Eberwalde.
10. H 9 A Peenemünde.
11. Dynamit A. G. Brehrau k/Bydgoszczy.
12. Luft Muna, Ossowa Góra k/Bydgoszczy.
13. Kostuchna k/Katowic.

14. Zakłady (?) Królewiec (w lesie 20 km od miasta).

15. Wytwórnia (?) w Mistroy (Mizdroy?) na E od Swinemünde (informacja przygodna z końca czerwca).

Przesyłki rakiet dla poligonu Blizna i lotniska Udetfeld nadchodziły z m.: Szczecin, Wrocław, Brockau i Drezno.

LAWINA, 12. VII. 1944 r.

Spis załączników do Meldunku Specjalnego I/R.

Załącz. I. zestawienie znaków na oryginalnych częściach pocisku.

Załącz. II. informacje fragmentaryczne:

załącz. A szkic sytuacyjny i plan poligonu Blizna.

załącz. B szkic obszaru spadku pocisków w rejonie Sarnaki.

1 — załączniki rzeczowe oryginalne części pocisku (8 sztuk) oraz drobne kawałki.

2 — rysunki-schematy poszczególnych części pocisku (13 sztuk).

3 — fotografie.

Uwaga końcowa: Załączniki rzeczowe oznaczone są jako załączniki do „Meldunku dodatkowego do meld. mies. 6/44”. Jest to równoznaczne z załącz. do meld. specjalnego I/R.

Rada Narodowa
Rzeczypospolitej Polskiej
Komisja Specjalna
L. dz. 191/Sprawozd./Sp./50.

Londyn, dnia 9 sierpnia 1950 r.

SPRAWOZDANIE KOMISJI SPECJALNEJ RADY NARODOWEJ R.P. Z DOTYCHCZASOWEGO WYNIKU JEJ PRAC*

Komisja Specjalna Rady Narodowej R.P. została powołana z inicjatywy Klubu Ludowego na podstawie uchwały Rady z dnia 29 czerwca 1949 roku oraz wniosku Rządu z 13 lipca tegoż roku.

Wybór Komisji Specjalnej został dokonany przez Radę Narodową R.P. w dniu 27 lipca 1949 roku.

* Komunikat prasowy PAT ze Sprawozdania został zamieszczony w streszczeniu m.in. w *Orle Białym*, 9 września 1950 r.

Na 29 posiedzeniu Rady Narodowej członek Rady, gen. Zygmunt Podhorski zgłosił wniosek, aby sprawozdanie Komisji Specjalnej przesłać Ministrowi Sprawiedliwości dla ewentualnej dalszej akcji. Widocznie wnioskodawca miał na myśli „zabezpieczenie dowodów”. 26 kwietnia 1940 roku Ra-

Zgodnie z wyżej wspomnianym wnioskiem Rządu, Komisja Specjalna została utworzona „w celu zbadania i ustalenia podstaw finansowych Rządu oraz działalności gospodarczej władz państwowych za czas od 1 lipca 1944 roku”, a więc za okres bez mała 5-letni.

Komisja Specjalna ukonstytuowała się w dniu 29 lipca 1949 roku i po uchwaleniu własnego regulaminu oraz po wstępnym uzgodnieniu z Rządem programu swych prac przystąpiła do jego realizacji.

Komisja Specjalna, poczuwając się w pełni do odpowiedzialności, jaką nałożyła na nią Rada Narodowa R.P., postanowiła, bez względu na ogrom zadań, stojących przed nią, dołożyć wszelkich starań, aby możliwie najgruntowniej zapoznać się ze sprawami, stanowiącymi przedmiot jej badań. Aczkolwiek Komisja Specjalna rozumiała doskonale, że nie jest ani organem sądowym, ani nawet śledczym, a tylko organem wykonawczym instytucji państwowej, działającej w zastępstwie ciał ustawodawczych, tym niemniej postanowiła posługiwać się w swej pracy metodą obiektywnego i wszechstronnego ustalania faktów, przejętą z postępowania sądowego, kładąc szczególny nacisk na umożliwienie złożenia wyjaśnień osobom zainteresowanym i odstępując od ich przesłuchania tylko w przypadku wyraźnego uchyłania się przez nie od stawiania się na wezwanie Komisji.

Bardzo szczupłe i jedynie fragmentaryczne wyjaśnienia, jakie Rząd obecny był w stanie udzielić Komisji Specjalnej, jeszcze bardziej spotęgowały trudności, które Komisja była zmuszona pokonywać. Nie ułatwiał z pewnością Komisji Specjalnej spełniania zadania również fakt, że mogła ona posiłkować się jedną tylko siłą fachową i wykonawczą zarazem, oraz że nie rozporządzała nawet najszczuplejszym budżetem na pokrycie kosztów badania świadków, rozproszonych po całym świecie.

W tym stanie rzeczy, Komisja Specjalna nie mogła wyczerpać całokształtu swych prac i musi z konieczności ograniczyć się do złożenia Radzie Narodowej R.P. jedynie ogólnego sprawozdania z dotychczasowego wyniku swych badań.

W okresie sprawozdawczym badania te były prowadzone głównie w kierunku ustalenia:

- 1) stanu funduszy państwowych w przedzie dniu cofnięcia uznania Rządowi Rzplitej przez wielkie mocarstwa,

da Ministrów w Angers uchwaliła projekt dekretu Prezydenta R.P. o zbieraniu i zabezpieczeniu dowodów w sprawach o przestępstwa pospolite. Dekret ten został ogłoszony w *Dzienniku Ustaw R.P.* nr 9 pod poz. 23 z dnia 30 kwietnia 1940.

- 2) strat, jakie w związku z tym poniósł Skarb Państwa,
- 3) losów poszczególnych funduszków, ocalonych po klęsce lipcowej oraz postępowania osób, bezpośrednio za nie odpowiedzialnych.

Komisja Specjalna odbyła dotychczas ogółem 46 posiedzeń, zbadała kolegiálně 40 świadków, wysłuchała parokrotnych zazwyczaj wyjaśnień Prezesa Rady Ministrów, Wiceprezesa Najwyższej Izby Kontroli, Ministra Obrony Narodowej i przedstawiciela Ministra Skarbu, otrzymała wyjaśnienia od Szefa Sztabu Głównego, od b. Premiera i Naczelnego Wodza oraz przedstawicieli dyplomatycznych Rządu R.P., zbadała 6 świadków, zamieszkałych na kontynencie za pośrednictwem upoważnionych członków Komisji bądź Rady Narodowej R.P., wysłała 190 pism w sprawach związanych z jej pracami i otrzymała 115 pism, zawierających różne wyjaśnienia i ustalenia, oraz dokonała poszukiwań odpowiednich dokumentów w archiwach rządowych i w archiwum „Studium Polski Podziemnej”, przeważnie przez sekretarza Komisji, p. dr. Wacława Szyszkowskiego, którego pilności i doświadczeniu Komisja zawdzięcza wiele cennych spostrzeżeń i ustaleń. Ponadto, Komisja Specjalna pragnie podkreślić pozytywne i obywatelskie ustosunkowanie się do jej prac przez znakomitą większość wezwanych świadków, którzy dopomogli Komisji swymi zeznaniami do wyświeatlenia niejednego trudnego zagadnienia. Natomiast odmówiły złożenia Komisji wyjaśnień głównie osoby, na których ciąży odpowiedzialność za posiadane fundusze publiczne, a mianowicie gen. S. Tatar (Tabor), ppłk M. Utnik, ppłk Jan Kamieński, b. min. Skarbu Jan Kwapiński, Józef Baraniecki (Paryż) oraz świadek W. Poleski. Wszystkie te osoby z wyjątkiem dwóch (pp. Poleski i Baraniecki) nie podały motywów swego postępowania.

Ponadto, Komisja w jednym odosobnionym wypadku spotkała się z pogrózkami pod swoim adresem w związku z prowadzonymi przez nią badaniami.

1. *Główne fundusze oraz majątek państwowy, będący w rozporządzeniu Rządu pomiędzy 12 lutego a 6 lipca 1945 roku*

We wspomnianym krytycznym okresie, pomiędzy datą ogłoszenia układów jałtańskich a datą cofnięcia uznania Rządowi Rzplitej przez wielkie mocarstwa, Rząd Polski rozporządzał stosunkowo dużymi funduszami i poważnym majątkiem państwowym. Składały się na nie:

- a) fundusze wojskowe, administrowane przez władze wojskowe oraz kontrolowane przez Najwyższą Izbę Kontroli;
- b) reszta tzw. Funduszu Krajowego, pochodząca głównie z daru Rządu Stanów Zjednoczonych na pomoc Polsce, będąca w faktycznej dyspozycji zastępcy Szefa Sztabu Głównego do Spraw Krajowych gen. Tatara (Tabora) oraz Szefa Oddziału VI Sztabu, ppłk. Utnika;
- c) depozyt dolarowy w Banku Polskim, pochodzący z daru Prezydenta Roosevelta, ofiarowanego śp. premierowi gen. Sikorskiemu na polskie cele publiczne;
- d) fundusze na placówkach zagranicznych, administrowane, bądź będące w rozporządzeniu polskich przedstawicieli dyplomatycznych;
- e) 40 statków handlowych, będących własnością przedsiębiorstw żeglugowych, których Rząd Polski był wyłącznym lub prawie wyłącznym udziałowcem;
- f) fundusz, będący w faktycznej dyspozycji tych przedsiębiorstw, a pochodzący z wpłat instytucji ubezpieczeniowych za zatopione statki;
- g) fundusze w bankach londyńskich na rachunkach rządowych;
- h) sprzęt wojskowy, pochodzenia polskiego (okręty wojenne), bądź zakupiony z funduszy polskich.

Ponadto, Rząd rozporządzał w tym okresie tzw. tangentami, wypłacanymi przez Rząd brytyjski co kwartał z góry na pokrycie wydatków określonych w polskim budżecie państwowym. Ostatnia tangenta została wpłacona na pokrycie wydatków II kwartału kalendarzowego 1945 roku.

W chwili cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu przez wielkie mocarstwa, ocalały w całości jedynie fundusze, wspomniane pod lit. a) i b).

Pozostałe fundusze i mienie przepadły w całości lub w części, a mianowicie:

A. Większa część depozytu dolarowego w Banku Polskim, wynosząca kwotę 700.000 dolarów w banknotach USA, została zajęta przez władze brytyjskie i po długich negocjacjach przekazana przez nie, po przeliczeniu na walutę miejscową niektórym instytucjom polskim na z góry określone cele społeczne.

Komisja Specjalna nie zdołała wyjaśnić motywów, którymi kierował się ówczesny Kierownik Ministerstwa Skarbu, p. Jan Kwapiński, zaniedbując wycofania w porę wspomnianego depozytu z Banku Polskiego. Komisja stwierdziła jedynie, że ówczesny Prezes Najwyższej Izby Kontroli, p. Tadeusz Tomaszewski, po ogłoszeniu układów jałtańskich zwrócił się o wycofanie de-

pozytu z Banku Polskiego, nalegając na min. Kwapińskiego, aby załatwił pozytywnie ten wniosek.

B. Jeszcze gorszy los spotkał fundusze rezerwowe znajdujące się na placówkach zagranicznych w Kanadzie i w Szwajcarii.

Rząd Kanadyjski po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu zajął złoto będące własnością Skarbu oraz Banku Polskiego, łącznej wartości około 2.000.000 dol. nominalnych. Złoto to leżało jako depozyt w Bank of Canada w dyspozycji Ministerstwa Skarbu względnie Banku Polskiego.

Ówczesny poseł Rzplitej w Kanadzie min. Wacław Babiński zwracał się niejednokrotnie do Kierownika Ministerstwa Skarbu, wysuwając konkretne sposoby zabezpieczenia złota, i domagając się instrukcyj i dyrektyw. Pomimo naglących alarmów, min. Babiński nie otrzymał żadnych poleceń, z wyjątkiem polecenia sprzedaży części złota za 20.000 dol.

W obliczu nieuchronnej katastrofy na dwa dni przed cofnięciem uznania, poselstwo nie mogąc się doczekać decyzji Ministerstwa Skarbu, na własną odpowiedzialność zażądało od Bank of Canada sprzedaży złota na rachunek poselstwa, Bank ten jednak odmówił wykonania zlecenia.

Fundusze, znajdujące się w Szwajcarii, zostały przejęte w dniu 7 sierpnia 1945 roku przez p. Romana Przeważńskiego, działającego z upoważnienia administracji warszawskiej, jako chargé d'affaires ad interim w Bernie. Ówczesny poseł Rzeczypospolitej w Szwajcarii p. Aleksander Ładoś, który po utworzeniu tzw. tymczasowego rządu jedności narodowej w Warszawie nawiązał z nim kontakt, przekazał w dniu tym p. Przeważskiemu wszystkie akta poselstwa oraz następujące sumy pieniężne:

a) gotówka w kasie Poselstwa	frs.	317.628,48
b) saldo na rachunku w Banku Kantonalnym w Bernie	frs.	298.789,20
c) saldo na rachunku w Banque Populaire Suisse na imię A. Ładosia	frs.	900.000,00
d) saldo na rachunku w Banque Nationale Suisse	frs.	288.119,40
e) pocztowy rachunek czekowy	frs.	2.211,62
f) gotówka w kasie delegatury Min.Op.Społ.	frs.	80.672,00

R a z e m : frs. 1.887.420,70

Pomimo formalnego przekazania wspomnianych sum pieniężnych placówce administracji warszawskiej, nie mogła ona dysponować swobodnie w ciągu kilku następnych tygodni kwotami,

znajdującymi się na rachunkach bankowych Poselstwa Rzplitej w Szwajcarii, wobec zablokowania tych kwot przez Rząd Szwajcarski.

P. Aleksander Ładoś, jak wynika z jego wyjaśnień, przesłanych przewodniczącemu Komisji Specjalnej w liście z dnia 25 kwietnia 1950 roku, przekazał ponadto w okresie krytycznym 100.000 frs. Józefowi Baranieckiemu, delegatowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, na polecenie Ministra Z. Berezowskiego. P. Józef Baraniecki, zapytywany przez Komisję Specjalną w tej sprawie, odmówił udzielenia wyjaśnień, zasłaniając się motywami natury politycznej oraz nie złożył zapowiedzianego sprawozdania Najwyższej Izbie Kontroli we wskazanym przez siebie terminie, przez co uniemożliwił ustalenie, kiedy i na jakie cele kwota powyższa została wydatkowana.

C. Największą stratę jaką poniósł w omawianym okresie Skarb Państwa, było przejście przez administrację warszawską całego mienia polskich przedsiębiorstw żeglugowych. Wartość polskiej marynarki handlowej oceniano na £ 8.000.000, nie wliczając do tej sumy kwoty około £ 2.000.000 w gotówce będącej na rachunku tych przedsiębiorstw. P. Jan Kwapiński, ówczesny Minister Przemysłu, Handlu i Żeglugi, uznał za niewykonalne projekty zabezpieczenia mienia tych przedsiębiorstw w szczególności odrzucił projekt ustanowienia Trusteeship'u, który mógłby przejąć majątek przedsiębiorstw żeglugowych i którego można by obciążyć obowiązkiem stałych świadczeń na polskie cele polityczne. Projekt ten, opracowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości przy współudziale prawników angielskich, był omawiany na Radzie Ministrów i nie został przez nią uchwalony jedynie na skutek stanowczego sprzeciwu min. Kwapińskiego. Nie podobna bez zasięgnięcia opinii wybitnych znawców prawa angielskiego ocenić, w jakim stopniu sprzeciw ten był uzasadniony. Pomimo to, zaniechanie prób zabezpieczenia najbardziej cennego mienia państwowego, a w szczególności niewycofanie w porę sumy około £ 2.000.000, nie znajduje usprawiedliwienia, nawet biorąc pod uwagę fakt wydzierżawienia Rządowi Brytyjskiemu polskiej floty handlowej przez Rząd Polski oraz okoliczność, że na czele przedsiębiorstw żeglugowych stał obywatel obcy, którego min. Kwapiński nie chciał odwołać ze stanowiska.

D. Z chwilą cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu przez wielkie mocarstwa, Rząd Brytyjski zajął kwoty, znajdujące się w bankach londyńskich na rachunkach rządowych.

Komisja nie była w stanie ustalić wysokości tych kwot wobec

niemożności wglądu do akt z tego okresu, znajdujących się według wszelkiego prawdopodobieństwa u b. min. Kwapińskiego.

2. Dalsze losy ocalonych funduszy

A. *Fundusze wojskowe.* Według zgodnych wyjaśnień miarodajnych czynników, fundusze te stanowiły główne źródło pokrycia wydatków państwowych z okresu po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu przez wielkie mocarstwa. Zbadanie gospodarki tych funduszy wiąże się ściśle z badaniem całokształtu gospodarki funduszami państwowymi, czego Komisja nie miała możliwości jeszcze dokonać.

Podobnie rzecz się ma z częścią tzw. Funduszu Krajowego wartości około 1.200.000 dol. pap., która to kwota została pod koniec 1945 roku przejęta przez odpowiedzialne czynniki wojskowe, niezależnie od gen. Tatara oraz ppłk. Utnika.

B. *Fundusz Krajowy.* Większa część Funduszu Krajowego pozostawała do końca w faktycznej dyspozycji gen. Stanisława Tatara (Pseudonim: Tabor) i ppłk. Mariana Utnika. Pomimo ogromnego nakładu pracy, Komisja Specjalna nie była w stanie ustalić, jakimi kwotami tego funduszu rozporządzali Tatar i Utnik w chwili gdy wymawiali posłuszeństwo prawowitym władzom Rzplitej i oddawali się do dyspozycji administracji warszawskiej. Komisja Specjalna ocenia stratę Skarbu Państwa z tego tytułu na kwotę przekraczającą w każdym razie 2.000.000 dolarów. Odzyskanie tej części Funduszu Krajowego wydaje się beznadziejne, szczególnie wobec faktu, że obaj wspomniani oficerowie zostali ostatnio w Polsce przez administrację warszawską uwięzieni.

Kwota będąca w dyspozycji gen. Tatara znajdowała się głównie we Francji i była zarządzana przez niego przy pomocy grona oddanych mu osób. Przy użyciu części tych funduszy, została w Paryżu stworzona bez wiedzy polskich władz prawowitych, fundacja, nazwana imieniem gen. Grota-Roweckiego.

Tatar oraz Utnik prowadzili akcję inwestycyjną m.in. zakupując różne nieruchomości w Anglii i na kontynencie. Niektóre z tych nieruchomości zakupione były jeszcze przed formalnym wypowiedzeniem posłuszeństwa. Nieruchomości w Anglii zakupowane były w zasadzie na nazwiska dwóch osób spośród trzech: gen. S. Tatara (Tabora), ppłk. M. Utnika i płk. Stanisława Nowickiego.

Nieruchomości w Anglii:

- nieruchomości miejskie w Londynie, 11, 13 i 15 Cornwall Gardens, S.W.7.;
- willa — 6, Montpelier Av., Ealing, W.5., ostatnio sprzedana (Komisja Specjalna nie miała możliwości ustalenia kto przeprowadzał tę transakcję i na czyją korzyść);
- Manor Farm, farma pod Londynem.

Nieruchomości we Francji:

- 74, rue Lauriston w Paryżu (Paris 16^e), siedziba reżymowego „Ogniska Polskiego” w Paryżu (w urządzenie tej siedziby przeznaczonej głównie na potrzeby młodzieży studiującej miał Tatar zainwestować równowartość kwoty około £ 10.000);
- Posiadłość wiejska — Presles-en-Brie pod Paryżem.

Dla pełnego obrazu należy podnieść, że nieustalony zresztą ułamek gospodarowanych przez Tatara funduszków, przekazywał on w formie różnego rodzaju zapomóg i darowizn do Kraju (np. dla Uniwersytetu w Krakowie książki wartości kilkuset funtów) oraz niewielkich zasiłków dla osób powracających do Kraju dla ułatwienia im założenia drobnych warsztatów pracy.

C. Na skutek zarządzeń naczelnych władz wojskowych, ppłk Jan Kamiński przejął w okresie czasu od września do 1 listopada 1946 roku poważną część Funduszu Krajowego pod swoją pieczę. Kwota przejęta przez ppłk. Kamińskiego wyniosła:

dolarów papierowych U.S.A.	2.238.749
dolarów U.S.A. w złocie	35.065
dolarów kanadyjskich w złocie	350
£ ang. w złocie	212,5
franków fr. w złocie	300
marek niem. w złocie	20
platyny	2 uncje

Zgodnie z rozliczeniem sporządzonym przez ppłk. Kamińskiego, ten ostatni wydatkował na podstawie zleceń prawowitych władz Rzplitej:

od września 1946 do 1 kwietnia 1947 ..	417.071 dol. pap.
od kwietnia 1947 do 1 lipca 1947	84.290 " "
od lipca 1947 do 1 października 1947	89.602 " "
od października 1947 do 1 stycznia 1948 ..	94.510 " "

R a z e m : 685.473 dol. pap.

Zgodnie z danymi, uzyskanymi przez Komisję Specjalną od miarodajnych czynników, ppłk Kamiński wydatkował w 1948 roku kwotę 500.000 dol. pap., a zatem na dzień 1 stycznia 1949 roku ppłk J. Kamiński miał w swej pieczy kwotę dol. pap. USA 1.053.276, oraz złoto i platynę w kwotach i ilości wymienionych powyżej bez zmian.

W czerwcu 1948 roku ppłk Kamiński wystosował do Prezydenta Rzplitej pismo treści następującej:

„Dostojny Panie Prezydencie!

Przy wykonywaniu otrzymywanych dyspozycji doszedłem do wniosku, wydatkowanie odbywa się niedostatecznie planowo oraz, że przyjmuje tak duże rozmiary, iż grozi to zbyt szybkim wykończeniem się stosunkowo niewielkich funduszy.

Równocześnie nie widziałem dotąd troski o poprawienie tych dwóch niewłaściwości merytorycznych, a jedynie starania o przejęcie kasy, będącej w moim przechowaniu. Oczywiście z punktu widzenia interesu ogólnego mniej ważne jest przechowanie (byle było bezpieczne), a ważniejsze jest odpowiednie dysponowanie.

Rozważywszy jednak wytworzoną sytuację, doszedłem do wniosku, że mogę nie mieć dostatecznych danych dla oceny słuszności poszczególnych zleceń wypłaty, że formalnie nie jestem powołany do pobierania takiej oceny, oraz, nie niewykonanie wypłat przeze mnie może hamować różne celowe prace.

Wobec tego proszę o stworzenie takiej formy wydawania mi dyspozycji, abym pozbył się niepokojów o merytoryczną stronę wydatkowania i ograniczył się tylko do technicznego wykonywania zleceń.

Wystarczającą dla mnie formą będzie powstanie Komisji w skład której wejdzie przedstawiciel Pana Prezydenta, przedstawiciel Naczelnego Wodza i p. Zygmunt Rusinek, który obecnie jest Prezesem Z.P.U.W.

Oświadczam, że zlecenia wypłat dane mi przez taką Komisję zawsze wykonam (trzy zakomunikowane mi podpisy).

Przy końcu nadmieniam, że nie omawiałem tej sprawy z p. Rusinkiem, który nie jest zorientowany ani w rozmiarach funduszu ani w ich przeznaczeniu. Wysuwam p. Rusinka, ponieważ poznałem jego obiektywność i samodzielną zdania, a także wiem, że kieruje się pobudkami ogólnymi, a nie osobistymi czy grupowymi.

Zechce Pan Prezydent przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i czci,

(—) J. Kamiński, ppłk. dypl.

W końcu 1948 roku ppłk. Kamiński odmówił wykonywania zleceń Rządu gen. Bora-Komorowskiego, jednak wypłacił jeszcze na początku 1949 roku kwotę 90.000 dol. pap. na cele wskazane przez prawowite władze Rzplitej.

W marcu 1949 ppłk Kamiński wyraził zgodę na pokrycie zaległych uposażeń pracowników państwowych, ograniczając w maju 1949 roku swą zgodę do uregulowania zaległości jedynie za okres pierwszych 4 miesięcy 1949 roku i to wobec niektórych

tylko urzędników. Kamiński wypłacił na ten cel w lecie 1949 roku ok. 6.500 funtów. Wypłata została dokonana przez ad hoc powołaną komisję, złożoną z przedstawicieli stronnictw opozycyjnych z pominięciem Rządu.

W dniu 12 maja 1949 roku Szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzplitej otrzymał swoisty dokument brzmiący dosłownie jak następuje:

Londyn, dnia 12 maja 1949 r.

Szef Kancelarii Cywilnej
Prezydenta R.P.
w Londynie.

Komisja przedstawicieli Stronnictw Politycznych: P.P.S., PRW NiD i SN prosi o powiadomienie, na życzenie ppłk. dypl. J. Kamińskiego, Prezydenta R.P. o przyjęciu z dniem 3 maja 1949 w imieniu powyższych Stronnictw obrony tej części Funduszu Krajowego, która znajduje się w depozycie u ppłk. dypl. J. Kamińskiego. Wyciąg z odnośnego protokołu w załączeniu.

Komisja:

- (—) Fr. Białas
- (—) R. Piłsudski
- (—) E. Sojka

Załącznik

Wyciąg z protokołu

W dniach 3, 4, 5, 6 maja 1949 odbyły się w Paryżu rozmowy pomiędzy Komisją przedstawicieli Stronnictw Politycznych w osobach pp. F. Białasa (PPS), R. Piłsudskiego (PRW NiD), E. Sojki (SN) i ppłk. dypl. J. Kamińskim dla ustalenia zasad zabezpieczenia dla celów akcji niepodległościowej o charakterze ogólnonarodowym, znajdujących się w depozycie u ppłk. dypl. J. Kamińskiego części Funduszu Krajowego.

Ppłk dypl. J. Kamiński, nawiązując do swego pisma z dnia 2 kwietnia 1949 omówił motywy, którymi kierował się zwracając się do Stronnictw o wspólne podjęcie się obroną Funduszu Krajowego przed zmarnowaniem. U podłoża jego decyzji istniała świadomość, że skuteczne zabezpieczenie tego Funduszu, tak aby mógł on jeszcze przez kilka lat stanowić oparcie dla ogólnonarodowej akcji niepodległościowej, wymaga poddania Funduszu kontroli publicznej. Wobec braku rządu opartego o szeroką podstawę polityczną, ppłk J. Kamiński widzi w instytucji Stronnictw niepodległościowych przedstawicielstwo opinii publicznej, które taką kontrolę może zapewnić. Podporządkowując Fundusz Krajowy kontroli i wspólnej dyspozycji Stronnictw, ppłk dypl. J. Kamiński czyni to w przekonaniu, że w ten sposób przyczynia się do najbardziej celowego użycia Funduszu, znajdując go się u niego w depozycie dla walki niepodległościowej.

Przedstawiciele Stronnictw, nawiązując do odpowiedzi listownej z dnia 12 kwietnia 1949 udzielonej ppłk. J. Kamińskiemu wyjaśnili, że Stronnictwa ich interesują sprawą Funduszu Krajowego wyłącznie ze względu na wagę tego zagadnienia dla interesu ogólnonarodowego. Przedstawiciele Stronnictw uważają, że podporządkowanie Funduszu Krajowego kontroli publicznej powinno przyczynić się do uzdrowienia ośrodka władz legalnych, podtrzymania ciągłości państwowości polskiej i przyspieszenia zjednoczenia

obozu niepodległościowego na zasadach demokratycznych. Poza tym w fakcie poddania kontroli publicznej tego Funduszu przedstawiciele Stronnictw widzą zapoczątkowanie akcji zebrania i poddania kontroli publicznej wszystkich funduszy publicznych będących obecnie w depozycie u poszczególnych powierników.

Po zreferowaniu przez ppłk. dypl. J. Kamińskiego obecnego stanu Funduszu Krajowego, znajdującego się u niego w depozycie i w wyniku przeprowadzonej dyskusji, komisja przedstawicieli Stronnictw Politycznych przyjęła w imieniu tych Stronnictw obronę tego Funduszu z dniem 3 maja 1949 roku.

Paryż dnia 6 maja 1949 roku.

Za zgodność

(—) Fr. Białas
(—) R. P.
(—) E. S.

Dokument ten zdaniem Komisji Specjalnej, nie zwalnia ppłk. J. Kamińskiego z obowiązku rozliczenia się wobec władz państwowych z posiadanych przez niego funduszy, ani z obowiązku wykazania tym władzom, na jakiej podstawie unieruchomił znaczną część tych funduszy w rozmaitych obiektach i przedsiębiorstwach, oraz pokrycia ewentualnych strat Skarbu Państwa, powstałych z tego tytułu*.

3. Saldo gotówkowe w chwili objęcia stanowiska Prezesa Rady Ministrów przez gen. T. Bora-Komorowskiego

P. Jan Kwapiński, ustępując w czerwcu 1947 roku ze stanowiska Kierownika Ministerstwa Skarbu, zatrzymał w swoim posiadaniu zarówno księgę kasową, jak saldo gotówkowe Rządu. Po dłuższych pertraktacjach p. Jan Kwapiński podpisał wspólnie ze swym następcą na stanowisku Kierownika Ministerstwa Skarbu gen. T. Borem-Komorowskim akt zdawczy z dnia 1 września 1947 roku, w którym stwierdził, że stan zasobów na ten dzień zgodnie z przedłożoną książką kasową wynosi £ 49.466.1.10 i że kwota powyższa łącznie z depozytem specjalnym wartości około £ 15.000, pozostaje pod jego opieką na przechowaniu w dotychczasowych składach. P. Jan Kwapiński jako powiernik funduszy państwowych, wypłacił następnie na zlecenie Rządu:

* Sprawie ppłk. Kamińskiego był poświęcony cykl artykułów w londyńskim *Dzienniku Polskim* pod tytułem „Fantastyczna sprawa ppłk. J. Kamińskiego”. 17 lutego 1953 pierwszy artykuł pt. „Jak 2.400.000 dolarów w ciągu 6 lat stopniało do 75 tys.”, 18 lutego — „Od pochorążówki w Ostrowiu do 2.400.000 dolarów w Paryżu”, 20 lutego — „Pp. Białas, R. Piłsudski i Sojka biorą depozyt w obronę”, potem „Historia drewnianego statku w Afryce i fabryki kleju w Brazylii — czyli epilog fantastycznej sprawy ppłk. J. Kamińskiego”, a 25 lutego — „Wnioski ze sprawy Kamińskiego”.

w dniu 1 września 1947	£ 20.000
w dniu 12 listopada 1947	£ 4.000
w dniu 2 lutego 1948	£ 10.000
w dniu 30 kwietnia 1948	£ 8.000

R a z e m : £ 42.000

Ponadto p. Jan Kwapiński, jak wynika z przedstawionych przez niego tzw. rachunków likwidacyjnych (pismo N.I.K. z 4 czerwca 1948) wydatkował bezpośrednio:

we wrześniu 1947	£ 233. 1.6
w październiku 1947	£ 197.10.6½
w listopadzie 1947	£ 207. 3.5½
w grudniu 1947	£ 208.11.

R a z e m : £ 846. 6.5

oraz złożył rozliczenie b. Prezesa Rady Ministrów T. Archiszewskiego na kwotę £ 159, zaakceptowaną przez Najwyższą Izbę Kontroli.

Łącznie cała tzw. kwota likwidacyjna wyniosła według zestawienia p. J. Kwapińskiego £ 1,009.19.3, zaś według N.I.K. £ 1,005.6.6.

Przedstawione Kontroli dowody rachunkowe stwierdzały, że p. J. Kwapiński wypłacał sobie w tym okresie uposażenie w wysokości £ 65 miesięcznie, pobierał ryczałt na „transport” w wysokości £ 20 miesięcznie, opłacał dwa lokale, w tym jeden „na skład” w łącznej kwocie £ 45 miesięcznie, pokrywał rachunki za elektryczność i telefon we własnym lokalu, oraz zakupił dzienniki i czasopisma za łączną kwotę £ 5.6.4. Pomimo zastrzeżeń, zgłoszonych przez N.I.K., Rada Ministrów zaakceptowała tzw. wydatki likwidacyjne p. Jana Kwapińskiego, ustalając na kwotę £ 6.456.0.0. wysokość depozytu funtowego, znajdującego się w jego posiadaniu. W wykonaniu uchwały Rady Ministrów, gen. Bór-Komorowski parokrotnie zwracał się do p. J. Kwapińskiego o zwrot depozytu funtowego a także depozytu specjalnego wartości £ 15.000, jednak nie uzyskał odpowiedzi pozytywnej. Na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 23 marca 1949 roku, ówczesny Premier gen. Bór-Komorowski stwierdził, że p. Kwapiński ostatecznie odmówił wypłaty będącej w jego posiadaniu kwot skarbowych. Pomimo powziętej przez Radę Ministrów uchwały w dniu 8 lutego 1949 roku, postanawiającej oddać sprac-

wę depozytu pod rozpoznanie Sądu Obywatelskiego, p. Kwapiński uchylił się od poddania się temu Sądowi.

Następca gen. Bora-Komorowskiego na stanowisku Kierownika Ministerstwa Skarbu, p. Tadeusz Tomaszewski, również nie zdołał odzyskać funduszków, znajdujących się u p. Kwapińskiego, spotykając się z kategoriyczną odmową ich wydania, motywowaną ostatnio względami natury politycznej.

4. Wydatki państwowe w latach 1944/49

Zgodnie z budżetami państwowymi, uchwalonymi przez Rząd, zwyczajne wydatki państwowe miały wnieść:

od 1 stycznia 1944 do 31 grudnia 1944	£ 13.873.490
od 1 stycznia 1945 do 31 grudnia 1945	£ 14.268.810
od 1 stycznia 1946 do 31 grudnia 1946	£ 112.961
od 1 sierpnia 1947 do 31 grudnia 1947	£ 45.000
od 1 stycznia 1948 do 31 grudnia 1948	£ 79.548
od 1 stycznia 1949 do 31 marca 1949	£ 16.251

W rzeczywistości, zgodnie z zamknięciami rachunków państwowych, wydano na ten cel:

od 1 stycznia 1946 do 31 grudnia 1946	£ 109.472. 8.4
od sierpnia 1947 do 31 grudnia 1947	£ 71.562. 8.9
(wydatki budżetowe	£ 46.126. 8.7
wydatki poza budżetowe)	£ 25.436. 0.2
od 1 stycznia 1948 do 31 grudnia 1948	£ 81.394.15.8½
(wydatki budżetowe	£ 61.555. 6. ½
wydatki poza budżetowe)	£ 19.839. 9.8
od 1 stycznia 1949 do 31 marca 1949	£ 8.018.11.8½
(wydatki budżetowe	£ 2.086. 0.4½
wydatki poza budżetowe)	£ 5.932.11.4

Analiza tych wydatków łącznie z analizą całokształtu gospodarki funduszami państwowymi będzie przedmiotem odrębnego sprawozdania Komisji Specjalnej.

Jednocześnie Komisja Specjalna spodziewa się uzyskać uzupełniające dane dotyczące budżetu państwowego za okres od 1 stycznia 1947 do 31 lipca 1947 oraz zamknięć rachunkowych państwowych za ten okres czasu, a także za lata 1944 i 1945.

(—) Ks. Jan Brandys
(—) Jerzy Kuncewicz

(—) M. Żegota-Januszajtis
(—) Bohdan Podoski

INSTRUKCJA K. SKIRMUNTA

Publikowana w załączeniu instrukcja jest dokumentem dość dużej wagi, istotnym zarówno dla badań nad problematyką międzynarodowych stosunków Polski w okresie międzywojennego dwudziestolecia jak i dla zrozumienia niektórych węzłowych problemów polityki wewnętrznej państwa. Jest to przede wszystkim pierwsza próba ujęcia sytuacji międzynarodowej w warunkach rozpoczynającej się dla Polski stabilizacji międzywojennej.

Jak wiadomo, pokój który zapanował w Europie pod koniec 1918 roku bynajmniej nie stał się automatycznie udziałem Polski, a uregulowanie granic europejskich w systemie traktatów, zwanych systemem wersalskim, nie załatwiło ani jednej sprawy granicznej polskiej.

Dopiero od wiosny 1921 roku Polska zaczęła wchodzić na tory pokojowej rekonwersji. Została na lat kilkanaście uregulowana najdrastyczniejsza sprawa granicy polsko-sowieckiej, co mimo ciągłej zapalności tej granicy, pozwoliło skoncentrować uwagę państwa na innych istotnych sprawach. Brak było w dalszym ciągu rozwiązania problemu przynależności Górnego Śląska, status międzynarodowy Galicji Wschodniej pozostawał w sprzeczności ze statusem wewnętrznym, odłogiem leżały podstawy gospodarki państwowej. Ale w tym mniej więcej czasie, co i Traktat Ryski został zawarty sojusz z Francją (19 lutego 1921) i z Rumunią (3 marca), dwa tygodnie później uchwalono ustawę konstytucyjną (17 marca). Rozpoczęło się przewycięzanie stanu prowizorycznego, panującego dotąd niepodzielnie we wszystkich dziedzinach życia publicznego, w tym również w sferze podstawowych wytycznych polskiej polityki zagranicznej.

Konstanty Skirmunt, który przyszedł po Eustachym Sapieże, był pierwszym polskim powojennym ministrem Spraw Zagranicznych. Jego nominacja na to stanowisko latem 1921 roku była wydarzeniem nieco osobliwym, wykraczającym poza ramy utartej praktyki konstytucyjnej. Bogaty ziemianin kresowy i przywódca ziemian, lojalista w okresie przed wybuchem wojny światowej i z tego powodu, wówczas i później, niejednokrotnie atakowany, w czasie I. wojny znalazł się na terenie Francji, gdzie wszedł w skład stworzonego przez Romana Dmowskiego i Erazma Piltza „Komitetu Narodowego Polskiego”. Tu, jako jeden z nielicznych, zachował niezależność poglądów w stosunku do przytłaczającej indywidualności Dmowskiego. Wyraziło się to przede wszystkim w krytycznym stanowisku wobec inkorporacyjnych planów polityki wschodniej Dmowskiego. Ówczesne poglądy Skirmunta w tej sprawie zbliżały go do tzw. „lewicy niepodległościowej” i jej koncepcji federalistycznej.

To stało się przyczyną, dla której Dmowski przy pierwszej

okazji usunął Skirmunta z Paryża, mianując go przedstawicielem KNP w Rzymie. Gdy rząd w Warszawie przejął dyplomatyczne agendy KNP, Skirmunt pozostał w Rzymie jako poseł RP przy Kwirynale. Na tym stanowisku nie włączał się do krajowych rozgrywek personalnych i politycznych i był osobistością zupełnie bezpartyjną, co wśród wyższych urzędników polskiej służby zagranicznej było raczej zjawiskiem odosobnionym.

W czerwcu 1921 zaczęło się w Warszawie kilkutygodniowe przesilenie gabinetowe. Międzypartyjne zawieszenie broni z lata 1920 roku przestało działać w pokojowej atmosferze. Rozgorzały walki o pozycje w rządzie. Jednym z głównych momentów walki była teka ministra Spraw Zagranicznych, do której endecja (wraz z przybudówkami) forsowała kolejno Romana Dmowskiego i Szebekę. Kandydatury te miały poparcie najpotężniejszego ugrupowania sejmowego, czyniły jednak niemożliwą samą myśl współpracy między rządem a Naczelnikiem Państwa.

W tej sytuacji, Piłsudski wierny metodzie faktów dokonanych, stosowanej przezeń tak często, wysunął na stanowisko ministra Skirmunta, dość bliskiego endecji — co jeśli nie niwelowało jej ataków, to przynajmniej dość mocno temperowało ich skuteczność — a jednocześnie dość od endecji niezależnego, by Piłsudski mógł żywić przeświadczenie owocnej współpracy.

W momencie objęcia teki Skirmunt był osobą szerszemu ogółowi raczej nieznaną, niemłodą (liczył 55 lat), pozbawioną oparcia na krajowej giełdzie politycznej. W przeświadczeniu osób wysuwających kandydaturę było prawdopodobne, że rola jego ograniczy się do wykonawczej, zwłaszcza że spokojny i zrównoważony, nie miał ambicji osobistych.

Skirmunt jednak wrócił do Polski z określonymi poglądami na sytuację i zadania polskiej polityki zagranicznej, wytworzonymi podczas pobytu za granicą. Siłą rzeczy mniej ulegał krajowym nastrojom i był skłonniejszy do wczuwania się w opinie zagranicy. Pierwszy wyraz swych dążeń dał już w drodze do kraju, w wywiadzie udzielonym prasie wiedeńskiej, a wkrótce potem w zamieszczonej w tym Zeszyście Instrukcji.

Rozstrzyganie, czy instrukcja ta była słuszna czy nie, czy służyła dobrze czy źle polskim interesom byłoby zadaniem przekraczającym obowiązki edytora, wszelkie zresztą stanowisko w tej sprawie byłoby podważalne i przynajmniej dyskusyjne. Zauważmy tylko, że o ile początkowo Skirmunt został przyjęty nader życzliwie przez piłsudczyków (por. *Naród* Nr 154, 12/6, 1921) a z ostrzymi atakami ze strony endecji — szczególnie ostrymi w *Gazecie Warszawskiej* — to z biegiem czasu stracił poparcie pierwszych, nie zyskując sympatii drugich. Po latach Wł. Po-bóg-Malinowski ocenił Skirmunta bardzo ostro i operował w tym potępieniu argumentami bezspornymi i ważkimi¹.

1. *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. II, wyd. 2, Londyn 1967, s. 582 i nast.

Niesposób jednak nie stwierdzić, że historyk w tym osądzie nie uwzględnił elementów przemawiających na korzyść Skirmunta, który wzmocnił międzynarodowy autorytet Polski. To było przyczyną, dla której istotne elementy jego „Instrukcji” przewijają się w polityce zarówno jego bezpośredniego następcy, Gabriela Narutowicza, jak i dalszych sukcesorów: Aleksandra Skrzyńskiego i Augusta Zaleskiego. Są to jednak sprawy, które prowadziłyby nas daleko w stronę subiektywnych dociekań.

Rozdzielnik „Instrukcji...” musiał być z natury rzeczy dość obszerny. Przetrzebiecie jednak polskich archiwów w czasie II-ej wojny światowej spowodowało, że jedyny zachowany a znany mi egzemplarz znajduje się w Archiwum MSZ w Warszawie w zespole poselstwa polskiego w Atenach. Ponieważ poselstwo to nie budzi wielkiego zainteresowania, dokument ten w wersji oryginalnej jest prawie nie znany.

Prawie nieznany. Dobry znawca materiałów tego okresu, dr Alina Szklarska-Lohmanowa, nie mogąc znaleźć autentyku, o istnieniu którego wiedziała, zmuszona była korzystać z niemieckiej edycji, zrobionej po zajęciu Polski w 1940 roku².

Jeśli tłumaczenie dokumentu nie może zastąpić autentyku, to tym bardziej w tym wypadku: anonimowy edytor popełnił kilkadziesiąt błędów i nieścisłości, co gorsze jednak, dla celów zdecydowanie politycznych dokonał wielu opuszczeń w tekście, zmieniając treść w sposób dość istotny.

I jeszcze jedna uwaga: Odpis „Instrukcji...” znajduje się w zbiorach Zakładu Stosunków Polsko-Sowieckich PAN, ale nie wszedł do wydawanego przez ten zakład odpowiedniego tomu „Dokumentów i materiałów do historii stosunków polsko-radzieckich”. Nie podejmuję się rozstrzygnięcia, czy zaniechano publikacji ze względów politycznych czy też po prostu autorzy tomu nie dostrzegli znaczenia dokumentu.

Józef LEWANDOWSKI

3. VIII. 1921.

AMSZ, Pos. Ateny, w. 1, t. 2.

INSTRUKCJA OGÓLNA DLA PLACÓWEK

DDD Nr 411

Ścisłe tajne

3/8. 21

31/8

Od dłuższego już czasu wykazuje opinia publiczna wszystkich niemal narodów w sądach swych o Polsce znaczną nerwowość i

2. Polens Aussenpolitik zwischen Versailles und Locarno. *Berliner Monatshefte* R. XVIII, 1940, s. 17-23. Alina Szklarska-Lohmanowa. Instrukcja ministra Skirmunta dla posła polskiego w Wiedniu. *Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, t. IV, Wrocław 1968, s. 202 i nast.

zaniepokojenie. Zewsząd, we wszystkich głosach prasy i przemówieniach odpowiedzialnych mężów stanu brzmi obawa, iż Polska zakłócić może pokój europejski, zewsząd słyszymy zarzuty, iż wyznajemy programy maksymalne i imperialistyczne, iż jesteśmy agresywni wobec sąsiadów, iż wreszcie mimo trudności naszej sytuacji wewnętrznej staramy się prowadzić niejako mocarstwową politykę i odrzucamy ofiarowywane nam przez przyjaciół radę i pomoc.

Geneza tych tak szkodliwych dla nas moralnie i materialnie sądów oczywista.

Pierwsze trzecie państwowej niepodległości Polski było okresem nieprzerwanych walk, bądź to orężnych bądź dyplomatycznych o ustalenie granic Rzeczypospolitej. Traktaty, które dały Polsce podstawy i formalną sankcję jej niepodległości nie mogły załatwić i nie załatwiły ostatecznie sprawy granic. Ta więc część zadania spadła w głównej mierze na nas samych, ale niestety spadła w czasie, gdy świat cały łaknący przede wszystkim pokoju, zmęczony tyloletnią wojną w obawie nowych wstrząszeń i powikłań zapatrywać się musiał krytycznie na poczynania nasze, najbardziej nawet uprawnione.

W założeniu swym tendencje opinii światowej zbiegają się poniekąd z interesem własnym Polski. Stan ekonomiczny i polityczny kraju wymaga skupienia i wyężenia wszelkich sił w kierunku odbudowy wewnętrznej, wymaga atmosfery pokojowej, wśród której jedynie dążności gospodarcze i organizacyjne rozwijać się mogą. Tym bardziej tedy staje się najpilniejszym i najbliższym zadaniem naszej polityki zagranicznej likwidacja tych wielkich problemów granicznych, które dotychczas jeszcze zostały otwarte, problemów Górnego Śląska, Litwy i ewent. Galicji Wschodniej.

Starając się o złagodzenie rozbieżności i licząc się w zupełności z realnymi warunkami politycznymi dążyć będziemy, aby rozwiązanie tych spraw nie przyniosło w niczym uszczerbku żywotnym interesom państwa polskiego, choć ze wszechmiar pożądanym jest, aby decyzja ostateczna zapadła o ile możności jak najwcześniej. Obstawać musimy przy tym, by każda z tych spraw traktowana była osobno i kolejno odrzucając stanowczo wszelkie próby stworzenia pomiędzy nimi rzeczowego lub formalnego iunctim i zmuszenia nas tym samym do płacenia za ewentualnie uzyskane korzyści w jednej dziedzinie, ustępstwami w drugiej.

Już w epoce likwidacji spraw granicznych winna polityka polska zagraniczna dla szczęśliwego ich przeprowadzenia, oprzeć

się przede wszystkim na dwóch zasadach, które i na przyszłość pozostaną jej kardynalnymi podstawami, tj. na poszanowaniu traktatów, które zakończyły wojnę światową i ugruntowały nasz byt państwowy, na utworzeniu systemu sojuszy z państwami, z którymi łączy nas wspólność interesów, w pierwszym rzędzie z Francją.

Poszanowanie traktatów, które są nie tylko prawną podstawą naszego istnienia państwowego, ale i najsilniejszą rękojmią nieodzownego dla nas ładu i pokoju w Europie, uważam tak dalece za niezłomny postulat naszej polityki, iż sprzeciwiać się będę każdej próbie uczynienia w nich wyłomu lub wprowadzenia zmian, choćby te próby dotyczyły kwestii pozornie dla nas obojętnych, lub nawet sympatycznych. I tak np. w sprawie tzw. Rusi Podkarpackiej uznając teoretyczną doniosłość wspólnej granicy z Węgrami, z którymi łączy nas wiek tradycyjnej sympatii, obstawać będę przy ścisłym wykonaniu i poszanowaniu postanowień Traktatów w Trianon i St.-Germain w przekonaniu, że naruszenie ich spowodowałoby nie tylko zamęcenie stosunku naszego do Rumunii i Czechosłowacji, ale wniosłoby również niepożądany dla wszystkich pierwiastek niepewności i bezładu w cały ustrój polityczny Środkowej Europy. To moje stanowisko wyłuszczyłem z całą otwartością przedstawicielowi Węgier w Warszawie.

W systemie sojuszy pierwsze i najważniejsze miejsce zajmuje nasze przymierze z Francją. We Francji, jednej z wielkich mocarstw znajdowaliśmy i znajdujemy zawsze pełne zrozumienie dla naszych potrzeb państwowych i aspiracji narodowych — ona jest naszą pośredniczką i naszym rzecznikiem przed forum mocarstw sprzymierzonych. Sojusz z nią odpowiadającym naszym dziejowym tradycjom, ugruntowany w uczuciach narodu stanowi jedyną pewną gwarancję nienaruszalności naszych granic zachodnich i jako taki jest koniecznym uzupełnieniem Traktatu Wersalskiego, który określając nasze terytorium według zasad przede wszystkim etnograficznych, dać nam nie mógł linii obronnej chroniącej nas dostatecznie przed ewentualnymi zakusami odwetowymi imperializmu niemieckiego. Genezie swej — z dzieła pokoju — odpowiada też, co podkreślać należy, charakter przymierza ściśle defensywny.

Drugie państwo, z którym już dziś nas sojusz łączy jest Rumunia. Jedyny to może sąsiad, z którym wspólność granicy nie spowodowała sporów terytorialnych. To co stworzyło podwaliny przymierza pozostanie i nadal główną wytyczną przyszłego naszego z Rumunią stosunku, ekonomicznie — otworenie tak ważnej najkrótszej komunikacji Bałtyk - Czarne Morze, poli-

tycznie — wzajemne zabezpieczenie stanu posiadania na wschodzie i stworzenie jednej niezłamanej linii obronnej wobec Rosji.

Sojusz z Rumunią określa już w pewnym stopniu stanowisko nasze w Europie Środkowej. Dla ustalenia tego stanowiska koniecznym jest dalej unormowanie sąsiedzkiego współżycia z Czechami, opartego na podstawach szerszych niż dotychczas, gdy regulatorem wzajemnych stosunków były jedynie rekryminacje terytorialne. Porozumienie polsko-czeskie winno Rzeczypospolitej zapewnić komunikację stałą i nieprzerwaną z Zachodem, otwierając w zamian przemysłowi czeskiemu drogi tranzytowe ku rynkom wschodnim, winno dalej podciąć ruchowi separatystycznemu ruskiemu te podstawy, które on sobie w Czechosłowacji stworzyć pragnie i na odwrót dać Czechom gwarancję, iż irredenta słowacka nie znajdzie w Polsce poparcia. A na dalszą metę stanowić winno porozumienie obu narodów zachodnio-słowiańskich skuteczną zaporę przeciwko zalewowi pansławizmu, który pragnąc zapewnić hegemonię Rosji w Słowiańszczyźnie i będąc w istocie swęj dążeniem do ekspansji ducha wschodniego, w rezultacie doprowadzić musi swych adeptów do konfliktu z demokracjami zachodu, zrodzonemu z kultury łacińskiej.

Przymierze z Rumunią i porozumienie z Czechosłowacją nie jest dla Polski identyczne z przystąpieniem do tzw. Małej Ententy, jest tylko wyrazem nowego ukształtowania się naszego stosunku do poszczególnych jej członków. Z tych Jugosławia najmniej ma wspólnych z nami interesów, ale nie ma i przeciwstawieństw; z nią więc porozumienie jest możliwe, pod warunkiem, iż osnowa jego uwzględniona zostanie uprzednio z naszym stosunkiem do Włoch. Gdyby jednak Polska nawet i z Jugosławią, a więc z wszystkimi państwami Małej Ententy związała się szeregiem umów bilateralnych, od adhezji do samej Małej Ententy, powstrzymywałby ją zawsze jeszcze zbyt jaskrawo antywęgierski charakter tej ostatniej. Antagonizm między Polską a Węgry nie ma ani politycznie, ani ekonomicznie podstaw sensu, a uczuciowo wiąże nas przeciwnie liczne nici sympatii. Obstając przy nienaruszalności traktatu, będąc przeciwni wszystkiemu co w ten traktat godzić by mogło, a więc i powrotowi dynastii Habsburskiej, nie mamy tedy żadnego zamiaru angażowania się w jakiegokolwiek bądź idącej akcji antywęgierskiej. I tak o ile Czechy i Jugosławia dążyłyby do przeprowadzenia na swoją korzyść przesunięć granicznych na zachodnich Węgrzech, akcja taka nie tylko nie znalazłaby naszego poparcia, ale byłaby jako zakłócenie pokoju w Europie Środkowej, z interesem naszym poniekąd sprzeczna.

Stosunek przyjazny Rzeczypospolitej do państw Środkowej

Europy znajduje niejako uzupełnienie swe na północy w stosunku jej do państw bałtyckich. Zarówno z Finlandią, Łotwą i Estonią pragniemy zasadniczo porozumienia. Postępowanie nasze wobec tych państw musi być jednak niezmiernie ostrożne, aby porozumienie to przyniosło nam w stosunku do obecnej i przyszłej Rosji gwarancje bezpieczeństwa, a nie na odwrót ryzyko nowej wojny. Wyjaśnienie i unormowanie ostateczne naszego stanowiska wobec związku bałtyckiego zależne jest poza tym od rozwiązania kwestii litewskiej. Zarówno Łotwa, jak Estonia wykazały, iż nie chcą czy nie potrafią się wyrzec uczucia pewnej solidarności szczepowej wobec Litwinów Żmudzkich, co powoduje dwoistość i niekonsekwencje polityki ich wobec Polski.

Poza przymierzem z Francją i zbliżeniem z sąsiadami, z którymi łączy ją wspólność interesów, konieczne jest by Polska starała się ukształtować jak najlepiej stosunek swój do wielkich Mocarstw Sprzymierzonych. Zdanie to napotykało i napotykać będzie jeszcze nieraz na wielkie trudności. Zbliżenie tak pożądane do Włoch, które w Radzie Mocarstw odgrywają coraz częściej rolę jęczyczka u wagi, tamowane były dotychczas mimo usilnej akcji w tym kierunku przez silne prądy pacyfistyczne i antywojenne, a czysto filoniemieckie, nurtujące ten kraj, jak może żaden inny w Europie. Niekorzystnie wpływają również na nastrój we Włoszech niedokładność i lekkomyślność ze strony Polski w traktowaniu zobowiązań gospodarczych. Wykazanie pokojowych tendencji Rzeczypospolitej i zwiększona sprawność w stosunkach handlowych — oto drogi doraźnego polepszenia stosunków polsko-włoskich. Na przyszłość oprzeć się one winny na przeświadczeniu, iż wybitna rola Polski w Słowiańszczyźnie Zachodniej stanowić będzie najsilniejszą i jedynie skuteczną zapórę przeciw tak niebezpiecznej dla Włoch ekspansji panslawizmu ku morzu Adriatykiemu.

Silny i bezpośredni wpływ sfer żydowskich i niemieckich na rząd Wielko-Brytyjski, obawa tegoż rządu przed hegemonią francuską na kontynencie i tradycyjna polityka łączenia się z pokonanym wrogiem, skłaniają Anglię do ciągłego niemal od czasu podpisania traktatów przeciwstawiania się interesom Polski. W drodze zainteresowania finansów i przemysłu angielskiego w przedsiębiorstwach polskich i składania ich do wspólnej akcji ekonomicznej w Rosji, starać się będę o złagodzenie antypolskiego stanowiska tego narodu, który bądź co bądź udziałem swym w wojnie europejskiej i dziele pokoju przyłożył rękę do ugruntowania naszej niepodległości.

Stosunek Polski do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej opiera się po dziś dzień na przesłankach natury ideowej, wy-

raża się w moralnym poparciu udzielanym nam przez największe państwo demokratyczne świata, w szeroko zakrojonej akcji humanitarnej, prowadzonej na naszym terytorium. Z wzmocnieniem i ustaleniem naszej państwowości, dążyć będziemy do uzupełnienia tego stosunku w dziedzinie finansowej, starając się o pomoc której nam Ameryka może udzielić łatwiej i skuteczniej niż zniszczone przez wojnę mocarstwa europejskie.

Japonia ma dla nas znaczenie nie tylko jako państwo reprezentowane w Radzie Najwyższej, ale i przede wszystkim jako wschodni sąsiad Rosji. Polityka prowadzona przez nią na Syberii może znaleźć zupełnie bezpośredni oddźwięk na naszej granicy wschodniej. Toteż porozumienie się w tej dziedzinie wydaje się potrzebne, ale przede wszystkim potrzeba, aby poselstwo nasze w Tokio stworzyło fundament pod takie porozumienie, badając ściśle tok i kierunek myśli politycznej japońskiej i szerząc w Japonii znajomość Polski i zaufanie do jej siły państwowej.

W stosunku Polski do wszystkich tych państw tak bliższych sojuszników i sąsiadów, jak mocarstw sprzymierzonych, uwypukla się wyraźnie pierwiastek defensywy wobec niebezpieczeństw grożących Rzeczypospolitej z dwóch stron, od wschodu i zachodu, Niemiec i Rosji. Obrona ta pośrednia przez sojusze, wzmacniające nas wojskowo i politycznie, wymaga jednak uzupełnienia w drodze bezpośredniego łagodzenia przeciwieństw między Polską a wrogimi jej sąsiadami. Odnośnie do Rzeszy niemieckiej, zadanie to niezmiernie trudne, póki jeszcze nie załatwiona sprawa Śląska, codziennie z większą siłą nowe budzi walki i antagonizmy. Na dalszą metę jednak dążeniem polityki polskiej będzie stworzenie lojalnego „Modus Vivendi” z Niemcami, za którego warunek stawiać musimy uznanie przez nich stanu rzeczy stworzonego przez Traktat Wersalski i nasze z Francją przymierze. Już od dłuższego czasu czynimy przygotowania do umowy gospodarczej, która umożliwi nam zakup towarów za niską względnie walutę, a Niemcom otworzy możliwość skierowania części swego eksportu do Rosji. Jedyne zwłoka w rozstrzygnięciu sprawy śląskiej sprawiła, iż rokowania te dotychczas się nie rozpoczęły.

Stosunek nasz do Rosji sowieckiej określony jest traktatem ryskim, który będziemy lojalnie wykonywać. Nie interweniując bynajmniej w jej sprawy wewnętrzne, przeprowadzimy likwidację rosyjskiej akcji antybolszewickiej, o ile takowa jeszcze na naszym gruncie się rozwija. O jakimkolwiek bliższym stosunku z państwem o tak odmiennych podstawach bytu politycznego i społecznego naturalnie mowy być nie może, nawet ekonomiczna nasza ekspansja ku wschodowi, w której rozporządzając mate-

riałem ludzkim wyszkolonym i zaznajomionym z terenem powinniśmy przodować innym narodom europejskim nie od razu rozwinąć się będzie mogła, póki kryzys transportowy, nędza i anarchia w Rosji uniemożliwia wszelkie płatnicze, a utrudnia wymienne stosunki.

Wtłoczona między dwa ogniska nienawiści, społecznej w Rosji, a narodowej w Niemczech, między dwa imperializmy zaborcze, narażona jest Polska bardziej niż jakiekolwiek inne państwo na niebezpieczeństwo ataku, tak z jednej, jak i drugiej strony. Potrzebując spokoju zwłaszcza w epoce tworzenia i rozbudowy naszej państwowości, szukać musimy zabezpieczenia naszego bytu, a znajdziemy je tylko w równowadze sił politycznych świata, opartej o wspólny interes wszystkich tych, co zwycięsko wyszli z wojny światowej.

Tej myśli przewodniej naszej polityki zagranicznej zechce Pan Poseł nie spuszczać z oka i rozpraszając obawy zagranicy, podkreślać wobec miarodajnych czynników, iż dążenie do utrzymania pokoju na wszystkich naszych granicach, a podtrzymanie ładu i pracy wewnątrz kraju jest nie tylko zgodne z interesem narodu, ale i ze świadomą wolą rządu polskiego.

Minister

S k i r m u n t

Do Pana Posła M. Jurystowskiego
Chargé d'Affaires w Atenach.

WŁ. GOMUŁKA NA AKTYWIE PARTYJNYM HUTY WARSZAWA (Cz. I.)

Proszę Towarzyszy!

Sprawa, która będzie przedmiotem mego wystąpienia, była już omawiana przez Was, była omawiana przez rozszerzone Plenum Komitetu Zakładowego Waszej Organizacji Partyjnej i nie jest Wam nieznaną. Chodzi mi o to, ażebyśmy sobie dzisiaj pomówili i poinformowali się nawzajem o pewnych sprawach związanych z kolportażem w Waszej Hucie przez niektórych człon-

Nieautoryzowany tekst przemówienia Towarzysza Wiesława-Gomułki na spotkaniu z Aktywem Partyjnym Huty „Warszawa” w dniu 7 maja 1964 r.

ków Waszej Organizacji Partyjnej tego właśnie paszkwilu, który tutaj mam przed sobą.

W stosunku do ludzi, którzy popełnili to przewinienie, zostały już wyciągnięte odpowiednie wnioski. Ale na tym sprawy zamknąć nie można. Nie można tym bardziej zamknąć na tym sprawy, gdyż ludzie którzy uczestniczyli w tej antypartyjnej działalności, to towarzysze zajmujący dosyć odpowiedzialne stanowiska, jak przewodniczący Rady Zakładowej tow. Łebek, przewodniczący wydziałowej rady robotniczej tow. Stępniewski, członek egzekutywy Komitetu Zakładowego tow. Potapczuk. Poza tym jeszcze inni towarzysze, niektórzy sekretarze organizacji oddziałowych, bądź to kolportowali, bądź też wiedzieli o tym kolportażu. Również szereg członków organizacji partyjnej otrzymało tę broszurę.

A zatem istnieje jakiś problem w Waszej organizacji partyjnej. Powstał problem polityczny i dlatego też trzeba sobie pewne sprawy wyjaśnić. Przede wszystkim te sprawy, które wymagają pewnego naświetlenia politycznego.

Stoi więc przede wszystkim przed nami pytanie: „Jaka jest geneza powstania tego paszkwilu i całej tej działalności? Kto się kryje za tym paszkwilem?” Trzeba sobie również odpowiedzieć na pytanie: „dlaczego niektórzy członkowie partii kolportowali ten paszkwil, lub nie informowali o nim Komitetu Zakładowego i władz partyjnych”. Są to sprawy, które będą przedmiotem mojego przemówienia i naszego dzisiejszego spotkania.

Wszystkim Wam wiadomo, że ta broszura, ten paszkwil zawierający atak na linię generalną naszej partii, na linię ustaloną przez Zjazd Partyjny, przez plena Komitetu Centralnego naszej partii. Paszkwil ten zrodził się na gruncie rozłamowej działalności, jaką prowadzi obecnie i coraz bardziej nasila w międzynarodowym ruchu robotniczym Komunistyczna Partia Chin. Właściwie autorzy tego paszkwilu reprezentują linię Komunistycznej Partii Chin. Za tym paszkwilem jednak kryją się również reprezentanci naszych, krajowych dogmatyków. Kryją się za nim ludzie, których działalność była znana w przeszłości. Przez wszystkie instancje naszej partii, przez plena, poczynając od VIII Plenum Komitetu Centralnego, później przez Zjazd Partii i kolejne plena działalność ich została uznana za niesłuszną, za szkodliwą, antyleninowską i wydawało się, że sprawa ta została już rozwiązana. Zresztą została ona rozwiązana rzeczywiście. W każdym razie ludzie ci — reprezentują również linię polityczną naszych rodzimych dogmatyków.

Tu trzeba by sobie znowu odpowiedzieć na pytanie: kim są właściwie ci dogmatycy, i czy należy ich dzielić na różne kate-

gorie. Wśród tych dogmatyków, względnie wśród kolporterów tej broszury znajdują się nie tylko dogmatycy z przekonania, ale są również elementy warcholskie, elementy niezdiscyplinowane, elementy, które czują pretensje do partii za winy przez nich samych popełnione. Później będę starał się to uzasadnić.

Poza tym jest jeszcze inna sprawa do omówienia. Wasza organizacja partyjna ma wiele osiągnięć zarówno w pracy ideologicznej, politycznej, wychowawczej, jak też i w pracy na odcinku produkcyjnym. Praca ideologiczna rzutuje przecież na wyniki pracy gospodarczej, mimo to jednak trzeba stwierdzić, że są w tej pracy jakieś niedostatki, jeśli niektórzy członkowie partii mogli przyjąć tę broszurę jako rzecz, którą można wśród robotników kolportować, do której można nie mieć zasadniczych zastrzeżeń.

Chciałbym przede wszystkim uzasadnić dlaczego uważam, iż dogmatycy, autorzy tej broszury, reprezentują Komunistyczną Partię Chin, linię Komunistycznej Partii Chin.

Otóż poza tą broszurą, poza tym paszkwilem, było kolportowanych w ostatnich czasach w pewnych miejscowościach wiele innych różnych podobnych materiałów. Dość szeroko kolportowano różne materiały chińskie atakujące Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego. Również i w tej broszurce znajdują się takie rzeczy, chociaż w zasadzie jest ona skoncentrowana na naszych sprawach wewnętrznych.

Ale ta grupka ludzi przygotowywała również dużo innych materiałów do kolportażu. To nie była tylko ta jedna broszura. Przygotowywano dalsze, których nie zdążono jeszcze odbić, wydrukować i puścić w ruch. Mam tutaj jeden z tych dokumentów przygotowanych do kolportażu (zresztą autor tej broszury i autor tego dokumentu to ten sam człowiek, jak wynika z całego szeregu sformułowań), gdzie zupełnie wyraźnie się stwierdza: „Konsekwentnym obrońcą międzynarodowego ruchu robotniczego jest Komunistyczna Partia Chin”. W tej broszurce takiego sformułowania nie znajdziecie. Miało się ono znaleźć w następnym dokumencie, zatytułowanym „Nie ma innej drogi”, który nie był jeszcze kolportowany.

I co dalej mówią oni w tym drugim dokumencie?

„Z materiału utkanego na XX Zjeździe KPZR, z jego uchwał i z tajnego referatu Chruszczowa uszyto sztandar współczesnego rewizjonizmu. Chruszczow zaś mianował siebie chorążym. Uchwały XX Zjazdu w sprawie pokojowego współistnienia, pokojowego przejścia i pokojowej współpracy są powszechnie znane, ponieważ były one publikowane i są na wszystkie strony zachwa-

lane w Związku Radzieckim i u nas w Polsce. Uchwały te cieszą się sympatią imperializmu”.

Nie ma tam w ogóle mowy o współistnieniu i o pokojowym przejściu do socjalizmu. Przyjmują oni wyraźnie tezy chińskie. W tymże dokumencie występują oni w sposób zdecydowany przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Dokonują analizy hasła „ze Związkiem Radzieckim na czele”, które było kiedyś wysuwane i dochodzą do wniosku, że hasło to kiedyś słuszne, a dziś już jest niesłuszne. Piszą mianowicie:

„Za życia Lenina i Stalina, a także jakiś czas po objęciu kierownictwa KPZR przez Chruszczowa hasło proletariatu nawołujące do jednoczenia wszystkich sił rewolucyjnych z komunistyczną partią Związku Radzieckiego na czele było jak najbardziej słuszne. Gdy jednak kierownictwo KPZR opanowali rewizjoniści hasło straciło dawny cel, stało się szkodliwe i tym bardziej szkodliwe jest obecnie”.

Macie tam zupełnie zdeklarowane stanowisko podpisujące się pod linią chińską.

Następnie — gdzie ten paszkwil był drukowany? Mogłoby się wydawać, że jest to jakaś wielka organizacja, która ma drukarnię, ma odpowiednią technikę itd., itd. Otóż nie. To jest bardzo wąziutka grupa ludzi. Wprawdzie jeszcze dokładnie nie mogliśmy ustalić wszystkich autorów tego paszkwilu, ale jest ich bardzo niewiele — prawdopodobnie tylko jeden autor. Wiemy nawet kto to jest i śledztwo to potwierdza, chociaż jeszcze trzeba będzie tę sprawę wyjaśnić. Drukowane to było nie u nas w kraju, lecz w Albanii. Pierwsza broszura, która była wydana w formie powielaczowej, w ilości kilkuset egzemplarzy, była drukowana w kraju, ale autorzy jej chcieli podnieść swoją rangę i wobec tego skontaktowali się, zresztą już dość dawno, z ambasadą albańską w Warszawie. Poprzez ambasadę przekazali ten tekst do Albanii, tam go wydrukowano i pocztą dyplomatyczną przywieziono do Polski. Broszurę tę odbierano z prywatnego mieszkania jednego z dyplomatycznych pracowników ambasady albańskiej. Wydrukowano tego — zdaje się — 2 do 2,5 tys. sztuk 200 czy 300 egzemplarzy zostało rozkolportowanych, a wszystkie pozostałe zostały zabrane — że tak powiem — ze składu — znaleziono je u tych ludzi.

Widzimy więc, kto za tym się kryje. Albania. To jest ta druga partia, która w pełni stoi na gruncie linii chińskiej. Wszystko to oczywiście kosztowało. Druk ich nie kosztował, bo zrobiono im to za darmo. Ale kolportaż, rozwożenie, samochody, pociągi, hotele (bo jechali z tym na Śląsk) kosztował i ktoś mu-

siał za to wszystko płacić. Mamy oświadczenie jednego z zatrzymanych, który stwierdza, że wie o tym, iż pewnego razu ktoś z tych ludzi otrzymał 10 tys. zł. od Chińczyków. Wiadomo, że za takie rzeczy się płaci. A zatem jest jasne, skąd szła ta inspiracja i jaką linię reprezentują utrzymujący się jeszcze tu i ówdzie dogmatycy. Kto przeczytał tę broszurę, ten może doskonale się o tym przekonać.

My jako partia nie mamy żadnej sprawy do ukrycia przed klasą robotniczą. Nie ma dla nas również wstydliwych pytań, względnie spraw których byśmy nie podjęli.

Broszura ta, to paszkwil napisany na dziewięćdziesięciu kilku stronach. Nie trzeba uzasadniać, że jej autorzy to dogmatycy. Ale powiedziałem, że dogmatycy są różni. Każdy dogmatyk w istocie rzeczy jest człowiekiem w pewnym sensie ograniczonym, jeśli chodzi o znajomość marksizmu-leninizmu. Są być może nawet dogmatycy z przekonania. Uważają oni, że linia jaką reprezentują, jest linią bezwarunkowo słuszną. Powiedziałbym: są to tacy ideowi dogmatycy. Rzecz w tym, że ludzie ci są bardzo ograniczeni pod względem wiedzy marksistowsko-leninowskiej. Nie będę tu mówić co to jest dogmatyzm, bo trzeba by było zrobić na ten temat cały wykład. Bywają ludzie ograniczeni, ale uczciwi.

Ale są też i inni dogmatycy. Bardzo często są to — o czym już wspominałem — elementy warcholskie, elementy, które się czują w różny sposób pokrzywdzone, które uważają, że partia ich nie docenia, że zrobiła im jakąś krzywdę. Człowiek jest przecież istotą bardzo złożoną. Są różne charaktery. W tym wypadku uważają oni, że należy walczyć z partią pod jakimś szyldem i akurat ten szyld im odpowiada, nie tyle ideowo, ale dlatego, że jest to odskocznia do walki z partią.

Mieliśmy wielu takich ludzi. Wicie dobrze, że szereg ludzi z organów bezpieczeństwa przenieśliśmy do innej pracy zawodowej po 1956 roku. Trzeba było to zrobić. Olbrzymia większość z tych ludzi dobrze się zaaklimatyzowała i nie ma żadnej pretensji. Zrozumieli oni niesłusność swojej poprzedniej linii, czy swoje winy i błędy i są dobrymi członkami partii. Ale niektórzy spośród nich są niezadowoleni. Uważają, że należałoby się im inne stanowisko. Mieli oni nieraz taki czy inny stopień wojskowy, a może nieraz i więcej zarabiali. Tamta praca bardziej im się podobała, a tu w fabryce jest praca cięższa i dlatego, że są osobiście niezadowoleni, atakują obecną linię partii. Ale są i warcholskie elementy, które są nieraz bardzo niebezpieczne. Otóż chcę Wam tutaj przytoczyć przykład jednego z takich ludzi.

Chodzi tutaj o Krajewskiego. Jest to były murarz, który był swego czasu tak zwane rekordy, później przeszedł do innej pracy,

czuje się obecnie niezmiernie pokrzywdzony. Za swoją poprzednią działalność, za dobre wyniki swojej pracy w latach pięćdziesiątych został odznaczony nawet Orderem Budowniczego Polski Ludowej. Otóż to jest jeden z ludzi należących do tej grupy i reprezentujący jej kierunek, u którego znaleziono około 50 sztuk tego paszkwilu.

Co to jest za człowiek? Jego niezadowolenie w stosunku do partii sięga dawnych czasów, sięga jeszcze tego okresu, kiedy było stare kierownictwo, kiedy była ta stara linia. Był on delegatem na II Zjeździe Partii, został wybrany zastępcą członka Komitetu Centralnego i później okazało się, że trzeba go wyprowadzić z Komitetu Centralnego. Za co?

Prezydium Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej 28 grudnia 1954 roku rozpatrywało sprawę Krajewskiego, zastępcy członka KC i podjęło uchwałę, ażeby wystąpić z wnioskiem do Sekretariatu o wyprowadzenie go z KC. Było to w roku 1954, zatem jeszcze na 2 lata przed — jak oni mówią — opanowaniem przez rewizjonistów kierownictwa partii.

Przedstawię Wam po prostu protokół:

„Krajewski Michał, ur. 21. XI. 1904 w Astrachaniu w Związku Radzieckim w rodzinie robotniczej, z zawodu murarz, obecnie na stanowisku radcy Ministra Budownictwa Przemysłowego, członek PPR, PZPR od 1945 roku podaje w swych aktach partyjnych różne daty wstąpienia do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej: w kwestionariuszu z dnia 20 lipca 1951 roku podaje, że był KZMP w 1928 do 1933 roku w Warszawie na Ochocie, w kwestionariuszu z 1949 r. podaje, że był w KZMP od 1928 do 1930 r., w życiorysie z 1949 r. pisze, że zapoznał towarzyszy z KZMP i pomagał w rozdawaniu ulotek, podaje jednego towarzysza Jamielkowskiego ps. „Bogdan”. Przesłuchany na tę okoliczność nie może podać nikogo więcej i twierdzi, że do żadnej komórki KZMP nie należał i że nie był ujęty organizacyjnie. Natomiast stwierdza, że chodził do Związku Klasowego Robotników Budowlanych na Kaczą i że też chodził do Związku Budowlanych na Ogrodową koło Żelaznej, mieścił się tam Związek Budowlanych pod wpływem frakcji rewolucyjnej Jaworowskiego. (Starsi towarzysze wiedzą co to była frakcja rewolucyjna Jaworowskiego). Poza tym chodził do galerii Luksemburga w Warszawie, gdzie się mieścił Związek Rezerwistów, który był całkowicie pod wpływem sanacji. Jak twierdzi mógł się tam uczyć, bo czuł głód nauki. Z różnych oświadczeń wynika, że nie był członkiem KZMP, raczej był sympatykiem lewicy robotniczej. W 1937 roku, zaś oddział Związku Robotników Budowla-

nych w Radomyślu woj. rzeszowskie przy tym Związku z niektórych członków założył tzw. chłopsko-robotniczy komitet rewolucyjny, gdzie było 3 prowokatorów. Było to w okresie strajków chłopskich. Późną jesienią tegoż roku nastąpiły aresztowania, w dniu 16 września 1938 nastąpiła rozprawa, gdzie Krajewski otrzymał 7 i pół lat więzienia z pozbawieniem praw obywatelskich na 10 lat. Na samym procesie i w śledztwie Krajewski zachował się dobrze. Zaczął się bronić jako członek frakcji rewolucyjnej, czyli frakcja rewolucyjna PPS, Jaworowskiego. Mimo, że twierdzi iż nigdy członkiem frakcji rewolucyjnej nie był. W więzieniu załamał się i pismem z dnia 27 grudnia 1938 roku do sądu apelacyjnego w Krakowie kaja się, weryfikuje ustrój sanacyjny, powołuje się na swój patriotyzm i całej swojej rodziny, pisze, że trzech jego braci zginęło w Legionach i liczy na łaskę Prezydenta, że jest człowiekiem lojalnym i że zasłużył na karę, lecz żeby mu podano rękę, że nigdy by nie postawił na robotę wywrotową, że uczyniono mu najstraszliwszy i ohydny zarzut, że odgrażał się Prezydentowi i innym członkom rządu. Pismo powyższe pisał bez zgody komuny więziennej. Podobne pismo pisał do Sądu Apelacyjnego w Krakowie i z więzienia w Tarnowie w dniu 28 lutego 1939 roku i następnie w dniu 15 marca 1939 roku. W związku z tym został wyrzucony z komuny więziennej. Dalej to są prywatne sprawy, rodzinne, których nie będę poruszał, nie potrzebne są do tego tematu sprawy prywatne, chociażby nie najlepiej świadczące o nim.

Widzicie więc towarzysze, co to za człowiek. Robotnik, z przekonania nawet rewolucjonista itd. Jak został aresztowany, dostał wyrok i załamał się. Były takie rzeczy, zdarzały się w ruchu? Zdarzały się, ale jednak bardzo, nie często. Ci starzy komuniści, którzy znają stary ruch komunistyczny, starzy członkowie partii, wiedzą dobrze co znaczyło przed wojną załamanie się. To była największa hańba. Taki człowiek, który się załamał w więzieniu, w komunie, czy w śledztwie, już nie miał żadnej perspektywy pracy w ruchu rewolucyjnym. Był zupełnie postawiony poza nawiasem.

Ludzi mordowano, bito, zabijano, torturowano itd. Ludzie się załamywali. Mamy dzisiaj armię, starych komunistów, którzy przeszli przez wszystkie kazamaty więzienne, przez wszystkich oprawców sanacyjnych i więziennych, mają za sobą nieraz długoletnie staże więzieniowe, siedzieli po 10-15 lat, a nieraz nawet byli i tacy, co siedzieli 17 lat. 20 lat istniała Polska burżuazyj-

na, a oni w tym czasie odsiadali 17 lat w więzieniu. I nie żałowali się.

Słabsi ludzie się żałowali. Do słabszych należał Krajewski. No dobrze, mogło się zdarzyć, że żałował się. Później zmieniła się sytuacja. Pojechał do Związku Radzieckiego, tam pracował jako murarz, później wstąpił do Wojska Polskiego i tu w armii doszedł nawet do stopnia majora. Nic nie mówił o przeszłości. Później kiedy to wykryto, Komisja Kontroli Partyjnej wystąpiła z wnioskiem: zdjąć ze stanowiska zastępcy członka KC. Z partii go nie wydalono, orderu nie odebrano.

Kto podpisał to orzeczenie? Jóźwiak — znany Wam członek dawnego kierownictwa partii, Krajski — obecny przewodniczący a wówczas członek Komisji, podpisała Jankowska — dawny i dzisiejszy członek Komisji Kontroli Partii, a także Skrzypkowski i Zubowicz. Później Krajewski był jeszcze wiceprezydentem Warszawy, a następnie przeszedł na stanowisko pełnomocnika ministra budownictwa dla spraw racjonalizacji i techniki. Nie wywiązywał się z tego wszystkiego. Ostatnio był inspektorem dla spraw rozwoju techniki, racjonalizacji i wynalazczości w budownictwie, w jakimś organie Ministerstwa Budownictwa. Co z tym Krajewskim, z człowiekiem z tą przeszłością dalej się dzieje? Poczuli się on tak rozżalony, że postanowił zmanifestować swoje poparcie dla polityki chińskiej i napisał list do ambasady Związku Radzieckiego w Polsce. Dotyczyło to listu otwartego KC KPZR, który był ogłoszony — jak pamiętacie — w ubiegłym roku w odpowiedzi na list KP Chin. Jeden i drugi list był ogłoszony.

Nie będę czytał tego listu, bo jest tam 13 stron bitego maszynopisu. W tym liście, który nie on sam napisał (zredagował mu kto inny) napada na Związek Radziecki w sposób bezczelny. Cóż mieliśmy zrobić z tym fantem? Wezwała go Komisja Kontroli Partyjnej, ażeby zbadać tę sprawę. Przyszedł do Komisji Kontroli Partyjnej, wyjął od razu legitymację partyjną: „macie legitymację, nie chcę waszej legitymacji”. I został wykluczony z partii. Ani z pracy nie zdejmowaliśmy go, ani żadnych innych sankcji nie stosowaliśmy. Ostatecznie nie przynosi to nam jakiegokolwiek szkody, chociaż utrudnia nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim.

Teraz w czasie rewizji, którą przeprowadzono u niego znaleziono jego własne już materiały, jego własne odezwy, które szykował dla robotników. Może Was trochę znudzę, bo to jest długie, prawie 4 strony, ale Wam przeczytam co on pisze. Jest to odpis z rękopisu zakwestionowanego w czasie rewizji domowej w dniu 6 kwietnia 1964 roku.

„Polscy robotnicy! Jesteście ciemni i oglupieni i zacofani. Pozwoliliście, żeby reakcja rozbiła was, cofnęła was na ostatnie miejsce w narodzie i odebrała wam wszelkie znaczenie w społeczeństwie. Dziś robotnik w Polsce oprócz brudnej ciężkiej pracy nie ma do niczego żadnego prawa, nikt dzisiaj u nas w Polsce z robotnikiem się nie liczy, ani go nie poważa. Dlaczego tak się stało? Stało się tak dlatego, że w pierwszym rządzie sami robotnicy nie umieli bronić swoich towarzyszy przed atakami reakcji. I pozwolili swoich prawdziwych przywódców, którzy wyrosli spośród klasy robotniczej zdusić, odsunąć, oszkalować i zgnieść. A przecież jak świat światem wiadomo, że robotnicy zwyciężają tylko wtedy, gdy mają robotniczych przywódców na czele i gdy potrafią ich bronić, szanować, kochać i ochraniać. Inaczej bez robotników, którzy prowadzą walkę nigdy klasa robotnicza zwyciężyć nie będzie w stanie.

Drugą przyczyną klęski robotników w Polsce jest rozbitcie i zdeprawowanie partii robotników w Polsce jako masowej organizacji proletariackiej i rewolucyjnej. Głównym czynnikiem rozsadzającym partię od zewnątrz były grupy żydowskiej, syjonistycznej burżuazji zakonspirowanej w Polsce wśród komunistów jeszcze w dawnych przedwojennych czasach, które po śmierci Stalina sprzymierzywszy się z endeko-sanacyjnymi i socjal-demokratycznymi polskimi niedobitkami reakcji wykorzystując głupotę i obłęd maniackalny degenerata i zdrajcy oraz sprzedawczyka Gomułki nakłoniły do bezwzględnej rozprawy z komunizmem i do zupełnego wypędzenia ich z partii i ze stanowisk państwowych i innych. W ten sposób za jednym zamachem pozabawiono robotników w Polsce władzy i odebrano im wszelkie zdobycze. Na to miejsce utworzono tzw. rady robotnicze, które w rękach reakcji stały się na wzór faszystowskich organizacji narzędziem dla uspokojenia i oszukiwania klasy robotniczej, pompowania z niej zysków dla jak najwygodniejszego życia i bytowania, pasożytniczych mieszczuchów, kombinatorów, oszustów, urzędników, złodziei, tzw. inteligentów i wszelkiego rodzaju marnotrawców i dręczycieli klasy robotniczej”.

I dalej:

... „Robotnicy! Nie chcąc być głupcami powinniście wbić w swoje twarde głowy, że nasi przywódcy mogą być wybrani tylko spośród was, a nie spośród urzędników, adwokatów, księży, kupców. Jeśli waszym robotnikom spośród was potrzeba będzie wiedzy to możecie im kazać uczyć się, ale niech wiedza nie zamienia ich na mieszczuchów, na inteligentów lub dyrektorów. Lecz dokąd są waszymi przywódcami, dotąd nie zostają

robotnikami. Ty robotniku jesteś głównym i jedynym twórcą wszelkich dóbr, bogactw państwa tzn. że powinienes przed wszystkimi decydować o wszystkim w rządzie i władzy w państwie, a tymczasem patrz co w Polsce Gomułka i jego pomocnicy, zwolennicy zrobili z robotnikami. Polski robotnik jest najgorzej płatnym na całym świecie, właśnie u siebie w kraju, gdzie pan Gomułka i jego naganiacze okłamują cały świat i wszelkie inne narody, że w Polsce władzę mają robotnicy. W Polsce robotnik ma coraz gorzej od czasu sławnego gomułkowskiego października. Wzmaga się niebywała drożyzna, zwiększają się ciężary podatkowe i socjalne, a opadają zarobki. Polska staje się rajem dla łapowników, dla waluciarzy, biurokratów, kupców, kombinatorów, chuliganów, żydów, księży i prostytutek oraz kanciarzy i marnotrawców wszelkiej maści. Wszystko to, cały ten gnój mieszczański i reakcyjny pasie się i tuczy i bogaci na pracy robotnika. A pan Gomułka i jego przyjaciele, wybawcy cieszą się, urządają bale, rauty, przyjęcia, wzbogacają kułactwo, które drze z robotników ostatnią koszulę za byle markę, czy za byle jajko czy kroplę mleka. Wydaje przyjęcia dla panów dziedziców i burżuazji zza granicy i po kawałku oddaje nasz kraj żydowskiej burżuazji. Odpowiada jej twoja robociarzu sytuacja w kochanej naszej ludowej ojczyźnie.

Robotniku! Dosyć długo uczyli cię mądrzy ludzie — ale ty zawsze byłeś uparty i zawsze pragnąłeś być głupi i zacofany. Największy poeta polski Słowacki już ci tłumaczył, że zguba twoja jest w Rzymie, tzn. w popieraniu i służeniu zakonom katolickim, kleru.

Ciemny robociarzu! Zrozum, że twoi panowie, którzy tobą rządzą w fabryce, w kopalni, w mieście czy na wsi, w PGR-e czy na budowie, że oni sami wierzą tylko w pieniądze, które na twojej pracy zarabiają, ale za to w obawie, aby się nie stał świadomym i mądrym każą tobie wierzyć we wszystkie głupstwa, które wygadują oni sami lub księża i ich politycy.

Ciemny, głupi, zacofany polski robotniku! Jest XX wiek, wszystkie narody na wschodzie i na zachodzie rozwijają się i idą naprzód. Jedynie zacofana, leniwa i sprzedajna szlachta w Polsce uważając siebie za inteligencję w spółce z żydowskimi kombinatorami i z gomułkowskimi księżmi i kacykami zdeprawowanej partii usiłuje ciebie zastraszyć na tej drodze postępu, żebyś był jak najdłużej mocny i głupi, pobożny i pokorny, uczciwy, pracowity i posłuszny, abyś jak najdłużej pracował bez sprzeciwu i bez buntu dla dobra naszych panów, wyzyskiwaczy i kombinatorów.

Robotniku polski! Zbudź się, rewolucja cię wzywa. Pamiętaj, że pokać nie powywieszasz kombinatorów i złodziei, dopóki nie przepędzisz kliki pana Gomułki i innych macherów od polityki, dopóki nie wygonisz z kraju burżujów polskich i żydowskich, dopóki nie weźmiesz przy pomocy robotniczego dyktatu krótko za pysk rozbrykanych mieszcuchów i fałszywej inteligencji, dotąd nie będzie się z tobą robotniku nikt liczył, ani nikt cię nie będzie poważał.

Robociarzu polski! Chcesz żyć, to nie wystarczy tylko pracować. Koń i wół też pracuje. Ale chcąc być człowiekiem i być traktowany po ludzku, sprawiedliwie, musisz sam rządzić i panować. Musisz sam sięgnąć po władzę i zdobyć ją.

Robotniku polski! Pamiętaj, że w Polsce nie było robociarskiej rewolucji zwycięskiej, która daje robotnikowi władzę. Musisz dążyć do takiej rewolucji, która da także sprawiedliwą władzę. Wszelka rewolucja socjalistyczna zaczyna się od porzucenia lub zahamowania pracy, która nie idzie na korzyść robotników. W Polsce praca nie idzie na korzyść robotników. Korzystają z niej pasożyty, kombinatorzy i zakłamaní karierowicze polityczni.

Robotniku polski! Przygotuj się do walki, a więc przede wszystkim do strajku, a tymczasem dokąd nie rozlegnie się hasło hamuj swój wysiłek, hamuj pracę, której pożytek nie idzie dla ciebie tylko dla wyzyskiwaczy i pasożytów.

Robotniku! Organizuj się w związki robotnicze, odstręczaj od siebie mieszcuchów, inteligentów i lumpów”.

Polska Partia Komunistyczna
(—) podpisano.

To jest jeden materiał, a jeszcze króciutko drugi:

„Zrobić pozór dywersji na 1 Maja, napuścić PPS i Natolin niech rywalizują w udowodnieniu wpływów. Rozesłać między 1-15 czerwca listy o Albrechcie, Wisze, Cyrankiewiczu, Gomułce, Kolim, Kasmanie, Granas, Jędrychowskim, Ochabie, Nowaku, Romanie, Łodze, Putramencie, Zarzyckim i in.

Rozbić Zjazd, ośmieszyć Chruszczowa i komenderowanie w Polsce. Podać hasło 10 tys. mieszkań dla robotników Warszawy, po 2 tys. w każdym województwie, podnieść płace, zlikwidować biurokrację i prywaciarzy i rozbój i kradzieży. Przygotować 100 ludzi gwardii robotniczej do 5 tys.”.

Dotychczas można się było uśmiechać, ale obecnie sprawa już nabiera innego wyrazu, gdyż tu macie w tym wszystkim oblicze tego tzw. pokrzywdzonego dogmatyka. Dochodzi do tych samych wniosków, które reprezentuje kontrrewolucja, dochodzi do wspólnej linii z reakcją. Strajkuj, hamuj pracę, prowadź sabotaż, idź na tzw. rewolucję — to już nie żarty.

Wprawdzie te materiały nie były wydane, bo gdyby je wzięli ci, którzy pisali tę broszurę, to w takiej formie tego by nie puścili, ale myśli w nich zawarte są odbiciem treści broszury są zawarte, tylko wyrażone innymi słowami. Jest pewna logika, która prowadzi tego rodzaju ludzi po prostu na drogę kontrrewolucji. Na taką drogę, za którą trzeba już karać. Myśmy towarzysze, począwszy od 1956 roku i w późniejszym okresie prowadzili wielką kampanię wyjaśniającą, co to jest dogmatyzm, co to jest rewizjonizm i całą tę naszą walkę o czystość linii partii, o wyprowadzenie naszej partii na drogę twórczego marksizmu-leninizmu prowadziliśmy bez żadnych represji administracyjnych. Administracyjnych represji nie stosowało się do nikogo.

I to — powiedziałbym — dało niezłe wyniki.

I chyba sobie wyobrażacie co by się stało z człowiekiem, który by w latach po 1948 roku do roku 1955 czy 1956 wydał tego rodzaju broszurę, czy tego rodzaju paszkwile przeciwko ówczesnej linii generalnej kierownictwa partii. Nie trzeba sobie nawet dużo wyobrażać, co by się stało. Tego człowieka w ogóle by ugrobili, bądź też dostałby 10-15 lat murowane. Myśmy tego nie stosowali i nie będziemy stosować. I nie było sensu stosować tego rodzaju metod w jakiegokolwiek walce ideologicznej i tę walkę ideologiczną myśmy prowadzili.

Zwłaszcza po 1956 roku niebezpieczeństwo rewizjonizmu u nas w partii było bardzo duże i elementów rewizjonistycznych było niemało. Część odsunęliśmy, tych co rzeczywiście stali na gruncie rewizjonizmu, część się zamaskowała i siedzi jeszcze dzisiaj w partii, to znaczy nie występuje oficjalnie, ale zawsze ma jakieś zastrzeżenie od strony rewizjonistycznej do linii partii. Olbrzymia część ludzi, którzy w tym okresie zachwiania ideologicznego, jakie miało miejsce w 1956 roku (mieli różne stanowiska, skłaniali się do rewizjonizmu, skłaniali się do dogmatyzmu), olbrzymia większość tych ludzi na skutek naszej pracy wychowawczej i ideologicznej uznała za słuszną linię partii.

To była jedynie słuszną metodą postępowania i właśnie na skutek tej metody potrafiliśmy osiągnąć tak duże rezultaty. Partia nasza jest dzisiaj partią jednolitą mimo, że istnieją jeszcze odpryski rewizjonistyczne i odpryski dogmatyczne — ale partia nasza jest jednolita.

Jakaż u nas obowiązuje zasada, co my w praktyce stosujemy i powinniśmy zawsze stosować? Każdą sprawę, którą członek partii chce podnieść, względnie ma wątpliwości co do istoty jakiejś sprawy, co do linii partii, czy też poszczególnych zagadnień, jakie partia stawia, może podnieść na zebraniu partyjnym. To zresztą bardzo często ma miejsce. Towarzysze stawiają nieraz różne zapytania, czasami nawet bardzo tendencyjne, wychodząc nieraz z pozycji dogmatyzmu, nieraz z rewizjonizmu. Są takie pytania i odpowiada się na nie. Nie mówię już o całym szeregu innych spraw. Partia może się rozwijać, może być partią, może być twórczą siłą wówczas, gdy wewnątrz partii istnieje demokracja, gdy człowiek, który ma jakiś zastrzeżenia, może podnieść te zastrzeżenia wśród grona swoich towarzyszy, ażeby otrzymać właściwe wyjaśnienia. Może być nieraz i tak, że ktoś jest nieprzekonany co do tego, czy słuszne jest takie czy inne posunięcie partii, ale jest on komunistą, stoi na gruncie partyjnym; pozostaje przy swoim, ale niczym nie szkodzi partii, a przeciwnie — stara się zawsze partii pomóc tam, gdzie pracuje.

W partii obowiązuje centralizm demokratyczny, stanowisko większości. Zresztą, w praktyce nawet nie zdarzają się takie sytuacje ażeby powstawał wyraźny podział na większość i mniejszość. Ta większość na ogół — oznacza 99 %, albo też nieraz występuje całkowita zgodność. Przyjmuje się decyzje i uchwały Plenum Komitetu Centralnego i są one później realizowane. To jest jedyna metoda postępowania. Natomiast właśnie ci ludzie, którzy pisali ten paszkwil, który zatytułowali „W walce zwycięstwo — bierność i milczenie to zguba” — ci ludzie dowiedli wielkiego swojego tchórzostwa, bo każdy z nich i każdy z tych którzy tę broszurę kolportowali, jeśli miał jakieś zastrzeżenia czy niejasności, to mógł je postawić w organizacji partyjnej. Mogli zapytać jak to było z tym czy z tym i jestem przekonany, że 90 % z nich rzeczywiście mogło nie wiedzieć, co to są za sprawy, jak się sprawa ma? Proszę bardzo, można zapytać, wyjaśnić. Cóżby się stało złego? Czy mógłby ich ktoś źle potraktować? Byłoby fałszywe, gdyby się źle traktowało pytanie stawiane z pozycji partyjnej. To przecież pisali członkowie partii. Niektórzy zeznawali, że to pisał Mijał. Jest on dyrektorem Banku Inwestycyjnego; był dawniej członkiem Komitetu Centralnego, był w rządzie itd. Zdjęliśmy go, ale przecież nie przesładowaliśmy go. Na stanowisku dyrektora — proszę, siedź i pracuj. Możesz być z przekonania dogmatykiem, ale możesz na tym właśnie odcinku pracować; żadnych represji absolutnie nie zastosowaliśmy, chociaż można byłoby.

Więc to taki ma być członek partii. Dlaczego nie przyszedł

on na swoje zebranie organizacji partyjnej i nie postawił tej sprawy? Dlatego, że po prostu wie dobrze, że nie znalazłby żadnego poparcia w organizacji partyjnej, zostałby odrzucony, zostałby przez wszystkich potępiony za takie stawianie sprawy, tyle jest tu bzdur, tyle fałszu, tyle kręactw. Załgał się. Musiałby powiedzieć: załgałem. Ja bym mu tych łgarstw tutaj setki przytoczył. To jest jedno mrowie łgarstw. Dlatego nie mógł wystąpić na organizacji partyjnej. Dlatego, bo jest tchórzem. On się boi, że go odrzucą. Nie może z tym wystąpić, bo partia ma jednolite stanowisko w tych sprawach.

Powiada: „Milczenie to zguba”. A kto ich zmusza do milczenia! A niechże mówią! Ale nie chcą mówić. Oni wolą występować z paszkwilem. Towarzysze, ja tutaj nie chciałbym szerzej o tych sprawach mówić, ale np. w odróżnieniu od tego jak jest u nas, jak jest na przykład w Albanii, gdzie drukowano te broszury, albo też w Chinach? W Chinach sprawa inaczej wygląda. O, inaczej wygląda! Tam, jeśli ktoś by słówko powiedział i popadł w podejrzenie, że nie popiera linii partii, to musiałby godzinami stać na trybunie i składać samokrytykę do upadłego, do krwotoku, po prostu do krwi, bo inaczej zdjęliby głowę, bez niczego. To ma być wyrazem dyktatury.

A w Albanii? Co jest w Albanii? Tam właśnie odejście od zasad marksizmu-leninizmu, od zasad demokracji partyjnej jest jednoznaczne z przekreśleniem wszelkiej demokracji. Z całego kierownictwa, które było kiedyś w okresie okupacyjnym, pozostało właściwie dwóch ludzi: Szehu i Hodża, a reszta została wymordowana, cała kadra została wymordowana. To wszystko, co się działo u nas, te nieprawości, które u nas miały miejsce w i po 1948 roku, to wszystko jest drobiazg w porównaniu z tym, co dzieje się w Albanii, czy w innych krajach.

U nas były represje, siedziało trochę niewinnych ludzi, ale to jeszcze w jakichś granicach było utrzymane. Było nawet i niewinnie rozstrzelanych kilku ludzi z wojska, wielu ludzi dostawało wyroki, byli męczeni, bici, ale to jeszcze nie to co w Albanii. Teraz znowu otrzymałem taką informację: W lutym bieżącego roku dokonano masowych aresztowań w różnych rejonach Albanii w związku z wykryciem spisku zmierzającego do obalenia obecnego rządu. W związku z tym od końca lutego odbywają się aresztowania i procesy. W czasie procesu, który odbywał się w Tiranie 7 kwietnia, sądzono 75 osób i wydano 7 wyroków śmierci. Pozostali otrzymali dożywotnie i wieloletnie wyroki więzienia.

Tam każda działalność przeciwko kierownictwu jest podciągana pod pojęcie spisku. Z cokolwiek wystąpisz, na cokolwiek

się skarżysz — spisek, zdrada, wieloletnie więzienie, albo zdejmują głowę.

To są te metody, które nam zalecają autorzy tej broszury. Na takie metody my nie pójdziemy. Ci, którzy pisali tę broszurę wiedzą, że u nas sytuacja jest inna. Np. gdy Krajewski pisał list do ambasady radzieckiej, to wiedział, że nic mu za to nie grozi. Gdyby żył on w takich warunkach, jak w Albanii czy w Chinach, to by tego nie napisał, bo głowę by oddał. A oni nam to zalecają, ten wzór partii, jaka powinna istnieć u nas.

To ma być ten wzór postępowania. Taka partia tylko przynosi szkodę własnemu narodowi, własnym członkom, międzynarodowemu ruchowi robotniczemu. Taka linia nie może mieć perspektyw.

Wiemy jak długo cierpieliśmy wskutek tych wszystkich wypaczeń, które miały miejsce w przeszłości. W Związku Radzieckim zostały one zdemaskowane, potępione jako kult jednostki; drogo ruch robotniczy musiał za to zapłacić, ale nie było innej drogi. KPZR musiała błędy naprawić, musiała zwolnić ludzi, potępić tych, którzy mordowali niewinnych; nie było innej rady, to było słuszne.

Myśmy też — jak wiecie — żadnych procesów czarownic, żadnych rozpraw nie robili, żadnych porachunków osobistych itd.

Pokazuję tutaj jakie jest oblicze tych ludzi, co to są za ludzie, co oni by tu chcieli narzucić, co sami reprezentują. Naszą linię obecną określają oni jako linię rewizjonistyczną, jako linię tzw. prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia. Oni powiadają w tej broszurze, że linią generalną partii jest prawicowe odchylenie. Widzimy tutaj zarówno chińską inspirację jak i podobne motywy postępowania autorów tej broszury w naszych wewnętrznych krajowych sprawach.

Jest jeszcze jedna bardzo istotna sprawa, którą chciałbym omówić. Powiedziałbym, że nawet ci nasi dogmatycy z przekonania, ci gorący zwolennicy linii chińskiej i albańskiej, która zresztą wykonuje linię chińską, nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, co w rzeczywistości leży u podstaw obecnej linii Komunistycznej Partii Chin. Na temat sporów ideologicznych, jakie toczą się od dłuższego czasu i szczególnie przybierają na sile w międzynarodowym ruchu komunistycznym, drukowaliśmy już немало materiałów. Wiele było publikowanych materiałów w przeszłości i ostatnio również trzeba było zająć pewne stanowisko. Dała temu wyraz również nasza delegacja partyjna w Moskwie. Tam mówiliśmy trochę na ten temat, ale to nie wszystko. Trzeba może było trochę głębiej tę sprawę postawić. Spór toczy się na płaszczyźnie ideologicznej, ale trzeba, towarzysze, zrozumieć,

że za podszewką tego sporu, za tą podszewką ideologiczną znajdują się i inne sprawy.

Tego właśnie nie rozumiem ani nasi dogmatycy (jestem głęboko przekonany, że nie rozumieją, względnie nie bardzo rozumieją), ani też wielu, wielu członków partii. O tym nie piszemy, nie mówimy, gdyż nie byłoby może najbardziej właściwie pisać o tym.

Partia nasza i inne partie, Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, od dłuższego czasu wielokrotnie zwracały się do Komunistycznej Partii Chin o przerwanie tej szkodliwej polemiki, a w każdym razie o zmianę form tej polemiki. Jeśli już ma być prowadzona polemika, niech będzie ona utrzymana w ramach partyjnych, niech będzie prowadzona językiem partyjnym, prowadzona tak, jak powinna być prowadzona dyskusja pomiędzy towarzyszami. Wielokrotnie zwracała się Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, zwracała się także nasza Partia, ostatnio, w lutym bieżącego roku, poprzez ambasadora, zwracała się Rumuńska partia, inne partie pisały pisma do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin: zaprzestańcie tych form polemiki.

Co na to odpowiada Komunistyczna Partia Chin? Odpowiada ona, że obecna polemika jest sprawą dobrą i oni jej nie zaniechają. I oczywiście tę polemikę z miesiąca na miesiąc zaostrażają. Tu w tym paszkwilu zarzuca się, że my członków partii nie informujemy o wszystkim, co się dzieje w międzynarodowym ruchu robotniczym. To znaczy, że nie informujemy o wszystkim, co mówi Komunistyczna Partia Chin.

Otóż, Towarzysze, w ciągu ostatnich kilku miesięcy Komunistyczna Partia Chin wydała siedem czy osiem artykułów. Każdy z nich jest dosyć potężną broszurą, objętości 70-80 stron. Drukowanie tych wszystkich paszkwili, tych wszystkich zarzutów, nie ma w ogóle sensu, przestaje mieć jakąkolwiek rację. Myśmy wydrukowali niektóre rzeczy, wydrukowaliśmy swoje, staliśmy i stoimy na gruncie przerwania tej dyskusji, nie chcemy podawać tego wszystkiego do wiadomości publicznej, gdyż to tylko cieszy naszą reakcję. Wszystkie siły wrogie socjalizmowi w naszym kraju tylko czekają, i nie tylko czekają, ale domagają się: publikujcie to wszystko, co piszą Chińczycy. Jeśli by zacząć to wszystko drukować, to trzeba by odpowiadać. Można drukować, ale trzeba odpowiadać. Jestem przekonany, że ludziom by to obrzydło. Niewielka ilość ludzi chciałaby tracić czas na czytanie tego wszystkiego. Ostatecznie każdy kto chce słuchać tych bredni, może sobie nastawić radio, bo Chińczycy na cały świat

to podają w języku rosyjskim. Bębnią, bębnią i bębnią o tym i może to dochodzić do wiadomości publicznej. Ja sam po prostu nie mam czasu czytać tych „kobył”, które absolutnie nie mają sensu.

Powstaje pytanie po co to jest potrzebne? Im rzeczywiście to jest potrzebne. Ta polemika rzekomo ideologiczna (i faktycznie to jest ideologiczna polemika), jest potrzebna Komunistycznej Partii Chin dla innych celów. Jest ona potrzebna dla realizacji wielkomocarstwowych planów Chińskiej Republiki Ludowej.

(dok. nastąpi)

WSPOMNIENIA

Leon BARAŃSKI

ROZMOWA Z MARSZ. ŚMIGŁYM-RYDZEM

Dnia 18 sierpnia 1939 roku wezwany zostałem do Marszałka Śmigłego-Rydza. Pan Miedziński, który się do mnie zwrócił z tym zaproszeniem oświadczył mi, że Marsz. Śmigły-Rydz pragnie ze mną porozmawiać na temat gospodarki finansowej w związku z potrzebami wojskowymi, zwłaszcza o ile dotyczy ona Banku Polskiego. Na moje zapytanie, czy Marszałek pragnie w tej materii zasięgnąć opinii innych jeszcze osób — odpowiedział p. Miedziński, że nie jest to żadna ankieta, i że Marszałka Rydza interesują moje osobiste poglądy na te sprawy.

Nadmienić muszę, że z Marszałkiem Rydzem rozmawiałem wówczas po raz pierwszy w życiu i nigdy go później nie spotkałem. Rozmowa miała przebieg następujący:

Marsz. Rydz prosił mnie o wypowiedzenie się na temat sprecyzowany wyżej — dodając, że sprawa otrzymania odpowiednich środków finansowych na zbrojenia jest dla niego bardzo palącą. Mówił o konferencjach, które miał na ten temat z Ministrem Skarbu, raz w obecności Prezesa Banku Polskiego, na których sprawy te były poruszane z rezultatem niezadawalającym*.

W odpowiedzi na to wypowiedziałem następujące swe poglądy i opinie:

W moim przekonaniu pewnikiem, który musi w naszych rozmowach dominować, jest fakt, że wojna Polski z Niemcami *będzie*. Środki zatem na sfinansowanie przygotowania wojenne-

* Na konferencji o której mowa nie byłem obecny.

go muszą się znaleźć, w granicach technicznych możliwości produkcyjnych kraju. Wszelkie rozważania gospodarcze, które stworzyłyby tu pewne obiekcje — muszą wobec tego stanu rzeczy odpaść. Zarządzenia finansowe musiałyby być dwójakiej natury — wewnętrzne i zagraniczne.

1) Co do zarządzeń wewnętrznych — to najpilniejszą sprawą jest natychmiastowa zmiana Statutu Banku Polskiego. Musi ona iść w kierunku podwyższenia plafonu emisji fiducjarnej z 1.200 milionów zł do sumy około 2.000 milionów zł. z odpowiednim podwyższeniem kotyngentów kredytu dla Skarbu Państwa przede wszystkim w formie zakupu biletów skarbowych. Wejście w obieg dużej ilości nowej gotówki z tego tytułu — poza faktem bezpośredniego zasilania w pieniądze Skarbu — spowoduje duże upłynnienie rynku, który w tym stanie rzeczy będzie mógł być dalej eksploatowany na cele zbrojeniowe. Bez tego posunięcia np. emisja dalszej pożyczki, takiej, jaką była pożyczka obrony przeciwnotniczej byłaby niemożliwa.

Stwierdziłem dalej, że nigdy żaden z planów zbrojeniowych nie upadł tylko z tego powodu, że Bank Polski będąc wezwanym do dopomożenia w jego sfinansowaniu — pomocy tej odmówił. Przeciwnie — pieniądze na cele zbrojeniowe było zawsze dużo więcej niż było konkretnie możliwości technicznego wykorzystania stojących do dyspozycji sum i ich rzeczywistego wydania. Sumy, którymi dysponowało M. S. Wojsk. były przez wiele lat lokowane na długie terminy w bankach państwowych i sięgały czasem paruset milionów złotych. Gdy ostatnio tempo wydawania było większe i zaczęły się tworzyć zaległości wojska u dostawców — Bank Polski nie tylko dał wynikające z rocznego planu kontyngenty dla Skarbu w postaci kupna biletów skarbowych nie tylko dał zaliczki na rachunek wpływów — ale z własnej inicjatywy zaproponował danie Skarbowi kilkudziesięciu milionów złotych tytułem kredytu specjalnego na spłatę zaległości wobec fabryk pracujących dla wojska i upłynnienie w ten sposób rynku pieniężnego. Ministerstwo Skarbu kredytu tego jednak zaciągnąć nie chciało. Również w dziedzinie tzw. kredytów surowcowych Bank przez długie miesiące oczekiwał na próżno na inicjatywę rządu, choć w dyskusjach ogólnych na ten temat dawał niejednokrotnie wyraz swej gotowości do załatwienia tego problemu.

Marszałek Rydz oświadczył mi, że co do poruszonych przeze mnie faktów był dotychczas zupełnie inaczej informowany. Widziałem, że jest po tych moich stwierdzeniach wyraźnie niezadowolony. Zapytał się mnie, czy zmiana statutu Banku jest w tej chwili do przeprowadzenia w Radzie Banku Polskiego.

Odpowiedziałem — że od dłuższego czasu oczekujemy tu zajęcia stanowiska przez Ministerstwo Skarbu. O ile mi wiadomo Minister Skarbu chce sprawę tę załatwić dopiero na jesieni. Tymczasem musi to być załatwione przed końcem sierpnia, gdyż w przeciwnym razie nie tylko nie będzie pieniędzy na zwiększenie zbrojeń, ale będzie niemożliwe trzymanie się w granicach statutowych przy obecnym tempie wydatków i zapotrzebowaniu rynku na gotówkę. Rada Banku Polskiego na pewno zmiany statutu uchwali: mogę za to gwarantować i sam to z członkami Rady omówić. Jeśli ktoś twierdzi, że Rada jest czynnikiem oporu przeciw aktywnej polityce Banku Polskiego w programie finansowania zbrojeń, to jest to zupełnie niezgodne z rzeczywistością.

W dalszym swoim wywodzie przedstawiłem pogląd na sprawę niebezpieczeństwa inflacji.

Rozszerzenie ram statutowych Banku i liberalna polityka emisyjna w związku z kredytami dla Skarbu nie powinna w obecnych warunkach wywołać zjawisk wyraźnie inflacyjnych. Społeczeństwo nie ma dziś nastawienia inflacyjnego. Nie ma ucieczki od pieniądza i spekulacyjnego gromadzenia towarów. Gospodarka przedsiębiorstw jest zrównoważona i nie ma zadłużania się dla pokrycia deficytów, które nie istnieją. Pieniądze pущone w obieg powinny wrócić zaraz do banków i do Banku Polskiego w postaci wzrostów wkładów oraz spłaty kredytów i redyskonta. Pod tym względem sytuacja zdaje się być dziś diametralnie różna od tej, jaka istniała jeszcze przed dziesięciu laty, kiedy przy tego rodzaju posunięciach jakie się proponuje, niebezpieczeństwo inflacji byłoby niewątpliwie aktualne.

Co do zagranicznych operacji kredytowych — to przede wszystkim muszę stwierdzić, że jest absolutnie bezcelowe ciągnięcie pożyczek gotówkowych w tym celu aby nabywać złoto i aby, jak się to mówi, „zwiększyć podkład obiegu” a tym samym i zdolność emisyjną Banku. Teorię, że można na podkład każdej wpływającej w złocie sumy wypuścić trzykrotnie większą sumę banknotów (czy też w podobnej proporcji) uważam w dzisiejszych czasach za bezsens. Co więcej: nawet gdyby się przyjęło, że za jednostkę w złocie emituje się tylko tę samą jedną jednostkę w papierze — to i wówczas jeszcze nie wiadomo, czy taka zasada emisyjna jest słuszna. Albo bowiem jest na rynku chłonność na pieniądź (na posiadanie pieniędzy nie zaś na jego zdobywanie w celu natychmiastowego wydania) i wówczas zwiększona emisja nie wymaga koniecznie złota i może być bez objawów inflacyjnych wypuszczona na zasadzie operacji kredytowych — albo chłonności tej nie ma i wtedy emisja dokonana na podsta-

wie sztucznie spowodowanego dopływu złota w formie pożyczki będzie miała pomimo to charakter inflacyjny. Poziom dopuszczalnej emisji zależy od wielu rzeczy: wysokości obrotów gospodarczych, zamożności ludności, przyzwyczajenia do operowania gotówką lub wypłatami bezgotówkowymi, skłonność do tezauryzacji — ale nigdy nie jest prostą funkcją ilości złota w skarbcu Banku.

Pożyczka zagraniczna winna być zatem operacją tego rodzaju, aby kraj dostał na jej podstawie nie złoto, lecz materiały wojenne. Złoto potrzebne na sfinansowanie krajowej części zbrojeń musi się i można uzyskać ze środków wyłącznie krajowych; złoto jest tu zupełnie niemiarodajne i niepotrzebne.

Marszałek Rydz oświadczył w tym momencie, że przedstawione przeze mnie poglądy odpowiadają przeważnie temu, co sobie w ciągu ostatnich lat na te tematy myślał. Jeżeli jednak — powiedział — zdaniem Pana przesłanką do takich rozumowań jest stwierdzenie, że wojna na pewno będzie, to ja jestem przekonany, że szeroki program finansowy jest potrzebny także i na tę ewentualność, gdy się przyjmie że wojny może nie być. Posiadanie bowiem dobrego uzbrojenia jest tym czynnikiem, który najlepiej przeciwdziała niebezpieczeństwu wojny.

Kontynuując wywód oświadczyłem dalej co następuje:

Liberalna polityka emisyjna, polityka forsowania płynności rynku może być bezpiecznie prowadzona, jeżeli będą bezwzględnie przestrzegane dwie zasady: równowagi cen i równowagi płac. Ponadto trzeba być bezwzględnie na to przygotowanym, że związane jest z nią ściśle zagrożenie dewaluacji. Nawet jeżeli będziemy sprowadzali towary potrzebne do zbrojeń z zagranicy na kredyt, to wzrastająca koniunktura wewnętrzna zmusi nas w końcu do uregulowania sprawy bilansu płatniczego tą drogą. Nie należy uważać tego bynajmniej za nieszczęście, tym bardziej, że społeczeństwo, wbrew panującym u góry przekonaniom, nie zareaguje na to źle, jeżeli przy zbiegu dewaluacyjnym ceny wewnętrzne będą na ogół utrzymane.

Tu Marsz. Rydz zadał pytanie: Jakie zdaniem Pana miałyby to skutki psychologiczne w społeczeństwie?

Odpowiedziałem na to: jeżeli chodzi o ludzi poniżej granicy wieku 40-45 lat to wręcz żadne. Ludzie ci w czasach, gdy szło się po wojnie światowej zjawisko hiperinflacji nie byli jeszcze samoistnymi *patres familias*, nie stracili na niej oni sami swych majątków i dlatego nie mają pod tym względem żadnych urazów psychicznych. Zresztą niezwykle łatwo jest wytłumaczyć ludziom, że dewaluacja i inflacja są to dwie zupełnie różne rzeczy. Sam to tłumaczyłem wielokrotnie ludziom starszym, którzy bardzo byli na ten problem wrażliwi. Odchodzili z zadowoleniem,

gdy się dowiedzieli, że zdeprecjonowanie pieniądza do zera jest obecnie nieaktualne. A możliwość dewaluacji o jedną trzecią, a nawet o połowę zupełnie ich nie przerażała.

Wreszcie na końcu rozmowy poruszyłem sprawę braku pieniędzy drobnych. Brak ten przybiera rozmiar zupełnie katastrofalny. Na to niebezpieczeństwo Bank Polski zwracał uwagę Ministerstwu Skarbu już od roku — zupełnie bezskutecznie. Nic nie zostało w tym kierunku zrobione. Na bicie nowych monet srebrnych Skarb nie chciał się długo zgodzić; obecnie jest już za późno aby tą drogą doraźnie brakowi monet zapobiec. Minister Skarbu nie chce się zgodzić na wypuszczenie przez Bank Polski odcinków papierowych po 2, 5 i 10 złotych, które już dawno w dużych ilościach są przygotowane. Wysuwa się ciągle obiekcję, że „to robi złe wrażenie”. Operowanie we wszystkich sprawach takim właśnie argumentem jest wprost nagminnym u nas nieszczęściem. Nie tylko nie zrobiłoby to złego wrażenia, lecz przeciwnie uspokoiłoby ludność szturmującą kasy Banku Polskiego z żądaniem wymiany. Sprawa ta jest również paląca jak zmiana statutu Banku.

Na zakończenie rozmowy powiedział Marszałek Rydz: jeżeli Pan myśli, że sprawa zmiany statutu da się prędko przeprowadzić, to proszę odbyć odpowiednie rozmowy i mnie o tym zaawiadomić.

Odpowiedziałem, że podejmę się tego. Jeżeli mnie Marszałek w związku z tym zechce ponownie widzieć — to będę oczekiwał wezwania za kilka dni.

Nigdy wezwania takiego później nie dostałem.

Pan Józef Zychliński członek Rady Banku Polskiego zaprosił mnie w parę dni później do swego majątku Gorazdowo. Spotkałem tam panów Zaleskiego, Strasburgera, Faltera, Koca i Baczyńskiego. Na zebraniu tym p. Koc (zdaje się inicjator zebrania) wygłosił dłuższy referat, obrazujący przebieg rokowań o pożyczkę angielską na tle potrzeby finansowania zbrojeń i konieczności gospodarczego i politycznego związania się z Zachodem.

Zabrawszy z kolei głos przedstawiłem w parogodzinym przemówieniu poglądy moje na sprawy finansowe związane z grożącą wojną, a mianowicie:

1. Sprawę polityki emisyjnej Banku Polskiego i konieczności rozszerzenia ram Statutu Banku dla kredytów na cele zbrojeniowe,
2. Sprawę polityki kredytowej na rynku wewnętrznym,
3. Politykę kredytową zagraniczną, i wreszcie
4. Sprawę pieniędzy drobnych.

W toku dyskusji, która się później wywiązała, skryształizowały

się poglądy obecnych na to jak daleko ma iść zmiana Statutu Banku i w jakich punktach ma nastąpić. Poza moimi wnioskami bardzo konkretne sugestie wyszły z ust p. Faltera.

Po dyskusji zwróciłem się do p. Zaleskiego i Koca jako do tych, którzy mieli dostęp do Marsz. Rydza, aby przy najbliższej okazji poinformowali go o zapatrywaniach członków Rady Banku na rolę Banku Polskiego w dziedzinie finansowania przygotowań wojennych, gdyż wiem, że co do tego nie miał on prawdziwych informacji. Pan Zaleski oświadczył mi później, że to rzeczywiście zrobił.

Zmiana Statutu Banku Polskiego została rzeczywiście uchwalona później przez Radę i Walne Zgromadzenie Banku (już w 1-szym dniu wojny) w sensie rozmów „gorazdowskich”. Tak to zresztą określił w rozmowie ze mną po uchwale Rady p. Falter.

Leon BARAŃSKI

K. RDUŁTOWSKI

JÓZEF PIŁSUDSKI W MIŃSKU

Piłsudski, układając projekt odgródzenia Polski od Rosji zapora z związanych z nami autonomicznych lub niezależnych zupełnie krajów, postanowił odwiedzić Mińsk.

Gdy się o tym dowiedziałem uzyskałem na ten czas kilkuniedniowy urlop u wojewody Jeśmana i pojechałem do Mińska.

Razem ze starostami i urzędnikami mińskimi czekałem Naczelnika Państwa na dworcu kolei Libawo-Romańskiej. Byliśmy wszyscy w mundurach; gdy pociąg się zbliżał stanęliśmy na peronie wyciągniętą linią, tworząc kordon. Był już zmierzch wieczorny gdy pociąg stanął; z wagonu prawie naprzeciw mnie wysiadł Piłsudski, zamyślony, poważny. Był w swym szaro-niebieskawym płaszczu, w maciejówce; wyglądał czerstwo, zdrowo. Za nim wysiadł Komisarz Generalny Ziem Wschodnich — Jerzy Osmałowski, Władysław Raczkiewicz, który według przyjętego zwyczaju spotykał go na granicy województwa, adiutanci Piłsudskiego i inni. Stanęliśmy na baczność. Muzyka zagrała hymn narodowy. Piłsudski szedł wzdłuż naszej linii — salutując.

Odjechał do miasta po przyjęciu na dworcu oczekujących go delegacji.

Wieczorem, o ile mnie pamięć nie myli, odbył się raut w salach Klubu Szlacheckiego. Nie byłem jednak na nim. Nazajutrz uroczysta Msza Polowa na placu Katedralnym.

Przed piękną, otynkowaną na biało naszą katedrą — w stylu polskiego *renaissance'u*, o dwóch wysokich wieżach od frontu i nieco dalej odsuniętej kwadratowej wieży zegarowej z przejściem pod nią dla pieszych, ustawiono ołtarz polowy. Przed nim od strony pałacu niedawno gubernatorskiego, a ongiś biskupiego, stał klęcznik dla Naczelnika Państwa. Na placu ustawiły się kolumny wojska i tłum ludności Mińskiej. Piłsudski w swym zwykłym płaszczu mundurowym stał lub klęczał na klęczniku. Po obu jego stronach, nieco cofnięci, Osmołowski i Raczkiewicz. Za nimi Jeleński, ja i inni z Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, Sztabu i Zarządu Miejskiego. Mszę Świętą odprawiał ksiądz biskup Zygmunt Łoziński, syn ziemianina spod Nowogródka, młody jeszcze bardzo jak na biskupa, z ciemną bródką. Objął on katedrę Mińską po ks. biskupie hr. O'Rourke, też z ziemiańskiej nowogródzkiej rodziny. Po skończonym nabożeństwie Piłsudski przyjmował defiladę, stojąc w asyście ks. biskupa i nas wszystkich przed gankiem gubernatorskiego pałacu.

Miałem szereg cennych fotografii z tych dni pamiętnych: z dworca kolejowego, z nabożeństwa, z defilady. Chwila była historyczna: pierwsza i dotąd jedyna od czasu rozbiorów wizyta w Mińsku Lit. głowy Państwa Polskiego. Ludzie, uwiecznieni na fotografiach, a przeważnie już nie żyjący, też w niemałej części przeszli do historii. Niestety fotografie te, jak wszystko inne co miałem, zniszczył najazd bolszewicki 1939 roku. Dziś obrazy z tych dni stoją mi wyraźnie przed oczyma, ale dat już przypomnieć nie mogę.

Tegoż dnia w godzinach popołudniowych Piłsudski przyjmował delegacje w dużej sali na I piętrze Domu Szlacheckiego, naprzeciw teatru miejskiego. Byłem tam obecny. Wchodzono za biletami, — mimo to sala wypełniona po brzegi. Stałem z kilku znajomymi niedaleko drzwi. Piłsudski był w swym krótkim, legionowym mundurze. Był zamyślony, skupiony, — brwi ściągnięte. Przedstawiciele różnych grup przemawiali kolejno, wyrażając swą lojalność dla Polski, radość z wolności, dezyderaty. Piłsudski krótko odpowiadał. Punkt kulminacyjny nastąpił, gdy zaczął mówić przedstawiciel nacjonalistów białoruskich. Mówił po białorusku, wysuwając śmiało żądania narodowe. Mówił dość długo. Piłsudskiemu znane były wysunięte przezeń dezyderaty; odpowiedź miał gotową. Wygłosił — mając kartkę papieru w rę-

ku — dłuższe polityczne przemówienie w poprawnym białoruskim języku. Mówił swym zwykłym, mocnym, zdecydowanym tonem. Obiecywał szeroką swobodę rozwoju kultury narodowej białoruskiej, mówił o autonomii, żądał wierności, lojalności dla Rzeczypospolitej.

Dla wielu z nas, Polaków, nie znających projektów politycznych Piłsudskiego, oba te białoruskie przemówienia, sprawiły dziwne i niepokojące wrażenie. Już sam fakt, że były wygłoszone nie po polsku sprawiał dla uszu polskich pewną przykrość. Tyle lat czekaliśmy tu na Polskę, a gdy przyszła, Głowa Państwa przemawia po białrusku do ludzi, którzy doskonale znają język polski.

Wspomina o autonomii. Jak ona ma wyglądać? Jakie będzie położenie Polaków w tym autonomicznym kraju, gdzie znajdą się w mniejszości? Jeżeli autonomia będzie szeroka, czy te ziemie potrafią skutecznie się przeciwstawić prądom komunistycznym i socjalno-rewolucyjnym? Autonomii chce garść nacjonalistów, ogół ludności miejscowej wcale o niej nie myśli. Zresztą sam Piłsudski jest uważany za socjalistę; może ulega on w danym wypadku jakimś zbyt postępowym teoriom? Takie myśli wyczuwałem wśród spotykanych Polaków. Uspakajało ich tylko wielkie zaufanie do osoby Piłsudskiego, jakaś wiara w tego człowieka, uważanego u nas powszechnie za wskrzesiciela Polski i wybawcę jej ziem wschodnich z moskiewskiej niewoli.

Niezawodnie odpowiedź Piłsudskiego i przemówienie delegata białoruskiego zachowały się gdzieś w archiwach. Nie udało mi się czytać ich później, a z tego co wówczas słyszałem szczegóły zatarły się już w pamięci; zostało wrażenie ogólne.

Naczelnik Państwa niedługo bawił w Mińsku. Ja też wróciłem do swej pracy w Baranowiczach.

K. RDUŁTOWSKI

Wiktor T. DRYMMER

ZESPOŁY DYSKUSYJNE I ORGANIZACJE TAJNE

Zbyt powolny okres reform pomajowych, wywoływał w gronie młodszych piłsudczyków, do których się zaliczałem, głęboką

troskę, tym większą, że widzieliśmy naszą „góre” zmęczoną i przedwcześnie zestarzałą, szukającą odpoczynku i spokoju. Niektórzy chcieli osiąść na laurach niedokończonej rewolucji majowej inni — może nieliczni, ale w zamian za to bardzo widoczni — usadowili się na intratnych posadach, bo to, jak mniemali, należało się im. „Doskakiewiczze”, którzy po uzyskanym sukcesie dołączyli do zwycięskiego obozu, wnosili krzykliwy patriotyzm, obnosili się z przynależnością do obozu piłsudczyków „od zarania Polski”, ostentacyjnie manifestując to i, często nie rozumiejąc istotnej idei naszego obozu, wnosili ze sobą szkodliwy nacjonalizm i zacofanie społeczne, które jak chwast zaczęło się plenić w naszych szeregach, by zakwitnąć w deklaracji ideowej płk. Adama Koca, szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego. Dawni radykałowie społeczni czy po prostu rewolucjoniści zaczęli powoli być odsuwani na marginesy naszego obozu, patrząc ze zgrozą na rosnący sybarytyzm, dosyt i łatwość życia i użycia.

Wrażliwi, lub bardziej doświadczeni życiowo, przewidywali taki obrót rzeczy, właściwy każdej rewolucji, każdemu przewrotowi.

Organizacja tajna: „Zakon Nieznanego Żołnierza”

Obawiając się „zestarzenia się”, jak to nazywaliśmy rewolucji majowej, zbieraliśmy się ludzie młodzi, pełni temperamentu i, jak myślę, głębokiej ideowości, by szukać drogi do przeciwdziałania zastojowi i marazmowi, nieznacznie ale stale przenikającemu z zewnątrz do obozu piłsudczykowski-niepodległościowego. Sądziliśmy, że drogą perswazji i ujawniania słabych stron działania naszego obozu rządzącego osiągniemy właściwe rezultaty. Nie chcieliśmy działać przez akcję jawną i prasową, by nie przysparzać wrogom lub przeciwnikom Komendanta argumentów. Postanowiliśmy zawiązać organizację t a j n ą, która z czasem przybrała nazwę „Zakon Nieznanego Żołnierza”. Było to w okresie rządów prof. Bartla. Pomysł stworzenia organizacji tajnej oraz jej nazwa pochodziły od sekretarza premiera Bartla, por. Staszka Zaćwilichowskiego. Staszek był młodszy ode mnie i bodaj że był poza Giedroyciem najmłodszym spośród naszego zespołu. Miał niebywałą lotność umysłu, bystrą inteligencję, błyskawicznie ogarniającą całość, fantastyczne odczytanie w dziedzinie politycznej i socjalnej. W dyskusji dawał jasne, konkretne i, jak się okazywało, słuszne rozwiązania i oceny. Poza tym był ujmującym, pełnym życia, wesołości i temperamentu kolegą i przyjacielem. Sekretarzował Bartłowi i Józefowi Piłsudskiemu, który

okazywał młodemu wilnianinowi wyraźną sympatię i pełne zaufanie.

Klub nasz czy loża, jak to żartobliwie nazywaliśmy, liczył kilkunastu członków, ale wachlarz ludzi był niezmiernie szeroki. Był por. Jan Karczewski ze Sztabu, przydzielony wówczas do Biura Prasowego Rady Ministrów; Zygmunt Hładki z MSZ, szef tegoż biura; Wł. Sokołowski z MSZ; Antoni Roman z MSZ z bratem Jerzym z Politechniki Warszawskiej; Jan Żukotyński szef gabinetu Ministra Rolnictwa; Leon Godlewski sekretarz gen. PATa; mjr Remigiusz Grocholski; Dubicz-Pełther — późniejszy minister pełn. w Lizbonie; Kawczyński dyr. Izby Przem. Handl. w Gdyni; Szumowski sekretarz min. Reform Rolnych i działacz młodzieżowy; rtm. Bernard Łubieński; kpt. Jerzy Niezbrzycki, kpt. St. Korzeniowski; komandor ppor. Konrad Namieśniewski; rtm. Gliński, por. Wysocki z Marynarki Wojennej, Rowmund Piłsudski, Jerzy Giedroyc (był chyba jeszcze studentem, ale już redaktorem) no i ja — wtedy zast. nacz. wydziału prasowego MSZ. Szeregu nazwisk, niestety, nie pamiętam. Staszek Zaćwilichowski zginął w wypadku samochodowym w wozie który prowadził. Wraz z nim zginął również wiele obiecujący, zdolny oficer i kolega nasz major Tatała.

Kilka lat później opuściłem „Zakon”. Moje nowe przydziały uniemożliwiały mi udział w organizacji. Nadal jednak utrzymywałem kontakty przyjazne, których nie przerwała ani wojna ani emigracja.

Zakon Dobra i Honoru Polski

Adama Skwarczyńskiego „Starego” — taki miał bowiem pseudonim legionowy — poznałem w biurze historycznym gen. Stachiewicza, którego często zarówno w czasie wojny polsko-bolszewickiej, jak i już po wojnie, odwiedzałem. Był wtedy młodym oficerem. Uduchowiona, piękna twarz Starego, czarna lśniąca broda i ciemne palące oczy, przypominały mi kogoś z portretu, może Waleriana Łukasińskiego? Lubiłem go i szanowałem wielce. Powołany przez Prezydenta do pracy w Kancelarii Cywilnej, mieszkał i urzędował w lewym skrzydle pałacu „Pod Błachą”. Już na Zamku zapadł na chorobę Bürgera w rezultacie której amputowano mu najpierw jedną nogę, następnie drugą. Nie gasiło to jego entuzjazmu. Pod Błachą odwiedzały go dziesiątki ludzi młodych i młodzieży z całej Polski. Wpływy jego na młodzież rosły z roku na rok.

Był to chyba rok 1932 kiedy zostałem przez niego zaproszo-

ny na rozmowę. Wyjaśnił mi wtedy cele założonej przez siebie organizacji: studia nad zagadnieniami z którymi miałem kontakt urzędowy, wypracowywania doktryny i metod pracy oraz postępowania z ludźmi. Praca nad sobą w tej dziedzinie, której myślą przewodnią i jedyną była praca dla dobra R.P. Przekazywanie kolegom i przyjaciółom osiągnięć w dziedzinie pracy „zespołowej”, bowiem praca miała być prowadzona w „Zespołach”. Praca miała być tajna, jak i cała organizacja, której ujawnienie mogło nastąpić dopiero po 25 latach.

Każdy kierownik „Zespołu” miał dobierać sobie ludzi według własnej oceny. Kierownicy Zespołu składali przyrzeczenie przed Starym, członkowie Zespołu, przed kierownikiem Zespołu. Niestety nie pamiętam treści przyrzeczenia.

Zakon jak najsurowiej zabraniał wykorzystywania swojej przynależności do organizacji zarówno w stosunku do podwładnych jak i w stosunku do przełożonych.

Skwarczyński poinformował min. Becka o moim udziale w organizacji, ale ani on ani min. Beck nigdy ze mną tych spraw nie poruszali.

Do Zakonu wciągnąłem szereg urzędników MSZ, między innymi znanego później historyka i autora Najn. Historii Polski, Wład. Pobóg-Malinowskiego. Z czasem, gdy Zespół okrzepł, wciągnąłem paru urzędników z Min. Przemysłu i Handlu oraz Instytutu Eksportowego. Intencją moją — którą podzieliłem się ze Starym — było większe zainteresowanie się urzędników MSZ z zagadnieniami ekonomicznymi w ogólności, a zagadnieniem eksportu specjalnie. Poza tym w pracach zespołu brali udział specjaliści od międzynarodowego prawa prywatnego i publicznego, demografowie i administratorzy.

Wiedziałem o czynnym udziale Adama Skwarczyńskiego we wspólnym tworzeniu z premierem J. Jędrzejewiczem, organizacji szkolnej pod nazwą „Straż Przednia” o jego nadzorze ideowym nad pismem młodzieżowym „Kuźnia Młodych” i w opracowywaniu podstaw ideowych dla organizacji akademickiej „Legion Młodych”. Na każdej dziedzinie życia ideowego Adam Skwarczyński wywierał swoje piętno i zostawiał ślad, czym zajmą się niewątpliwie historycy naszego Dwudziestolecia.

Pracy jego patronowali Prezydent R.P. Ignacy Mościcki i płk. Walery Sławek.

U Starego bywałem przynajmniej raz na miesiąc. W poczekalni obok pokoju w którym pracował roiło się od ludzi młodych i dojrzałych. Można było zauważyć działaczy szkolnych jak Ryszard Kiersnowski, działaczy świata pracy jak Jan Hoppe, czy działaczy młodzieży wiejskiej jak Stanisław Gierat. Widywa-

łem tam dyrektorów gimnazjalnych i ich uczniów, widywałem oficerów, a raz widziałem jakiegoś braciszka zakonnego. Dla wszystkich Stary miał czas. Umarł w roku 1934, na rok przed śmiercią Komendanta.

Zakon począł wyraźnie upadać.

Uchwalenie Konstytucji i wprowadzanie jej w życie, zdecydowało rozwiązanie Zakonu (w myśl czysto teoretycznych założeń płk. Sławka, że już nie są potrzebne w Obozie Piłsudczykowskim ani partii ani organizacji, tym bardziej tajnej).

Zebrano wszystkich kierowników Zespołów, a było nas chyba ponad 100 i, w obliczu płk. Sławka i starszyny obozowej — prezydent Mościcki rozwiązał Zakon. Był to moim zdaniem wielki błąd. Organizacja powinna była trwać aż do chwili pełnej realizacji i wprowadzenia w życie konstytucji. Ponadto należało poczekać do zrealizowania się bezpartyjnej organizacji społecznej, proponowanej przez płk. Sławka pod wiele mówiącą nazwą „Powszechna Organizacja Społeczna” (która nigdy nie ujrzała światła), i zobaczyć jak to będzie działać.

Organizacja Honor i Ojczyzna

Poza wymienionymi organizacjami tajnymi, o których pisałem i do których należałem, wiedziałem o konspiracji w wojsku — założonej przez gen. Sikorskiego i akceptowanej jako dzieło ministra spraw wojskowych marszałka Piłsudskiego — pod nazwą Honor i Ojczyzna, popularnie zwanej H dwa O., jako że pełno było w jej założeniu pustostów. Należało do niej bardzo wielu starszych stopniem oficerów, ale stopniowo ilość ich malała, zwłaszcza po maju 1926. Jej szczątki — zresztą głównie malkontenci — przetrwały do klęski wrześniowej. Większość ich przygarnął gen. Sikorski.

Masoneria

Oczywiście na stanowisku szefa personalnego zarówno w MSZ jak i Prezydium Rady Ministrów, miałem ciągły styk z różnymi objawami działania masonerii, jakkolwiek nigdy nie zauważyłem wyraźnego działania przeciwko rządowi pomajowemu a tym bardziej przeciwko państwu. Znałem i szanowałem szefa masonerii w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, prof. Emila Kipę, jak również szefa masonerii na Polskę — Henryka Kołodziejskiego, bibliotekarza sejmowego.

Naprawiacze i Zetowcy

Z zetowcami, których generalnie nazywano „naprawiaczami” od Związku Naprawy Rzplitej, miałem prawie codzienny kontakt. „Naprawiacze” opanowali bowiem Światowy Związek Polaków, Związek Kresów Wschodnich, Związek Zachodni, Ligę Morską i Kolonialną, że wymienię te organizacje z którymi przez szereg lat miałem do czynienia służbowo. W ministerstwie mieliśmy szereg zetowców poczynając od szefa gabinetu ministra Becka — Michała Łubieńskiego, który wypierał się tego, bo wiedział że Beck nie lubił zetowców. Beck niejednokrotnie powtarzał powiedzenia Komendanta: „Naprawiacze! Każdy pojedynczo to bardzo porządny człowiek, ale jako organizacja — to banda”. Sprawdziłem to niejednokrotnie. Najbardziej irytowało mnie to, że szereg naprawiaczy siedziało w robocie społecznej, ale płatnej, i że organizacja jako taka zawsze dążyła do opanowania źródeł pieniężnych. Sprawdziło się to nawet przy likwidacji wojska.

Grupa Zaczynu

Pod koniec roku 1935 stało się jasne, że Obóz nasz po śmierci Komendanta pozostaje nadal w impasie politycznym. Po rozwiązaniu BBWR i poważnego skupiska jakie reprezentował „Zakon”, Obóz został skazany na luźne zgrupowanie posłów i senatorów dawnego BBWR. Pułkownik Sławek, nasz moralny przywódca, jakby dobrowolnie usuwał się w cień. Jak chodziły słuchy pracował nad nową organizacją, mającą mieć charakter bezpartyjny. Do organizacji tej zamierzał wpakować wszystkich i wszystko co, według nowej Konstytucji, mogłoby zorganizować od dołu — tj. od wsi w górę do wielkich miast — całe życie społeczne, gospodarcze, kulturalne i polityczne państwa na zasadach samorządowych, ujętych nazbyt idealistycznie, usuwając na bok życie partyjne. Organizacja ta zwana Powszechną Organizacją Społeczną była (czytałem projekt) zbyt idealistyczna, a jednocześnie mglista i, moim zdaniem, niedostosowana do naszego poziomu wyrobienia politycznego i obywatelskiego. Jeśli ponadto wziąć pod uwagę nową ordynację wyborczą, budzącą wiele zastrzeżeń nawet w naszym obozie, groźbę bojkotu wyborów ze strony poważnych partij, wszystko to napawało poważną troską ludzi, którzy dobro Polski uważali za cel swego życia. Ludzie tego pokroju — nie stojący na czele władz państwowych — poczęli, tak przed majem 1926 jak i po niezrealizowanej rewolucji majowej, zbierać się, rozmawiać, dyskutować i po prostu głośno

myśleć i zastanawiać się co robić. Bezczyńne oczekiwanie było dla tego gatunku ludzi nie do przyjęcia.

Zaczęliśmy się zbierać w kilkunastu. Zebrania nasze stały się z czasem regularne (raz na tydzień) i podobnie jak w Zakonie omawialiśmy i przygotowywaliśmy na zebrania referaty do dyskusji. Jakkolwiek nie byliśmy żadną organizacją, nie byliśmy związani niczym innym jak tylko wspólną troską, to jednak nie rozgłaszaliśmy naszych zebrań i zapraszaliśmy na nie ludzi za wspólną zgodą. Zebrania odbywały się w moim pokoju służbowym. I urzędnicy i funkcjonariusze przyzwyczajeni byli do stosunkowo częstych zebrań w godzinach pozaurzędowych w MSZ.

Na zebrania te przychodzili: wiceminister kolei inż. Julian Piasecki (zginął w walkach powstańczych w Warszawie), płk. Zygmunt Wenda z Gen. Inspektoratu Sztabu, późniejszy wicemarszałek sejmu i szef sztabu Obozu Zjednoczenia Narodowego (Ozonu), najściślejszy współpracownik marsz. Śmigłego (zmarł w Budapeszcie), Karol Krzewski-Szczapa, były legionista, peowiak, publicysta i działacz polityczny, na emigracji w Rumunii i Palestynie (zmarł w Jerozolimie i tam pochowany w kwietniu 1944 na cmentarzu katolickim). Bywał i wnosił wiele znakomitych myśli niejaki pan Edelman, którego niestety mało znałem. Wprowadził go płk Wenda. Pan Edelman był świetnym „zapładniaczem” naszych zebrań i znakomitym erudytą historycznym i politycznym. Bywał u nas i starosta Doelinger, z czasem brał bardzo czynny udział w sztabie Ozonu (spotkałem go w Palestynie i Egipcie jako porucznika; zmarł w Palestynie) oraz major Edmund Galinat, młody tryskający temperamentem, znany akademicki piśmudczykowski działacz, którego marsz. Śmigły skierował z Czerniowiec samolotem do Warszawy. Brał udział w walkach w Warszawie i w podziemiu. Ostatni raz widziałem go w roku 1950 w Londynie, jak zawsze pełnego temperamentu i optymizmu.

Na jednym z zebrań postanowiono wydawać pismo: tygodnik lub dwutygodnik. Edelman został redaktorem naczelnym, Szczapa zastępcą. Pismo przybrało nazwę *Zaczyn*. Od tej nazwy grupę naszą, którą bez trudu rozszyfrowano, nazwano grupą *Zaczynu*. Artykuły były podpisywane numerami, co wzbudziło niejaką sensację w Warszawie.

Gdy w roku 1936/37 powstał — powołany z inicjatywy marszałka Śmigłego Obóz Zjednoczenia Narodowego, grupa nasza poczęła rozsypywać się, wreszcie przestała istnieć. Ozon — do którego nie należałem — był przyjęty przez znaczny odłam społeczeństwa ze słabym entuzjazmem. Mnie osobiście nie odpowiadała zdradzająca wpływy endeckie deklaracja Koca. Wkrótce też

Koc zmuszony był ustąpić, a na jego miejsce przyszedł gen. Stanisław Skwarczyński, człowiek nie o wiele (na to stanowisko) lepszy. Całą jego zasługą była sława odziedziczona po zmarłym bracie, Adamie Skwarczyńskim i dobry staż wojskowy.

Wiktor T. DRYMMER

(Fragment „Wspomnień”, które ukazał się nakładem Instytutu Literackiego)

POPRAWKI HISTORYCZNE

Bogusław MIEDZIŃSKI

SPROSTOWANIA SPOZA GROBU

Pani Anna Radomyska, córka śp. Marszałka Miedzińskiego, nadesłała na moje ręce do Paryża część spuścizny rękopiśmiennej po swym ojcu. Znajduje się w niej m.in., kilkusetstronicowy maszynopis „Wspomnień” doprowadzonych do pierwszych lat dwudziestolecia Niepodległości, fragmenty niedokończonych artykułów i komentarzy historycznych, obfita korespondencja z listami gen. Sosnkowskiego na czele i wreszcie teczka z napisem „najpilniejsze”. Zawiera ona niedokończony na skutek choroby artykuł i fragmenty relacji, prostujących opowiadania sen. Katelbacha, zawarte w jego wspomnieniach o Adamie Kocu, które zostały wydrukowane w *Zeszytach Historycznym* nr 16.

Instytut Literacki zamierza wydać w 1973 roku „Wspomnienia” Bogusława Miedzińskiego wraz z częścią jego korespondencji. Zanim zostaną one jednak przygotowane do druku, uważam za wskazane ogłosić dzisiaj „Sprostowania” do artykułu sen. Katelbacha, których ciężka choroba nie pozwoliła Bogusławowi Miedzińskiemu wykończyć i przesłać osobiście do redakcji *Zeszytów*. Zawierają one bowiem szereg ważnych wyjaśnień historycznych i sam autor uważał przed śmiercią ogłoszenie ich za rzecz najpilniejszą.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

W 16-tym *Zeszytach Historycznym*, zawierającym szereg interesujących i ważkich relacji — znalazło się również wspomnienie sen. T. Katelbacha o Adamie Kocu pt. „Szlachetny”. Obok sprawozdania z rozmów z Adamem Kocem przeczytałem tam wiele osobistych ocen i naświetleń sen. Katelbacha, dotyczących 20-lecia niepodległości. Co do jednych i drugich mam daleko idące zastrzeżenia a czasem nawet kategori czny sprzeciw; a po-

nieważ często powtarza się w tej publikacji moje nazwisko, zwrócono mi uwagę ze strony historyków, że powinienem zabrać głos gdyż moje milczenie może być uznane za potwierdzenie.

Zarejestruję tu na wstępie jedną z drobniejszych nieścisłości, która wskazuje, że autora zawodzi pamięć nawet w szczegółach biograficznych dotyczących „Szlachetnego”. Mianowicie Koc nie redagował przed zamachem majowym 1926 roku *Głosu Prawdy*, ani nawet nie był współpracownikiem tego pisma; redagował je W. Stpiczyński, ja zaś zamieszczałem od czasu do czasu artykuły oraz satyryczne wzmianki z terenu parlamentarnego, w rubryce „niedyskrecje”. Po zamachu majowym *Głos Prawdy* zaczął wychodzić jako dziennik pod tą samą nazwą z tą tylko różnicą, że wszedłem do jego redakcji jako zastępca redaktora naczelnego. Trwało to do końca roku 1926, gdy marszałek Piłsudski powołał mnie do swego gabinetu. Z tym wszystkim aż do kwietnia roku 1929 Adam Koc nie miał nic wspólnego; dopiero w wymienionej dacie W. Sławek, jako szef B.B.W.R., powierzył redakcję Adamowi Kocowi na miejsce W. Stpiczyńskiego. Koc zmienił nazwę pisma na *Gazetę Polską* ja zaś wróciłem na stanowisko zastępcy naczelnego redaktora; po kilku miesiącach Koc ustąpił z redakcji pozostawiając ją mnie. Nie jest również ściśle związane z tą sprawą twierdzenie, „że zaraz po zamachu majowym Piłsudski wysłał Koca do Lwowa, by w charakterze Szefa Sztabu pilnować ówczesnego dowódcę D.O.K. Lwów, gen. Władysława Sikorskiego”. W rzeczywistości było inaczej: Marszałek rozesłał wówczas na różne stanowiska wybitnych oficerów z tzw. „Koc-grupy” gdyż nie życzył sobie jej dalszej działalności w Warszawie. Koc został po prostu i zwyczajnie szefem sztabu gen. Sikorskiego bez żadnych zadań dwuznacznych.

To są sprawy mało istotne. Natomiast poważną rzeczą jest, gdy sen. Katelbach relacjonując swoje rozmowy z Adamem Kocem i podkreślając ich „bezcenną wartość historyczną” podaje do druku jakiś dziwny bigos informacji, nie mających nic wspólnego z prawdą historyczną.

Wiem, że Adam Koc po swej ciężkiej chorobie, spowodowanej przez dawne przestrzelenie wątroby pod Sitowiczami, i wyciążnięty prawie cudem z tej choroby niezwykle ofiarnym wysiłkiem swego dawnego podkomendnego z P.O.W., dr. Szymona Liljenfelda-Krzewskiego (rodzonego brata Szczapy) — stał się jak gdyby innym człowiekiem. Uległ zmianie jego charakter. Człowiek, który w latach 1914-1924 imponował nam szybkością i trafnością decyzji, zatracił swą dawną stanowczość i jasność myślenia. Pomimo to nie mogę uwierzyć, żeby w tych ostatnich latach swego życia, kiedy to prowadził rozmowy z p. Katelba-

chem, mogły się w jego umyśle i pamięci tak nieprawdopodobnie poplątać daty, osoby i miejsca wydarzeń, jak to wynika z relacji p. Katelbacha.

Oto parę przykładów:

„Piłsudski zmieniony” — Rok 1920

Na pytanie czy Koc widział kiedy Komendanta załamanego czy nie dopoznania zmienionego odpowiedź miała brzmieć: „załamanego nie widziałem nigdy. Zmienionego — trzy razy. Po raz pierwszy w lipcu 1920 r. Miedziński, Stachiewicz, Kościółkowski i ja zameldowaliśmy się u Komendanta, by mu zgłosić gotowość pozostania na tyłach wojsk bolszewickich dla organizowania dywersji. Komendant robił wrażenie niełudzko zmęczonego. Wyслуchał nas, po czym rzekł, że to już nie będzie potrzebne i naszkicował plan kontrofensywy, który w sierpniu zrealizować”.

W relacji tej nieprawdziwa jest data, nieścisły skład osób i wręcz fałszywa treść rozmowy z Komendantem. Aż dziw bierze, że zawodowy publicysta nie zastanowił się nad znaczeniem tych paru zdań, które napisał i że trzeba mu to tłumaczyć. A więc: z treści krótkiej wypowiedzi Komendanta do nas wynikałoby, że ta audyencja w Belwederze nie mogła nastąpić wcześniej niż 6-go sierpnia. Stwierdza to on sam choćby w swej książce „Rok 1920”, gdzie mówi, że rozmyślnie jako datę dla siebie szczęśliwą wybrał ten dzień na powzięcie decyzji i wtedy dopiero przystąpił do przepracowania ze sztabem generalnym planów wykonawczych historycznego kontrataku znad Wieprza. Istotnie w tym to dniu — a nie w końcu lipca — zwróciliśmy się do Belwederu z zapytaniem, czy nie zechciałby Naczelny Wódz znaleźć dla nas chwili czasu; była to bowiem od paru lat już ustalona tradycja, że 6 sierpnia Komendant przyjmował u siebie swych starych żołnierzy na herbacie czy szklance wina. Tym razem było nas bardzo niewielu w Warszawie i niewiele mieliśmy nadziei, że w ówczesnej sytuacji będzie mógł nas przyjąć. Dostaliśmy jednak odpowiedź z adiutantury belwederskiej, że Komendant będzie mógł udzielić nam 20-tu minut czasu w południe przed wyjazdem do sztabu. Udaliśmy się tam w składzie następującym: Adam Koc, Ignacy Matuszewski, W. Stachiewicz i ja. Nie mógł Koc zapomnieć o Matuszewskim, gdyż on to właśnie złożył Komendantowi meldunek w imieniu nas wszystkich. Kościółkowski nie był wówczas obecny w Warszawie, dowodził grupą operacyjną na froncie. Najważniejszym momentem w tej sprawie jest treść prośby, którą zameldował Matuszewski w naszym imieniu.

Nie jest i nie mogło być prawdą, abyśmy w dacie podanej przez Katelbacha w końcu lipca zgłosili gotowość pozostania na tyłach bolszewickich i organizowania dywersji przeciwko nim. Na miły Bóg! Przecież to oznaczałoby, że spodziewamy się upadku Warszawy! Gdybyśmy się ośmielili taką rzecz Naczelnemu Wodzowi wypowiedzieć — co nikomu z nas do głowy nie przychodziło — byłibyśmy pewnie po prostu wyrzuceni za drzwi. Dwaj szefowie drugich oddziałów, Matuszewski w Naczelnym Dowództwie, a ja w ministerstwie Spraw Wojskowych, senior peowików W. Stachiewicz — zespół, który miał w tych czasach bezpośredni służbowy i pozasłużbowy kontakt z Sosnkowskim — udający się do Marszałka z wypowiedzią defetystyczną! Przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo, aby Adam Koc mógł taką rzecz powiedzieć.

A teraz prawda. Zwróciliśmy się do Naczelnego Wodza z prośbą, aby nas obecnych oraz szereg innych młodych oficerów, siedzących w biurach Sztabu Generalnego i ministerstwa Spraw Wojskowych, wysłał Naczelnny Wódz na front i na ten właśnie jego odcinek frontu północno-zachodniego, gdzie wyraźnie dawał się zaobserwować i odczuć upadek wiary w zwycięstwo wśród korpusu oficerskiego. Piłsudski wysłuchał nas spokojnie i wtedy właśnie odpowiedział bardzo krótko: „Moi drodzy, dziękuję wam za waszą gotowość i na pewno nie zawahałbym się z niej skorzystać, gdyby to było potrzebne. Ale tak nie jest. Powziąłem już plan akcji, sytuacja na froncie zostanie opanowana, a wy będziecie mi potrzebni tu, w Warszawie, w tej pracy, którą prowadzicie pod kierownictwem Szefa. Jadę właśnie do Sztabu, aby puścić w ruch prace wykonawcze nad moim planem”. To było wszystko. O szkicowaniu przed nami przez Naczelnego Wodza planu kontrofensywy nie mogło być oczywiście mowy.

Takie rzeczy, jak przebieg audiencji u Naczelnego Wodza w danym momencie historycznym, każdemu z uczestników musiały pozostać raz na zawsze w pamięci ze wszystkimi szczegółami. Nie do wiary jest, aby Koc mógł opowiadać te brednie, które przypisuje mu Katelbach.

Po zabójstwie Prezydenta Narutowicza

Drugi wypadek, kiedy Koc miał widzieć Komendanta „zmienionego nie do poznania”, miał mieć miejsce *nazajutrz* po zabójstwie Prezydenta Narutowicza, a więc 17 grudnia. Według sen. Katelbacha, Koc miał mu powiedzieć: „Przyszedłem, by oświadczyć Komendantowi, że gotów jestem zająć się likwidacją podze-

gaczy odpowiedzialnych za śmierć Prezydenta. Wymieniłem cztery nazwiska. Piłsudski machnął niecierpliwie ręką i wzburzonym głosem rzucił: „A dlaczego się to już nie stało?”

To prawda, że Piłsudski mógł być zmieniony po wstrząsie, który ciężko przeżył, zarówno ze względów osobistych jak i państwowych, ale nie może być prawdą cała relacja o rozmowie Koca z Piłsudskim w tym właśnie dniu 17 grudnia. O żadnej „likwidacji” podlegaczy mowy być nie mogło.

Istotnie, po zamieszkach na placu Trzech Krzyży w dn. 11 grudnia, kiedy to bojówki endeckie próbowały sterroryzować Zgromadzenie Narodowe, napadały na posłów lewicy i jadącego do Sejmu Prezydenta, kiedy w toku tych starć zabity został robotnik z PPS, Kałuszeński — w kołach warszawskiej organizacji PPS powstał zamiar akcji odwetowej. PPSowcy zwrócili się o współdziałanie do dawnych POWiaków z tzw. oddziałów lotnych. Akcja zaprojektowana została na dzień 16 grudnia, kiedy to popołudniu miał się odbyć na Woli pogrzeb Kałuszeńskiego. Organizatorzy zamierzali poprowadzić do śródmieścia tłumy robotnicze biorące udział w pogrzebie.

W przygotowaniach i rozmowach między PPSowcami i dawnymi POWiakami brali udział Stamirowski i Koc.

Sprawozdania o przebiegu tych planów składał Marszałkowi Piłsudskiemu major K. Stamirowski. Otrzymał wyraźną instrukcję Marszałka, streszczającą się w słowach: „Żadnych samosądów, zgubne mogą być dla państwa rządy tłumów, podleganych przez prawicę, ale tak samo niedopuszczalne jest, aby z kolei lewica robiła to samo. Nie jestem już Naczelnikiem Państwa, ale nie przestałem być Naczelnym Wodzem. Jeżeli władze administracyjne i policja nie potrafią opanować sytuacji, tak jak się okazało w ciągu tygodnia ostatniego, wezmę na siebie odpowiedzialność za przywrócenie porządku przez wojsko. Od karania winnych są sądy państwowe. Jeśli się do mnie o to zwrócą, gotów jestem przyrzec, że winni rozruchów i zabójstw zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i zrobię wszystko, co będę mógł aby tego dotrzymać, ale powtarzam jeszcze raz: żadnych samosądów!”.

O zamiarach odwetowych dowiedział się w ostatniej chwili Daszyński. Zażądał spotkania z organizatorami i przybył na zebranie w mieszkaniu Jerzego Iwanowskiego w dniu 16 grudnia. Było to już bezpośrednio po zamordowaniu przez Niewiadomskiego prezydenta Narutowicza, ale zanim jeszcze wyruszył na Woli pogrzeb Kałuszeńskiego. Daszyński wygłosił fascynujące przemówienie. Dowodził, że przez zabójstwo Prezydenta endecja popełniła samobójstwo polityczne, że sama założyła sobie sznur na szyję, że jakiegokolwiek działania odwetowe mogłyby tylko

„wskrzesić trupa endencji” a „z morderców Prezydenta zrobić męczenników”. Ze zatem byłby to błąd fatalny. Zachwiałszy magią swej wymowy pewność i gotowość do czynu słuchaczy, rzucił Daszyński na szalę cały swój autorytet i zapowiedział najostrożniejsze sankcje dyscyplinarne wobec członków partii, którzy by jego zakazu nie usłuchali. Warszawska PPS uległa autorytetowi Daszyńskiego i tuż przed ruszeniem mas robotniczych na pogrzeb Kałuszeńskiego akcja została odwołana.

Na drugi dzień po śmierci Prezydenta Narutowicza sprawa projektowanego odwetu ze strony PPS była więc już nieaktualna. Byłem tego dnia w Belwederze u Marszałka i otrzymałem instrukcje, brzmiące tak samo, jak te, które otrzymał uprzednio Stamirowski. Gdy wychodziłem z Belwederu wraz z gen. Wł. Sikorskim w rozmowie z nim stwierdziłem, że i jemu Marszałek mówił to samo.

Maj roku 1926

Trzecie zwierzenia Koca miały dotyczyć ostatniego dnia walk w Warszawie w czasie zamachu majowego. Tu Koc wysuwa nawet przypuszczenie, że Komendant zrobił na nim wrażenie „załamanego”. Byłem wraz z Kocem wtedy i razem dostaliśmy pewne polecenia. Koc mógł nie wiedzieć, że Piłsudski na krótką chwilę przed wezwaniem nas do siebie otrzymał fałszywą, jak się na szczęście okazało, wiadomość o śmierci gen. Sosnkowskiego. Znowu więc nic dziwnego, że był wstrząśnięty, lecz o załamaniu mowy nie było. W niewiele godzin potem, gdy przybyli parlamentariusze z Wilanowa z zawiadomieniem o rezygnacji Prezydenta i z listem do Marszałka Sejmu — Rataja, przekazującym mu władzę, Piłsudski był już całkowicie opanowany i działał szybko w porozumieniu z Marszałkiem Ratajem dla przerwania walki i tworzenia nowego rządu.

Rozmowa z gen. Sosnkowskim

W związku z zamachem majowym i tragedią Sosnkowskiego — podaje Katelbach jakoby relacje Koca o rzekomym przyjeździe gen. K. Sosnkowskiego z Poznania do Warszawy w kilka miesięcy po zamachu majowym i o rozmowie w mieszkaniu Koca z udziałem moim i Stpicyńskiego. Tematem rozmowy miało być, że Sosnkowski wyrzucał nam ukrycie przed nim planu i daty zamachu, po czym jakoby o świcie pojechaliśmy na raki

do Wilanowa gdzie trwał spór i „SzeŹ” nie dał się przekonać. Zdaniem autora tej relacji Koc miał przyznać, że był tak zmęczony, że chwilami kompletnie kręciło mu się w głowie.

Otóż w tym wszystkim prawdą jest tylko to, że była tego rodzaju rozmowa w końcu sierpnia czy też w początku września 1927 ale w innym miejscu i w innym składzie osób. Dowiedzieliśmy się wówczas w Warszawie że SzeŹ opuścił już szpital w Poznaniu po niezmiernie ciężkiej operacji przeprowadzonej przez prof. Jurasza; że jest już w swojej siedzibie wiejskiej, w Bukowcu; że jednak rana wciąż jeszcze się nie goi, do czego przyczynia się stan głębokiej depresji psychicznej pacjenta. Postanowiliśmy wówczas — najbliżsi podwładni generała Sosnkowskiego w Sztabie Ministerstwa Spraw Wojskowych, których przy tym darzył on osobistą przyjaźnią — udać się do niego. Wizyta nasza w Bukowcu trwała kilka dni. Brali w niej udział: Adam Koc, Wacław Stachiewicz, Kazimierz Stamirowski i ja. Nie brał żadnego udziału w tym W. Stpiczyński. (Stachewicza nie jestem pewien).

Zastaliśmy SzeŹa wielce osłabionego fizycznie i wyraźnie przygnębionego. Powody tego dały się podzielić wyraźnie na dwa momenty; pierwszym i głównym było to, że Komendant nie uprzedził go o swych zamierzeniach; drugim, że my, jego starzy podkomendni i przyjaciele ukryliśmy jak gdyby przed nim co się szykuje. W ciągu dwóch czy trzech dni pobytu w Bukowcu po zwykłych porannych zabiegach lekarskich, odbywaliśmy spacer po pięknym parku, zdając SzeŹowi sprawę z przebiegu zdarzeń majowych. Wtedy dopiero dowiedział się on ode mnie, że Komendant, gdy tylko powziął decyzję że pójdzie na konflikt z tworzącym się rządem Witosą, polecił mnie zawiadomić o tym przede wszystkim SzeŹa a następnie innych poważniejszych generałów, informując ich, że jeśli by przyjęli tekę spraw wojskowych w nowym rządzie to mogliby się znaleźć w konflikcie z nim.

Zgodnie z prawdą, jak to podkreśla Koc, zapewnialiśmy SzeŹa, że dopiero w przeddzień zamachu po południu Wieniawa i ja otrzymaliśmy w Sulejówku instrukcje Komendanta uruchomienia demonstracyjnego marszu wskazanych przez Marszałka pułków do Rembertowa na rano dnia następnego. Stwierdziliśmy, że — jak wynikało z treści tych instrukcji, Komendant był przekonany, że manifestacja ta wywoła dymisję rządu Witosy po czym Marszałek złoży decyzję o dalszym biegu wypadków w ręce Prezydenta Rzeczypospolitej. Z mojej strony zameldowałem SzeŹowi moją rozmowę z Komendantem o dwa dni wcześniejszą, gdy ogłoszone zostało porozumienie Witosy z Narodową Demokracją i powierzenie Witosowi przez Prezydenta Rzeczypospoli-

tej misji tworzenia rządu. Tegoż dnia znalazła się w prasie porannej warszawskiej wiadomość — nieprawdziwa — że gen. Sosnkowski przybył do Warszawy zaproszony tu w związku z tworzeniem się nowego rządu. Marszałek polecił mi porozumieć się natychmiast z Szefem i uprzedzić go, aby nie przyjmował stanowiska Ministra Spraw Wojskowych, gdyż jest on zdecydowany na konflikt z tym rządem. Gdy już wychodziłem od Komendanta wszedł do pokoju jeden z bliskich współpracowników zarówno Komendanta jak i Szefa z dawnych czasów, który usłyszał dodatkową wskazówkę natury taktycznej daną mi przez Komendanta dla Szefa: poradźcie Szefowi żeby najlepiej od razu wracał do Poznania, bo pocóż mają go tu na próżno wałkować.

Szereg nieporozumień i nieszczęśliwy zbieg okoliczności doprowadziły do tego, że nie zdążyłem porozumieć się z Szefem, który przybył do Warszawy dopiero później i powtórzono mu tylko to ostatnie zdanie wypowiedziane na końcu przez Komendanta.

Zarówno ja jak Koc i Stamirowski odnieśliśmy wrażenie że — co do pierwszego momentu — Szef dał nam wiarę i że przyniosło mu to ogromną ulgę. Natomiast co do drugiego — wyczuiliśmy wyraźne niedowierzanie, jak mogliśmy wszyscy razem być zaskoczeni danymi nam następnego dnia rozkazami do marszu posłusznych Komendantowi pułków na Warszawę.

A przecież była to prawda. Oczywiście, wiedzieliśmy że Komendant coś zrobi, ale co, jak i kiedy nie było nam wiadome aż do ostatniej chwili. A i wtedy jeszcze ze szczegółów udzielanych nam instrukcji wynikało, że Komendant spodziewa się, że sama manifestacja wystarczy i po dokonaniu jej Komendant osiągnie porozumienie z prezydentem Wojciechowskim.

Piłsudski był jednak zbyt wytrawnym mężem stanu i wodzem, aby nie brać pod uwagę możliwości odmiennego obrotu wypadków, która postawi go w roli otwartej rebelii. Odpowiedzialność za to brał na siebie i nie chciał obciążać współodpowiedzialnością Sosnkowskiego. Z tych samych względów zabronił Śmigłemu dowodzenia I Dywizją wezwaną z Warszawy i kazał mu pozostać w Wilnie.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Bukowca Sosnkowski pożegnał nas przyjaźnie i serdecznie a — co więcej — widzieliśmy że jego samopoczucie uległo oczywistej zmianie na lepsze.

Po powrocie do Warszawy Stamirowski i ja zameldowaliśmy się u Komendanta, opowiedzieliśmy wszystko, po czym Komendant wysłał natychmiast płk. J. Ulrycha do Szefa, przesyłając mu serdeczności i życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia, gdyż potrzebuje go pilnie do pracy w Generalnym Inspektoracie.

Teraz, usilnie proszę o spojrzenie na stronę 173 w 16-tym *Zeszyście Historycznym*. Co z tego zrobił Katelbach? Ani miejsce, ani nazwiska osób biorących udział, ani najistotniejsza treść rozmów o które chodzi, nie zostały oddane zgodnie z rzeczywistością. Wymienione tam jest moje nazwisko. Otóż, nigdy nie brałem udziału w żadnej rozmowie u Koca na Hożej z Sosnkowskim i — ni stąd ni z owąd — ze Stpiczyńskim; i nigdy nie słyszałem, aby taka rozmowa miała miejsce beze mnie. Nigdy też w wymienionym towarzystwie nie byłem na jakichś rakach w Wilanowie.

O. Z. N.

Senator T. Katelbach pisze od siebie o deklaracji O.Z.N. o okolicznościach jej powstania i powołania Adama Koca na szefa tej organizacji. Mniejsza w tej chwili o jego własne poglądy; natomiast w dalszym ciągu wspomnień przytacza swe rozmowy na ten temat z Adamem Kocem już w ostatnich latach jego życia, w New Yorku. Relacja ta wygląda tak, że po prostu oczom własnym nie wierzyłem czytając ją. Cytuję: „Nie byłem autorem proklamacji programowej O.Z.N., którą tak krytykujesz. Dałem na nią swe nazwisko, ufając Bodkowi Miedzińskiemu, którego uważałem za jednego z najzdolniejszych i najbardziej doświadczonych polityków naszego obozu”. Tylko pierwsze zdanie odpowiada prawdzie; drugie natomiast imputuje, że byłem tym autorem ja i jak gdyby zawiodłem zaufanie mego „Szlachetnego” przyjaciela. A przecież musiało mu być doskonale wiadome jak się rzeczy miały naprawdę.

Po czerwcowym przemówieniu marsz. Śmigłego na zjeździe Związku Legionistów, w którym — w obliczu zagrożenia zewnętrznego — Śmigły proklamował konieczność zjednoczonego wysiłku całego narodu dla obrony Państwa wzywając legionistów do inicjatywy w tym kierunku. Powierzył kierownictwo tej pracy Adamowi Kocowi.

Pierwszym zadaniem było oczywiście zredagowanie odpowiedniej deklaracji ideowej. Jednakże aż do początku grudnia 1936 roku deklaracja nie została przygotowana. Należałem do grona tych którzy mieli dopomagać Kocowi w jego pracy. Zbieraliśmy się od czasu do czasu, przeważnie w Prezydium Rady Ministrów; wkrótce zaczęliśmy odczuwać co raz większy niepokój, że rzeczy nie posuwają się naprzód; Koc przychodził zwykle z dobrze wyłożoną teką, w której, jak mówił, leżą nadsyłane mu projekty odezwy programowej, które go jednak nie zadawałają. Dos-

konała atmosfera, która dawała się odczuwać w kraju po mowie Śmigłego, z upływem czasu stawała się chłodniejsza. Wreszcie Stefan Starzyński, który należał do grona organizatorów, zwrócił się do mnie z propozycją, aby wywrzeć nacisk na Koca celem przyspieszenia proklamacji ideowej. Na najbliższym zebraniu zwróciłem się do Adama z odpowiednim apelem; odpowiedział — po podtrzymaniu mego apelu przez Składkowskiego i Pacior-kowskiego (premiera i politycznego wiceministra Spraw We-wnętrzych), że brak mu dostatecznych wytycznych od Naczelnego Wodza. Oświadczyłem wówczas, że zdaniem moim są one całkiem dostateczne w jego przemówieniu czerwcowym oraz w rzeczywistości politycznej wszystkim nam znanej i sądzę, że mógłbym na tej podstawie napisać projekt deklaracji w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. „Trzymam cię za słowo” odpowiedział Koc, co zostało przyjęte głośnie aprobatą zebranych. Premier wyznaczył wobec tego zebranie na dzień następny. Przy-siadłem fałdów i w ciągu nocy najbliższej projekt napisałem, boć przecież myślałem nad tym tematem od szeregu miesięcy. Gdy następnego dnia odczytałem mój projekt został on przyjęty nie tylko bez dyskusji, ale jak gdyby z entuzjazmem. Adam Koc wprowadził bez entuzjazmu ale i bez zastrzeżeń oświadczył, że niezwłocznie przedstawi mój projekt Śmigłemu. Zabrałem wtedy głos i oświadczyłem, że nie sądzę, aby moje opracowanie zostało zaakceptowane. Składkowski obruszył się pytając, dlaczego w takim razie przedstawiłem go zebranym do akceptacji. W odpowiedzi powołałem się na oświadczenie Koca że nie ma danych co do ewentualnej decyzji Śmigłego i że celem głównym mojej pracy było nie co innego jak uzyskanie decydującej opinii. To będzie właśnie osiągnięte w chwili, gdy mój projekt znajdzie się w rękach Śmigłego; albo on go zaakceptuje albo odrzuci i powie nam dlaczego; i tylko tego oczekuję.

Dalszy ciąg był następujący: Śmigły nie akceptował mojego projektu i oświadczył Kocowi, że napisze projekt deklaracji sam. Wkrótce potem Śmigły wyjechał do Zakopanego na urlop świąteczny.

Przed Nowym Rokiem Koc otrzymał zaproszenie do Zakopanego z tym, że ma przybyć wraz ze mną. Do listu Śmigłego był dołączony projekt deklaracji ideowej O.Z.N.

Tak więc sprawa ruszyła z miejsca. Co zaś do treści deklaracji zaskoczyła mnie ona po prostu; a to dlatego, że jeszcze przed niewielu miesiącami znane mi nastawienie Śmigłego szło raczej ku pociągnięciu szerokich warstw ludowych do współ-udziału w rządzeniu i ku poparciu przez nie wysiłku obronnego. Świadczy o tym znany fakt jego udziału w wielkim zjeździe

Stronnictwa Chłopskiego. Było to przed śmiercią Stpiczyńskiego, który należał do najbliższego otoczenia Śmigłego i reprezentował wpływy raczej radykalne. Natomiast przesłany nam projekt szedł w kierunku ultra konserwatywnym.

Gdy jechaliśmy wraz z Adamem do Zakopanego powiedziałem mu, że być może jest to moja ostatnia próba porozumienia i jeśli nie uzyskam pewnych podstawowych zmian w deklaracji zdecydowany jestem wycofać się całkowicie z działalności politycznej. Chodziło mi głównie o to że w treści deklaracji nie było wzmianki o reformie rolnej. Z rozmów z Kocem odniosłem wrażenie, że jemu deklaracja całkowicie odpowiadała. Późniejsze nasze narady we trzech ze Śmigłym to potwierdziły.

W tym stanie rzeczy zacytowana relacja Koca w rozmowie z sen. Katelbachem odbiega od rzeczywistości w sposób krańcowy.

Nowością też jest dla mnie, że nie chciał on przyjąć zadania powierzonego mu przez Śmigłego, że to był błąd z jego strony, który rzucił na niego cień wlokący się za nim przez całe życie. Prawda jest inna: nie podjęcie się tego zadania, lecz sposób, w jaki je wykonywał, spowodował rozczarowanie, zarówno ze strony jego mocodawcy jak i jego przyjaciół, co w rezultacie wywołało przesunięcie Adama z politycznej areny działania obozu piłsudczyków do działań skarbowo-finansowych. Nie będę się tu wdawał w ich ocenę. Za główny jego błąd poza kunktatorstwem w organizacji OZN-u uważaliśmy jego ściśle związanie się z Falangą B. Piaseckiego i poddanie się jego osobistemu wpływowi. Ale i tu winowajcą miał być Miedziński: „On również, poszukując oparcia w społeczeństwie dla nowej formacji politycznej, nawiązał kontakty z ONR-em i z innymi radykalnie prawniczymi formacjami. Tak oto doszło do spotkania u mnie na wsi, w Małych Świdrach z Bolesławem Piaseckim, do którego nigdy nie miałem zaufania” (podkreślenie moje). — Tak miał mówić Koc p. Katelbachowi.

Prawda jest zupełnie inna. Zanim Koc zgłosił swoją dymisję Śmigłemu we wrześniu 1937 roku upłynęło kilka miesięcy, w ciągu których na życzenie Śmigłego starałem się w rozmowach poufnych z nim, a potem na konferencjach u Śmigłego wytłumaczyć Kocowi konieczność zerwania z Bolesławem Piaseckim i Falangą. Gdy to wszystko nie dawało rezultatu, Śmigły zdecydował się na ультимatywne postawienie sprawy: albo zerwanie ONZ-u z Falangą, albo zmiana na stanowisku Szefa. Koc wybrał swoją dymisję.

.....
.....

POLEMIKI

S. ŻOCHOWSKI

UWAGI DO „GRUPY SZAŃCA i NSZ” S. Z. SIEMASZKI

Autor artykułu prosi o uzupełnienia*. Uzupełniam. Będzie to tylko dalsze sprawy dotknięcie. Mam książkę gotową do druku na ten sam temat, ale wydawcy znaleźć nie mogę. Szeregu moich artykułów nie wydrukowano. Dobrze się stało, że milczenie zostało przerwane. Należy się za to wdzięczność autorowi, choć wiele rzeczy spłycał i zamiast grupowania faktów do oceny czytelnika, sam preparował sądy z krzeselka w Anglii. W wirze walki, podejrzeń, oskarżeń, rzadko celnych informacji, przy nadmiarze ludzi do użycia, przy braku do obsadzenia stanowisk i sztabów, przy odwrotności celów niewyznaczonych, a jednej idei wolności i wyzwolenia, przy uczuciu bezsiły wobec nacisku obu wrogów, przy własnym polskim podziale — trudno było o mądrość. Tonęliśmy w odmętach niemieckiego odpływu i wysokiej fali, która szła od Moskwy i Donu. Jedni widzieliśmy wyraźnie wrogość obu, ale groźba zalewu wschodniej była bez porównania większa. Nie pokłoniliśmy się jej.

Zupełna słuszność zauważonej przez autora tajności i niechęci do udzielania informacji przez polityków ONR. Odpowiadanie na część pytań, lub milczenie na listy. Autor ogranicza się do „spojrzenia z góry”. Omija się w ten sposób wiele. „Szkic ten nie będzie dotyczył akcji wojskowej”. A więc uwaga skupiona

* Z. S. Siemaszko: „Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne”, *Zeszyt Historyczny* Nr 21 (1972), str. 3-26.

na sprawach politycznych. Nic podobnego! Autor pominął zupełnie program polityczny, który w walce się rozwinął i oczyścić. Poświęciwszy nieco miejsca Służbie Cywilnej Narodu, widzi w niej tylko gotowość objęcia władzy. W „Zeszytach IV do Historii NSZ” dr Gluziński podaje cały szereg zasad, które miały być stosowane w ustroju i administracji państwa. Ani słowa, które usprawiedliwiłoby etykietkę „faszyzmu” przyklejoną kierunkowi, który porywał ludzi wszystkich ugrupowań, ale umiejących myśleć. Dalej (str. 3) — „Będą rozważane plany, zamiary i ich wykonanie” — jak również powody... postępowania”. Bardzo to względne, bowiem milczenie głównych informatorów pozwala tylko na supozycje, ateczki NSZ w Londyńskim archiwum, pod opieką cerberów, są tylko do częściowego wglądu.

Przekazywanie informacji wywiadu wojskowego do ZWZ (AK) spotykało się z pokwitowaniem niewielkimi sumami pieniężnymi („na pokrycie kosztów”) — str. 6. AK w raportach* nie wspominała o istnieniu NSZ (ZJ), ani o korzystaniu z elementów wywiadu. Był on, zwłaszcza na zachodzie Polski i w pasie nadmorskim Bałtyku bardzo rozwinięty — jeśli nie jedyny.

Autor miesza trzy pojęcia (ZJ — Grupa Szańca — NSZ), co wprawdzie pokrywa się z jednoczesnym używaniem tych nomenklatur w kraju, ale tylko przez niepoinformowanych i do powstania NSZ — lipiec 1942. Akcja Specjalna, która była nie tylko służbą bezpieczeństwa, ale i szkołą walki w terenie powstała jesienią 1942 na rozkaz płk. Oziewiczca.

Dalej szczegół, mieszany i przez wspomniane „Zeszyty do Historii NSZ” — było Dowództwo NSZ i Komenda AK. A więc — Dowódca — i Komendant.

„Połączonym siłom, na wniosek mec. Stypułkowskiego nadano nazwę Narodowych Sił Zbrojnych” — str. 9. Był to nieszczęśliwy pomysł jednej nazwy dla kierunku politycznego (fronda S.N. i ONR), który nie miał czasu i spokoju na okrzepnięcie, nabranie do siebie zaufania i wytworzenie jedności i dla organizacji wojskowej. W ten sposób zakładano, że politycy są żołnierzami (co później zostało potwierdzone przez wysokie szarże**), a żołnierze politykami. Nie miało to miejsca, gdyż te elementy były raczej równoległe, a polityka sączyła się z numerów pism. Nawet udział płk. Oziewiczca w TNRP chociaż bywał na wszystkich chyba zebraniach, autor kwestionuje — (str. 13), może i słusznie. Trudno o precyzję jego stanowiska — czy był opiniodawcą wojskowym, obserwatorem, czy członkiem Rady.

Denerwujące są na niczym nie oparte, wolne sądy, czy „wtarcenia” autora. Pisząc o celach TNRP, które mu określał mec. Stypułkowski, jako „połączenie z AK” (*nihil novi!*) — i „ograniczenie zapędów K. Gł. AK. w pozytywnym nastawieniu do ZSSR” — co za precyzja kauzyperdii!, p. Siemaszko dodaje od siebie

* Do Naczelnego Wodza.

** Sobie wzajemnie nadane.

— „Można przypuszczać, że nie wszyscy członkowie TNRP rozumieli jej cele w ten sam sposób”. Na czym jest oparte takie „przypuszczenie”? Antykomunizm — bez względu na wystygły rozsądek obecnego traktowania zagadnienia był niewątpliwym w NSZ. Taki był ton licznej prasy, kierowanej przez polityków. To odpowiadało organizacji. Idę dalej, było popularne w całości społeczeństwa.

Potępienie powstania NSZ przez Delegata Rządu prof. Piekałkiewicza („Warcholstwo”) było ogłoszone 11. 3. 1943, czyli po ośmiu miesiącach istnienia organizacji. Gen. Rowecki, jak wspomina płk dypl. Rzepecki w swoich „Wspomnieniach”, zarzuca zupełną bezczynność panów Delegatów na odcinku scalania wojskowego. Premier Wł. Sikorski wyraźnie im to kładzie w instrukcji na pierwszym miejscu zadań.

Jeśli NW i Rząd w Londynie reagowali po omacku i na podstawie życzeń K. Gł. AK, to na miejscu siedzący Delegat mógł orientować się lepiej, działać bystrzej i przed powstaniem NSZ wywrzeć swój nacisk na połączenie wojskowe. Dopuszczając rozsądną autonomię dla organizacji wojskowych narodowców miał szansę zapobieżenia rozłamowi NOW. Mógł dołączyć ZJ choćby przez kontakty z dr. K. Gluzińskim. *Eo ipso* nie byłoby NSZ.

Autonomia organizacji wojskowych, dawno powstałych i wrosłych w teren, była koniecznością bezpieczeństwa podziemnego. Naciski o podporządkowanie się Komendzie AK miały na celu pełne rozwiązanie oddziałów, przekazanie dowodzenia „swoim”, a nade wszystko spokojną głowę. Zniszczenie straszaka władzy innej niż własna.

Ponieważ AK nie posiadała broni dla własnych oddziałów (10 % uzbrojonych) nie miała nic do zaofirowania dołączanym. Był taki punkt w umowie o scaleniu, ale była to warszawska „lipa”. Zwiększanie ilości wojska bez broni było kosynierskim myśleniem.

70.000 żołnierza NSZ miało wartość kilku tysięcy uzbrojonych. Reszta to sympatycy, gotowi, zapalni, ale nie groźni w polu.

Pozostawienie przez kraj, poza „grubą czwórka” (otrzymywali stałe wsparcie od Rządu w dobrej monecie) chudego ONR było celowe z wielu względów. Cztery partie (z których Partia Pracy była raczej fikcyjna i nie miała poza dużymi miastami poparcia w terenie) zachowywały nominalny i niepodzielny rząd dusz. Łudzono się, że bez radykalnych narodowców, których przyjemnie było nazywać faszystami, utrzyma się władzę w kraju i ułoży się stosunki z ZSSR.

(Str. 12). W 1943-45 nie tylko „nacjonalizm polski był zdecydowanie antykomunistyczny”. Było to powszechne nastawienie. Ludzie pamiętali wywózki na Sybir, zaciskali bezsilnie ręce na wieści o Katyniu i przeżywali rozbrajanie oddziałów AK. Odbijało się to w marginesowej ilości członków AL i GL.

Pisze autor, że NSZ powinno być nastawione pozytywnie wobec ZSSR. Teoretyk z Londynu wyczuwa sytuację! Ocena jest

z dni bieżących, a nie ówczesnych. Historyk musi nie teoretyzować, nie radzić, a odszukiwać rzeczywistość okresu opisywanego. Zresztą wtedy, a i o wiele później, bo w latach pięćdziesiątych nasze Władze w Londynie liczyły się lada dzień z wojną Zachodu z Rosją. Gen. Anders odwiedzając ośrodki NSZ we Francji tak widział bliską przyszłość. Tak przyświadczał gen. Kopański i oficerowie Sztabu, wciąż utrzymywanego. Ta wiara przenikała do kraju. Zarzuty autora odnoszą się do 1943/44 roku. Cały kocioł europejski gotował się. Wiara w uczciwość Churchillów i Rooseveltów była kamieniem węgielnym myślenia w kraju. Przecież i Mikołajczyk ufał jakiemuś *modus vivendi*, który zostanie wypracowany dla „najwierniejszych i najciężej doświadczonych”.

Zresztą „NSZ i Grupa Szańca” — gdzież tu różnica? — nie występowały „przeciwko porozumieniu z Rosją”. Widzieliśmy tylko, że porozumienie jest niemożliwe. Że chodzi o zupełne podporządkowanie. Moskałe tego nie chcieli na drodze dyplomatycznej, stworzyli swoje kukiełki pseudo-rządu, strzelali Akowców, brali w Sybir tych, którzy się ujawnili i pomagali bić Niemców. To tylko nasze, tragicznie realne, spojrzenie było słuszne.

Nie podejmę dyskusji na temat ukomunistycznienia narodowców. To jest nonsens.

Brak poczucia rzeczywistości cechuje autorskie (str. 13) nagany dla NSZ. Zaleca „akcję obronną”, a nie zwalczanie partyzantki komunistycznej. Na szczęblu plutonu, czy kompanii najzwyczajniej się strzela, a nie umiem rozróżnić na tym partyzantskim poziomie strzelania obronnego i zaczepnego. Najczęściej jest było obronne, w obronie życia!

Represje były jednakowo bezlitosne przeciwko AK i NSZ. Aptekarza dać, by odważył o ile zachowanie oddziałów na to wpłynęło!

Stalin niszczył inteligentną, aktywną, patriotyczną polskość. Nie dzielił włosa na części. Padały z głową.

Słusznie zauważył autor, że Nacz. Wódz i NSZ podobnie widzieli konieczność ewakuacji z Polski elementu ludzkiego zagrożonego wyniszczeniem (str. 14).

Równie przewidująca była myśl Nacz. Wodza w „Wytycznych włączenia NSZ do AK”. Była to autonomia. To były punkty styczne, bardzo istotne. Inna rzecz, że gen. Bór zaprzepaścił te wytyczne, kierowany przez swe otoczenie.

Trudno z zewnątrz, po tylu latach, przy urywkowych informacjach, odtworzyć mechanizm organizacji podziemnej. Dlatego (str. 15) autor zarzuca chaos i wymienia cztery czynniki pozornie sprzeczne: TNRP, Grupę Szańca, frondę S.N. i Dowództwo NSZ.

Otóż w TNRP (reprezentanci Grupy Szańca i frondy S.N.) naturalną kolej rzeczą dyskutowano różne poglądy i rozwiązania. Mec. Stypułkowski usiłował je uzgadniać. Prasa ostro rozmawiała z Biuletynem BIP, a sztab NSZ — jak każdy sztab

— przygotowywał różne warianty wykonania, z których potem wykonuje się jeden. W pamięci rekapitulantów zatrzymały się mocniej niektóre problemy. Czy są, lub ich ujęcie, zgodne w czasie z zeznaniami innych?

Na str. 16 rozważanie „dziwnej” sytuacji płk. dypl. Kurcysza jest zupełnie biurokratyczne. Słuszne między obcymi. Płk Kurcysz był postawiony na tor boczny w AK, podobnie jak w NSZ mimo pozorów chęci włączenia i wykonania rozkazu Nacz. Wodza. Kurcysz nie chciał być beczynnym, tylko dlatego, że dla dla K.Gł.AK był politycznie niepewny. Dlatego wspiera swą pracą, czy opinią NSZ, ale pozostaje aż do zaarrestowania płk. Oziewiczza na uboczu. Widząc NSZ bez dowódcy decyduje się na objęcie dowodzenia i wkrótce potem rozmawia ze mną o swej największej trosce, o połączeniu z AK. Dla siły wojskowej. Autor pisze o NSZ, jako o „konkurencyjnej” organizacji. Sugeruje w ten sposób „dezercję”. Tak drewniane głowy z AK traktowały przejście z AK do NSZ.

To biurokratyczne i polityczne podejście dzieliło żołnierzy. Dlatego ja musiałem jechać do Londynu, bo z ulicy na inną w Warszawie droga była dalsza.

Myli się autor (str. 25), że podporządkowanie Brygady Świętokrzyskiej 2-mu Korpusowi nie doszło do skutku. Już w maju 1945 wysłany oficer podporządkował Brygadę gen. Andersowi. W czerwcu przyjechało kilku oficerów na czele z mjr. Aleksandrem po rozkazy, a zwłaszcza dla prowadzenia wywiadu — użycie Toma. Jednocześnie dowódca Brygady wysłał rtm. Jerzego Zaleskiego do Nacz. Wodza z meldunkiem. Już przy końcu kwietnia ten dzielny oficer dotarł do Paryża. Tu zagroziły mu drogę macki VI. Oddziału. Przez długi czas nie chciano zezwolić na jego przejazd do Londynu. Ostatecznie i tam nie chciano go zameldować p.o. Nacz. Wodza gen. Andersowi. Zamknięto go w pokoju strzeżonym przez oficera, po przesłuchaniach przez ppłk. Utnika. Dopiero prywatny telefon jednego z oficerów do ks. bp. Gawliny, audiencja u niego i przyrzeczenie pomocy doprowadziły do rozkazu gen. Andersa, by rtm. Zaleski był do niego przesłany.

A więc Brygada była podporządkowana gen. Andersowi. Stała się częścią Sił Zbrojnych, ale ominął ją cały splendor, bo w tropy już szły zapowiedzi i rozkazy demobilizacji i wkrótce transporty pierwszych jednostek Korpusu do Anglii. Mnie gen. Anders wyznaczył oficerem łącznikowym, co w polskim wojskowym języku znaczy stałe wiązanie jednostki odległej terenowo z Dowódcą wyższym. Brygada miała rozrosnąć się w następną dywizję 2-go Korpusu. Miałem zostać szefem sztabu tej dywizji. W 17.L.B.S. w Mestre, pod Wenecją miałem około 20 podchorążych z Brygady Świętokrzyskiej za zgodą dowódcy Korpusu. Tam przechodzili skrócony kurs wyszkolenia. Z rozkazu gen. Andersa, gdy rząd St.Zjedn. po interwencji rosyjskiej nakazał rozbrojenie Brygady, pertraktowałem razem z płk. Dąbrowskim

w sztabie 3-ciej Armii amerykańskiej o tworzenie kompanii wartowniczych. One miały być rezerwuarem żołnierza do chwili, gdy powieje nasz wiatr w żagle.

Ale to nie dowód, by tym dobrym żołnierzom piaskiem sypać w oczy i pisać (str. 25) — „przywódcy Grupy Szańca byli już zbyt przyzwyczajeni do działania samodzielnego”, by się oddać pod rozkazy. Kończy autor pociskiem: „NSZ nigdy nie zostały zalegalizowane”.

Gen. Anders widomie starzał się. Gen. Kopański nikomu nie chciał się narażać. Chmury w Europie rozłaziły się. Płk Oziewicz, wyznaczony przez gen. Andersa przewodniczącym komisji weryfikacyjnej, chory po obozie koncentracyjnym, zapadł obłożnie na suchoty. Sztab Gł. rozłaził się. Przy bardzo polskiej tendencji nie załatwiania niczego porządnie i dokładnie pozostawiono NSZ poza nawiasem „dobrze zasłużonych”.

S. ŻOCHOWSKI



20 maja 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z uwagami pana Żochowskiego pragnę zwrócić uwagę na następujące sprawy.

1. Program polityczny

W „Zeszycie IV do Historii NSZ”, na który powołuje się p. Żochowski, dr Gluziński jedynie streszcza broszurę pt. „Polska po wojnie” wydaną nakładem Grupy Szańca w roku 1943, ale zastrzega się, iż:

„praca ta w uchwyceniu konkretnych rozwiązań była wykładnikiem indywidualnych poglądów autora. Odzwierciedlała jednak niewątpliwie zasadnicze tendencje Służby Cywilnej Narodu (w której zresztą nie było wydziału zajmującego się planowaniem politycznym — Z.S.) i Grupy Szańca” (str. 133).

Więc gdzie jest ten „program polityczny, który w walce się rozwinął i oczyścił”, jak pisze p. Żochowski?

2. ZJ — Grupa Szańca — NSZ

Mimo to iż p. Żochowski sugeruje, że tylko poinformowani wiedzą co te trzy pojęcia znaczą, spróbuję jednak zdefiniować je w takim sensie w jakim używałem je w swoim szkicu.

ZJ — organizacja wojskowa istniejąca w latach 1939-1942, podległa politycznemu kierownictwu Grupy Szańca.

Grupa Szańca — organizacja polityczna istniejąca w kraju podczas drugiej wojny światowej, która była kontynuacją przedwojennego ONR.

NSZ — organizacja wojskowa powstała w 1942 z połączenia ZJ i innych organizacji wojskowych o zabarwieniu narodowym, podległa politycznie do kwietnia 1944 Tymczasowej Narodowej Radzie Politycznej wyłonio-

nej przez Grupę Szańca i pewnie oddamy Stronnictwa Narodowego, a później Radzie Politycznej NSZ uformowanej przez Grupę Szańca.

Czy rzeczywiście, jak sugeruje p. Żochowski, pomieszałem te pojęcia, a jeżeli tak, to może ktoś z poinformowanych zechciałby łaskawie skorygować powyższe definicje.

3. *Płk Oziewicz w TNRP*

Już dawno w *Kulturze* (Nr 5/31, str. 105) p. Żochowski pisał bez żadnych zastrzeżeń, iż płk Oziewicz był członkiem TNRP. A teraz skoro zakwestionowałem prawdziwość tego stwierdzenia, to powiada „może i słusznie” i dodaje „trudno o precyzję jego (Oziewicza) stanowiska”.

Trzeba być jednak ostrożnym z akceptowaniem stwierdzeń świadków historii.

4. *Akcja obronna i zaczepna*

Dziwię się, iż oficer dyplomowany kwestionuje rozróżnienie pomiędzy akcją zaczepną i obronną, a jednocześnie z poziomu sztabu NSZ, o czym pisałem, ściąga całą sprawę na poziom plutonu lub kompanii. A zresztą nawet, mam nadzieję, iż i na tym szczeblu można odróżnić akcję zaczepną od obronnej.

5. *Sztab NSZ*

Pan Żochowski pisze, iż „sztab NSZ — jak każdy sztab — przygotowywał różne warianty wykonania, z których potem wykonuje się jeden”. Chciałbym zapytać, jakie warianty przygotowywał sztab NSZ na początku 1944 poza jedynym znanym, tzn. ewakuacją oddziałów NSZ na Zachód?

6. *Brygada Świętokrzyska i 2-gi Korpus*

Pan Żochowski twierdzi, iż podporządkowanie Brygady 2-mu Korpusowi doszło do skutku. Jeżeli tak, to należałoby powiedzieć, iż około 20 podchorążych z Brygady przechodziło kurs przeszkoleniowy w 17-ym Lwowskim Batalionie Strzelców „na rozkaz”, a nie „za zgodą dowódcy Korpusu”, jak to czyni p. Żochowski.

Według p. Żochowskiego „Brygada miała rozrosnąć się w następną dywizję 2-go Korpusu. Miałem zostać szefem sztabu tej dywizji”. Dlaczego ten plan nie został wykonany? Od maja 1945 (zakończenie wojny) do września 1945 (przekształcenie Brygady w kompanie wartownicze) było sporo czasu. A poza tym, czy kierownictwo Brygady zaakceptowałoby mjr. dypl. Żochowskiego jako swego szefa sztabu?

Ale zobaczymy co na temat podporządkowania Brygady 2-mu Korpusowi pisze płk Boguszewski (Zeszyt IV do Historii NSZ, str. 135):

„'Pilnowanie spraw Brygady' było tłumaczeniem dobrym na kilka miesięcy. Do czasu, kiedy Amerykanie wymusili ustąpienie płk. Dąbrowskiego. Gen. Anders zapraszał kilkakrotnie. Nawet bez zaproszenia należało zameldować się u najstarszego stopniem dowódcy polskiego na lądzie europejskim. Zameldować się i konsekwentnie a z uporem załatwić sprawy legalno-personalne wszystkich swoich podwładnych. Oni tego spodziewali się i mieli prawo domagać się. Byłoby nawet pożytecznym poddać swoją działalność ocenie sądu wojennego. To rozstrzygnęłoby sprawę raz i na zawsze”.

Czyż nie wynika z powyższego, że podporządkowanie Brygady 2-mu Korpusowi do skutku nie doszło?

Pan Zochowski pisze, iż „dobrym żołnierzom piaskiem sypię w oczy”. Jeżeli nawet „sypię piaskiem w oczy”, to nie żołnierzom, a kierownictwu politycznemu znajdującemu się przy Brygadzie. Przecie wyraźnie napisałem „przywódcy — a nie żołnierze — Grupy Szańca byli już zbyt przyzwyczajeni do działania samodzielnego”, aby podporządkować się całkowicie autorytetowi 2-go Korpusu.

7. NSZ w ramach PSZ

Zacznijmy wreszcie mówić poważnie. Ponadto odpowiadajmy na konkretne pytania. Czy NSZ zostały zaliczone do Polskich Sił Zbrojnych, jako ich integralna część, czy też nie? Pan Zochowski odpowiada na to pytanie swoim ostatnim zdaniem — „pozostawiono NSZ poza nawiasem”.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO



Montreal, 26 lipca 1972.

Szanowny Panie Redaktorze.

Zdaję sobie sprawę z trudności na jakie napotykał p. Z. S. Siemaszko zbierając materiały do artykułu „Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne” zamieszczonego w 21-szym *Zeszyty Historycznym*.

Zrozumiałe przeto jest, że mogły zakraść się błędy, wbrew intencjom autora. Jeden z tych błędów pragnę sprostować.

Chodzi o informację zawartą w notatce nr 28 (str. 29), w której akcję rozbicia więzienia radomskiego oraz uwolnienia więźniów p. Siemaszko przypisuje oddziałom NS.Z.

Por. Harnaś dowodził oddziałem dyspozycyjnym Inspektoratu radomskiego AK w roku 1944. Informacja ta jest zawarta w pracy ppłk. Borzobohatego (pseud. Wojan) szefa sztabu Okr. Rad. - Kiel. AK, która ukazała się w zeszyty X „Najnowszych Dziejów Polski” (Wyd. PAN, 1966). Ppłk Borzobohaty potwierdza te dane w artykule opublikowanym w WTK (19. 3. 1972), opisującym działania AK w Inspektoracie radomskim. Przynależność Harnasia do AK potwierdzają także informacje zawarte w książkach: J. Pawlaka „Pięć lat w szeregach Armii Podziemnej” oraz „Kartki z Dziennika” dr. Twardego, J. Aleksandrowicza.

Oddział Harnasia był znany na terenie pow. radomskiego i kozienickiego. Polegał zawsze oraz działał według rozkazów AK.

Taki jest rodowód konspiracyjny Harnasia.

A teraz kilka słów o samej akcji radomskiej.

Wiem, że Harnaś po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku pozostawał w ścisłym kontakcie z ostatnim inspektorem AK w Radomiu, ppłk. Z. Żywockim, którego podwładni znali jako Wujka. On to był właśnie głównym inspiratorem akcji radomskiej. W więzieniu przebywało wtedy wielu członków Komendy Inspektoratu. Akcja rozbicia więzienia została zorganizowana celem ich uwolnienia. Rozpoznanie było dostarczone z wewnątrz więzienia. Kilku więźniów wiedziało, że akcja jest planowana lecz nie znali daty. Akcja była kilkakrotnie odkładana. Chodziło o to by w więzieniu znalazło się jednocześnie jak najwięcej więźniów politycznych. Część była trzymana w lochach безпеки (dosłownie) na Kościuszki, gdzie w czasie okupacji mieściła się siedziba Gestapo.

W czasie akcji przebywało w więzieniu około 50 więźniów politycznych, w tym także z wyrokami śmierci. Tylko 4-ch oświadczało, że „siedzi” za NSZ. Reszta siedziała „za AK”.

Wydaje mi się także, że ilość ludzi biorących udział w akcji jest przesadzona. Ja osobiście oceniam liczbę na 50-60. Możliwe że inne jednostki były używane jako osłona.

Transport składał się z 3 ciężarówek wojskowych oraz jednej przypadkowo zatrzymanej furgonetki.

Sama akcja przebiegała niezwykle sprawnie.

Przesyłam wyrazy szacunku,

Jan KOWAL

P.S. Ciekawostka, którą chcę przytoczyć, świadcząca o trudnościach dotarcia do faktów. Nazwisko por. Harnasia w każdej pracy jest podawane inaczej. A więc: p. Siemaszko podaje Stefan Bebiński; ppłk Borzobohaty w WTK podaje Stefan Bembiński; J. Aleksandrowicz — Janusz Bąbiński; J. Pawlak zaś podaje Janusz Bębiński. B. Hildebrandt w swej pracy pt. „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939-1945” pomija Harnasia, chyba jako karę za Radom, mimo że praca pretenduje do rozprawy naukowej.

J. K.

Roman ZAMBROWSKI

WSPOMNIENIA, CZY FIKCJA LITERACKA

Na półkach księgarskich ukazała się ostatnia książka Wł. Sołkorskiego „Polacy pod Lenino”. Z racji wybitnej roli, jaką autor odegrał w okresie formowania I Dywizji jako zastępca polityczny jej dowódcy można by sądzić, że jego wspomnienia, rzucając dodatkowe światło, na ten doniosły dla Polaków okres historyczny, że wzbogacą naszą wiedzę o tych czasach nową informacją polityczną, że przybliżą do czytelnika klimat i atmosferę owych niezapomnianych dla ich uczestników, wydarzeń.

Aliści rozległe polityczne cele, w dodatku podyktowane aktualnym „zapotrzebowaniem społecznym”, którym wspomnienia te mają służyć, zniweczyły w dużym stopniu ich wartość historyczną.

Na wstępie — od autora — czytamy: „Jest rzeczą wiadomą, że w centralnym aktywie ZPP, a także w aktywie politycznym I Dywizji istniały różnice poglądów odnośnie koncepcji przyszłej Polski. W dotychczasowej literaturze na ten temat reprezentowane były poglądy tylko jednej strony. Jest więc rzeczą właściwą udostępnić czytelnikowi poglądy, które wówczas głosiłem jako zastępca dowódcy I Dywizji wraz z grupą innych polskich ofi-

cerów. W każdym razie, sędzę, że 'Polacy pod Lenino' są kolejną próbą nowego spojrzenia na genezę ówczesnych wypadków. Robię to celowo i świadomie. Jako Polak i jako komunista" (str. 6).

To brzmi uroczyście i dumnie. Ale na czym polega to nowe spojrzenie? W istocie rzeczy sprowadza się ono do próby udowodnienia dwóch bardzo wątpliwych prawd: 1) że Sokorski jako zastępca dowódcy I Dywizji realizował słuszną linię polityczną, 2) że opór wobec tej linii ze strony komunistów w ZPP oraz w aparacie politycznym I Dywizji, opór, który w końcu doprowadził do usunięcia Sokorskiego z wojska, miał swoje źródła w ich KPP-owskim sekciarstwie.

Główny problem, o który potknął się Sokorski, sprowadzał się do dylematu: czy w momencie przekroczenia granic Polski przez zwycięską Armię Czerwoną i polskie siły zbrojne decydującym czynnikiem politycznym, kreującym rząd i inne organa władzy państwowej, mają być siły lewicy w kraju, toczące śmiertelny bój z hitleryzmem i zwalczające politykę rządu londyńskiego, czy też rola ta i misja winny przypaść w udziale polskim siłom zbrojnym w ZSSR. Sokorski dokonał wyboru. Niejednokrotnie na odprawach oficerów pol-wych. roztrząsał przed nimi perspektywę dominującej roli politycznej, jaką polskie siły zbrojne w ZSSR odegrają w odrodzonej Polsce.

Wydarzeniem, które wywołało zaniepokojenie w centralnym aktywie ZPP oraz gorące dyskusje w aparacie politycznym dywizji, były „Materiały do dyskusji — O co walczyliśmy”, opracowane przez majora Prawina i zatwierdzone przez Wł. Sokorskiego. Zastąpiły one jako Tezy nr I. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór tego dokumentu, wystarczy wspomnieć, że w zakresie ustroju politycznego prezentował on wizję „zorganizowanej demokracji”, zakładającej jeden obóz polityczny, obejmujący wszystkie kierunki walczące przeciw faszystowskiemu, a więc w gruncie rzeczy monopartyjność. Program ten był zupełnie oderwany od realiów politycznych w kraju. W zakresie reform społeczno-ekonomicznych tezy stanowiły krok wstecz w stosunku do Deklaracji ideowej ZPP, w zakresie zaś metod sprawowania władzy obiecywały: „w zrealizowaniu tych zasad 'zorganizowana demokracja' będzie postępowała zdecydowanie, energicznie, radykalnie, przy użyciu wszystkich środków natury moralnej i zbrojnej. Po przybyciu do kraju stworzymy Tymczasowy Komitet Rządzący, który przygotuje i zorganizuje przyjęcie władzy przez cały naród na podstawie wyżej przedstawionego programu" (str. 99-100). Jeśli uwzględnić ponadto, że w tezach brak jakiegokolwiek próby analizy układu sił politycznych w kraju i że pominięto problem stosunku do walczących w nim sił, to tezy aż nadto dobitnie wskazywały, że kierownictwo Dywizji ma aspiracje do potraktowania polskich sił zbrojnych jako samodzielnego ośrodka politycznego, którego ideą państwową na pierwszy okres odrodzonej Rzeczypospolitej miała być dyktatura wojskowa.

11

Tak w dużym skrócie wygląda prawda o poglądach Sokorskiego w 1943 roku odnośnie koncepcji przyszłej Polski. A co on ma obecnie — po 28 latach — do powiedzenia na ten temat? Nie ma buńczucznie zapowiadzanego nowego spojrzenia. Są łamańce, jest kluczenie, jest niefrasobliwy stosunek do prawdy politycznej — co już mu wytknęła *Polityka* (z dnia 15. V. 1971), jest nawet nierzetelne cytowanie dokumentów historycznych — co w kolei zarzucił mu na łamach *Kultury* Fryderyk Zbiniewicz, autor monografii „Armia Polska w ZSRR” (*Kultura*, W-wa, z dn. 28. XI. 1971). Sokorski obszernie i życzliwie cytuje Tezy nr I, aby pokazać, że J. Prawin miał dobre intencje (i co do tego ma słuszość), że Tezy nie były takie złe, jak wielu krytyków utrzymywało, ale w końcu stwierdza, że były niesłuszne i dystansuje się od nich w taki sposób, jakby to dzieło było wyłącznie J. Prawina, bez jego udziału. Że wojsko polskie miało wyłonić rząd i władzę? Ależ oczywiście tymczasowe, i to wyłącznie ze względu na słabość lewicy w kraju. I aby w jakiejś mierze usprawiedliwić swoje koncepcje przypisuje je Świerczewskiemu (str. 42-43), Wasilewskiej (str. 85), a nawet Alfredowi Lampe (str. 117), a były to zupełnie obce im opinie, lekceważące działalność PPR i partyzantki Głowskiej oraz nacechowane nieufnością do nich. Stykałem się w owych czasach z Lampem i Świerczewskim, dobrze znałem ich poglądy na sytuację w kraju i uczucia przyjaźni i szacunku jakie żywili wobec działaczy PPRu, z którego walką identyfikowali się, którą uważali za swoją. Wiem też jak bliskie stosunki łączyły Świerczewskiego z czołowymi komunistami polskimi w Moskwie, a zwłaszcza z Alfredem Lampem, i tym bardziej chciałoby się stanowczo napiętnować myślenie Sokorskiego zarówno na temat rzekomej nieufności A. Lampego wobec PPR, jak i próby przedstawienia Świerczewskiego w roli swego po-wiernika w sporze z polskimi komunistami w Moskwie. Istotę sporu między Sokorskim a aktywnym centralnym ZPP ujawnia sam Sokorski, przytaczając następujące słowa Lampego: „Ideologie wojskowe zawsze prędzej, czy później, prowadzą do swoistej koncepcji dyktatury” (str. 92). „Nikt nie zabrania myśleć i dyskutować. Wszelka jednak próba utworzenia drugiego ośrodka politycznego w armii, zwłaszcza w obliczu perspektywy przekroczenia Bugu, nie będzie mogła być tolerowana” (str. 93).

Jak wiadomo historia jednoznacznie rozstrzygnęła ten spór. ZPP i armia podporządkowały się Krajowej Radzie Narodowej, gdy ta jeszcze była w podziemiu.

Muszę przyznać, że łatwiej mi zrozumieć i wytłumaczyć błędne poglądy Sokorskiego w 1943 roku niż ujęcie tych spraw obecnie w jego książce. Bo jednak minęło 28 lat i jest możliwość retrospektywnego spojrzenia na te sprawy. Wystarczy przecież sformułować kilka pytań. Jaki rząd, jaka władza mogła mieć w oczach społeczeństwa więcej cech autentyczności — jako rząd polski, rząd państwa suwerennego demokratycznego, ludowego czy rząd wyłoniony przez lewicę w kraju — PPR, RPPS, SL, SD

— o skromnych nawet wpływach, czy też rząd wyłoniony przez wkraczające z ZSSR oddziały Wojsko Polskiego.

I jeszcze — jaki rząd, jaka władza miała większe szanse oparcia się o masy ludowe, uruchomienia ich energii dla odbudowy kraju, realizacji reformy rolnej, przejęcia fabryk, zagospodarowania Ziemi Odzyskanych — czy rząd wyłoniony przez PPR w sojuszu z innymi stronnictwami demokratycznymi, czy rząd kreowany przez dowództwo polskich sił zbrojnych w ZSSR?

A czy niebezpieczeństwo koncepcji, w najlepszej nawet wierze rozwijanych przez W. Sokorskiego, i J. Prawina, nie było tym większe, że właśnie wskutek słabości PPR, koncepcje te mogły uzyskać poparcie w niektórych wpływowych ogniwach wojskowo-politycznych kierownictwa sowieckiego? Każdy posiadający choć krztę wyobraźni historycznej musi się wzdrygnąć na samą myśl o takiej sytuacji.

Ale wróćmy do książki. Można by wręcz zapytać, po co Sokorski ją napisał, jeśli na gruncie rzeczy ma tak niewiele do powiedzenia na temat swoich ówczesnych poglądów i koncepcji, jeśli nie potrafi z sensem ich obronić, ani poddać krytycznej ocenie. Otóż odpowiedź na to pytanie nie jest trudna, jeśli się uwzględni, że książka Sokorskiego ma jeszcze jedną oś tematyczną, o której już wspominałem — sekciarstwo byłych KPP-owców z ZG ZPP oraz w aparacie pol-wych. dywizji. Ten temat nie jest z resztą Sokorskiemu obcy. Na tę dziedzinę — tradycji KPP, postawy aktywu KPP w Polsce Ludowej spojrzenie Sokorskiego spoczęło już w bogatym w wydarzenia 1968 roku kiedy to udzielił łamów redagowanego przez siebie *Miesięcznika Literackiego* A. Werblanowi, a i sam uprawiał na te tematy twórczość publicystyczną. Ma więc Sokorski w tej materii niejaki doświadczenia. Trzeba przyznać, że ta oś tematyczna książki została sprytnie przez Sokorskiego pomyślana. Tyle w różnych okresach na ostatnie ćwierćwiecze historycy i publicyści partyjni wskazywali — i jakże często słusznie — na sekciarskie obciążenie KPP, że zarzut taki postawiony w stosunku do działalności byłych KPP-owców w 1943 roku może dla ludzi nieorientowanych posiadać określoną nośność. Dla udokumentowania zaś tego zarzutu Sokorski nagromadził masę zmyślonych faktów, które dają się łatwo obalić, ale dla wielu niewtajemniczonych a osłuchanych w tej materii mogą brzmieć prawdopodobnie.

Zmyśla Sokorski kiedy twierdzi, że domagano się od niego, aby obsadzał „niemal wszystkie stanowiska oficerów politycznych komunistami” (str. 42), że zarzucał mu Lampe, iż fałszywie interpretował „politykę kadrową w stosunku do towarzyszy pochodzenia żydowskiego” (str. 140), że wysuwany był wobec niego zarzut „o spisku antykomunistycznym” (str. 119) — ale co z tego, że są to fakty zmyślone; Sokorski dobrze przecież wie że w Polsce i w partii, i poza partią jest już teraz dość takich, co łatwo w to uwierzą.

Od różnego rodzaju nieścistości, przeinaczeń i zmyśleń aż roi się w tej książce.

Na str. 132-3 Sokorski wysuwa pod adresem komunistów polskich w Moskwie, obciążonych rzekomo sekciarstwem, zarzut o ich globalnej „nieufności do kraju”. O kłamliwości tego zarzutu świadczy fakt, że właśnie ci komuniści wystosowali 10. I. 1944 roku memoriał w sprawie powołania ośrodka, który będzie stanowił zagraniczną organizację PPR na terenie ZSSR!

Na str. 43 Świerczewski informuje w końcu września 1943 r. Sokorskiego o propozycji powołania Centralnego Biura Komunistów Polskich. Na str. 112-113 Sokorski opowiada o dramatycznej rozmowie z Wandą Wasilewską, Alfredem Lampe i Jakubem Bermanem, w której Wanda na jego pytanie: — Kto będzie mnie sądził? — odpowiada: Biuro Komunistów Polskich, powołane ostatnio w Moskwie. Był początek grudnia. I znowu się coś Sokorskiemu pomyliło. Po raz pierwszy sprawa ośrodka komunistów polskich w ZSSR postawiona została we wspomnianym już memoriale datowanym 10 stycznia 1944 r. Jak niefrasobliwy jest stosunek Sokorskiego do faktów świadczą wymownie takie jeszcze przykłady. W kwietniowym numerze *Miesięcznika Literackiego* (1971 r.) Sokorski ogłosił fragment swojej książki, w którym w dłuższym wywodzie ubolewa nad wielką stratą polityczną, jaką poniosło dowództwo 1 Dywizji, w związku ze śmiercią szefa Zarządu Politycznego Armii Radzieckiej, wiceministra Szczerbakowa. Była to duża gaffa, wiadomo bowiem, że generał Szczerbakow umarł w rok później. W książce trzeba było tę gaffę naprawić. Ale Sokorskiemu szkoda tak udanego wywodu. Opowiada więc z żalem, że „w radzieckim sztabie sprawy polskie przejął z rąk generała Szczerbakowa generał Żukow (nie należy mylić z marszałkiem Żukowem)” (str. 93-94). Ale i tu zawodzi go pamięć. Generał Żukow od dawna zajmował się 1 Dywizją (widziałem go w Sielcach jeszcze w przeddzień przysięgi 1 Dywizji — 14 lipca 1941 roku*). Bardzo charakterystyczny jest inny przykład. W tymże fragmencie drukowanym w *Miesięczniku Literackim* znajduje się passus, w którym generał Berling zwierza się po bitwie Sokorskiemu z trudności decyzji wysłania Sokorskiego na pierwszą linię frontu: „Wiedziałem, tak, wiedziałem, że Lampe narzuci mi świadome niszczenie komunistów”. Fragment ten w całości powtórzony jest w książce (str. 68-70) z jedną tylko zmianą — Lampego zastąpił Berman.

I znowu przykład, jak różne flukty wpływają na pamięć Sokorskiego. Oto tekst z *Miesięcznika Literackiego*:

„Nikt ci nie powie, że nie biłeś się jak prosty żołnierz. Może nawet nie doceniasz, jakie to ma dla nas znaczenie.

Nie odpowiedziałem. Berling pokiwał głową i nagle roześmiał się.

— Wyobrażam sobie wściekłość Wandy.

— Wandy?

* Czy w roku 1941? (Redakcja).

— No tak, że nie ona, ale ty.

Roześmiałem się również.

— Nigdy o tym nie myślałem.

— Ja, przyznam się, również. To tak sobie. Ni z tego ni z owego.

— No, wypijmy jej zdrowie". („M.L. nr 4/1971, str. 103).

A teraz zajrzyjmy do tego fragmentu w książce:

„Nikt ci nie powie, że nie biłeś się jak prosty żołnierz. Może nawet nie doceniasz, jakie to ma dla nas znaczenie.

Nie odpowiedziałem.

Berling pokiwał głową i nagle roześmiał się.

— Wypijmy zdrowie Wandy.

— Wandy?

— No tak, gdyby nie ona, nie mielibyśmy 1 Dywizji.

— Tak, to prawda.

— No, wobec tego pijemy" (str. 75).

Tyle o różnych niecisłościach i sprzecznościach, w które popada Sokorski, rozprawiając się pryncypialnie z sekciarstwem. A w ogóle, jeśli chodzi o meritum sprawy, to spoglądając po 28 latach na ówczesną sytuację, muszę stwierdzić że Sokorski podnosząc problem sekciarstwa byłych KPP-owców w 1 Dywizji po prostu trafił kulą w płot. Mało bowiem było w bogatej historii komunistów polskich okresów historycznych, w których ujawniliby oni tak otwartą postawę, tyle odwagi i samodzielności myślenia, tyle zrozumienia polskiej racji stanu. A przecież w dywizji była ich tylko garstka w morzu ludzi ciężko skrzywdzonych, maltretowanych przez historię, ludzi mających multum powodów osobistych i politycznych do głębokiej nieufności. Ile to trzeba było uporu, a zarazem giętkości i elastyczności, ile umiejętności stapienia się z masą, prawdziwego demokratyzmu, ile indywidualnego podejścia, zrozumienia psychologii jednostkowej, aby rozproszyć w tych ludziach nieufność do ZSSR, przekonać ich do wizji nowej Polski, uczynić z nich 100-tysięczną armię, bitną wojskowo oraz politycznie dojrzałą i świadomą celu.

Co jeszcze da się o książce Sokorskiego powiedzieć? Chyba tylko tyle, że autor miał szczerą chęć pognębienia w niej kilku osób — pośmiertnie Alfreda Lampe i w pewnej mierze Wandy Wasilewskiej, ale również paru osób żyjących, o których wie, że nie mają możliwości publicznego napiętnowania jego insynuacji. Dla takiego celu, jak w wolnej amerykance, wszystkie chwytły są dozwolone. Chcę więc na zakończenie wskazać na kilka chwytów zastosowanych wobec mojej osoby.

Na str. 32 czytam: „W tej sytuacji ustąpili ze stanowisk kierowniczych Zarządu Politycznego obu dywizji: Hilary Minc, Roman Zambrowski oraz szereg innych, moim zdaniem, sekciarsko nastawionych towarzyszy". Na str. 42 czytam: „Sygnałem alarmowym dla tej części kierownictwa ZPP było zdjęcie ze stanowisk Hilarego Minca i Romana Zambrowskiego". Na str. 43: „Był (Świerczewski) przekonany, że Alfred Lampe i Jakub Ber- man nigdy mi nie darują degradacji Minca i Zambrowskiego".

Na str. 94 dowiaduję się, że generał Szczerbakow zaaprobował zdjęcie Minca i Zambrowskiego z kierownictwa 1 Dywizji, jako nosicielei sekciarskiego stanowiska w łonie polskich komunistów”.

Czytam i oczy przecieram. Prawdą jest, że major Hilary Minc, pierwszy szef Wydziału Politycznego 1 Dywizji, który młodszym oficerom politycznym imponował zarówno wspaniałą postawą wojskową absolwenta polskiej podchorążówki, jak i rozmachem oraz polotem w pracy pol.-wych., został (bodajże jeszcze przed przysięgą 1 Dywizji) ku zaskoczeniu wszystkich zdjęty ze stanowiska szefa Wydziału Pol.-Wych. i zdegradowany do stopnia plutonowego-podchorążego. Ale przecież co się mnie tyczy, to nigdy nie ustępowałem, ani nie byłem zdjęty, ani zdegradowany w 1 Dywizji. Do końca września 1943 roku byłem z-cą dowódcy Samodzielnego Batalionu Saperów. Tuż przed bitwą pod Lenino awansowałem na szefa Wydziału Pol.-Wych. 1 Dywizji. Na początku lutego 1944 roku zostałem mianowany z-cą szefa Wydziału Pol.-Wych. 1 Korpusu, w kwietniu 1944 roku — z-cą szefa Zarządu Pol.-Wych. 1 Armii, a w czerwcu 1944 roku szefem Zarządu Pol.-Wych. 1 Armii. Są na to dokumenty i świadkowie. W tym przypadku śmiem nawet twierdzić, że Sokorskiego pamięć nie zawiodła. Zrobił to świadomie i celowo. Odpowiadają mu z różnych względów takie „zbitki personalne”.

Na str. 101-102 Sokorski ustosunkowuje się do dokumentu „Zarys szkicu programu” autorstwa H. Minca i R. Zambrowskiego, tzw. Tez nr 2. Stwierdza, że „odrzucały pojęcie 'zorganizowanej demokracji' na rzecz 'demokracji społecznie postępowej', której istoty i charakteru bliżej nie formułowały. Natomiast należy przyznać, że w sposób konkretny i śmiały określały reformy ekonomiczne, które staną się punktem wyjścia przemian społecznych i politycznych w kraju”. Nie umie jednak zachować obiektywności w ocenie tego dokumentu i znowu nie może sobie odmówić wyraźnego zmyślenia. Na str. 103 pisze: „Należy obiektywnie zaznaczyć, że Tezy nr 2 Alfred Lampe w liście do Romana Zambrowskiego nie tylko ostro skrytykował, lecz przestrzegał przed precyzowaniem stanowisk w sprawie ustroju przyszłej Polski, o której właściwie nic jeszcze nie wiemy”. List Lampego stanowi odpowiedź na mój list i jest datowany 28. 10. 1943. Jak wynika z jego treści Lampe znał już Tezy napisane przez J. Prawina, ale nie znał jeszcze treści Tez napisanych przez H. Minca i przeze mnie. List Lampego przekazałem do Archiwum Zakładu Historii Partii i Sokorski prawdopodobnie go czytał. Cytuję odpowiedni fragment listu Lampego: „Naprawdę jestem rad, żeś awansował i zajmujesz takie odpowiedzialne stanowisko. W istniejących warunkach jest to naprawdę trudne stanowisko. Jeśli będziesz się stosować do swoich własnych zaleceń — postąpisz mądrze. Trzeba sumiennie wykonywać obowiązki swoje i nie „podmieniał” rukowodztwa”. Jeśli zaś chcesz na marginesie zająć codziennych napisać ni

mniej ni więcej tylko program, to obawiam się, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Program zaś zawarty w „tezach” jest programem całkowicie obcego kierunku i, przyznam, widzę w tym, że mógł się w ogóle narodzić — bardzo smutny objaw, podkreślam bardzo smutny”.

I wreszcie na str. 113 czytam: „Minc i Zambrowski w złożonej samokrytyce również ciebie oskarżają. — O co? — O prowadzenie w armii polityki nacjonalistycznej i antysemickiej. Jak również o zasugerowanie im koncepcji Tez nr 2”. Jest to relacja z rozmowy, którą rzekomo przeprowadziła z Sokorskim Wanda Wasilewska w obecności Lampego i Bermana. Nie ma w tej relacji słowa prawdy. Nie składałem samokrytyki, nie oskarżałem Sokorskiego o prowadzenie w armii polityki nacjonalistycznej i antysemickiej (nie miałbym zresztą nawet wtedy ku temu powodów, różnice stanowisk dotyczyły innych problemów), a już zupełną bzdurą jest rzekome pomówienie Sokorskiego o zasugerowanie mi koncepcji Tez nr 2.

Książka Sokorskiego nie tylko w treści, ale i w formie ma dużo ze stylistyki powieściowej. W tej stylistyce utrzymana jest również jego rzewna relacja z rozmowy ze Stalinem, w której ten ostatni odżałować nie może, że Sokorskiemu powinęła się noga. Autor szczególnie ceni sobie dialog. Żywe, często iskrzące się myślą dialogi — po dwudziestu ośmiu latach — cóż za fenomenalna pamięć! Prawda, autor upodobał sobie szczególnie dialogi ze zmarłymi — Lampe, Wasilewska, Świerczewski, Szwald już go nie sprostują. A żywych swoich adwersarzy on dawno już pogłębił, czemu z triumfem daje wyraz w ostatnich dwóch zdaniach swojej książki.

W ten sposób otrzymaliśmy coś zupełnie osobliwego — polityczne *vie romancée* pisane w pierwszej osobie.

Roman ZAMBROWSKI

5 grudnia 1971 r.

Powyższy tekst otrzymaliśmy z kraju. Zamieszczamy go jako interesujący dokument nie wchodząc w meritum. Roman Zambrowski ur. w 1909 roku, działacz komunistyczny w okresie międzywojennym, po wojnie zajmujący czołowe stanowiska w PZPR, członek KC, członek Biura Polit. i in., po 1968 roku usunięty ze wszystkich stanowisk (ostatnie zajmowane stanowisko: wiceprezes Najwyższej Izby Kontroli) i z partii. Przebywa w Warszawie.

UWAGI DO RECENZJI PROF. T. HUNCZAKA NA TEMAT UKRAJIŃSKOHO ISTORYKA

W numerze 20-tym *Zeszytów Historycznych* (1971, str. 239-242) ukazała się recenzja prof. T. Hunczaka na temat *Ukrajńskiego Istoryka* za okres 1963-1969. Ogólnie biorąc recenzja jest ciekawa i podaje dane statystyczne materiałów wydrukowanych w czasopiśmie historycznym. Mimo to, zdaniem naszym, Autor dopuścił się pewnych nieścisłości, a jego nader powierzchowna analiza pierwszych numerów *Ukrajńskiego Istoryka* dowodzi, iż p. Hunczak pisał swą recenzję w pośpiechu. Niektóre informacje są podane mylnie, a gdzieśgdzie autor sam sobie zaprzecza w ocenie poszczególnych działań czasopisma. Dlatego też postanowiłem w pewnych punktach sprostować i uzupełnić pogląd Autora.

Prawdą jest, że pierwszy rok *Ukrajńskiego Istoryka* był okresem przejściowym. Autor pisze, że pierwszy numer czasopisma „raził ubóstwem tekstów, które poza czterema recenzjami nie miały wiele wspólnego z nauką historyczną” (str. 239). Ocena ta jest nader subiektywna i nie wiadomo właściwie, co p. Hunczak rozumie przez „naukę historyczną”. Przede wszystkim autor zapomina, że pierwsze trzy numery *Ukrajńskiego Istoryka* ukazały się jako „biuletyn historyczny”, nie zaś jako „czasopismo historyczne”, jak sugeruje prof. Hunczak w swej recenzji. W artykule wstępnym „Od redakcji” w numerze pierwszym *U.I.* mówi się wyraźnie: „Chcielibyśmy, aby *Ukrajńskij Istoryk* spełniał funkcję czasopisma historycznego i informacyjnego” (*U.I.*, nr 1, str. 1, 1963). Numer ten zawierał przede wszystkim materiał informacyjny oraz dyskusyjny. Dopiero wraz z numerem czwartym w roku 1964 biuletyn zmienił swój charakter na czasopismo. Różnicę między biuletem a czasopismem pod względem treści i układu materiałów można specjalnie podkreślać. Dlatego też drugi zarzut recenzenta, iż pierwszy numer nie zawierał żadnych materiałów (z wyjątkiem czterech recenzji), które by miały wiele wspólnego z nauką historyczną, jest naszym zdaniem bezpodstawny i nie wytrzymuje krytyki. Otóż w pierwszym numerze znajdujemy artykuł wybitnego współczesnego ukraińskiego historyka prof. O. Ohłobły na pt. „Zadania ukraińskiej historiografii na obczyźnie”, artykuł prof. L. Wynara pt. „Problem periodyzacji kozaczyzny”, artykuł dra Romana Kłymkewycza „Ukraińskie Towarzystwo Genealogiczne i Heraldyczne”. Oprócz tego w dziale „Z archiwum” opublikowano sześć listów prof. Ilka Borszczaka z Francji oraz szereg materiałów informacyjnych. Zdaniem naszym materiały te odnoszą się bezpośrednio do nauki historycznej i dlatego też wywołało to u nas wrażenie, iż Szanowny Autor nie przejrzał dokładnie wspomnianego numeru, albo że informacje uzyskał z „drugich rąk”. Jeżeli autor zaprzecza wartości wspomnianych materiałów, powinien podać przyczyny, nie zaś same twierdzenia. Autor pisze również, że „Pomyłką redakcyjną było zamieszczenie w tym że dziale materiałów biograficznych, chociaż całkiem interesujących (I. Kameneckij), informacyjnych (Ojciec I. Nazarko) i wspomnieniowych (W. Dubrowskij). Przede wszystkim należy stwierdzić, iż prof. I. Kameneckij nie zamieścił żadnych materiałów biograficznych; jak to twierdził autor. Zamieścił on artykuł „Stan badań i publikacji w dziale historii okupacji niemieckiej w okresie drugiej wojny światowej” (*Ukrajńskij Istoryk*, nr 4, 1964 i nr 5-6, 1965).

Artykuł zatem o charakterze historiograficznym, a nie „biograficznym” jak informuje recenzent. Ojciec I. Nazarko opublikował artykuł o ukraińskim ośrodku historycznym w Rzymie, a prof. W. Dubrowskyj wspomnienie „Mój nauczyciel — prof. H. A. Maksymowycz”. Wszystkie te materiały odnoszą się bezpośrednio do problematyki historycznej. Warto zaznaczyć, iż w tym przypadku prof. T. Hunczak sam sobie zaprzecza. Informując o następnych numerach *Ukrajńskiego Istoryka* pisze on wyraźnie: „Działy, które wnoszą bodaj najwięcej oryginalnych danych, to 'Wspomnienia i życiorysy'” (str. 241). Czytelnik recenzji ma więc dwie przeciwstawne opinie samego recenzenta w kwestii materiałów biograficznych i wspomnień na stronicach *Ukrajńskiego Istoryka*...

Należy stwierdzić, iż prof. Hunczak zadał sobie wiele trudu w opracowaniu zestawień statystycznych treści *Ukrajńskiego Istoryka* w aspekcie chronologicznym, jak również autorów piszących do czasopisma. Statystyki tej nie kontrolowaliśmy, nie wykluczamy jednak, iż zawiera ona prawdziwe dane. Autor nie podał jednak nazwisk wszystkich autorów, którzy z nami współpracowali i dlatego jego dane liczbowe nie są pełne. Tyle jeśli idzie o kwantytatywny aspekt recenzji autora. O ocenie treści trudno cokolwiek mówić, gdyż prof. Hunczak ograniczył się do samych uogólnień. Niemало spostrzeżeń recenzenta jest ciekawych i Redakcja *Ukrajńskiego Istoryka* weźmie je pod uwagę. Nasze uwagi do recenzji p. Hunczaka podajemy dlatego, aby dać czytelnikom *Zeszytów Historycznych* pełniejszy obraz treści czasopisma, a zwłaszcza pierwszych numerów biuletynu *Ukrajńskij Istoryk*.

Lubomyr WYNAR
Redaktor *Ukrajńskiego Istoryka*

RECENZJE

Witold BABIŃSKI

NA MARGINESIE KSIĄŻKI J. M. CIECHANOWSKIEGO

I. Myśl przewodnia

Książka J. M. Ciechanowskiego „Powstanie warszawskie”¹ poświęcona jest zagadnieniom politycznym i dyplomatycznym, stanowiącym tło powstania. Myślą przewodnią autora jest teza, że brak porozumienia z Sowietami prowadził nieuchronnie do tragedii Armii Krajowej i że za ten brak porozumienia odpowiedzialne są w pierwszym rzędzie, jeśli nie wyłącznie, czynniki polskie. Armia Krajowa, według autora, nie godząc się na współpracę z komunistami, doprowadziła do rywalizacji między PPR a Delegaturą, zamiast poprzeć elementy bardziej niezależne od Moskwy wśród komunistów. Autor zdaje się przywiązywać nadmierną wagę zarówno do późniejszych wypowiedzi niektórych komunistów, jakoby Stalin aż do lipca 1944 nie miał gotowego planu co do Polski, jak i do pogłosek o wewnętrznych tarciach wśród komunistów. Tarcia na pewno były, ale kończyły się zawsze w myśl dyrektyw Moskwy. Wydaje się także, że przecenia wpływ PPR w Kraju.

Naczelne Władze Rzeczypospolitej, zarówno w Londynie jak i ich organy w Kraju (zwane zwykle przez autora eufemicznie „obozem londyńskim”) odnosiły się nieufnie do Sowietów i do współpracy z nimi dążyły „nieszczercze”. Generał Sikorski „po-

1. „Odnova”, Londyn 1971. Nazwiska autora nie należy mylić z Janem Ciechanowskim, dyplomatą, b. ambasadorem Rzeczypospolitej w Waszyngtonie.

grzebał ostatnią szansę” gdy w grudniu 1941 roku nie godził się na dyskusję w sprawie granic. Skądinąd jednak wynikałoby, że nie była to ostatnia szansa, skoro Mikołajczyk powinien był w zimie 1943/44 godzić się od razu na linię Ribbentrop-Mołotow i dokonać zmian personalnych w myśl zaleceń Stalina. Jeszcze jakoby w lecie 1944 roku Stalin miał rzekomo „zostawić furtkę” do porozumienia. Również Armia Krajowa: autor pochwała decyzję ujawniania wobec wkraczających oddziałów sowieckich, ale gani „przeciąganie rokowań” (Wołyń, Wileńszczyzna, Lwów) i niechęć do bezwarunkowego poddania się rozkazom sowieckim. Także klęskę Warszawy tłumaczy autor brakiem koordynacji z armią czerwoną, która rzekomo nie pragnęła zniszczenia stolicy, a pomocy nie mogła udzielić, gdyż przegrała bitwę z Niemcami w pierwszych dniach sierpnia.

Presja na Mikołajczyka, wywierana w latach 1943/44 przez Churchilla i Edena była — zgodnie z tezą książki — zbawienną radą, która mogła jeszcze uratować sytuację. Chodziło o to, aby zgodzić się w porę na linię graniczną Ribbentrop-Mołotow, do czego dochodziło (w miarę wzrostu apetytów sowieckich) żądanie zmian personalnych w naczelnych władzach polskich. W zamian za te ustępstwa obiecywano rekompensaty na zachodzie, początkowo dość mgliste, później konkretne, gdy Stalin te granice wytyczył. Gdyby zgoda na te żądania nastąpiła — Stalin byłby układny, może nawet pozwoliłby na rząd niekomunistyczny w Polsce. Wprawdzie nikt nigdy tego nie obiecał, ale gdyby Polacy zaufali Stalinowi, to kto wie, co on mógł obiecać. A Stalin, wedle Churchill’a był człowiekiem, który zawsze słowa dotrzymywał.

Ferować wyroki po latach trzydziestu jest rzeczą, która niewiele kosztuje. Proszę się jednak przenieść na chwilę w te czasy.

Po kampanii wrześniowej zadaniem naczelnich władz polskich było zachowanie ciągłości państwa i nieuszczerupienie praw z jakimi Polska weszła do wojny. Mieliśmy potężnych sojuszników. Łatwo dziś szydzić z nadziei, które wiązano z sojuszami. Wielka Brytania wówczas nie była tym, czym jest dzisiaj: była potęgą światową pierwszego rzędu, zaś po upadku Francji doznała pełnego poparcia jeszcze większej potęgi amerykańskiej. Sowiety stały się przypadkowym sojusznikiem w roku 1941, ale ponosiły początkowo same klęski, zaś późniejszy sukces zawdzięczały w znacznym stopniu olbrzymiej pomocy Ameryki i Anglii.

Nasze władze legalne broniły niepodległości Polski i wniosły ogromny wkład do wspólnego wysiłku wojennego aliantów. Prawda — Rosji sowieckiej na ogół nie ufano i wysiłek dyplomatyczny Polaków skierowany był głównie na to, aby nasi

sprzymierzeńcy — w myśl zawartych umów — bronili nas przed zaborczym sąsiadem.

Skądże się bierze ten brak zaufania Polaków do Stalina i imperium, którym on rządził? Może to wymysł tych szaleńców, co wyznawali „zgubną doktrynę dwóch wrogów”. Niestety, to nie wymysł, ale straszna rzeczywistość: ten „drugi wróg” sam się o to postarał. A w jaki sposób? Czyż trzeba wyliczać:

- Rozbiór Polski w zмовie z Hitlerem 1939,
- Mowa Mołotowa o „potwornym bękarcie traktatu wersalskiego”,
- Bezprawne plebiscyty i uchwały Najwyższego Sowiegu 1939 listopad-grudzień,
- Branki, deportacje 1940, obozy śmierci,
- Katyń (nie wymaga komentarzy),

Pakt 1941 roku jego interpretacja i wykonanie, stale podkreślające zabór połowy Kraju.

Jeszcze w czasie wizyty gen. Sikorskiego w Moskwie słynna nota z 1. 12. 41 r. i dalsze: 5. 12. 41, 6. 1. 42, 17. 1. 42, 23. 1. 42 — wszystkie one stoją twardo na gruncie aneksji — powołują się na „plebiscyty” i kwestionują obywatelstwo polskie wedle swoich kryteriów. Mowa Stalina, uzasadniająca słuszność paktu z Ribbentropem (3 lipca 1941).

Tworzenie posłusznych sobie ekspozytur polskich: Zjazd słowiański (Moskwa, lipiec 1941), Związku Patriotów (grudzień 1941, Zjazd w Saratowie), Krajowej Rady Narodowej, stopniowe i konsekwentne przekształcenie tych tworów w P.K.W.N., któremu Stalin oddaje 23. 7. 44 administrację na zachód od Bugu i uznaje go za „jedyną tymczasową legalną władzę polską” — 5. 1. 1945 uznaje ten Komitet jako polski rząd prowizoryczny.

Trudności w tworzeniu wojska polskiego w Rosji, brak żywności i broni, głodowe porcje — pozbycie się tego wojska na to, aby móc tworzyć poddane sobie całkowicie oddziały polskie w armii czerwonej.

Zerwanie stosunków z rządem polskim 26. 4. 1943.

Dalsze żądania i naciski — prócz linii granicznej żądania zmian personalnych w rządzie, żądanie dymisji Prezydenta i zmiany Konstytucji (Katarzyna II żądała także odwołania Konstytucji 3-go maja).

Stosunek do Armii Krajowej: Sowiety przyjmują pomoc w czasie akcji, proszą oficerów na konferencję, aresztują i deportują, żołnierzy zaś wcielają do swojej armii. Obławy w lasach — tępienie żołnierzy AK.

Oto w dużym skrócie etapy owych faktów dokonanych, stosowanych z perfidną konsekwencją.

Tę konsekwencję doskonale streścił kiedyś prof. Sukiennicki (b. radca prawny ambasady polskiej w Kujbyszewie): Sowiety nigdy nie uznały (przed i po pakcie lipcowym) całości terytorium Polski i mocy obowiązującej dawnych umów polsko-sowieckich; obywatelstwa polskiego wszystkich osób, które je posiadały w dniu 17 września 1939 roku; zwrotu zabranego mienia polskiego, zarówno państwowego jak prywatnego. Rząd sowiecki podtrzymywał niezmiennie doktrynę o zerwaniu ciągłości publiczno-prawnej państwa polskiego. Wedle tej doktryny państwo polskie przestało istnieć w roku 1939 i nastąpił podbój (*debellatio*) Polski — że więc terytorium nasze stało się „niczyje”, że „nowa” Polska nie ma nic wspólnego ze „starą”. Z tej doktryny, jako konsekwencja, wynika zakwestionowanie granic oraz nieuznawanie pewnych kategorii Polaków za obywateli polskich. Żołnierzy polskich z 1939 roku doktryna sowiecka traktowała jako „zbrojne bandy”, do których stosuje się amnestię. Mienia polskiego nie zwracano, zaś finansowanie pomocy dla Polaków w Rosji odbywało się drogą formalnych obligów dłużnych. Obywatel „starej” Polski niekoniecznie ma być obywatelem „nowej”.

Oto powody, które nie pomagały w wytworzeniu u Polaków zaufania do Stalina i do jego polityki.

Potrzebę porozumienia z Rosją Sowiecką rozumieli wszyscy Polacy, odpowiedzialni za los państwa. Prawdziwe porozumienie mogło być tylko na warunkach godziwych. Co do tego wszyscy byli zgodni. Natomiast różnice zachodziły co do wyboru najlepszych środków do tego celu oraz granicy jednostronnych ustępstw, których przekroczyć nie wolno. Tego zagadnienia nie godzi się umniejszać, sprowadzając go do poziomu „walki o władzę obozu londyńskiego”. W tej tragicznej sytuacji nie my Polacy wymyśliliśmy „doktrynę dwóch wrogów”. To dwaj nasi sąsiedzi — stosując metodę faktów dokonanych — stali się naszymi wrogami. Katastrofy dziejowej nie potrafili odwrócić „realiści”. Realistą był Benesz: pamiętam, jak przemawiał do grona Polaków, tłumacząc konieczność swojej „realistycznej” polityki wobec Rosji. Wiemy dziś, jak smutno skończył się ten „realizm”: i dla Czechosłowacji i dla Benesza...

II. Osoby dramatu

Stosownie do myśli przewodniej książki wypadają oceny osób, mających wpływ na bieg wydarzeń opisywanej epoki. W ocenie

tej autor nie szczędzi barw jaskrawych, pisanych namiętnym piórem. Uderza różnica między stosunkiem do sprawy polskiej Churchilla i Roosevelta. O ile autor staje po stronie Churchilla, gdy wywiera w 1943/44 roku naciski na Mikołajczyka, aby przyjął warunki Stalina, o tyle Roosevelta potępia za „perfidię”, „puste słowa”, „fałszywe nadzieje”. A przecież choć taktyka tych dwóch ludzi była odmienna — polityka w stosunku do Polski wyraziła się tym samym haniebnym odstępstwem w Teheranie i w Jałcie. A w Teheranie to właśnie Churchill, którego kraj był z nami związany formalnym sojuszem, ofiarował Stalinowi pół Polski.

Ujawniona dziś wymiana depesz Stalin-Churchill wykazuje dobitnie, że w latach 1943/44 Churchill nie był już rozjemcą w sporze polsko-sowieckim, ale adwokatem strony sowieckiej.

Więcej, rzecz prosta, ma do powiedzenia autor jeśli chodzi o Polaków. Na ocenę pozytywną zasłużył sobie jedynie generał Tatar, ponieważ uważał, że za współpracę z Sowietami zapłacić należy wielkimi ofiarami, gdyż Sowiety będą czynnikiem decydującym w tej części Europy. Z lekka został także pochwalony płk Rzepecki za to co napisał w roku 1956 o poglądach, jakie wyznawał w roku 1944.

Inni natomiast nie zasłużyli sobie na pochwały. Generał Sikorski „pogrzebał ostatnią szansę” bo nie chciał mówić o granicach ze Stalinem w grudniu 1941 roku. Choć z drugiej strony „do ostatniej chwili” nakazywał AK traktować Rosjan jako sprzymierzeńców. Czyżby? Autor ma oczywiście na myśli depeszę gen. Sikorskiego do Kraju z dnia 8 marca 1943 roku. Ale nastąpiła dalsza wymiana depesz a stosunki z Sowietami ulegały dalszemu pogorszeniu. Więc w następnej depeszy z 25 marca (a więc jeszcze przed sprawą katyńską i przed zerwaniem stosunków) L. 950/356 w odpowiedzi na depeszę gen. Roweckiego z 6 marca, poleca gen. Sikorski:

- 1) uruchomić jawną walkę z Niemcami w proponowanych przez Roweckiego *2 strefach na Kresach Wschodnich* jeśli w pościgu za Niemcami wkroczą na nasz teren wojska sowieckie;
- 2) w przewidywaniu *dalszego pogorszenia się naszych stosunków z Sowietami* zastrzega sobie Sikorski decyzję uruchomienia częściowego powstania na *Kresach Wschodnich*. Jeśli stosunek Sowietów do nas *okaże się wrogi* — *ujawniać należy tylko administrację cywilną, a siły A.K. wycofywać w głąb Kraju*, by uchronić je przed zniszczeniem

przez Rosjan. Gen. Sikorski poleca w tym kierunku wydać odpowiednie instrukcje.

Tę depeszę należy czytać w zestawieniu z następną depeszą gen. Roweckiego do gen. Sikorskiego z 8 czerwca 1943 (2993/500) o zarządzeniach co do postawy obronnej wobec Sowietów. A więc depesza gen. Sikorskiego mówi: gdy Sowiety wkroczą — zaakcentować nasze prawa na Kresach; jeśli wkroczą jako wrogowie — wycofywać A.K., a ujawniać tylko administrację cywilną. To się nazywa według autora nakaz współpracy z Sowietami. Natomiast gdy gen. Sosnkowski nakazuje manifestowanie naszych praw do Wilna i Lwowa w depeszy z 7 lipca 1944 to się nazywa *carte blanche* na powstanie w miastach. Gdy gen. Sosnkowski sprzeciwia się ujawnianiu oddziałów AK w braku porozumienia politycznego, jest to odebranie aktywnej roli ruchowi podziemnemu, brak realizmu i brak rozsądku. Gdy zaleca wycofanie oddziałów AK na zachód — to jest nierealne, sprzeczne z postawą ruchu oporu i nie mogło wchodzić w rachubę. A więc ocena nie dotyczy treści instrukcji tylko osób, które je wydają?

A proszę zauważyć, że depesza Sikorskiego wysłana była przed zerwaniem stosunków przez Sowiety. Podobnie jak wielu innych, autor przemilcza dokument pierwszorzędnej wagi, jakim jest rozmowa Sikorski-Eden (oraz Churchill — telefoniczna) z dnia 24 kwietnia 1943 roku. Ta rozmowa określa bez reszty postawę gen. Sikorskiego po kryzysie katyńskim. Odbyla się ona w przeddzień zerwania przez Sowiety stosunków z naszym rządem. Sikorski odmówił Edenowi i Churchillowi przyjęcia dyktanda Stalina (oświadczenia, że Katyń był dziełem Niemców), co przyjęte zostało przez Edena jako „zabrnienie w ślepy zaułek”, w którym trudno będzie Edenowi znaleźć się razem z rządem polskim...

Generał Grot-Rowecki traktowany jest przez autora z lekceważeniem: „poronione pomysły”, „plany pozbawione politycznego rozsądku”, „brak realizmu”, hołdowanie „zgubnej teorii dwóch wrogów”, „wróg Rosji”, „urazona duma narodowa, wąski patriotyzm i narodowe zaślepienie”. Powyższe oceny są niesprawiedliwe i krzywdzące. Nie zdołają one zaciemnić obrazu pięknej postaci generała Roweckiego. Z większym bodaj lekceważeniem, acz z mniejszą złośliwością, pisze autor o generale Borze-Komorowskim: także nie miał zaufania do Sowietów, nie kwapił się do współpracy z nimi, błędnie oceniał sytuację w Warszawie w przeddzień powstania. Autor wyraża zdziwienie, że generał Komorowski mógł być mianowany dowódcą AK. Nie

chce wziąć pod uwagę, że zastępca aresztowanego dowódcy AK objął automatycznie jego funkcje; że jego osoba była popierana przez stronnictwa, wchodzące w skład rządu (przecież nie był legionistą!) i akceptowana przez Prezydenta; że w danej sytuacji nie było po prostu innego kandydata.

Premier Mikołajczyk także został poddany krytyce: dążył wprawdzie usilnie do porozumienia z Sowietami, ale czynił to nie dość wyraźnie i z nadmiernym opóźnieniem: mimo nacisków ze strony Churchilla nie chciał bezwarunkowo i natychmiast godzić się na linię graniczną, wytyczoną przez Stalina i dokonać zmian w składzie rządu wedle żądań Moskwy. „Natychmiastowy wyjazd” Mikołajczyka do Moskwy wiosną 1944 i „bepośrednie rozmowy” mogły rzekomo uchronić Polskę od tragedii. Tak jakby Stalin tylko na to czekał, aby złagodzić swoje plany.

Najciemniejszych barw użył autor dla przedstawienia czytelnikowi generała Sosnkowskiego. Zaczyna od powołania się na opinię Marszałka Piłsudskiego o generałach, a więc przyjmuje autentyczność tych opinii, ogłoszonych w Warszawie, a zwłaszcza, że nie zawierają one skrótów. Zresztą skrótów dokonał sam, opuszczając np. takie drobiazgi, że Sosnkowski był jedynym z kandydatów Marszałka na naczelnego wodza. Opuścił także passus: „olbrzymia umiejętność obcowania z ludźmi; nawet ulegając wpływom, nie zatracą siebie... człowiek o niezmiernych zdolnościach do pracy bez zmęczenia fizycznego” lub „wewnętrznie bardzo zdyscyplinowany, lecz nadczuły na ukłucia i przykrości moralne... jest lojalnym i w czasie wojny przejętym wielką cnotą żołnierską — dyscypliną”. Tych ustępów autor przeźornie nie cytował. (Jeśli życie nie pasuje do doktryny — tym gorzej dla życia!)

Mylnie także kwalifikuje autor Sosnkowskiego, jako przysięgłego wyznawcę doktryny dwóch wrogów. Sosnkowski pierwszy w końcu czerwca 1941 roku wypowiedział się za *koniecznością modus vivendi* z Sowietami. Dążył natomiast do tego, aby to *modus vivendi* z ZSSR było *na godziwych podstawach*. Dwóch wrogów nie stworzył. Oni stworzyli się sami.

Surowej krytyce poddaje autor Instrukcję wspólną dla Kraju z 27. X. 1943. Była ona, jak wiemy, kompromisem między dwoma doktrynami. Sosnkowski zdołał przeprowadzić zasadę podstawową, że bez uprzedniego układu politycznego oddziały AK nie powinny się ujawniać wobec wkraczających Sowietów, gdyż przerzucanie na Armię Krajową takiego zadania, którego nie potrafił dokonać rząd (z poparciem sojuszników), to żądanie od AK rzeczy niemożliwej, a prowadzi nieuchronnie do katastrofy

i walki na dwa fronty. Wybuch zaś powstania Instrukcja obsta-
wiała tylu warunkami, że w ówczesnej sytuacji nie powinno ono
było wybuchnąć. Wiadomo, że Kraj zmienił tę instrukcję w
punkcie najważniejszym: ujawnienia (Depsza Bora Nr 2100).

Słusznie zaznacza autor (przed nim zauważył to Siemaszko),
że jest to objaw uniezależniania się władz podziemia od władz
najwyższych w Londynie. Różnice zdań między premierem a na-
czelnym wodzem zostały w Warszawie wykorzystane, ale zagad-
nienie istniało już wcześniej i ewoluowało w miarę trwania oku-
pacji ku coraz większemu usamodzielnieniu się Podziemia.

Sporu Premier-Wódz Naczelny nie należy sprowadzać do
niższego poziomu „walki o władzę”. Chodziło o wybór właści-
wych dróg dla ratowania niepodległego państwa. Premier uwa-
żał, że drogą ustępstw uzyska lepsze warunki, zaś Naczelny Wódz
był zdania, że ciągłe ustępstwa naszej sytuacji nie poprawiają,
lecz ją pogarszają, a zwłaszcza, że pozwalają naszym sojuszni-
kom pozbyć się polskiego kłopotu i wypychać nas w sytuację sam
na sam z ZSSR.

Pisząc o różnicy poglądów między premierem a naczelnym
wodzem, autor posuwa się do zarzutu wyjątkowo niesłusznego
i krzywdzącego: „braku lojalności i wojskowego posłuszeństwa”
ze strony generała Sosnkowskiego, gdyż w korespondencji z Kra-
jem miał sugerować że dyrektywy rządu są niezyciowe a nawet
sprzeczne z interesem Polski. Za pozwoleniem. Naczelny Wódz
nie był od Premiera zależny i „wojskowe posłuszeństwo” wo-
bec premiera go nie obowiązywało. Dekret Prezydenta z 22 maja
1942 zmienił przepis konstytucji kwietniowej który naczelnemu
wodzowi dawał pierwsze miejsce po prezydencie, a więc przed
rządem. Dekret 1941 roku dał nowe uprawnienia ministrowi
obrony, uszczuplając częściowo kompetencje naczelnego wodza.
Rząd otrzymał teraz prawo decyzji co do celów wojny i sposobów
jej prowadzenia, a naczelnym wodzą stawiał rządowi „Wnioski i
dezyderaty” a nie jak dawniej „wiązące postulaty” (z czego lo-
gicznie wypływało, że decyzja co do powstania została zastrze-
żona dla rządu w Instrukcji wspólnej z 27. X. 1943). Wprawdzie
premier Mikołajczyk poświęcił dużo trudu i czasu w roku 1943,
aby obciąć dalsze uprawnienia naczelnego wodza i uzależnić go
od rządu. To mu się nie udało, gdyż władze krajowe odrzuciły
projekt premiera (28 listopada 1943). Instytucja naczelnego wo-
dza została utrzymana, jako zależna wyłącznie od Prezydenta
RP, który naczelnego wodza mianował i odwoływał. Sprawy za-
sadnicze były między rządem a naczelnym wodzem uzgadniane
pod przewodnictwem prezydenta. Tyle o „posłuszeństwie”.

Drugi krzywdzący zarzut: braku lojalności. Sosnkowski dowiódł chyba całym życiem swego wyjątkowo skrupulatnego poczucia lojalności. Podkreślał to nie tylko Marszałek Piłsudski („Opinie”) ale i taki koronny świadek, jak Wincenty Witos, który o ile mi wiadomo, do piłsudczyków nie należał (porównaj: Witos, *Moje wspomnienia*. Instytut Literacki, Paryż 1964, str. 365).

Nadto zapominać nie należy, że aż do sierpnia 1944 roku Sosnkowski był konstytucyjnym następcą prezydenta, co nakładało na niego dodatkowy obowiązek dbałości o całokształt interesów państwa. Obowiązek ten poza tym związany był z obowiązkami naczelnego wodza: trzeciej osoby w hierarchii państwowej.

A jakże było z informowaniem Kraju? Informacje, wysyłane przez Rząd do Kraju, dawały z reguły oceny zbyt optymistyczne naszej sytuacji międzynarodowej. Naczelny Wódz miał prawo i obowiązek informowania Armii Krajowej. Te oceny były bardziej realistyczne, jeśli chodzi zarówno o położenie wojskowe jak i polityczne. Nie mógł nie zaznaczać uczciwie, czy i jakie różnice zachodzą między jego ocenami, a ocenami rządu, chodziło tu bowiem o sprawy najważniejsze, o „być czy nie być”. Czynił to zawsze w sposób niezwykle przemyślany, ostrożny i w formie takiej, aby nie wprowadzać Kraju w nastroje rozpaczliwe. Nie ma depesz Naczelnego Wodza, które by obniżały autorytet rządu. Tego natomiast nie można powiedzieć o depeszach premiera lub jego grupy politycznej. Depesz, obniżających autorytet naczelnego wodza jest bez liku. Wspomnę tylko jako przykład depeszę premiera do Kraju, szyfrowaną 22 lipca 1943 aż na 13 stronach (!) zawierającą streszczenie rozmowy z Prezydentem z dnia 6 lipca, w której Mikołajczyk mówi, że nominacja Sosnkowskiego to „obraza pamięci zmarłego” Sikorskiego. Gdy Prezydent odparł, że nominacja ta jest konieczna ze względu na obawę przed fermentem w wojsku, Mikołajczyk zareagował twierdzeniem, że lepiej aby teraz powstał bunt w wojsku, bo go uśmierzą Anglicy i Amerykanie i nauczą nas demokracji. Lepiej to, niż gdybyśmy mieli po wojnie walczyć o nią z nowym przelewem krwi polskiej. Prócz powyższych wywodów — owa „historyczna” depesza zawiera dużo jadu i zjadliwych kłamstw. Warto byłoby porównać treść i ton tych depesz premiera i naczelnego wodza... Prócz depesz do Kraju, premier starał się nadto podważyć autorytet Naczelnego Wodza w czasie swoich wizyt w oddziałach wojskowych...

Instrukcja Naczelnego Wodza dla Armii Krajowej z dnia 7 lipca 1944 najwyraźniej nakazuje nie wykraczanie poza ramy

„Burzy”, czyli wyklucza powstanie. Podniesiona została raz jeszcze przez autora treść punktu 5-go dotyczącego przejściowo i krótkotrwałego opanowania Wilna i Lwowa jeżeli przez szczęśliwy zbieg okoliczności w ostatnich chwilach odwrotu a przed wkroczeniem oddziałów czerwonych powstaną tego rodzaju szanse. Nie była to bynajmniej *carte blanche* do walki o duże miasta lub wstęp do powstania w Warszawie, jak chce autor. Były to zarządzenia wyjątkowe, manifestacja naszych praw na Kresach, zarządzenia dobrze znane Komendzie AK z niezmiennych instrukcji zarówno Sikorskiego jak i Sosnkowskiego. Zaś Warszawa była w każdym razie z akcji „Burzy” wyłączona — niezależna od innych wielkich miast.

Że powyższy ustęp Instrukcji z 7 lipca 1944 zrozumiano w Komendzie AK zgodnie z intencją Naczelnego Wodza — proszę porównać z Komentarzem w III Tomie wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne — Armia Krajowa”.

Różnice poglądów między premierem a Naczelnym Wodzem doprowadziły do szczególnego zaostrzenia na tle podróży premiera do Moskwy oraz na tle powstania. Wedle Sosnkowskiego polityka ciągłych ustępstw wobec Sowietów była błędna, zaś powstanie w ówczesnych warunkach, bez uprzedniego porozumienia politycznego z Rosją sowiecką na godziwych podstawach, byłoby bezcelową ofiarą. Premier natomiast miał nadzieję, że działania powstańcze doprowadzą do porozumienia politycznego z Sowietami, czego rząd nasz, mimo wysiłków, nie był w stanie osiągnąć. Stąd wynika odmienny stosunek do ujawniania oddziałów AK (*nota-bene* gen. Okulicki, gdy znalazł się w Kraju oświadczył się za ujawnianiem wbrew stanowisku Naczelnego Wodza) i ewentualnego wycofywania AK na Zachód.

W związku z zamierzonym, lecz niedoszłym do skutku, projektem wypowiedzenia posłuszeństwa Rządowi, autor przytacza również moją depeszę z dnia 29 lipca. Depesza ta, o ile mi wiadomo, do rąk Naczelnego Wodza w czasie jego pobytu we Włoszech już nie doszła. Odmowa Prezydenta bynajmniej nie wydała mi się „podejrzana” jak chce autor. Prezydent Raczkiewicz darzył mnie zaufaniem do końca swoich dni. Zaufania tego nigdy nie zawiodłem. Natomiast nie miałem prawa w ostatnich dniach lipca 1944 wtajemniczać Prezydenta w szczegóły zamiarów Sosnkowskiego. O tych zamiarach Prezydent dowiedział się wkrótce z depeszy Naczelnego Wodza z 28 lipca: „wizyta moskiewska premiera wstrząsnęła duszą wojska... wojska 2-go Korpusu gonią resztkami odporności moralnej i psychicznej... Gdyby w Moskwie poczyniono ustępstwa — wojsko może wypowiedzieć

posłuszeństwo rządowi. Przewiduję w tym wypadku kryzys nieobliczalny w skutkach, co najmniej w postaci wypowiedzenia posłuszeństwa zespołowi rządowemu, który do takiego stanu doprowadziłby sprawę polską... gdyby nastąpiły ustępstwa z praw Polski i dokonana w tej czy innej formie fuzja rządu legalnego z rządem agentów sowieckich". Dość jasne.

Także depesza z Kairu Tabaczyńskiego do min. Kota z 31-go lipca 1944... gen. Sosnkowski wygłosił w ubiegłym tygodniu do pułku ułanów krechowieckich gwałtowne przemówienie przeciwko wszelkim ustępstwom na rzecz Rosji... oświadczył, że żołnierz nie chce ani Polski „patriotów” ani Polski z łaski obcego mocarstwa... Również gwałtowne przemówienie wygłosił gen. Anders. To samo źródło donosi, że w razie gdyby rząd poszedł na ustępstwa wobec Rosji, dowództwo zdecydowane jest zamianifestować swój sprzeciw... Gen. Sosnkowski wstrzymał swój zamierzony wyjazd do Kairu... aby ewentualnie podzielić losy wojska. W tym kierunku miały iść naciski na generała S. również generała A. jak i polityków z propagandy A.P.W.

Pozostawiając bez odpowiedzi zarzuty natury emocjonalnej (brak decyzji, brak odwagi cywilnej itp.) zatrzymam się przez chwilę nad ówczesną postawą gen. Andersa. Autor nie uważał za stosowne sięgnąć głębiej do dokumentów z epoki. Wolał zadowolić się relacją Z. Siemaszki z rozmowy z gen. Andersem z roku 1967, ogłoszoną po śmierci gen. Andersa w roku 1970. Gen. Anders przyznał, że był poinformowany w *lipcu* o planach gen. Sosnkowskiego. Powiedział, że *były zamiary wypowiedzenia posłuszeństwa*. W każdym razie nie poszedłby na powtórzenie Szczypiorny i Benjaminowa. Zwołał nawet odprawę dowódców w *sierpniu*: żadnych buntów, musimy kontynuować walkę z Niemcami.

Otóż rzecz w tym, że plany Naczelnego Wodza z lipca, o których gen. Anders doskonale wiedział, przewidywały w każdym wypadku kontynuację walki z Niemcami. Natomiast w *sierpniu*, gdy po wybuchu powstania Sosnkowski swego planu zaniechał, pojawiły się fermenty w wojsku, nastroje rozpaczy. Wtedy gen. Anders zwołał odprawę.

Jest rzeczą zrozumiałą, że oceny i sądy z perspektywy ćwierćwiecza ulegają pewnej modyfikacji w porównaniu do ocen w chwili gdy dane wypadki lub dane działania miały miejsce. Refleksje powyższe nasuwają się przy czytaniu „Rozmowy z gen. Andersem 31 lipca 1967 roku” Z. S. Siemaszko (Notatki nie uzgodnione i nie autoryzowane przez gen. Andersa). *Kultura*, Nr 7/274-8/275, Paryż 1970 roku.

Sięgnąłem do „dokumentów chwili”, a więc do depeš, wysyłanych przez gen. Andersa w gorących miesiącach roku 1944. Wybieram 3 depeše o bardzo zdecydowanej postawie. Depesza pierwsza, z 27 maja 1944 jest reakcją na uchwałę Rady Narodowej o rzekomej niemożności łączenia obowiązków Naczelnego Wodza ze stanowiskiem następcy prezydenta. Depesza powyższa jest bardzo zdecydowanym przeciwstawieniem się rozgrywkom partyjnym, utrudniającym pracę dowódcom wojskowym.

Następna depesza gen. Andersa do Nacz. Wodza z dnia 11 sierpnia 1944. Dotyczy ona w drobnej części działań Korpusu. Dalsza treść mówi o staraniach o pomoc dla Warszawy. Zwraca uwagę punkt 3-ci. Gen. Anders wypowiada swój pogląd na tragedię Warszawy i określa decyzję dowódcy Armii Krajowej jako tragiczną „mimo wyraźnego zakazu” Naczelnego Wodza. A więc w dniu 11 sierpnia, niespełna w tydzień po rozstaniu się z gen. Sosnkowskim, który spędził w Korpusie prawie miesiąc w ciągłym kontakcie z gen. Andersem — generał Anders uważał, że depeše Naczelnego Wodza z 7 lipca, 11 lipca i szereg depeš poprzednich oraz te które wysłane zostały z frontu włoskiego — stanowiły *wyraźny zakaz*. Z perspektywy lat sprawę tę oceniał nieco odmiennie.

Ostatnia część depešy występuje w sposób niezwykle ostry przeciw polityce rządu Mikołajczyka. Gen. Anders uważał, że chęć doprowadzenia do współpracy Kraju z Sowietami przekroczyła dopuszczalne granice. Użyte są wyrażenia aż nadto mocne, jak „poniżanie godności narodu”, pertraktacje ze „zdrajcami Kraju”.

Wreszcie depesza z dnia 23 sierpnia 1944 nadana była do gen. Kukiela, Ministra Obrony Narodowej (z odpisem do Nacz. Wodza). Gen. Anders powiadamia w tej depešy o swych staraniach o pomoc dla Warszawy, następnie odpowiada na zarzuty czynników rządowych w stosunku do żołnierzy 2-go Korpusu (zarzuty dotyczyły nastrojów i demonstracji anty-komunistycznych).

I tu gen. Anders wyraża się bardzo ostro o zespole ludzi wchodzących w skład rządu polskiego. I tu jest mowa o poniżaniu godności narodu przez rozmowy ze zdrajcami. I że ciągłe jednostronne ustępstwa doprowadzają żołnierzy do wściekłości.

Wywołanie powstania w Warszawie określał wtedy generał Anders jako „ciężką zbrodnię”.

Witold BABIŃSKI

A oto — dokumenty chwili:

Depesza Szyfr
Nr 3951
z Cairo

Nadana dnia 27 maja 1944r.

Dla
Naczelnego Wodza

do rąk własnych.

Uchwała Rady Narodowej w Londynie, w sprawie rzekomej niemożności łączenia obowiązków Naczelnego Wodza ze stanowiskiem następcy Prezydenta R.P. dotarła do żołnierzy 2-go Korpusu w dniu zwycięstwa pod Cassino, wywołując w szeregach jak najgorsze wrażenie.

Skwapliwe rozpowszechnianie tej wiadomości przez propagandę niemiecką i sowiecką wytworzyło w nas powszechne wrażenie, iż uchwała idzie na rękę kampanii wrogiej, wymierzonej w Pana Generała jak i siły zbrojne stojące pod Pana naczelnym dowództwem.

Żołnierz nasz widział w Panu Generale nie tylko swego Naczelnego Wodza jak i również niezłomnego orędownika zasad nienaruszalności naszych granic oraz utrzymania pełnej suwerenności Polski wobec naszych potężnych sąsiadów i wrogów.

W warunkach tych godzenie choćby pośrednie w osobę Pana Generała musi być traktowane jako próba wejścia na drogę ustępstw i kapitulacji.

Ufam, że Pan Prezydent R.P. zdoła uchronić nas od posunięć, które byłyby dowodem naszej politycznej słabości, zupełnie niewspółmiernej z nadludzkim wysiłkiem oddziałów polskich we Włoszech, oraz że żołnierzowi naszemu zaoszczędzone będą wiadomości świadczące smutnie o rozgrywkach wewnętrznych w Londynie, dziejących się wówczas gdy żołnierz tu ciężko walczy na froncie.

Depesza Nr 8234.

ANDERS, gen. dywizji
Dowódca A.P.W.



Depesza Szyfr
Nr 6421
z Cairo

11/8 Tajne 38
nadana dn. 11. VIII. godz.
Otrzymana dn. 11. VIII. godz.
Odszyfrowana dn. 11. VIII. godz.

11/VIII Dejesza Nr 74 z Włoch dla

Naczelnego Wodza
(do rąk własnych)

1. — Melduję Panu Generałowi, że natarcie Korpusu przeprowadzone 9-go VIII. rano uwieńczone zostało zwycięstwem. Nieprzyjacieli poniosł ciężkie straty w zabitych i sprzęcie. W chwili pisania meldunku mamy ponad 250 jeńców oraz na rozkładzie 16 dział SP. Straty własne małe. Współpraca wszystkich broni doskonała.
2. — Na tamt. dep. szyfr. L. 4243:
Natychmiast interweniowałem u gen. Leese, u którego znalazłem pełne zrozumienie i przyrzeczenie, jeszcze 10-go interwencja u gen. Aleksandra i gen. Wilsona, 11-go ponowię interwencję. Mam jednak smutne obawy czy akcja ta nie będzie spóźniona.
3. — Przeżywamy całym sercem smutną tragedię stolicy. Nie mając dość słów uznania dla bohaterskich ukochanych naszych braci nie możemy

jednak zrozumieć kto i w jakim celu mimo wyraźnego zakazu Pana Generała wpłynął na tak tragiczną decyzję dowódcy Armii Krajowej. Żołnierze 2-go Korpusu są zdumieni i pełni oburzenia obecnym stanowiskiem naszego Rządu za to że:

- a. — Wobec morderstw i aresztowań dokonanych przez bolszewików w stosunku do żołnierzy Armii Krajowej oraz administracji krajowej, których pchnięto do współpracy z bolszewikami.
- b. — Rząd Polski okłamuje opinię świata. Komunikaty Rządu głoszą, o współpracy Armii Krajowej z armią czerwoną, niemal idylla.
- c. — zamiast krzyczyć na świat cały o zbrodniach bolszewickich — Premier Rządu, Minister Spraw Zagranicznych oraz Prezes Rady Narodowej poniżając godność narodu pertraktują w tej chwili ze zdrajcami Kraju. Niesłychane zakłamanie dla celów nikomu nieznanych ani nie dających się niczem wytłumaczyć przeraża i do głębi oburza nas żołnierzy, a przyjaciółom naszym amerykańskim i brytyjskim wytrąca broń z ręki.

Jak oni rozumieć mają idyllę współpracy w Kraju z bolszewikami i nasze obawy oraz wrogie nastawienie do bolszewików i zdrajców Kraju.

Proszę Pana Generała by przedstawił mój meldunek Panu Prezydentowi. Uważamy, że chwila obecna jest ostatnią dla powzięcia decyzji.

(—) ANDERS, Gen. Dyw.
i D-ca A.P.W.

Nr 6968

Londyn, dn. 11. VIII. 44.



Depesza Szyfr
Nr 6779
z Cairo

Nadana 23. VIII. 44.
Otrzymana 24. VIII. 44.
Odszyfrowana 24. VIII. 44.

Depesza z Włoch
dla Ministra Obrony Narodowej oraz do wiadomości Naczelnego Wodza

Na dep. Nr 4309.

1. W sprawie pomocy dla Kraju zrobiłem i robię co możliwe by zwiększyć ilość przerzutów broni do Warszawy. Czujemy się mali wobec bohaterstwa Warszawy. Jesteśmy całym sercem i duszą z nimi.
2. Z depeszy Pana Generała widzę, że czynniki rządowe w Londynie nie orientują się zupełnie w nastrojach żołnierzy u nas o samowolnych od-ruchach i demonstracjach nie ma mowy. Nasze stosunki z aliantami są jak najlepsze.

Natomiast dwie sprawy dominują dzisiaj ponad wszystko:

- (a) Nie rozumiemy rozmów Premiera Rządu Polskiego ze zdrajcami z Komitetu Wyzwolenia. Wiadomości które na ten temat przychodzą via radio sowieckie doprowadzają żołnierzy do wściekłości. Nie mamy dotąd oświadczenia z podróży z Moskwy. Ciągłe jednostronne ustępstwa w stosunku do bolszewików, poniżanie godności narodu przez rozmowy ze zdrajcami Kraju, fałszywe naświetlanie stosunków sowiecko-polskich w Kraju przez radio londyńskie stwarzają wybitnie negatywny stosunek wszystkich żołnierzy do zespołu ludzi w rządzie.
- (b) Żołnierz nie rozumie celowości powstania w Warszawie. Nikt nie

niał u nas złudzenia, żeby bolszewicy pomimo ciągłych zapowiedzi pomogli stolicy. W warunkach tych stolica pomimo bezprzykładnych w historii bohaterstw z góry jest skazana na zagładę. Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się kto ponosi za to odpowiedzialność.

3. Bijemy się o Polskę wolną i naprawę niepodległą, w której tylko naród polski będzie wyłącznym gospodarzem.

Bijemy się o honor i godność Polaka.

Bijemy się o te Świętości za które nasi dziadowie, bracia oddali swe życie poczynając od Grunwaldu poprzez powstania i bitwę Warszawy 1920 roku poprzez Westerplatte i Kutno, Monte Cassino i Ankonę.

(—) ANDERS, Gen. Dyw.
Nr 2139.

L. 965/GNW/tj. 44.

Adam KRZYŻANOWSKI

DZIEJE NAJNOWSZE POLSKI W OCZACH ZACHODU

(dokończenie)

Nieba poskąpiły p. Malinowskiemu wyobraźni i polotu, zdolnych zapłodnić, zasługujące ze wszech miar na uznanie, dobre chęci, gorliwy zapal służenia sprawie publicznej, jego wytrwałą pracowitość. Nie zdzierżył zamierzeniu wystawienia pomnika tragicznej wielkości dziejów najnowszych Polski i jej Naczelnika. *Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci*. Pedantyczna, erudycyjna praca Malinowskiego nie świeci silnie żadną z tych dwóch zalet. Bawi i poucza w stopniu ograniczonym. Z morza szczegółów i szczegółików nie wyłaniają się wyraziste zręby zasadniczego wątku wydarzeń. Gina w ich mgłę, są nimi przytłoczone zagadnienia i osiągnięcia szczytowe, których rozwiązywanie przesądzało o losach państwa. Pilne notowanie szczegółów stanęło na poprzek wysiłkowi jednolitego, bezsprzecznego przedstawienia wątku wydarzeń.

Dziejopis czynów Mieszka i Bolesława Chrobrego rozporządza szczupłym materiałem. Historyk czasów najnowszych grzęźnie w ich masie. Malinowskiemu nie udało się z zalewu dokumentów

wyłuskać ważnych. Nie potrafił umiejętnie, krytycznie odczytać tych, które miał w ręku. Streszczając dokumenty, informuje o podrzędnych faktach w nich zawartych. Opuszcza główne. Słusznie uważa Piłsudskiego za centralną figurę wydarzeń. Wielbiciel Marszałka, kreśląc bieg jego życia, pominął doniosłe daty i fakty biograficzne, które zaważyły w jego życiu i na losach państwa.

Czuje się w swoim żywiole, przedstawiając walkę między Piłsudskim i jego adherentami, a licznym, skłóconym obozem współzawodników Piłsudskiego, także żądnych przodowania i władzy. Ten temat go pasjonuje. Akcesoria personalne, nadmiernie rozdęte, przesadnie zredukowane do niskich motywów działań ludzkich, przysłaniają mu sedno rzeczy. W każdej sprawie dostrzega i przekazuje potomności aspekty sporu między Piłsudskim i endekami ze szkodą dla wyłuskania jej przedmiotowej treści. Obrazowanie nurtu dziejów pod kątem widzenia ludzkiej małoduszności przyczyniło się w okazałej mierze do zniekształcenia i pomniejszenia formatu wydarzeń. Na ich odbicie w krzywym zwierciadle wpłynęło także nadmierne skupienie uwagi na rozwoju polityki wewnętrznej.

Zwycięstwa i klęski wojenne ukształtowały dzieje odrodzonego państwa polskiego: klęski Rosji carskiej w wojnie z Japonią (1904) i Niemcami (1917), połowiczne polskie zwycięstwo w wojnie polsko-radzieckiej (1920), zwycięstwo radzieckie pod Stalingradem (styczeń 1943), pobicie Niemiec i Rosji carskiej w pierwszej wojnie światowej, zwycięstwo radzieckie w drugiej. Równolegle i współzależnie z tokiem wojen fałdowały układ i rozwój stosunków międzynarodowych, ich wydźwięk dyplomatyczny, warunkujący w dużej mierze odrodzenie polskiej niepodległości. Jej trwałość tkwiła głębokimi korzeniami w tym źródle jej narodzin. Narastanie własnych sił nie mogło w danych warunkach stać się jej mocną dźwignią. Dzieje w konstelacji międzynarodowej, w mniejszym stopniu pod wpływem procesów wewnętrznych, czego przejawem, że antagonizmy stronnictw politycznych rozwijały się w pierwszym rzędzie na płaszczyźnie sporów między zwolennikami orientacji niemieckiej i rosyjskiej, a tylko podrzędnie na podłożu klasowym. Malinowski nie docenia tego stanu rzeczy. Więcej wysiłku wkłada w zagadnienia polityki wewnętrznej, mniej w zobrazowanie dyplomatycznej i militarnej, bardziej dla toku wydarzeń miarodajnej. Gdyby baczniej wpatrywał się w bieg konstelacji międzynarodowej, zapewne przeprowadziłby podział na okresy wedle tych kryteriów. Przyjęcie innego podziału wydaje mi się ważkim źródłem małej owocności jego wysiłków.

Splot trzech zjawisk uwarunkował odrodzenie państwa polskiego: 1) działania niepodległościowe Polaków, podjęte z po-

czątkiem bieżącego stulecia w przewidywaniu wojny między zaborcami, 2) jej wybuch w roku 1914, 3) jej przebieg, torujący Leninowi drogę do władzy, wiodący do zawarcia pokoju brzeskiego Rosji z Niemcami w marcu 1918. Międzynarodowa akcja polska wydaje mi się najbardziej wskazaną podstawą podziału na okresy polskich dziejów najnowszych.

W czasie trwania wojny rosyjsko-japońskiej delegaci Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), Piłsudski i Tytus Filipowicz, 13 lipca 1904 składają w Tokio do rąk urzędnika japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych memoriał, w którym proponują rządowi japońskiemu dopomożenie polskim niepodległościowcom w obopólnym interesie do ziszczenia programu federacyjnej przebudowy państwa rosyjskiego. Piłsudski już wówczas postanowił stworzyć załazek polskiej siły zbrojnej, na czele legionów zdobyć władzę w Polsce, wieść wojnę z Rosją o wykrojenie z jej obszaru kilku samoistnych państw narodowych, złączonych węzłem federacyjnym z Polską. Zamierzał przede wszystkim oderwać od Rosji Ukrainę. Widział w osłabieniu Rosji drogą ziszczenia programu federacyjnego, jedyną skuteczną rękojmnię utrwalenia polskiej niepodległości. Nie chciał współpracować z Niemcami w oderwaniu Ukrainy od Rosji, wpisanym przez Niemców do efemerycznego, zapomnianego brzeskiego traktatu pokojowego. Akcję tę wdrożył bez pomocy niemieckiej w dwa lata po zawarciu traktatu brzeskiego, anulowanego *expressis verbis* w wersalskim traktacie pokojowym. Piłsudski w roku 1935, Beck w roku 1936 postąpił podobnie. Odrzucili propozycję niemiecką wspólnej wyprawy na Moskwę, do której Hitler kusił obietnicą przyznania Polsce Ukrainy, znajdującej się we władaniu radzieckim, w zamian za oddanie z góry Niemcom Gdańska i Pomorza, ziem dzierzonych przez Polaków.

Rok 1904 uważam za początek pierwszego okresu polskich dziejów najnowszych. W tym roku wyraźnie zarysowuje się konflikt Piłsudskiego z prorosyjską orientacją stronnictwa narodowo-demokratycznego (endeków), w którym Dmowski rej wodzi, i z prosowiecką Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy — Róży Luksemburg. Równocześnie występuje na jaw antagonizm między Piłsudskim i Leninem. Zarzucał Lenin Piłsudskiemu w genewskiej „Iskrze” kumanie się z eserami Sawinkowa, najgroźniejszego współzawodnika Lenina. W marcu 1920 endecy wystąpią w Sejmie przeciw przygotowaniom do wyprawy na Kijów. Po wybuchu wojny wezmą w niej udział Sawinkow po stronie Polski, SDKPiL po stronie radzieckiej. Piłsudski wojnę militarnie wygraną przegrał politycznie. Rozpoczął bój wspólnie z oddziałem Petlury, szefa ukraińskiego państwa narodowego. Podpisał

przymierze z tą Ukrainą. Wszczął wojnę. Delegacja Sejmu zawie-
rała pokój. Wiódł prym w jej łonie Stanisław Grabski, który w
przededniu wyprawy na Kijów domagał się zawarcia pokoju z
Rosją radziecką. Zawarł ów pokój z dwoma państwami radziec-
kimi, z Rosją i Ukrainą, co *eo ipso* oznaczało wyrzeczenie się pro-
gramu federacyjnego.

Drugi okres polskich dziejów najnowszych kończy się w roku
1936 drugim zasadniczym niepowodzeniem polskiej polityki za-
granicznej. W marcu tego roku Polska proponuje wspólne polsko-
francuskie wystąpienie dyplomatyczne, ewentualnie zbrojne, prze-
ciwko dozbrajaniu się Niemiec. Ta akcja także spaliła na panewce.
Polsce nie udało się ziścić programu zabezpieczenia się ani wobec
wschodniego, ani w stosunku do zachodniego sąsiada. W 1936
roku możliwość zapobieżenia zawczasu rozrostowi niemieckiej po-
tęgi militarnej minęła bezpowrotnie.

Zwycięstwo radzieckie pod Stalingradem w styczniu 1943
zmieniło sytuację. Odtąd mocarstwa anglosaskie zajęły przychyl-
ne stanowisko wobec postulatów radzieckich. Cofają 5 lipca 1945
roku dotychczasowe uznawanie rządu emigracyjnego w Londynie
za prawowity rząd polski. Akredytują ambasadatorów w Warsza-
wie. W tym dniu trzeci okres dziejów polskich najnowszych do-
biegł końca.

Odmienny podział Malinowskiego zaciera momenty rozstrzy-
gające. W tomie pierwszym zobrazował wydarzenia za czas od
klęski powstania styczniowego do uchwalenia przez Sejm tzw.
małej konstytucji w lutym 1920, która krótko obowiązywała,
w części pierwszej tomu drugiego zdarzenia późniejsze aż po
dzień 2 kwietnia 1938, dzień samobójstwa Sławka, pierwszego
spośród Piłsudczyków. Autor, szeregowiec w tym gronie, może
z tego powodu przypisać tej dacie szczególne znaczenie. Zamierza
zapowiedzianą część drugą drugiego tomu doprowadzić do 5 lipca
1945, do dnia powstania na terenie międzynarodowym nowej
Polski, wielce odmiennej od poprzedniej.

Przedstawia szczegółowo przybycie do Tokio w lipcu 1904
Dmowskiego i Piłsudskiego. Zastanawia się nad tym, kto pokrył
ich koszty podróży. Dostrzega drzewa, lasu nie widzi. Wódz —
wówczas ugodowej — endecji, dowiedział się o zamiarze Pił-
sudskiego zjechania do Tokio gwoli ofiarowania Japonii pomocy
PPS. Pośpieszył do japońskiej stolicy celem tłumaczenia rządowi
japońskiemu, że współdziałanie wojenne PPS z armią japońską
jest sprzeczne z dobrze zrozumianym interesem Japonii i Polski.
Malinowski pisze obszernie o aktualnych aspektach militarnych,
wysuniętych przez Piłsudskiego, o kontrpropozycjach japońskich,
o rozbiciu się tych rokowań, ale przecie sednem zagadnienia, głów-

ną treścią memoriału Piłsudskiego, zapowiedzią jego przyszłej akcji, obliczonej na długą metę, na czas po ukończeniu wojny rosyjsko-japońskiej, było sformułowanie w memoriale programu federacyjnego rozbicia Rosji na państwa narodowościowe, złączenia sąsiadów, Ukrainy i Białorusi, węzłem federacyjnym z Polską, jak na razie istniejącej tylko w wyobraźni i woli Piłsudskiego, w jego twórczej wizji przyszłości. Nie było przypadkiem, że Piłsudski redagując memoriał, rozpoczął od przedstawienia, określenia i uzasadnienia tej swej przewodniej wytycznej. Kto chce dotrzeć do istoty rzeczy nie może poprzestać na tym, co Malinowski napisał. Musi sięgnąć albo do tekstu, zawartego w „Pismach” Marszałka, albo do dzieła Komarnickiego, który nie omieszczał ogłosić dosłownie najważniejszego ustępu memoriału na str. 109 swej pracy.

„Zwycięstwo” — oto tytuł rozdz. XIII dzieła Malinowskiego, obrazującego wojnę polsko-sowiecką w roku 1920. Malinowski jest wyznawcą poglądu, głoszonego przez Piłsudskiego i jego zwolenników, że przekreśliłoby niepodległość Polski zaniechanie wojny, a tym bardziej objęcie w jej wyniku rządów w Warszawie przez polskich sprzymierzeńców Rosji Radzieckiej, razem z jej wojskami, maszerującymi na Warszawę. Pod tym kątem widzenia Polska zwyciężyła. Uniknęła klęski. Przekreśliła linię Curzona. Zwiększyła odległość między stolicą państwa, a granicą sowiecką. Osiągnęła zwycięstwo na krótką metę. Piłsudskiemu nie udało się ziszczyć tego, co uważał za jedyny sposób długofalowego zabezpieczenia jej niepodległości. Malinowski, w gruncie rzeczy, tak a nie inaczej przedstawia ostateczny wynik wojny. Idei tej wyraźnie nie dopowiedział, ponieważ brak mu odwagi wyznać, że tytuł rozdziału naraża czytelnika na błądzenie po omacku. Byłby zadanie, które sobie zakreslił, rozwiązał lepiej, wywody jego byłyby bardziej przejrzyste i jednolite, gdyby postawił kropkę nad i, uwydatniając dobitnie decydujący sukces delegacji sowieckiej, uzyskany już w pierwszych obradach pokojowych w Mińsku, w połowie sierpnia 1920, przesądzający wynik targów. Zażądała zgody na zawarcie pokoju między Polską a dwoma państwami radzieckimi, Rosją i Ukrainą, występującymi wspólnie. Delegacja polska odwołała się do swego rządu. Otrzymała i wykonała zlecenie, wydane bez współudziału Piłsudskiego, zadośćuczynienia żądaniu delegacji radzieckiej. Autor pozostawia domyślności czytelnika odgadnięcie, że Polska zrezygnowała z programu federacyjnego, że niepowodzenie tej akcji wydatnie przyczyniło się do rozrostu władzy posłów sejmowych, do zejścia z areny politycznej w roku 1923 Piłsudskiego, chorążego sztandaru federacyjnego.

Od czasów zwycięstwa wiedeńskiego bitwa pod Warszawą

była pierwszym wielkim triumfem w odwiecznej walce między Wschodem i Zachodem o władanie Europą centralną. Żadna z nich nie stała się zalążkiem długotrwałego rozrostu potęgi państwa polskiego. Wojna roku 1914 została zlikwidowana tylko na Zachodzie Europy podpisaniem traktatu wersalskiego w pięć lat później. Pacyfikacja Europy Wschodniej doszła do skutku dopiero na zasadzie wytyczenia granic w traktacie ryskim. Wynik wojny polsko-radzieckiej był dla obu stron sukcesem połowicznym. Obie chciały osadzić rządy sobie przyjazne w kraju nieprzyjacielskim. Piłsudski chciał na Kreml wprowadzić eserów. Lenin dążył do oddania rządów w Polsce SDKPiL. Oba zamiary spęły na niczym. Piłsudski liczył na narodowe powstanie ukraińskie, Lenin na komunistyczne w Polsce. Obaj zawiedli się. Zawieszenie broni z października 1920 stało się początkiem dziewiętnastoletniej ery pokoju i skierowania rozrostu radzieckiej sfery wpływów ku Azji. Oznaczało zarazem bankructwo polskiego programu osłabienia Rosji radzieckiej.

Piłsudskiego zmysł polityczny Malinowski umniejsza zamilczeniem jego zapatrywań na wynik wojny. Piłsudski dobrze wiedział, że załamały się obie ofensywy, polska na Kijów, rosyjska na Warszawę, że wygraniam ostatnich bitew nie zrównoważył spełnienia na niczym wyprawy kijowskiej. Do końca życia nawracał często myślą do tego zagadnienia. Wspominając, przedwczesne jego zdaniem, zawieszenie broni skarżył się na brak wytrwałości narodu w doprowadzeniu przedsięwzięcia do pomyślnego końca. Eden, wówczas lord tajnej pieczęci, był ostatnim dyplomata zagranicznym, z którym rozmawiał. Przyjął Anglika na miesiąc przed śmiercią. Gorzko skarżył się na brak angielskiego poparcia jego zamierzeń w roku 1920. Sobie wyrzucał w swych przedśmiertnych rozważaniach, że pomniejszył szanse wygrania w pełni wojny, spóźnionym o kilka dni rozpoczęciem ofensywy (*Strzępy meldunków* Składkowskiego). Jak oceniał wynik wojny, najlepszym tego sprawdzianem, że rozmyślał nad jej wznowieniem.

Brak precyzji w Malinowskiego opisie dymisji Ponikowskiego. Marszałek przerażony zawarciem traktatu radziecko-niemieckiego w Rapallo 16 kwietnia 1922, uznał za wskazane tworzenie sytuacji, sprzyjającej odnowieniu wojny celem uśmiercenia zawczasu widma odnowienia przyjaźni rosyjsko-niemieckiej. Marszałek na radzie gabinetowej w pierwszych dniach czerwca tego roku zarzucił Skirmuntowi, ministrowi spraw zagranicznych, zbytnią ustepliwość wobec Rosji radzieckiej. Cały gabinet podał się do dymisji. Politykę ówczesną Piłsudskiego jedni chwala, drudzy ganią. Malinowski podskórnie podziela zdanie krytyków. Ukrywa

ocenę, wyrzeka się jakiejkolwiek krytyki Marszałka. Wyraża się dwuznacznie. Uzupełnia opowieść o przebiegu rady gabinetowej, nawiasem mówiąc całkowicie zgodną z tym, co słyszałem z ust Ponikowskiego, przeniesieniem debaty na płaszczyznę sporów partyjnych: „inicjatywa prawicy rozdmuchała sprawę aż do przesilenia na najwyższym szczeblu”. Nie dowiadujemy się, na czym właściwie inicjatywa prawicy polegała poza przeciwstawianiem się, podobnie jak w roku 1920, wojnie z Sowietami.

Wtedy Polska korzystała z poparcia francuskiego i rumuńskiego. Tuż po zakończeniu wojny rządy tych trzech państw uznały za pożądane kontynuować współdziałanie, które okazało się owocne w czasie wojny. W tym celu zawarły pisemne przymierza. Streszczenie układu polsko-francuskiego z 19 lutego 1921, podpisanego w Paryżu, zawarte w dziele Malinowskiego, nie trafia w sedno rzeczy. Malinowski zna tekst jawnego sojuszu, opublikowanego równocześnie z jego dojściem do skutku. Uszły jego uwagi ustępy tajnej konwencji wojskowej, ogłoszone przez Bonneta, ministra spraw zagranicznych od 10 kwietnia 1938 do 13 września 1939 roku i Gamelina, wodza armii sprzymierzonych w latach 1939/40. Zna tylko jej streszczenie w aneksach do II t. *Servir*, wydrukowane w polskim tłumaczeniu w aneksach do pism pośmiertnych Becka, których był współwydawcą, pomijające postanowienia istotne¹. Z dzieł francuskich dostojników, ogłoszonych na kilka lat przed pojawieniem się pism Becka, dowiadujemy się, że Francja i Polska zawarły jawny układ polityczny, orzekający obowiązek wzajemny obrony przeciw każdemu napastnikowi (*inter omnes*) i tajny, nazwany konwencją wojskową, ustanawiający dodatkowo francusko-polski sojusz zaczepno-odporny, zwrócony przeciw Niemcom „na wypadek, gdyby w Niemczech powstała sytuacja, zagrażająca podjęciem przez nich ataku na jednego lub obu sojuszników”², to znaczy nie tylko na wypadek wszczęcia przez nich wojny, ale także na wypadek wdrożenia kroków wstępnych np. uskutecznienia zbrojeń, przekraczających limit, do którego przestrzegania Niemcy się zobowiązały podpisując traktat wersalski. Układ jawny uzależnia obo-

1. *En cas d'agression allemande, ou dans le cas où la situation en Allemagne deviendrait menaçante au point d'impliquer un danger de guerre contre l'un des deux pays, la France et la Pologne seraient tenues de se prêter un concours efficace et rapide et d'agir en commun.* (Bonnnet, *Fin d'une Europe*, 1948, str. 131).

2. *En cas où la Pologne serait menacée d'une guerre par la République des Soviets ou dans le cas d'une attaque de cette dernière, la France s'engage à agir tant sur mer que sur terre pour contribuer à assurer à la Pologne la sécurité vis-à-vis de l'Allemagne comme aussi à l'aider dans sa défense contre l'armée des Soviets.* (Gamelin, *Servir*, t. II, 1946, str. 225).

wiązek wzajemnej pomocy od stosowania postanowień Ligi Narodów, a zatem odracza jej wejście w życie *od calendas graecas*. Zastosowanie tajnego nie jest uwarunkowane odwoływaniem się do Ligi Narodów. Tajny stanowił podstawę prawną zwrócenia się Polski do Francji w latach 33 i 36 o wystąpienie *manu militari* przeciwko dozbrajaniu się Niemiec wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego, gdyby zawiodły remonstracje dyplomatyczne. O ile mi wiadomo, wszyscy historycy polskich dziejów najnowszych, nie wyłączając Malinowskiego i Roosa, przeoczyli właściwe znaczenie konwencji wojskowej zapewne skutkiem ukrycia układu politycznego pod tą firmą i ugruntowanie polskiej inicjatywy w tzw. konwencji wojskowej, skutkiem czego ich opracowanie tej fazy wypadków jest *in radice* ułomne.

Konwencja formułowała zamiar obrony trwałych — była bezterminowa — żywotnych, zbieżnych interesów mocarstwowych obu państw, których przedstawiciele na tym dokumencie podpis swój położyli. W odwoływaniu się Polski do jej postanowień dzwięczała obok martwej litery prawa żywa racja stanu jego uczestników. Jak doszło do wydobycia z zanadru konwencji wojskowej w 1933 roku?

Ówczesne dojście do władzy Hitlera zmieniło konstelację międzynarodową. Narastające niebezpieczeństwo podjęcia przez Niemcy wojny odwetowej pobudziło dyplomatów państw zagrożonych do uzupełnienia dawnych sojuszów nowymi. Japonia w jesieni 1931 roku zajęła Mandżurię. Dyplomaci radzieccy obawiali się, że porzuci pochód na południe a zwróci się na północ przeciw ich ojczyźnie w porozumieniu z Niemcami i Polską. Lękali się wojny na dwa fronty. Straszyło ich widmo izolacji. Rozważali zbliżenie się do Francji. Jej dyplomaci, zaniepokojeni wzrastającą agresywnością Niemiec, odnieśli się przyjaźnie do propozycji rokowań.

Laroche, w 1921 roku wice-dyrektor biura politycznego we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych, ambasador Francji w Polsce (1926-1935) jasno i dobitnie określił trwałą, międzynarodową sytuację ówczesnej Polski w dwóch słowach: *une alliée de remplacement*. Francja sprzymierzyła się z Polską przeciw Niemcom w chwili załamania się potęgi rosyjskiej, w przewidywaniu, że po jej odzyciu trzeba będzie słabszego sprzymierzeńca pogodzić z silniejszym, a jeśli się nie zgodzą, silniejszym zastąpić. Rosja carska przyczyniła się waleń do francuskiego zwycięstwa w toku pierwszej wojny światowej. Po zwycięstwie Francja zatroszczyła się o zabezpieczenie jego owoców. Millerand, prezydent Francji, minister wojny Barthou przewidywali niemiecką wojnę odwetową. Chcieli oprzeć bezpieczeństwo Francji na soju-

szu z Polską. Pod urokiem triumfów, zyskanych co dopiero przez wojska polskie w walce z bolszewikami, spodziewali się, że Polska będzie w stanie sprostać zadaniu dopomożenia Francji, z którego Rosja wywiązała się z tak pomyślnym skutkiem dla Francji. W tej myśli przeforsowali sojusz z Polską wbrew przeciwnikom projektu, sceptycznie oceniającym polskie możliwości wojskowe, obawiającym się zrażenia Rosji sprzymierzaniem się z Polską. Z biegiem czasu ten drugi punkt widzenia stopniowo bierze górę. W okresie przejściowym Francja usiłowała nawiązać przyjazne stosunki z Niemcami (pakt lokarneński 1925). Pod naciskiem pacyfizmu opinii publicznej przeszła do defensywy politycznej i wojskowej. Nie udziela Polsce pożyczki na dozbrojenie armii, przewidzianej konwencją wojskową. Buduje linię Maginota kosztem pomniejszenia stanu liczebnego armii w chwili, gdy Hitler zapowiedział powiększenie ilości wojska. Wycofuje swe wojska z Nadrenii. To wszystko napawało Polaków troską o przyszłość, pogłębiając rodzajem reagowania Francji na dojście do władzy Hitlera. Nie okazywała chęci zacieśnienia sojuszu z Polską, podjęcia działań przewidzianych konwencją wojskową. Marszałek z goryczą stwierdzał pochyłość francuskich mężów stanu do rozmów z władcami Kremla. Już od 1932 roku konferowali w Paryżu wielokrotnie ambasador radziecki Potiomkin z Légerem, następcą Berthelota na stanowisku gen. sekretarza ministerstwa spraw zagranicznych. Z tych rokowań — pisze o nich pani Cameron w dziele *The Diplomats* — wyrosły w maju 1935 roku traktaty wzajemnej pomocy francusko-radziecki i francusko-czeski. Marszałek, niezrażony zapomnieniem Francji o polskim sojuszniku, starał się owe traktaty uczynić zbędnymi przed ich dojrzaniem. Zauważył oznaki zbliżenia się Francji ze ZSRR. Postąpił podobnie. Zawarł pakt nieagresji ze wschodnim sąsiadem w lipcu 1932. Polska uzyskała większą swobodę działania w stosunku do Niemiec. Marszałek rozważał, czy nie należy przeprowadzić zmiany frontu w poźyciu z sąsiadem zachodnim. Zanim powziął decyzję, zwrócił się do Francji w roku 1933 z przypomnieniem postanowień konwencji wojskowej. Pokrewny apel Polski do Francji z marca 1936 roku jest udokumentowany świadectwem ambasadora Noël'a, relacją Bonnet'a, francuskiego ministra spraw zagranicznych i innymi wiarygodnymi wypowiedziami. Brak piśmennych śladów apelu Polski z roku 1933. Wielu autorów roztrząsało sprawę, obszernie lub krótko, powierzchownie lub wnikliwie. Znaczna ich większość mniema, że Piłsudski usiłował wówczas skłonić rząd francuski do wspólnego dyplomatycznego wystąpienia przeciw zbrojeniom niemieckim, popartego zagrożeniem akcją zbrojną. Ci, co przeczą, popadają w nonsens, bo nie

podobna dowieść, że nie było ustnych rokowań. Można tylko zwalczać twierdzenie o podjęciu inicjatywy przez rząd polski wskazaniem na brak dowodów lub prawdopodobieństwa lub jednego i drugiego. Zwolennicy mniemania, że Polska podjęła inicjatywę, nie dają się zbić z tropu brakiem dowodów. Powołują się na konieczność przestrzegania jak najściślej tajemnicy w tej sprawie. Malinowski przekonywująco uzasadnia tezę o rokowaniach polsko-francuskich. Politycy i generałowie francuscy wówczas czynni, twierdzą że nic im nie wiadomo o propozycjach polskich. Malinowski słusznie kwestionuje moc dowodową ich twierdzeń niepodobieństwem ustalenia, czy nie powodują się chęcią odparcia zarzutu zaniedbania swych powinności zbagatelizowaniem polskiej inicjatywy.

Byłby swą argumentację umocnił, przeciwstawiając brakowi dokumentów i zeznań świadków koronnych wewnętrzne prawdopodobieństwo takiego, a nie innego przebiegu wypadków, które uwydatniłem. Jest przecie nie do pomyślenia ażeby Marszałek w chwili dojścia Hitlera do władzy zaniedbał zwrócenia się do Francji o pomoc.

Argumentacja Malinowskiego znajduje poparcie w nieużytkowanym ani przez Malinowskiego, ani przez Roosa sprawozdaniu gen. Liebmann'a, choć ogłoszonym już w roku 1954, o zebraniu generalicji niemieckiej 3 lutego 1933, w cztery dni po zamianowaniu Hitlera kanclerzem, w mieszkaniu szefa sztabu generalnego von Hammersteina³. Hitler przedstawił program, świadczący o doskonałym orientowaniu się w polityce międzynarodowej. Podbił słuchaczy obietnicą szybkiej rozbudowy potencjału wojennego Rzeszy. Nie krył ryzyka interwencji Francji i Polski: „Teraz się pokaże, czy rządzą Francją mężowie stanu zdolni przeciwstawić się moim zamierzeniom”. Przepowiadał bierność Francji. Armia niemiecka czyniła przygotowania na wypadek interwencji francusko-polskiej. Interwencja wisiała w powietrzu. Nie skrytalizowała się wbrew polskim ostrzeżeniom.

Historycy zachodni, piszący o tych wydarzeniach, skoncentrowali swą uwagę na ich dyplomatycznym aspekcie bez wyzyskania ich militarnego odpowiednika. Polska w roku 1933 i 1936 notorycznie czyniła przygotowania wojenne na wypadek konfliktu. Francja w obu latach nie czyniła żadnych.

Malinowski, przytaczając wywody popleczników swego poglądu, nie omieszczał przytoczyć opinii A. M. Pankratowa, wydrukowanej w trzecim tomie radzieckiej *Istorii diplomatii*. Wspomi-

3. *Neue Dokumente zur Geschichte der Reichswehr 1930-1933* (Vierteljahrshefte zur Zeitgeschichte, 2 shg., 1934).

na o wyjeździe w tej sprawie gen. Wieniawy Długoszewskiego do Paryża w jesieni 1933 roku na zlecenie Marszałka. Wybór pośrednika nie naprowadził go na myśl, że Marszałek uważał za wskazane powierzyć misję przypomnienia Francji postanowień konwencji wojskowej oficerowi w czynnej służbie. Niezorientowani zadawali się powoływaniem predylekcji Marszałka do współpracy z wojskowymi.

Polska umacniała bezpieczeństwo państwa układami z ZSRR i z Niemcami, nie zmieniającymi w niczym, nie osłabiającymi mocy obowiązującej poprzednich układów z Francją i z Rumunią, nie ustanawiającymi nowych zobowiązań udzielenia pomocy zbrojnej, ograniczonymi do wyrzeczenia się agresji. Malinowski nie informuje czytelnika o zasadniczej różnicy między obu paktami. Uwzględnił pierwszy ustęp art. 2 paktu z Rosją. Pomiął drugi, ściśniający postanowienia, zawarte w pierwszym. Układ z Niemcami był bezwarunkowy, z Rosją Radziecką warunkowy. W tym drugim układzie obie strony wyrzekły się agresji, zastrzegając sobie prawo wypowiedzenia umowy, gdyby druga strona stała się winna agresji przeciw państwu trzeciemu, obojętnie czy sprowokowanej, czy niesprowokowanej oraz prawo bezapelacyjnego orzekania we własnym zakresie działania, czy istotnie doszło do agresji.

Rząd niemiecki dostrzegł w polsko-radzieckim pakcie nieagresji zastrzeżenie sobie przez Rosję wzięcia udziału w wojnie polsko-niemieckiej po stronie niemieckiej, gdyby Polska, jej zdaniem, popełniła bezpośrednio lub pośrednio akt agresji.

Litwinow we wrześniu 1935 roku na plenarnym posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie wystąpił z tezą wyższości warunkowych paktów nieagresji w porównaniu z bezwarunkowymi. Dawał do zrozumienia, że zeszłoroczna deklaracja polsko-niemiecka jest zapewnieniem sobie przez Polskę neutralności Niemiec w wypadku napaści Polski na ZSRR co wywołało ostrą replikę Becka (v. pisma pośmiertne). Wedle Roosa Litwinow wówczas insynuował istnienie tajnego dodatku do polsko-niemieckiej deklaracji, przewidującego wspólną akcję przeciw Czechom. Rząd radziecki podejrzewał, jak się okazało bezzasadnie, podpisanie dodatku tej treści. W Genewie nie wystąpił z tą insynuacją, nie miał przecież żadnych dowodów na jej poparcie. Krytykował jawny układ polsko-niemiecki na zasadzie wyższości warunkowych paktów nieagresji, porzuconej przez następcę Litwinowa. Mołotow, obejmując tekę ministra spraw zagranicznych w maju 1939, przechylił się ku polityce bezwarunkowych paktów nieagresji.

Rząd radziecki 23 września 1938 roku zawiadomił rząd polski, notą ogłoszoną wówczas natychmiast w prasie radzieckiej,

powołującą postanowienie, ograniczające polsko-radziecki pakt o nieagresji, iż w wypadku napaści polskiej na Czechy — toczył się wówczas spór o Cieszyn — wypowie z natychmiastową ważnością pakt nieagresji⁴.

Malinowski przyjmuje bezkrytycznie relację Becka, bagatelizującego groźbę zbrojnej interwencji radzieckiej w sporze polsko-czeskim, choć Beck, czując się zaniepokojony, podejmował próby wybadania stanowiska Japonii i Niemiec na wypadek zbrojnego konfliktu z ZSRR. Konferował 24 września ze Sakohem, ambasadorem Japonii w Polsce, 30 września z hr. Moltke. Zapytywał w tym dniu ambasadora Niemiec, co poczyni rząd niemiecki w nieprawdopodobnym wypadku oporu czeskiego i interwencji radzieckiej? Ribbentrop zapewnił Becka o życzliwej neutralności Niemiec w wypadku konfliktu polsko-czeskiego, a nawet polsko-radzieckiego ze złowróżbnym dodatkiem, iż jednak powstałaby wtedy nowa sytuacja⁵. Te rokowania uszły uwadze Malinowskiego i Roosa. Zapewne Malinowski te i inne luki uzupełni w zapowiedzianej części drugiej tomu drugiego.

Malinowski i Roos pisząc o wypadkach roku 1938 różnie odpowiadają na pytanie, czy Hitler w tym roku groził wojną bez zamiaru jej wywołania za każdą cenę, czy też tylko biegiem nieodwracalnych wydarzeń był zmuszony wbrew swej woli zadowolić się pokojowym zajęciem Sudetów? Roos odpowiada się za drugim, Malinowski za pierwszym z tych dwóch poglądów. Jego zapatrywania uważam za bardziej zgodne z rzeczywistością. Malinowski i Roos nie wykorzystali niezbitego faktu, że w krytycznym wrześniu 1938 naczelny wódz niemiecki gen. Ludwig Beck (niespokrewniony z polskim imiennikiem) sprzeciwiał się pójściu na wojnę, jego zdaniem, wróżącą klęskę. Szczególne oburzenie Hitlera wywołała okoliczność, iż gen. Beck uzasadniał swój pogląd przewidywaniem znalezienia się Polski w obozie wrogów Niemiec. Zaraz po zajęciu Sudetów Becka usunął.

Wypadki roku 1938 zostały naświetlone przez Malinowskiego jedne trafniej, drugie mniej udatnie. Zazwyczaj stawianie przez jeden rząd drugiemu żądań terminowo określonych, a zatem ultimatywnych, wiedzie do zerwania stosunków dyplomatycznych. Wydarzeniem osobliwym był fakt zażądania przez Polskę w marcu 1938 ultimatywnie natychmiastowego nawiązania stosunków

4. R. L. Buell, *Poland: Key to Europe*, New York 1939, str. 354 — pisze o interwencji radzieckiej. Ogłosił swą książkę z początkiem 1939 w przewidywaniu bliskiego wybuchu wojny. W roku 1939 i nast. ukazało się kilka wydań. Przed ogłoszeniem książki bawił w Warszawie i Krakowie celem zebrania materiałów.

5. *Documents on British Foreign Policy 1918-39*. Third Series, tom II.

dypłomatycznych między Polską a Litwą. Rząd Kowieński żądanie wypełnił. Zdaniem Malinowskiego (t. II, str. 635) Beck uznał, iż „w atmosferze napięcia politycznego należy dać wyraz prężności polskiej” (*sic*).

Bernsteinowie, właściciele dużego majątku ziemskiego na zachodnim brzegu Bugu, wysłali syna do Oxfordu. Toynbee pisze o kolegowaniu z nim na Wydziale Historii oxfordzkiego uniwersytetu w roku 1908. Młody Bernstein począł się podpisywać Lewis Namier. Uzyskał katedrę historii nowożytnej na uniwersytecie w Manchester. W czasie rokowań pokojowych w Paryżu był ekspertem delegacji angielskiej dla spraw Galicji Wschodniej (Toynbee dla tureckich). Sprzeciwiał się przyznaniu Polsce Galicji Wschodniej. Polacy na Zachodzie z przekąsem nazywali linię Curzona (Bug-San) linią Namiera. Królowa nadała mu szlachectwo. Sir Lewis Namier jest syjonistą na obczyźnie. Politykę Polski różnie ocenia. Często o nią potraça w doskonałej książce: *Diplomatic Prelude 1938-1939* wyd. w roku 1948 i w innych pismach. Wyczerpująco obeznany z literaturą polską i polskimi źródłami chętnie i pilnie je cytuje. Zużytkowuje także ustne informacje, udzielone mu przez polskich emigrantów. Tłumaczy jasno i rzeczowo przyczyny polskiej interwencji w Kownie. Uważa ją trafnie za wynik strategicznych kalkulacji. Polscy mężowie stanu liczyli się z różnymi ewentualnościami. Brali także pod uwagę podjęcie przez Niemcy wspólnie z Litwą wojny przeciw Polsce. Udział Litwy stanowił groźne niebezpieczeństwo, ponieważ litewskie wojska zajmowały pozycje okrążające polskie północne skrzydło. Polska dążyła do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Kownem, ażeby łatwiej móc przeciwdziałać podszeptom niemieckim. Namier uważa ówczesną, powściągliwą akcję polską za uzasadnioną. Przyczyniła się do zachowania neutralności przez Litwę we wrześniu 1939. Przytakuje także postawie Polski wobec Francji i Czech, zajętej w dwa miesiące później, w ostatniej dekadzie maja 1938. Rząd czeski 20 maja zarządził zmobilizowanie jednego rocznika rezerwistów, uzasadniając swój krok mobilizacją niemiecką. Hitler gwałtownie zaprzeczył. Groził wojną. Anglia oficjalnie ostrzegała Berlin. Francja sama nie występowała w Berlinie, ale żądała od Polski przyłączenia się do angielskiego ostrzeżenia. Beck przekonany, że Francja, podobnie jak w roku 1933 i 1936, także teraz się uchyli, odmówił, ponawiając równocześnie swe oświadczenie z 7 marca 1936, o gotowości Polski przyłączenia się do zbrojnego wystąpienia Francji. Namier zarzucił Bonnetowi, iż piętnując w swej książce odmowę Becka, pominał oświadczenie Becka o gotowości dochowania sojuszu, co dało powód do polemiki w dziennikach między Bonnetem i Na-

mierzem⁶. Nic dziwnego, albowiem zarzut Namiera nasuwa pytanie, czy Bonnet winą rząd francuskiego nie chciał obarczyć polskiego sprzymierzeńca? Bonnet w swej książce z uznaniem wyraża się o stanowisku Polski w 1936 roku. Przedstawia sprawę tak, jak gdyby rząd polski w maju 1938 zajął odwrotnie stanowisko. W rzeczywistości obstawał przy dawnym. Malinowski ten epizod zbywa krótko. Píše w tekście głównym o dokonaniu akcji anglo-francuskiej w Berlinie, w przypisku, że tylko angielska doszła do skutku (t. II, str. 655). Roos opracował ten epizod na podstawie wywodów Namiera, powołuje źródła i literaturę, a nawet informacje i opinie współczesnych wybitnych dziennikarzy, którzy ogólny sens opuszczonego oświadczenia Becka trafnie odtworzyli (str. 329).

Namier, podobnie jak Churchill w swych pamiętnikach, cieszyńską akcję Polski z końcem września 1935 roku ocenia wielce ujemnie. Sekunduje mu Roos w tonie bardziej umiarkowanym. Malinowski i w tym względzie broni polityki Becka. Trafnie przedstawia jej myśl przewodnią. Wchodziły w grę motywy trojańskie. Rząd polski domagał się przyznania polskim mniejszościom tych samych praw, które Czesi koncedowali niemieckim. Obsadzenie stacji kolejowej w Boguminie uważał za strategicznie niezbędne. Niezaproszony do monachijskiego stołu, obrad, postanowił działać samoistnie i bezwłocznie. Nie chciał zadowolić się obietnicą przyszłego przyznania Polsce Zaolzia w wykonaniu umów monachijskich. Zdaniem Malinowskiego ostrze akcji Becka zwracało się bardziej przeciw układom monachijskim, niż przeciw Czechom (str. 659).

Malinowskiemu wystarczają farby białe i czarne. Na tle bieli Piłsudskiego i jego obozu maluje na czarno wyczyny endeków. Nie docenił pojednawczej polityki Paderewskiego, Rataja, Bartła, ludzi odznaczających się talentami i charakterem. Zlekceważenie polityków pojednania skrzywiło obraz działalności Piłsudskiego, który na nich przede wszystkim chciał się oprzeć. Pragnął usilnie współpracy z Bartlem, którego całą siłą polityczną było li-tylko poparcie udzielane mu przez Marszałka, obawiającego się nadmiernego wpływu na bieg spraw publicznych, politykujących oficerów legionowych, znanych pod nazwą grupy pułkowników. Marszałek opóźniał oddanie im całej władzy. Nie przynaglał uchwalenia nowej Konstytucji. Dobre obyczaje cenił wyżej, niż treść i finanse ustrojowe. Konstytucję chciał uzgodnić z polityką zagraniczną. Zalecał ażeby nie stanowiła naśladownictwa ustroju

6. Lewis Namier, *In the Nazi Erce*, London 1952, str. 203. Tenże, *Europe in Decay (1936-1940)*, London 1950, str. 329.

ani radzieckiego, ani faszystowskiego. Wykreślił dla siebie sferę władzy, której nie chciał ani poszerzyć, ani uszczuplić. Kwintesencją nowej Konstytucji było powiększenie władzy prezydenta. Weszła w życie na trzy tygodnie przed jego śmiercią.

Kazał tać swą chorobę i jej przebieg. Nie chciał ujawnieniem prawdy ścielić przeciwnikom drogi zdobycia władzy. Malinowski albo, co, moim zdaniem, jest najprawdopodobniejsze, uważa instrukcję Marszałka za obowiązującą nadal, albo nie zna istotnego stanu rzeczy. Życzeniu Marszałka można było zadośćuczynić tylko częściowo. On sam odsłonił część prawdy, ażeby zapobiec ujawnieniu całej. Malinowski, pisząc wcale obszernie, mętnie i ogólnikowo o chorobie Marszałka, nie zużytkował jego własnych wypowiedzi na ten temat. Kazimierz Świtalski, redagował tom IX-ty *Pism* Marszałka. Poprzedził kilku zdaniem wywiad Piłsudskiego z dnia 1 lipca 1928 roku udzielony redaktorowi „Gazety Polskiej”, Stpicyńskiemu. Píše o zdarzeniach, przypadających na pierwsze miesiące tego roku: „Piłsudski w owym czasie zaniemógł”. Tylko tyle. Mieszkiałem wówczas w Warszawie. W charakterze generalnego referenta budżetu widywałem często wice-premiera prof. Bartła. Niedomoga, wspomniana przez Świtalskiego, objawiła się lekkim porażeniem prawej części ciała w dniu 6 maja tego roku. Chory kazał się przewieźć do szpitala wojskowego w Alejach Ujazdowskich. Porażenie wkrótce ustąpiło, ale nie w zupełności. Skutki ataku okazały się trwałe. Konsternacja zapanowała w sferach rządowych. Było bezsporne, że Marszałek będzie musiał ograniczyć swe czynności. Rozpoczęły się debaty nad tym, czy ma się zrzec urzędu premiera, czy ministra wojny? Nie było mowy o ustąpieniu ze stanowiska generalnego inspektora sił zbrojnych. Wice-premier Bartel 27 czerwca objął stanowisko premiera. Piłsudski pozostał na stanowisku min. wojny i gen. inspektora sił zbrojnych. We wstępie do wywiadu oświadczył, że „stan zdrowia nie był przyczyną jego rezygnacji z premierostwa. Pytał lekarzy. Odpowiedzieli jednogłośnie: zdolność pełnienia obowiązków nie została w żaden sposób nadwężona, jednak skłonni są przypuścić, że wydatek energii, który czyniłem pełniąc kilka urzędów jednocześnie, nadwęża zdrowie”. Potwierdziwszy to, czemu chciał zaprzeczyć, począł narzekać na Konstytucję, winną przeciążeniu premiera obowiązkami i sypać ostrymi wymówkami pod adresem posłów. Malinowski, streszczając wywiad, notuje skrętnie brzmienie wymówek. Nie wspomina ani słowem ustępu pierwszego wywiadu, w którym mowa o chorobie (l. c. str. 517). Wedle Składkowskiego otoczenie Marszałka z nim włącznie usilnie zabiegało o niedrażnienie Piłsudskiego jakimkolwiek sprzeciwem w obawie

ponowienia się ataku sklerotycznego. Nie powtórzył się. Rak począł trawić Marszałka, co także tajono do chwili, gdy zabieg operacyjny już nie wchodził w grę.

Podobne okoliczności często wywołują podobne skutki. Przed półtrzecia rakiem prezydent Eisenhower padł ofiarą ataku sklerotycznego, zapytywał lekarzy, czy może ryzykować dalsze pełnienie obowiązków. W uwzględnieniu ich opinii zatrzymał urząd prezydenta, ale ogranicza się do podejmowania najważniejszych decyzji.

Różnie odpowiadano na pytanie, czy sukcesy Marszałka były w wyższej mierze owocem jego politycznej intuicji, czy też wyrazem talentów militarnych? Malinowski nie rozważa tej kwestii. Nie dyskutuje walorów literackich pism, odezów i rozkazów Marszałka, o których pisał Cezary Jellenta.

Z książki Malinowskiego dowiadujemy się, że sprawa uzbrojenia wojska nowoczesnym sprzętem wojennym posunęła się na przód w roku 1936, w rok po śmierci Marszałka, dzięki uzyskaniu na ten cel pożyczki francuskiej i rozpoczęciu własnymi funduszami budowy fabryk sprzętu wojennego w C.O.P. (Centralnym Okręgu Przemysłowym). Nie dowiadujemy się, że podjęcie tych decyzji stanowiło odstępstwo od polityki Marszałka, który uważał moralne kwalifikacje żołnierzy i oficerów za rękojmię zwycięstwa. Nie doceniał skuteczności tanków i aeroplanów.

Pozostawił tylko ustne zalecenia polityczne. Krążyły na ten temat różne wersje. Nie podobna ustalić, które były prawdziwe. Główne międzynarodowe wytyczne Marszałka nie łączyły się zbyt ściśle ani z Niemcami ani ze ZSRR pozostały w mocy. Becka uważał za najbardziej powołanego do wykonania tej polityki. Ten ostał się na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Podzielał pogląd Malinowskiego, że jedno i drugie jak najbardziej odpowiadało woli Marszałka, a sprzeczne z nią było sprawowanie nadal przez Mościckiego funkcji prezydenta państwa. Marszałek zalecał rezygnację Mościckiego, wybór Sławka prezydentem. Uważał rangi legionowe za miarodajne. Jemu przysługiwał stopień pierwszy, Sosnkowskiemu drugi, Śmigłemu trzeci. Z tego powodu wydaje się wątpliwe twierdzenie Malinowskiego, że desygnował Śmigłego swym następcą na stanowisku gen. inspektora sił zbrojnych, wedle ustawy przewidzianego do pełnienia obowiązków naczelnego wodza w czasie wojny. Wysoko cenił wojskowe, nisko polityczne kwalifikacje Śmigłego. Ponoć przestrzegał przed dopuszczeniem go do ingerencji w sprawach politycznych. Faktem jest, iż Śmigły uznał się *motu proprio* następcą Marszałka w sferze politycznej. W porozumieniu z Mościckim usunął Sławka, po czym pozbawił wpływu Mościckiego.

Charakter Sławka Malinowski opiewa z dużym, szczerym, ujmującym sentymentem. Równocześnie ukazuje małość jego talentów politycznych. Tym argumentem usprawiedliwia niedopuszczenie go do prezydentury przez Mościckiego wbrew wskazaniom Piłsudskiego. Kończy dzieło rozważaniem motywów jego samobójstwa.

Wysuwa trzy nieskoordynowane domysły. Żadnego nie podbudowuje twardym konkretem faktów, a na domiar złego uwagi, które czyni, nasuwają spostrzeżenia, całkowicie sprzeczne z jego intencjami. Piłsudski zmarł w niedzielę o godz 8 min. 45. W tym samym dniu tygodnia, o tej samej godzinie Sławek 2 kwietnia 1938 roku zastrzelił się w swym warszawskim mieszkaniu z rewolweru, którego używał, przewodząc bojówkom PPS, walczącym w Królestwie w latach 1904-8 z okupacyjnymi władzami carskimi. Beck wyjechał do Londynu celem finalizowania rokowań o sojusz z Anglią w dniu, w którym Sławek pozbawił się życia. Pominiecie przez Malinowskiego tej koincydencji stawia w enigmatycznym świetle jedną z jego teorii motywów samobójstwa. Zatytułował przedostatni rozdział słowami: „Rządy Marszałka Piłsudskiego”, ostatni: „Polska bez Piłsudskiego”. Sławek nie mógł znieść dłuższej życia, bo obawiał się, że Polska „bez Komendanta nie oprze się burzy, która nadciąga”. Czyżby Sławek zastrzelił się w przekonaniu, że polityka łączenia się z Anglią wiedzie do zguby? Odpowiedź potwierdzająca byłaby niewątpliwie sprzeczna z całym nastawieniem Malinowskiego. Jednak mimowoli bałamuci czytelnika, obeznanego z ową koincydencją faktów. Co prawda w następnym zdaniu osłabia walor wspomnianego motywu samobójstwa wymienieniem innego: „Sławek bez Komendanta nie mógł żyć”. W paryskiej „Kulturze” w artykule: „Na rozdrożu rumuńskim”, poprzedzającym wydanie książki, o której mowa, wysuwa jeszcze inny domysł. Sławek zamierzał samobójstwem wstrząsnąć sumieniem narodu, pobudzić rodaków do wzmożenia wysiłków i zjednoczenia się w przeddzień wybuchu wojny, którą przewidywał. Wreszcie podaje: „Na biurku leżała kartka: niech nikt nie szuka winnych”. Poprzednie rozważania Malinowskiego wiodą do wniosku, że Sławek prawdopodobnie miał na myśli Mościckiego i Śmigłego, nieposłusznych woli Komendanta. Wyciąganie tego wniosku jest sprzeczne z intencjami Malinowskiego. Nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tego, co napisał. Nie potrafił ograniczyć się do stwierdzenia, że pewny jest jedynie fakt podłoża politycznego, którego, jak na razie, nie podobna uściślić.

Marszałek rozstrzygał bezapelacyjnie spory o władzę w łonie obozu rządzącego. Gdy nie stało jego autorytetu walka o przodo-

wanie wzmogła się. Głównymi antagonistami byli Mościcki, Sławek, Śmigły. Obraz rozgrywki nie wypadł całkowicie przekonująco. Z tym wszystkim ta część książki jest zapewne najcenniejsza. Pomnaża naszą wiedzę w wyższej mierze, niż części poprzednie. Rewelacyjne są wiadomości o popieraniu przez Becka syjonistów w ich walce o kontyngentowanie imigracji żydowskiej do Palestyny.

III

Bogusław Miedziński, polityk bystry, wpływowy, wyzywał się w działalności przeważnie zakulisowej, nic dziwnego, że mało znanej. Odegrał znaczącą rolę w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Malinowski i Roos zachowali dla potomności obraz jego wkładu do dziejów najnowszych Polski.

Roos część pierwszą swej książki zatytułował: „Ostatnie lata Piłsudskiego 1931-1935”, drugą: „Epigonowie Piłsudskiego”. Oznacza często temat części drugiej mianem: „Era Becka”, że trafnie — dowodem, iż nikomu nie przyszło na myśl nazwanie jej „Erą Śmigłego”. Doprowadził część drugą do 25 stycznia 1939 r. Ribbentrop w tym dniu składał rewizytę w Warszawie Beckowi. Wystąpił z propozycją wspólnej wyprawy na Moskwę. Doznał odmowy.

Wybór właściwego punktu wyjścia narracji dobrze świadczy o kunszcie dziejopisarskim Roosa. Najwyższym osiągnięciem radzieckich mężów stanu było mistrzowskie wymijanie wojny, w ciągu której ich armie musiałyby równocześnie wojować na dwóch okalających frontach. Potrafili narzucić ją obcym. Falowania stosunków radziecko-japońskich warunkowały w znacznej mierze nastawienie do Polski. Ich pogarszanie się zwiastowało odprężenie na granicy radziecko-polskiej. Zajęcie Mandżurii przez Japonię (w roku 1931), przez wielu amerykańskich historyków uważane było za początek *World War II*; skłoniło Rosję radziecką do wzmocnienia pogotowia wojennego na Wschodzie. Prawdopodobnie na granicy polskiej kurczyło się z powodu przesuwania wojska na Wschód. Roos dopatruje się w tych wydarzeniach ważnego powodu podpisania radziecko-polskiego paktu nieagresji. Szkoda, że nie kontynuował tego toku myśli. W roku 1936 karta się odwróciła. Nastąpiło zelżenie napięcia na Wschodzie, nabrzmienie na Zachodzie. W roku 1938 doszło do faktycznej wojny radziecko-japońskiej na pograniczu Mandżurii i Mongolii wewnętrznej, co ostudziło pochopność Stalina do angażowania się w obro-

nie Sudetów czeskich, zagrożonych zachłannością Hitlera. Podpisanie 16 września 1939 roku oficjalnego zawieszenia broni, kładącego kres nieoficjalnej wojnie radziecko-japońskiej, przyczyniło się do wzmożenia udziału Rosji radzieckiej w rozgrywkach europejskich.

Roos orientuje się lepiej, niż Malinowski w treści paktów, zawieranych przez Polskę. W przypisku na str. 9 poucza, że polsko-francuska konwencja wojskowa zawiera postanowienia wojskowe. Niczym tej wiadomości nie uzupełnia. Dopiero na str. 49 dowiadujemy się, że zawiera także doniosłe postanowienia polityczne. Przytacza mowę Kanclerza Brüninga, wygłoszoną 1 maja 1932 roku w Sejmie Rzeszy — pakt podpisany ostatecznie w lipcu był paraflowany i publikowany już w styczniu tego roku — uspakającego posłów powołaniem się na zastrzeżenie, ograniczające obowiązek niepodjęmowania agresji.

Roos, rozważając polską inicjatywę skłonienia Francji do zapobieżenia narastaniu zbrojeń niemieckich, podjętą w roku 1933, przypisuje Piłsudskiemu plan przeprowadzenia policyjnej wyprawy karnej w formie zajęcia Prus Wschodnich jako zastawu aż do czasu wyrzeczenia się przez Niemców powiększenia zbrojeń ponad limit wersalski. Zdaniem Roosa Piłsudski nie projektował wojny prewencyjnej. Obdarzeni tzw. chłopskim rozumem mówią w podobnych wypadkach: „nie pałką, to kijem”. Eklektycyzm, tak często wrogi wyrazistości myśli i wysłowienia, wiódł piórem p. Roosa także wtedy, gdy o drugim polskim apelu do sojusznika z marca 1936 roku pisał ponownie na nutę: „I tak i nie”. Bezskuteczność apelu stanowiła katastrofę dla Polski. Zamiast bić w ten dzwon wiedzy na manowce czytelnika zachwytał nad mistrzowską finezją dyplomatyczną Becka, który umocnił współpracę z Francją bez narażenia sobie Niemców. Wedle Roosa Beck, oświadczając gotowość zadosyćuczynienia zobowiązaniom sojuszniczym żywił zastrzeżenie (*reservatio mentalis*) niewyrażone ustnie, tym mniej pisemnie, przez Roosa mgliście określone, umożliwiające wycofanie się ze zobowiązania. Takie *dictum*, poparte tylko nieudokumentowanymi domysłami, nie posuwa sprawy naprzód. Pewne jest, że wówczas *dramatis personae* działały w niewiedzy, czy wojna wybuchnie na skutek ich poczynań, a dziś wiemy, że nie wybuchła, co stworzyło dla historyków zwodniczą pokusę orzekania i sądzenia *ex post facto*.

W pismach pośmiertnych Beck pisze, że dążył do poprawy stosunków z Francją. Powołuje się na swą mowę, wygłoszoną na posiedzeniu w Londynie Rady Ligi Narodów z 18 marca 1936 r. W obecności Ribbentropa stanowczo stwierdził, że odpowiedź na debatowaną kwestię, czy pakt lokarneński nadal obowiązuje, jak-

kolwiek by wypadła, w niczym nie osłabia ważności dawniej zawartego paktu polsko-francuskiego. Odsłonił w pewnej mierze gotowość Polski poparcia, także zbrojnie, Francji w konflikcie z Niemcami, co z pewnością zrozumiało wielu obecnych, Ribbentrop przede wszystkim. Zamilczenie tak istotnego przemówienia Becka jest zadziwiające.

Bonnet w maju 1938 roku zażądał wystąpienia Polski w Berlinie w obronie Czech bez zapewnienia, że w razie konfliktu wojennego z Niemcami Francja zbrojnie poprze Polskę i Czechy. Polska odmówiła, ponawiając zapewnienie że stanie u jej boku w razie wojny z Niemcami. Bonnet w swej apologii atakuje Becka. Roos przyjmuje tezę Namiera, odpierającego zarzuty francuskiego ministra spraw zagranicznych.

Ribbentrop 24 października tego roku zażądał odstąpienia Gdańska. Weizsäcker w swych wspomnieniach twierdzi, że z końcem roku doradzał Ribbentropowi namawianie Hitlera na zajęcie Gdańska i na odroczenie najazdu na okaleczone Czechy. Mówiono także o zajęciu Kłajpedy. Roos nie rozważa pytania, dlaczego Hitler wybrał kolejność: Praga, Kłajpeda, Gdańsk, a nie inną?

W latach trzydziestych gen. Sikorski, endecy, ludowcy występowali przeciwko polityce rządu z zarzutem zaniedbania starań o dobre stosunki z Francją i Czechami. Nie znali istoty sporu z Francją. Rząd nie mógł się bronić ujawnieniem opornego stanowiska sojusznika wobec polskich nalegań o wspólne przeciwdziałanie zbrojeniom niemieckim. Po wojnie przyczyny sporu przestały być tajemnicą. Roos podtrzymuje zarzut polskiej opozycji, choć osłabia moc przekonywująca argumentów, przytaczanych na jego poparcie.

Ostro wytyka Hitlerowi kolonializm, chęć pójścia na Moskwę razem z Polską, podporządkowaną Niemcom. Na podstawie jego wypowiedzi trudno stwierdzić, można tylko się domyślać, że zamiary Hitlera byłyby mu zapewne sympatyczniejsze, gdyby oparł sojusz z Polską na zasadzie współdziałania równych z równymi.

Zdaniem Roberta Piłsudski i Beck trafnie oceniali istotę niebezpieczeństwa, grożącego Polsce. Szukanie ratunku w sprzymierzeniu się z Anglią było uzasadnione. Roos zgodnie z powszechną opinią zarzuca Beckowi, że choć się szczylił realizmem swej polityki, potępieniem ideologii wszelakiej w polityce, postępował odwrotnie, ulegał różnorakim złudzeniom w osądzie rozwoju wypadków, wiodącym go do podejmowania błędnych decyzji. W przeciwieństwie do Roberta nie docenia zrozumienia przez Piłsudskiego i Becka momentu głównego. Zapomina o sterowaniu innych mężów stanu, wówczas czynnych, torem wytkniętym tymi samymi złudzeniami, o przeobrażeniu się owych przewidy-

wań w iluzje dopiero wtedy, gdy fakty im kłam zadały. Nie przyszło jemu i wielu innym na myśl, że Piłsudski i Beck, ci realiści w doborze środków osiągnięcia celu, wyzbyci realizmu w stawianiu celów, chcieli uprawiać strusią politykę odwracania się tyłem do rzeczywistości, ażeby nie osłabiać samopoczucia własnego i narodu wobec nadciągającej burzy, nieuniknionej w założeniu ich polityki nieopłacalności postępowania wedle drogowskazu skłonnych *propter vitam, vitae perdere causam*.



Książka p. Komarnickiego jest logicznie i jednolicie skonstruowana. Autora wypowiedzi jasne i dokładne ułatwiają orientowanie się w jej treści bez narażania czytelnika na trud zgadywania, o co właściwie chodzi. Nie popiera swoich twierdzeń faktami, które je obalają. Teksty źródeł tłumaczy poprawnie. Panuje nad materiałem, a nie materiał nad nim. Umie stopić w zrozumiałą całość masę zjawisk.

Opracował proces odbudowy państwowości polskiej na tle rokowań dyplomatycznych w dwóch częściach. Pierwsza: „Wojna i zawieszenie broni (1914-1918)” obejmuje wydarzenia od chwili wybuchu wojny do utworzenia gabinetu Paderewskiego w styczniu 1919 roku. Zjawiska odtworzone w części pierwszej są uwarunkowane przebiegiem działań wojennych na Zachodzie, poprzedzających kapitulację Niemiec. Przedstawione w części drugiej: „Walka o granice odrodzonego państwa polskiego (1919-1920)” rozgrywają się w łączności z kontynuowaniem wojny — wygasłej w Europie Zachodniej, na rozległych nizinach Europy Wschodniej, tam gdzie walczyły armie Rosji Lenina i Polski. Podział obu części nawiązuje do przebiegu działań wojennych. W ostatnich dwóch rozdziałach Komarnicki streszcza postanowienia traktatu ryskiego (marzec 1921). Przekreślił linię Curzona. Komarnicki efektownie kończy książkę przytoczeniem mowy Curzona w Izbie lordów z 16 maja 1923 roku w toku rozpraw nad przyjęciem do wiadomości decyzji konferencji ambasadorów wielkich mocarstw, zatwierdzającej granice Polski, ustalone traktatem ryskim. Curzon oświadczył się za przyjęciem do wiadomości decyzji ambasadorów, za zatwierdzeniem przez Anglię nowych granic Polski, bronił przyłączenia Galicji wschodniej do Polski, czemu przed tym się sprzeciwiał. Zapadła uchwała w tym duchu. Anglia zalegalizowała uchwałę Rady Ambasadorów, znosząc linię Curzona.

Główny walor dzieła tkwi w jego uderzającej aktualności. Zapoznaje nas z wytycznymi w sprawie polskiej, którymi kierowali się mężowie stanu Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych w toku tworzenia państwa polskiego i ustalania granic, które — choć

tamci pomarli — w swych ogólnych zarysach żyją nadal w słowach i czynach następców. Gdy w pierwszych latach bieżącego stulecia poczęło zanosić się na bliski wybuch wojny między zaborcami, garstka polskich bojowców o niepodległość ojczyzny przystąpiła do organizacji załóżka wojska polskiego. Dyplomaci państw istniejących jawnie, a nie podziemnie, dostrzegli problem Polski niepodległej dopiero po wybuchu wojny, dyplomaci Anglii i Francji, sprzymierzeni z Rosją, dopiero po klęsce ofensywy Kiereńskiego w lecie 1917, z której wyrosło zwycięstwo Lenina. Początkowo nie zaprzatali sobie głowy polską utopią. Ustosunkowywali się do niespodzianki w miarę rozwoju wypadków niechętnie, z niepokojem w duszy. Dyplomaci od zarania dziejów wierzą, iż zawieranie pokoju jest zarzewiem wojny. Widzą ją ciągiem dalszym dotychczasowego rozwoju. Aksjomatem dyplomatów koalicji antyniemieckiej było przeświadczenie o podjęciu przez Niemcy wojny odwetowej. Uważali za swój obowiązek przygotować korzystne warunki przeciwdziałania. Dążyli do zapewnienia warunków odnowienia przedwojennej koalicji Anglii, Francji i Rosji. Wierzyli w bliski upadek maksymalistów — tak nazwali w traktacie wersalskim nowych władców Kremla. Wierzyli w bliskie nastanie po nich nowej Rosji demokratycznej w rozumieniu zachodnim, potężnej, władającej obszarami przedwojennej Rosji carskiej, powiększonej nowymi nabytkami dzięki zwycięskiemu zakończeniu wojny, zdolnej skutecznie dopomóc w zwalczaniu odwetu niemieckiego. Narodziny państwa polskiego psuły im szyki.

Komarnicki streszcza memoriał angielskiego ministra spraw zagranicznych, Balfoura, spisany w listopadzie 1916 roku, określający zasady przyszłego pokoju, Balfour bronił wytyczania granic strategicznych. Sprzeciwiał się etnograficznym. Jego zdaniem powstanie niezawisłego państwa polskiego stanie się hamulcem przemarszu wojsk rosyjskich na pomoc Francji, zaatakowanej przez Niemców. Niepokoił się zagrożeniem stanowiska Anglii w Azji. Ostrzegał przed niebezpieczeństwem zaangażowania się Rosji w tym kierunku, jej odwrotu od udziału w europejskich rozgrywkach. Dodawał: państwo polskie, kto wie, czy nie stanie się zarzewiem nowych wojen? Zalecał popieranie przez aliantów programu zapewnienia Polsce samorządu w granicach państwa rosyjskiego. Nawet Amerykanie obawiali się rozkawałkowania Rosji, ponieważ liczyli na jej pomoc w sporze z Japonią. Wśród paryskiego areopagu budowniczych pokoju przeważało mniemanie, że projektowane narzucenie Niemcom ograniczenia zbrojeń okaże się niewykonalne. Pomoc Polski w przyszłej wojnie z Niemcami uważano za słaby atut. Stawka na Rosję już wówczas tkwiła w umy-

ślach urzędowych planistów polityki zagranicznej, z góry rezygnujących z wymuszenia niemieckiego przestrzegania ograniczenia zbrojeń.

Po upadku Rosji carskiej, zalecana przez Balfoura autonomia Polski w granicach Rosji carskiej zesza z porządku dziennego. Clémenceau wypełnił lukę wysunięciem pomysłu stworzenia państwa polskiego w roli wielkiej, potężnej zapory pomiędzy Niemcami i Rosją komunistyczną, „wstrzymującej pochód zarazy komunistycznej w głąb Europy”. Komarnicki ukazuje natychmiastowy sprzeciw Anglii. Lloyd George mniemał, że rewolucyjny płomień komunizmu wygaśnie sam przez się równie szybko, jak wyolbrzymiał. Widział w jednolitości etnograficznej państw najpewniejsze zabezpieczenie pokoju. Wydawało mu się, że Niemcy i Rosjanie będą wrogami dużej Polski, ale pogodzą się z istnieniem małej. Obawiał się niebezpiecznego dla równowagi sił politycznych wzmożenia się Francji sprzymierzonej z wielką Polską, zwalczał przyłączenie Galicji wschodniej do Polski. Komarnicki zużytkował wielką ilość źródeł i literatury. Wobec ich nawet trudno się dziwić, że nie uwzględnił wszystkich. Nie wyzyskał wydanych w Krakowie w roku 1938 *Wspomnień z ławy rządowej* Juliana Nowaka, premiera w roku 1922, który w tym charakterze uczestniczył w rokowaniach dyplomatycznych o Galicję wschodnią. Ogłosił nieznane, charakterystyczne przyczynki do rozbieżności polityki francuskiej i angielskiej w tej sprawie.

Dzieło Komarnickiego ukazało się w języku angielskim. Autor widocznie uświadomienie zagranicy stawiał sobie za cel. Wykazał fatalne skutki dla Polski polityki francuskiej i angielskiej. Nie pominął jej ujemnego wpływu na losy Francji i Anglii. Rozwiązałby skuteczniej zadanie, które sobie postawił, gdyby uwydatnił silniej szkody, wyrządzone przez Francuzów i Anglików samym sobie.

Spostrzeżenia Komarnickiego na temat przyczyn, które w styczniu 1919 roku, skłoniły Piłsudskiego do zastąpienia na stanowisku premiera Moraczewskiego Paderewskim, zaliczam do najcenniejszych ustępów jego książki. Piłsudski wiedział, że angielscy i amerykańscy mężowie stanu ufali jemu, który z początkiem wojny walczył po stronie ich wrogów, w ograniczonej mierze. Wiedział, że Paderewski ma łatwy dostęp do władców Anglii i Stanów Zjednoczonych, że wysoko go cenią i liczą się z jego zdaniem. Mianując Paderewskiego premierem chciał wzmocnić stanowisko Polski na arenie międzynarodowej. Cel swój osiągnął. Równocześnie Komarnicki rozprawił się przekonywująco z poglądem, wyolbrzymiającym rolę Wilsona w odbudowie państwa polskiego, rolę Wilsona i ówczesnego Szefa UNRRY, Hoovera, póź-

niej następcy Wilsona, w mianowaniu Paderewskiego premierem. Ostro skrytykował pracę szermierza tego poglądu L. Gersona: *Woodrow Wilson and the Rebirth of Poland 1914-1920* (1953, str. 162). Autor tej książki zapewne pochodzi z Polski. Wykorzystał polską literaturę i publicystykę. Komarnicki wytyka mu trafnie szereg błędnych informacji. Na dobro Gersona zapisać należy przedstawienie we właściwym świetle trudno uchwytnego, różnie interpretowanego stosunku Lenina do polskich aspiracji politycznych.



Ostatnio wpadła mi w rękę książka E. J. Rożka: *Allied War-time Diplomacy. A pattern in Poland* (New York, 1958, str. XIII, 481). Komarnicki przedstawił kształtowanie się losów Polski na międzynarodowej szachownicy dyplomatycznej w ciągu pierwszej — Rożek w toku drugiej wojny światowej. Rożek pomija zasadniczą tożsamość polityki mocarstw zachodnich wobec Rosji i Polski w ciągu obu wojen. Zasłużył się ogłoszeniem poprzednio nieznanych źródeł, pochodzących z archiwów emigracyjnego rządu polskiego oraz deklaracji Ksawerego Pruszyńskiego. Rożek i Pruszyński odbyli kampanię 1944/5 w brygadzie pancerniej Maczka. W roku następnym Pruszyński postanowił wrócić do kraju. Wyjeżdżając wręczył Rożkowi obszernie uzasadnienie tej decyzji rozczerowaniem do polityki aliantów wobec Polski (str. 413 i n.) W rozdziale wstępnym Rożek podał krótki zarys wypadków w latach 1917 do września 1939, po czym przedstawia obszernie kronikę wydarzeń aż do wyborów sejmowych w styczniu 1947 włącznie. Idzie łatwą drogą potępienia polityki wielkich mocarstw w stosunku do Polski. Nie odtworzył jej falowań pod wpływem zwycięstwa sowieckiego pod Stalingradem, przesunięcia terminu lądowania Anglosasów w Normandii, projektowanego na czerwiec 1943 o cały rok, skutkiem czego stosunek sił w obozie walczącym z Niemcami przesunął się na korzyść ZSRR. Książka Rożka, pisana jak autor stwierdza, pod natchnieniem Mikołajczyka, jest właściwie apologią jego polityki przyjazdu do kraju w 1945 roku i powrotu na Zachód w dwa lata później, którą on sam za pośrednictwem Rożka podał do wiadomości ogółu. Pojawienie się książki Rożka dało asumpt przeciwnikom polityki Mikołajczyka do zaznaczenia swego stanowiska w polskiej prasie emigracyjnej.



Roberts nie szczędzi krytyki poczynaniom Becka: przyczynił się do popadnięcia Europy Wschodniej w latach trzydziestych w stan groźnego chaosu (*disastrous confusion*), jednak główną

odpowiedzialnością za ten bieg zdarzeń obciąża Francję i Anglię, zwycięzców w wojnie i organizatorów pokoju.

Ocenę działalności Becka opiera przede wszystkim na jego własnych wypowiedziach. Pozbawiły go sympatii i uznania wrogi stosunek do Ligi Narodów i nieprzyłączenie się do mocarstw zachodnich, przysparzające korzyści Niemcom, zabór Cieszyna, sprzeciwianie się w roku następnym przemarszowi wojsk radzieckich. Raziły jego maniery. „Dalszy bieg wypadków, wyjście na jaw faktów, wówczas nieznanych, ukazało osobę i politykę Becka w świetle korzystniejszym”. W zakończeniu Roberts pochwała jego odważne i stanowcze przeciwstawienie się Niemcom w roku 1939. Właściwości charakteru Becka odtwarza wnikliwie i subtelnie. Podobnie jak inni współpracownicy dzieła *The Diplomats* posiada w wysokim stopniu umiejętność krytycznej oceny źródeł. Nieuniknioną, odwrotną stroną medalu jest pęcznienie sfery wątpliwości, skurcz zasięgu faktów i interpretacji mniej więcej pewnych. Zaletą pracy jest stawianie wyżej jakości osiągnięć, niż ich ilości.



Poglądy historiozoficzne Arnolda Toynbee odbiły się głośnym echem w naszej publicystyce. Jego wypowiedzi o polskich dziejach najnowszych uszły uwagi zapewne dlatego, iż były drukowane ubocznie, w łączności z innymi zagadnieniami. Toynbee rezygnuje z monistycznego pojmowania dziejów. Stosuje dwojakie kryteria, długofalowe i krótkofalowe, nie siląc się na ich uzgodnienie. Proces religijny wydaje mu się osią wypadków w perspektywie wielu setek lat, na dowód czego przytacza, iż w pamięci mas nazwiska twórców religijnych i moralnych Chrystusa, Mahometa, Buddy spychają na drugi plan sławę Cezarów i Napoleonów. Skupiając uwagę na krótszych czasokresach tłumaczy przebieg dziejów pod kątem widzenia racji stanu. Wtedy ideologie wszelakie spadają w jego oczach do rzędu zjawisk pochodnych w stosunku do *power politics*, do antagonizmów i zbieżności, wyrażających interesy mocarstwowe.

Podpisuje jako „Director of Studies” Royal Institute of Foreign Affairs (Chatham House, London) wielotomowe, periodyczne wydawnictwa „Survey of International Affairs”, przegląd rozwoju bieżących fluktuacji międzynarodowej sytuacji politycznej, poprzedzane jego przedmowami. Uzasadnia w przedmowie do „Survey” za rok 1936 przełomowość wydarzeń tego roku w dziejach świata. Dużo miejsca poświęca sprawom polskim w przedmowach do tego dzieła i do pracy zbiorowej, odtwarzającej przygrywkę do wybuchu wojny 1939: *The World in March*.

Monumentalnością podbija czytelnika słowo wstępne do dzie-

ła: *Realignment*. Osiągnął ją rzutowaniem zagadnień na kanwę szerokich horyzontów, obejmujących długie czasokresy i rozległe obszary. W tym świetle proporcje zjawisk nabierają właściwego wyrazu, akcydentalne maleją, wyrastają istotne. Pogrom Niemiec bardziej katastrofalny, niż ich pogrom po pierwszej wojnie światowej, doprowadził do powstania próżni politycznej na obszarach okupowanych w początkowej fazie wojny przez wojska niemieckie. Powstało pytanie, kto tymi obszarami zawładnie, czy zrodzą się na nich samodzielne twory polityczne, czy też staną się sferą wpływów postronnych? Dziś — wiemy, że na tle rozpadu koalicji antyniemieckiej nastąpił podział tych obszarów na sfery wpływów Wschodu i Zachodu, ale w czasie tworzenia się tego stanu rzeczy sprawa nie była przesądzona. Toynbee rozpoczyna rozbiór przyczyn rozpadu koalicji antyniemieckiej spostrzeżeniem, że błyskawiczne tempo pogromu Niemiec w ostatniej fazie wojny uwarunkowało równie błyskawiczny rozpad koalicji antyniemieckiej. Solidarność sprzymierzeńców, wojenny tłumik ich sprzeczności interesów, od razu straciła rację bytu. Wedle Toynbee'ego radziecy mężowie stanu wyobrażali sobie przyszłość jako ciąg dalszy dotychczasowej dbałości o równowagę sił (*balance of power*), jako pokojowy wzrost potęgi radzieckiej, podniecający chęć i gotowość Zachodu zaryzykowania wojny przewencyjnej. Zabezpieczenie się na ten wypadek wyobrażali sobie tradycyjnie, w formie rozrostu terytorialnego swej sfery wpływów. Wiedzieli, iż ta droga zaostrzy konflikt. Wybrali ją, bo nie chcieli się wyrzec korzyści dzisiejszych wzajemian za niepewne jutro. Kto wie, czy obstawaliby przy tej polityce, gdyby lepiej sobie zdawali sprawę z radykalnej zmiany techniki wojowania. W epoce gromadzenia zapasów bomb atomowych i wodorowych otaczanie się wieńcem państw przyjaznych straciło na znaczeniu. „Należyte wstawienie w rachubę tego aspektu sprawy utorowałoby drogę ograniczeniu zbrojeń”.

Toynbee pisząc o rokowaniach pokojowych wskazuje, że konflikt początkowo wystąpił najostrzej na płaszczyźnie dyskusji o unormowaniu losów Polski. Interesujące są uwagi o przyczynach stosowania przez ZSRR wobec Finlandii polityki odmiennej od przestrzeganej w stosunku do innych europejskich sąsiadów. Autor daje wyraz nadziei, że nawrót do tradycyjnej polityki racji stanu okaże się zjawiskiem przejściowym. Optymistycznym akcentem kończy także notatkę, poprzedzającą obszerną pracę Ashton — Gwatkinie o *United Nations Reparation and Relief Administration* (UNRRA)... Na skutek postępu techniki wojowania cała przestrzeń globu ziemskiego stała się jednym militarnym obszarem. Ludzkość nie ziściła zjednoczenia moralnego.

Działalność filantropijna UNRRy, obejmująca cały glob ziemski, zwiastuje wejście ludzkości na drogę zjednoczenia moralnego.

Jej zarząd obliczył, że mieszkańcy Grecji, na drugim miejscu Polska najbardziej potrzebują pomocy. Na podstawie tego rachunku w przeliczeniu na ilość mieszkańców Grecja otrzymała najwyższe zasiłki. Polsce przypadło drugie miejsce. Ciechanowski w swej doskonałej książce: *Defeat in Victory* wyjaśnił dogłębnie polityczny aspekt statutu UNRRy i wpływ postanowień w nim zawartych na dalszy bieg wypadków.

Część druga dzieła *Realignment*: „Europa Wschodnia” składa się z dziesięciu rozdziałów. Pierwszy pióra Sidneya Lowery, najobszerniejszy, przedstawia dzieje Polski od czerwca 1941, tj. od chwili wkroczenia Niemców do ZSRR do stycznia 1947, do czasu przeprowadzenia w Polsce pierwszych powojennych wyborów sejmowych. Lowery jest także autorem sześciu następnych rozdziałów. Wyzyskał sumiennie źródła i piśmiennictwo, ogłoszone w języku angielskim i niemieckim. Píše o konferencji jałtańskiej. Nie mógł zużytkować pełnego protokołu obrad, ogłoszonego po pojawieniu się jego pracy. W tym wypadku nowe dokumenty potwierdziły w znacznej mierze to, co napisał na podstawie jemu znanych.

Referuje tok wydarzeń. Nie dyskutuje ani motywów, ani drogowskazów, którymi rządził się mężowie stanu w ustalaniu swej polityki. Nie precyzuje współzależności zjawisk. Piszac o sporach polsko-rosyjskich, określa stanowisko obu stron możliwie ściśle i przedmiotowo. Nie oświadcza się za żadną. Ostatnie zdanie nasuwa przypuszczenie, że stanowisko jego rodaków w stosunku do Polaków, walczących wspólnie z angielskimi siłami zbrojnymi, budzi w nim zastrzeżenia. „W czasie parady zwycięstwa, która odbyła się 8 czerwca 1945 roku moralne zobowiązania wobec żołnierzy i oficerów polskich ciążyły srodze na sumieniach Brytyjczyków”. Nie wzięli udziału w paradzie. Zaproszeni polscy lotnicy uchylili się od uczestniczenia z powodu niezaproszenia przedstawicieli innych polskich formacji wojskowych.



Sharp w imię racji stanu eliminuje moralne zobowiązania ze sfery polityki. Rozgrzesza Amerykanów z zarzutów stawianych przez tych Polaków, którzy myślą kategoriami sentymentalnymi. Jako motto swej pracy powołuje słowa Namiera: „Pisanie historii nie jest wizytą kondolencyjną”. Wyrzeka się „poniżania polskiej tragedii do poziomu melodramatu”.

Dokonał wyczynu nielada, przedstawiając w skrócie panoramicznym dziesięć wieków dziejów Polski na 53 stronicach. Wy-

szczególnie rozwój zjawisk, z których wylęły się wydarzenia najnowsze. Na dalszych 188 stronach kreślił obraz wypadków od końca pierwszej wojny światowej do orzeczenia konstytucji z 22. VII. 1952 roku. W ostatnich rozdziałach jest mowa o stosunkach amerykańsko-polskich. Polacy powinni pamiętać, że sprawa polska jest wysoce żywotnym interesem mocarstwowym Związku SRR, graniczącego z Polską, ubocznym odległych Stanów Zjednoczonych. Amerykanów wzywa do wstrzeźliwości w budzeniu nadziei na ich pomoc, jeśli chcą istotnie uniknąć ostatecznego zerwania wątlejącej więzi Polski z kulturą Zachodu.

Książka Sharpa świadczy dodatkowo o jego kwalifikacjach literackich. Zaciekawia czytelnika, jej autor pisze gładko i potocznie. Nawet trudnym i zawiłym zagadnieniom umie nadać formę przystępną bez ujemy dla istoty rzeczy.

Ciągle jeszcze poglądy historyków i publicystów na polskie dzieje najnowsze są uwarunkowane miejscem ich zamieszkania. Stopniowy zanik tej zależności jest objawem pomyślnym.

Adam KRZYŻANOWSKI

(Część I-sza szkicu prof. A. Krzyżanowskiego ukazała się w Nrze 21 *Zeszytów Historycznych*).

Z. S. SIEMASZKO

WSPOMNIENIA WILEŃSKIEGO AKOWCA

Dzieje Wileńszczyzny w czasie ostatniej wojny są mało znane, dokumentów na ten temat opublikowano niewiele, a większość świadków znajduje się w kraju, gdzie nie mają pełnej swobody wypowiedzenia się. Tak na Zachodzie jak i w kraju zostały opublikowane różne wypowiedzi i wspomnienia, ale w większości wypadków są one fragmentaryczne i często „podfryzowane”. W tej sytuacji z zainteresowaniem zacząłem czytać wspomnienia wileńskiego akowca, który w podziemiu używał pseudonimu Jan Roland, a później wyjechał na Zachód jako belgijski repatriant Jean Carrer¹. Wspomnienia te obejmują szeroki okres, od września 1939 do zabójstwa prezydenta Kennedy’ego w 1963

1. Jean Carrer, *Across the Continents... in Search of Justice*, Alliance Press, Chicago, 1970.

roku. Niestety, już na samym początku czytelnik zaczyna odczuwać wrażenie, iż przeżycia autora zabarwione są bujną wyobraźnią i typowymi dla okresu wojennego wiadomościami pochodzącymi z tzw. pocztą pantoflowej.

Poznajemy bez mała trzydziestoletniego (*late twenties*) pana Jana, który mieszka w jednym z hoteli wileńskich i pracuje w jakimś bliżej nieznanym biurze prawniczym (*law office*), gdzie zarabia więcej pieniędzy niż jest w stanie wydać. Zresztą o ile chodzi o wiek autora, to wkrótce wynikają pewne kłopoty, gdyż z jednej strony stwierdza on (str. 23), iż zaczął uczęszczać do gimnazjum w Baranowiczach w 1921 mając lat 11, z czego wynikałoby iż urodził się w 1910, a z drugiej powiada (str. 22), że mając lat 5 uciekał wraz z rodziną z Rosji do Polski przed „rozprzestrzeniającą się rewolucją komunistyczną”, co mogło mieć miejsce najwcześniej w roku 1918, czyli autor nie mógł urodzić się przed rokiem 1913. I bądź tu czytelniku mądry.

Pan Jan zostaje zmobilizowany (kapral przynosi powołanie do hotelu, to też dziwne) 24 sierpnia i dostaje zadanie zorganizowania i przeszkolenia trzech kompanii rezerwistów. Później zostaje dowódcą jednej z tych kompanii, a raczej chyba szwadronów. Zachodzi pytanie jaki miał stopień ten oficer rezerwy? Nieco dalej dowiadujemy się, iż skończył on podchorążówkę kawalerii, która nosi szumną nazwę „Cavalry Academy”, w 1936, czyli w trzy lata później mógł być najwyżej podporucznikiem.

W pierwszych dniach września dołącza pan Jan ze swoim szwadronem, a raczej chyba plutonem, gdyż kilkakrotnie wspomina, iż pieczę nad wojskiem powierza wachmistrzowi (czyli widocznie był jedynym oficerem w swoim oddziale) do wileńskiej brygady kawalerii, wchodzącej w skład armii rezerwowej „Prusy” i bez mała z miejsca rozpoczyna się odwrót.

Wrażenia wrześniowe mają typowy charakter historyjek jakie opowiadano po zakończeniu kampanii. Oto polski porucznik jadący motocyklem spotyka czołg na skrzyżowaniu leśnych dróg i nawiązuje z jego załogą rozmówkę. Widocznie motory zostają zgaszone, kłapa czołgu podniesiona.

Niemcy stojąc w wieżyczce mówią czystą polszczyzną, a offerma porucznik nie poznaje ani niemieckich znaków na czołgu, ani też niemieckich mundurów i zostaje zastrzelony na zakończenie rozmowy (*conversation*).

W innym wypadku, biwakując na zalesionym wzniesieniu, autor widział rzekomo taką scenę. Kolumna niemieckich czołgów i motocykli dogania kolumnę polskich wózków taborowych. Niemcy żądają „lewa wolna” i trąbią w swe klaksony ile wlezie. Zaspany polski tabor usuwa się na prawą stronę drogi, niemiecka kolumna zaczyna go mijać z lewej. W pewnym momencie motocykliści i czołgi ostrzeliwują polski tabor jadący prawą stroną drogi. Nie ma to jak fantazja!

Spotkanie z Czerwoną Armią też odbyło się w sposób typowy

wy. Autor wraz ze swym oddziałem, zresztą już znacznie powiększonym, bo żołnierze gromadzili się dookoła niego, załadował się na pociąg jadący w kierunku Kowla. W pewnym momencie pociąg został otoczony przez sowiecki oddział. „Nikt nie spodziewał się że byli oni tak blisko” pisze autor, chociaż na poprzedniej stronie (17) stwierdził, iż naczelnik stacji na której nastąpiło załadowanie na pociąg „oczekiwał Rosjan na swojej stacji w każdej chwili”. Wspomnienia są pełne takich sprzeczności.

Sowieciarze z miejsca rozpoczęli przygotowania do rozstrzelania pana Jana, gdyż kapral z polskiego pociągu zastrzelił sowieckiego oficera. Ale kiedy już miała paść komenda „ognia” nadjechał czołg, a w jego wieżyczce oficer sowiecki już z daleka dawał znaki, żeby nie strzelać. Zupełnie jak wykonywanie wyroku na dekabrystach, tylko z tą różnicą, iż wówczas zbawczy goniec pędził na spienionym koniu.

Autor uciekł z niewoli sowieckiej i powrócił do Wilna, gdzie z miejsca zaczął działać zarówno politycznie jak i wojskowo. Należał do Związku Młodych Chrześcijan, a jednocześnie był dowódcą batalionu. Ho, ho nie byle co *commander of battalion*, brzmi fantastycznie.

Tymczasem w czerwcu 1940 znowu do Wilna weszli sowieciarze i pan Jan, jak na inteligentnego człowieka przystało, postanowił określić swe poglądy na komunizm, które wypadły dość typowo dla pewnego rodzaju polskich inteligentów. A mianowicie:

Prawdziwy komunizm powinien być oparty na społecznej, ekonomicznej i politycznej sprawiedliwości. Natomiast system panujący w Rosji sowieckiej jest jedynie państwowym kapitalizmem wyniszczającym wszystkich tych, którzy jemu sprzeciwiają się. Dlatego polscy komuniści którzy byli propagatorami prawdziwego komunizmu stali się pierwszymi ofiarami rosyjskiej inwazji na Polskę (str. 36). Ładnie! Zobaczymy jak dalej będą się rozwijały myśli autora na temat komunizmu i ZSSR.

Ale znowu sytuacja zmieniła się, 23 czerwca 1941 wkroczyli Niemcy i Wilnianie musieli przystosować się do nowych warunków życia. Sytuację niewiast przedstawia autor następująco:

„Jak kobiety mogły podołać całej pracy i brać udział w ruchu podziemnym było pytaniem na które nikt nie umiał odpowiedzieć. Można by podejrzewać, że w takich warunkach były one rozpustne (*promiscuous*). Fakty wskazywały, że były one moralne, albo zbyt zmęczone aby myśleć o swoich przyjemnościach. ... Mogły one, jeżeliby tego sobie życzyły poważnie ułatwić sobie życie, gdyby zechciały wiązać się (*associate*) z wojskami okupacyjnymi” (str. 63)*.

Jak na działacza Związku Młodych Chrześcijan to całkiem

* Tłumacząc cytowane urywki dążyłem do zachowania stylu oryginału.

nieźle! Niepraktyczne były te Wilnianki, przecież mogły się puszczać z poszczególnymi Niemcami (po cóż zaraz całe *occupation forces*), i życie miałyby ułatwione i doznałyby przyjemności, a tymczasem one tak zapracowały się, iż stały się „*too tired to think of their pleasures*”.

Ale przymamniej jedna Wilnianka z dobrego domu była bardziej praktyczna. Autor nie podaje jej nazwiska, ale wiadomo że to Weleżyńska. Ta przedwojenna licealistka musiała mieć nie byle jakie możliwości, bo aż dwie nacje usiłowały ją zaspokoić, „*German and Lithuanian Gestapo men*” (str. 64). Ale Weleżyńska popełniła jeden błąd, zaczęła szpiegować polskie podziemie, wobec tego podziemny sąd skazał ją na śmierć. Jednak powstały pewne trudności z wykonaniem wyroku, gdyż:

„jej matka miała niedawno atak serca i obawialiśmy się, iż może ona też umrzeć na skutek wiadomości o ponizającej śmierci (*shameful death*) córki” (str. 64).

Cóż za subtelność uczuć ze strony wykonawców wyroku! Skrupuły nie trwały jednak długo i przebieg wykonania wyroku był taki:

„Ostatecznie została ona otoczona przed wejściem do mieszkania. Jej matkę, która z nią była, odepchnięto na bok (*was pushed aside*) i dziewczynę zastrzelono” (str. 65).

Z Weleżyńską rozprawiono się zdecydowanie, natomiast dwóch oficerów — „Aleksander” i „Julian” którzy po przejściu przez niewolę sowiecką wrócili do Wilna jako agenci sowieccy nie ruszono. Wręcz przeciwnie utrzymywano z nimi kontakty, z myślą iż mogą się jeszcze przydać, a jeden z nich, „Julian”, był nawet zaangażowany w rozprowadzaniu oficjalnego organu wileńskiego BIP'u „Niepodległość”. Nie wiem czy tak było w rzeczywistości, ale wygląda to prawdopodobnie.

Warto już teraz wspomnieć, iż według autora główny sędzia wileńskiego sądu podziemnego „Justynian” jako jeden z pierwszych przeszedł w 1944 roku na stronę sowiecką (str. 109). Ale nie wybiegajmy naprzód.

Jeszcze przed wkroczeniem Niemców pan Jan wraz ze swoim „batalionem” znalazł się w szeregach ZWZ. Wkrótce został on wyznaczony oficerem do zleceń komendanta okręgu wileńskiego ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego („Wilk”), którego na wszelki wypadek awansował w swych pamiętnikach do stopnia generała. Pomimo, że autor widywał się z „Wilkiem” codziennie nie przekazuje nam żadnych informacji o tym oficerze, który odegrał ważną i nieco kontrowersyjną rolę w dziejach wileńszczyzny w czasie ostatniej wojny.

Pomimo, że okupacja niemiecka trwała i front był jeszcze daleko zaczynała się zarysowywać groźba sowiecka. Autor po-

daje, iż zimą 1942 roku AK przychwyciła moskiewski rozkaz palenia wiosek i miasteczek na niemieckich tyłach, do czego AK nie mogła dopuścić i jednocześnie stwierdza, iż sowieckie zamiary nie były przyjazne w stosunku do Polski.

„Oni nigdy nie zrezygnowali ze swego zasadniczego planu zawładnięcia Polską, a przez nią innymi terytoriami europejskimi” (str. 56).

W lutym 1944 Niemcy zaczęli następować panu Janowi na piętę i aresztowali jego żonę, wobec tego przeniesiono go do 6 brygady partyzanckiej dowodzonej przez mjr. Franciszka Koprowskiego („Konar”). Według autora do zasadniczych zadań brygady należało wysadzanie niemieckich transportów, wiozących zaopatrzenie na front wschodni, czyli działała ona w pierwszym rzędzie na korzyść ZSSR. Trudno zrozumieć stosunek wileńskiej AK do Związku Sowieckiego, z jednej strony zdawali oni sobie sprawę z rzeczywistych zamiarów sowieckich i wiedzieli, iż ich najstarszy oddział partyzancki zorganizowany przez rtm. Antoniego Burzyńskiego („Kmicic”) został zlikwidowany w roku 1943 w okolicy Naroczy przez sowieckich partyzantów, a z drugiej strony tolerowali agentów sowieckich wewnątrz swojej organizacji („Julian”) i dawali swoim oddziałom partyzanckim zadania, które przynosiły korzyść jedynie Związkowi Sowieckiemu, a straty zarówno ludności miejscowej jak i oddziałom wykonującym te zadania.

Ponieważ wyjątki wspomnień z okresu partyzanckiego były drukowane w Siódmym *Zeszycie Historycznym* nie będę zbytnio rozwodził się nad tym okresem.

Na szczęście okres partyzancki nie trwał długo i w czasie koncentracji oddziałów AK w Dziewieniszkach pan Jan został znowu przydzielony do „Wilka”, któremu tym razem autor wyznaczył funkcję komendanta obszaru Wilno-Nowogródek. *De facto* nigdy taki obszar AK nie istniał. (Obszarem nazywano okręgi połączone w jedną całość).

Nieścisłości powtarzają się jedna za drugą. Autor pisze, iż kilka batalionów nowogródzkich wzięło udział w walce o Wilno, tymczasem uczestniczyły tylko dwa i to niekompletne, 3-ci batalion dowodzony przez Bolesława Piaseckiego i dwie kompanie z 5 batalionu.

W lipcu 1944 jesteśmy świadkami miodowych miesięcy w stosunkach pomiędzy wileńską AK i armią sowiecką, o czym autor pisze z entuzjazmem. Opisuje on defiladę sowieckich partyzantów którą odbiera „Wilk” i powiada:

„Wszyscy byli wzruszeni tym aktem wojskowej uprzejmości. Mielśmy nadzieję iż jest to dobry znak dla nas i że zdołamy ustalić praktyczną współpracę z sowieckimi narodami które walczyły tak dzielnie ze wspólnym najeźdźcą” (str. 85).

Nieco później w czasie zdobywania Wilna:

„Polscy i sowieccy żołnierze walczyli ramię przy ramieniu przez dalszych sześć dni zanim miasto nie zostało zdobyte. Sowiecki entuzjazm w stosunku do naszych żołnierzy i oficerów był ogromny (*enormous*). Sowieccy dowódcy chcieli odznaczyć nas za waleczność, jednak myśmy odmówili tego zaszczytu, twierdząc, że jedynie wykonaliśmy swój obowiązek. Polskie i sowieckie patrole maszerowały ręką w rękę po ulicach Wilna. Nasze oddziały powróciły do Witkorabiszek i Orklan, gdzie byliśmy stacjonowani przedtem, w oczekiwaniu dalszych rozkazów. ... Sowieccy generałowie odwiedzali nasze brygady w celu zbadania naszych potrzeb w zaopatrzeniu i uzbrojeniu” (str. 89).

Jakież to wszystko naiwne! A więc celem i obowiązkiem AK było dopomaganie armii sowieckiej w zdobywaniu Wilna, ale chyba nie dla siebie, bo oddziały polskie, same wycofały się z miasta już zdobytego pozostawiając je sowieciarzom. Czy autor naprawdę wierzy, że sowieckie wizyty w polskich brygadach miały coś innego na celu niż ocenę ich zdolności do oporu przeciwko zlikwidowaniu przez sowieciarzy? I po cóż od razu generałowie, czy nie wystarczyliby dajmy na to sowieccy majorzy?

Dość już chyba tych uwag. Na początku oceniłem te wspomnienia wybitnie negatywnie, jednak po zastanowieniu się dochodzę do wniosku iż mimo wszystko oddają one pewną prawdę, prawdę o bardzo swoistej mentalności niektórych środowisk polskiej inteligencji, gdzie zasadniczą cechą jest niezdolność do konsekwentnego myślenia, ignorowanie rzeczywistości i opieranie się na urojonych przesłankach. Ludzie ci są niby wykształceni (pan Jan przed wojną studiował prawo w Poznaniu), a nie potrafią w sposób jasny wyrazić swych myśli, niby znają się na wojsku, a sugerują, iż czołgi mogą strzelać do celów odległych o kilka metrów, niby są biegli w sprawach sowieckich i komunistycznych, a tymczasem nie mają o nich zielonego pojęcia, niby znają łacinę, a nie potrafią poprawnie zacytować najprostszego zdania (np. Carrer str. 135 — „*Salus Republicae suprema lex*”), niby są katolikami i z łezką w oku piszą o Matce Boskiej Ostrobramskiej, a tymczasem twierdzą, iż oddawanie się wielu mężczyznom jest rozkoszą kobiet, niby są zajadle antykomunistyczni, a piszą, iż zasada równości wyraziła się najlepiej w komunizmie (Carrer str. 93), niby znają obce języki, ale żadnym nie potrafią się poprawnie posługiwać (patrz poniżej), niby biegli są w sprawach Wschodniej Europy, a tymczasem tak jak żołdacy Bułak-Bałachowicza w „*Lewej wolnej*” Józefa Mackiewicza nie umieją odróżnić białych Rosjan od Białorusinów (patrz Carrer, str. 23 „*North-Eastern Poland was populated with White Russians, Jews, and of course Poles*”², a str. 38 „*In 1939 Poles, Byelorussians and Jews constituted the great*

2. „Północno-wschodnia Polska była zamieszкана przez Białych Rosjan, Żydów i ma się rozumieć Polaków”.

majority of the population"³). A jednocześnie ludzie ci potrafią być zdolni do poświęceń i potrafią wykazać osobistą odwagę. Najgorszą rzeczą jest chyba niechęć do myślenia połączona z gloryfikacją czynu.

Poziom angielszczyzny w omawianych wspomnieniach najlepiej przedstawić za pomocą kilku przykładów. Oto one:

Str. 12: *At the same time a Lieutenant Skawiński was arriving in the forest on his motorcycle with a soldier sitting behind him.*

Str. 28: *During the train transportation, I managed to exchange a few words with a passenger...*

Str. 79: *Anytime I was in Wilno on my „business” trips or trying to get information about my wife, I visited the wounded in the city on behalf of our Commandant.*

Str. 81: *On my trips to and from Wilno I used different media of transportation.*

Str. 166: *Soon, the British started moving us from camp to camp, as the military always does.*

Str. 210: *Finally, we reached the hotel, where I received a room without any difficulty.*

To chyba wystarczy.

Po wojnie pan Jan przechodzi różne tarapaty w Niemczech, w Polsce (skąd przywiózł swą żonę), we Włoszech (gdzie podobno był doradcą gen. Sulika), w Wielkiej Brytanii (gdzie studiował w Szkole Handlu Zagranicznego, ale jej nie skończył) i wreszcie w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec wspomnień powodzi się autorowi całkiem dobrze. Z ramienia firmy która dostarcza zamienne części do maszyn podróżuje on po całym świecie i darzy nas wrażeniami z poszczególnych krajów.

Uwagi na temat Libanu, Finlandii i Grecji są naprawdę zabawne.

Pan Jan odwiedził również PRL. Jego najważniejsze spostrzeżenie jest takie:

„But the spirit of the nation marshes on in spite of all obstacles” (Ale duch narodu maszerował dalej wbrew wszelkim przeszkodom) — str. 212.

Kojarzy mi się to ze słowami znanej piosenki:

„John Brown's body lies a-mouldering in the grave but his soul goes marching on” (Ciało Johna Browna leży butwiejąc w grobie, ale dusza jego maszeruje dalej).

Z. S. SIEMASZKO

3. „W roku 1939 Polacy, Białorusini i Żydzi stanowili ogromną większość ludności”.

POLSKA A FRANCJA W OKRESIE MIĘDZY WOJNAMİ

Tematyka stosunków polsko-francuskich w okresie międzywojennym wzbogaciła się ostatnio o trzy interesujące pozycje naukowe. W roku 1970 ukazały się w Kraju prace Jana Ciałowicza, *Polski-francuski sojusz wojskowy 1921-1939* (Warszawa, PWN) i Józefa Kukułki, *Francja a Polska po traktacie wersalskim 1919-1922* (Warszawa, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych oraz Książka i Wiedza). W roku 1971 Uniwersytet Poznański wydał w swej serii historycznej (nr 47) opracowanie Zdzisława Wroniaka, *Polska-Francja 1926-1932*. Jakkolwiek wszystkie te książki omawiają zbliżone zagadnienia, występują w nich znaczne różnice (w podejściu do przedmiotu jak i w użytkowaniu bazy źródłowej).

Jan Ciałowicz, przedwojenny pułkownik dyplomowany, stojący blisko gen. Sikorskiego, podjął się pionierskiego zadania a mianowicie przedstawienia losów sojuszu polsko-francuskiego na przestrzeni całego dwudziestolecia. W pierwotnej formie książka jego była gotowa do druku jedenaście lat temu, ale tzw. „czynniki od autora niezależne” uniemożliwiły jej wydanie. Ciałowicz nie zniechęcił się. Rozpracował pierwszą część swego dzieła i choć liczył już wówczas siedemdziesiąt lat przedstawił owoc swych prac jako tezę doktorską na Uniwersytecie Jagiellońskim i otrzymał doktorat. Śmierć przeszkodziła mu w rozbudowaniu drugiej części. Tak więc tom, który się obecnie ukazał i zawiera całość pracy jest nierówny i rozdziały obejmujące okres 1936-39 są bardziej ogólnikowo ujęte. Redaktor tomu, Marian Zgórniak, wyjaśnia to we wstępie, ale czytelnik musi pamiętać, że Ciałowicz opracował ostatnią część dość dawno temu i siłą rzeczy nie mógł uwzględnić nowszej literatury przedmiotu. Tym tłumaczy się brak w bibliografii książek Balceraka, Batowskiego, Cienciałówny, Krasuskiego, Kuźmińskiego, Stanisławskiej, Wojciechowskiego i wielu innych historyków, którzy w ostatniej dekadzie opracowali szereg zagadnień związanych z ogólną tematyką książki Ciałowicza. Jakkolwiek *Polsko-francuski sojusz* niewątpliwie zyskał na tym, że autor mógł pogłębić i przerobić pierwszą część, to równocześnie fakt tak późnego wydania książki odebrał mu trochę nowatorskiego charakteru, jaki miałby przed dziesięcioma laty. Gdyby praca ta ukazała się wówczas, Ciałowicz byłby pierwszym historykiem, który ogłosił pełny tekst francusko-polskiej konwencji wojskowej w 1921 roku. Tymczasem zanim zdecydowano się książkę wydać, tekst konwencji z obszernymi przypisami został już ogłoszony przez Kazimierzę Mazurówą.

Nie kwestionując dobrej woli redaktorów, pośmiertne wydanie książki Ciałowicza nie jest tak staranne jak być powinno. Widać, że jedynie autor gotów jest poświęcić konieczny czas na drobiazgową i żmudną korektę — redaktorom tego czasu widocznie zabrakło. Tak więc tom roi się od drobnych ale irytujących pomyłek, przedstawionych dat, zniekształconych cytatów i przekreślonych nazwisk. W indeksie, August Zaleski figuruje jako Zalewski. Dla czytelnika, który znał i cenił płk. Ciałowicza ta niestaranność edycji jest rzeczą przykrą. Zwłaszcza jeśli się pomyśli o wysiłku autora i trudnościach na jakie napotykał. Ale nie są to mankamenty, które mogłyby pomniejszyć autentyczne walory tej pracy. Płk Ciałowicz napisał książkę o dużej wartości naukowej i wniósł swój osobisty wkład do dziejów najnowszych.

W trzynastu rozdziałach autor przedstawia sześć głównych podokresów historii sojuszu polsko-francuskiego. Lata 1921-24 określa jako szczytowe, następnych pięć lat to okres kiedy cień Locarno pada na stosunki polsko-francuskie, podokres 1932-35 stoi pod znakiem polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji i równoczesnych prób Francji zmontowania paktu wschodniego. Lata 1935-36 przynoszą zbliżenie, po których w 1937-38 drogi sojuszników znów się rozchodzą. Wreszcie ostatni podokres to przygotowanie do zbliżającej się wojny i kampania wrześniowa. Ostatni rozdział książki nosi znamieny tytuł *Une alliée de remplacement* i odzwierciedla punkt widzenia Ciałowicza na francuskie traktowanie polskiego sojusznika. Autor kończy swą pracę gorzko brzmiącymi zdaniem: „Dzieje tego sojuszu stanowią w historii rzadki wypadek tak jaskrawego niedotrzymania umowy przez jednego z partnerów i to wbrew własnym interesom. Są zarazem klasycznym przykładem, jak — przez doprowadzenie do fikcji układu wojskowego — obydwaj sojusznicy pokonani zostali po kolei, a udziałem tego, który pierwszy opuścił sprzymierzeńca, staje się również klęska”.

Dzieło Ciałowicza stanowi pasjonującą lekturę. Wnosi ono bogatą dokumentację z Centralnego Archiwum Wojskowego i Centralnego Archiwum M.S. Wojsk. i opiera się na ważnych relacjach przekazanych Ciałowiczowi przez gen. Sikorskiego, Kutrzebę, Janusza Radziwiłła i innych mężów stanu i wojskowych. Autor, oficer sztabowy, dwukrotnie powoływany do GISZu, a także i historyk wojskowości był szczególnie predestynowany do opracowania tego tematu. Strona wojskowa jest też najlepiej i najpełniej przedstawiona, z wyjątkiem może dwóch aspektów: położenia militarnego w okresie monachijskim i trochę jednostronnej oceny możliwości wojskowych Francji w jesieni 1939 roku. Więcej zastrzeżeń nasuwa przedstawienie tła politycznego. Sojusz nie jest może dostatecznie osadzony w kontekście francuskiego systemu w Europie Środkowo-Wschodniej. Odczuwa się brak analizy polityki Stojadinowicza i Titulescu;

polityka zagraniczna Czechosłowacji w latach 1935-36 przedstawiona jest zbyt powierzchownie. Czytelnik chciałby znaleźć więcej na temat polityki Laval'a. Motywacja zwrotu w polityce brytyjskiej w 1939 roku nastrocza też pewne wątpliwości. Trudno jest jednak winić autora o to, że w swym cennym i pionierskim studium nie wyczerpał wszystkich zagadnień polityki międzynarodowej tego okresu. Zadanie jakie sobie postawił, a mianowicie przedstawienie dziejów sojuszu wojskowego, wykonał w sposób więcej niż zadawalający. Praca jego będzie przez wiele lat podstawą dla dalszych badań specjalistów w tej dziedzinie.

W krótkiej recenzji niesposób jest zrelacjonować pokaźny tom i uwypuklić wszystkie tezy autora. Sama narracja wnosi wiele nowych i ciekawych elementów. Wyjaśnia, uściśla nasze dotychczasowe wiadomości, koryguje błędne wyobrażenia. Autor zaczyna od interesującego i oryginalnego porównania sojuszu polsko-francuskiego z francusko-rosyjską konwencją z 1892 roku. Analizuje przedwstępne fazy sojuszu oraz kulisy jego podpisania w 1921 roku i przypisuje inicjatywę w tym wypadku Francji raczej niż Polsce. Jakkolwiek nie jestem w pełni przekonany argumentacją autora jak też i jego podkreśleniem propolskości Focha, Ciałowicz wnosi sporo nowych elementów do dyskusji. Autor poświęca dużo miejsca wizycie Sikorskiego we Francji w 1922 roku — na ogół przeoczonej przez historyków (z niżej podpisanym włącznie). Obszernie relacjonuje on także rozmowy sztabowe Hallera w Paryżu na wiosnę 1924 roku. Misja Sikorskiego we Francji w październiku 1924 roku jest chyba po raz pierwszy omówiona tak wyczerpująco, jak też i jego podróż w 1925 roku, którą niektórzy historycy w ogóle ignorowali. Ale autor nie tylko uzupełnia stronę faktograficzną. W jego książce mamy szereg wnikliwych uwag na przykład na temat powstania GISZu i zmiany charakteru dawnego Sztabu Generalnego po roku 1928, które rzutują na stosunki wojskowe polsko-francuskie. Z lektury wynika niezbicie, że stałą troską polskiego sztabu było zabezpieczenie się na wypadek równoczesnej wojny z Niemcami i Rosją. Perspektywa ta niepokoiła Francję i skłaniała ją do prób ograniczenia zasięgu konwencji wojskowej z 1921 roku.

Ciałowicz krytycznie ocenia politykę zagraniczno-wojskową Francji. Nie jest jednakże absolutnie apologetą polityki polskiej. Krytykuje niepotrzebne zadrażnienia i tarcia w stosunkach wojskowych z Francją, podkreśla że od 1925 do śmierci Piłsudskiego nie odbyła się ani jedna narada sztabowa polsko-francuska, naświetla paradoksalną sytuację w której Polska nie miała planu wojny przeciw Niemcom i nie znała również planów wojennych francuskich. Współpraca Drugich Oddziałów funkcjonowała słabo, a polski attaché wojskowy nie złożył nawet wizyty Weygandowi, gdy ten został szefem sztabu.

Po dojściu Hitlera do władzy, pisze Ciałowicz, „sojusz polsko-francuski stał się funkcją stosunków francusko-niemieckich i

polsko-niemieckich". Trafna uwaga. Pisząc o „wojnie prewencyjnej” autor dorzuca trochę nowych informacji, na przykład fakt, że Weygand i Gamelin zapewnili Sikorskiego iż nie otrzymali takich propozycji wia czynniki wojskowe polskie. Według Ciałowicza akcja Piłsudskiego „zapuszczania sondy” w Paryżu odbywała się przez parę osób: Wieniawę, Potockiego i Morstina — autor powołuje się przy tym na relacje ustne Kutrzeby, Radziwiłła i gen. Abrahama. Wywody jego brzmią przekonująco i chyba niewiele więcej będzie już można dodać na temat sondaży polskich we Francji. Odkrycie nowych dokumentów, jeśli takie w ogóle istniały, nie wydaje się prawdopodobne.

Kryzys monachijski, jak już wspominałem, nie jest szeroko rozpracowany. Czy zachowanie się Polski było czynnikiem decydującym dla Hitlera? Zarówno Benesz jak i Beck z różnych przyczyn starali się to tak naświetlić, ale nie wydaje mi się, aby można przyjąć ich opinie za absolutnie miarodajne. Rozmowy sztabowe polsko-francuskie z 1939 roku są dobrze znane, ale Ciałowicz potrafił naświetlić je w oryginalny i interesujący sposób. Słusznie też podkreślił brak koordynacji planów wojennych francuskich z rudymmentarnym planem polskim. Ciałowicz wskazuje wreszcie na specyficzną strategię francusko-angielską, która zakładała priorytet działań na froncie zachodnim. Los Polski według Paryża i Londynu miał się rozstrzygnąć przez *ostateczny* wynik wojny a nie przez wspólny i zgrany wysiłek w 1939 roku.

Starając się łączyć zagadnienia wojskowe z politycznymi, Ciałowicz nie pomija też spraw gospodarczych. Czytelnik znajdzie tu dużo materiału. Nieco paradoksalnie wyglądają równoczesne próby Polski rozluźnienia zależności od Francji — zwłaszcza w dziedzinie współpracy wojskowej — przy równoczesnym molestowaniu Paryża o pożyczki i pomoc gospodarczą. Sytuacja biednego państwa polskiego była często nie do pozazdroszczenia.

W odróżnieniu od pracy Ciałowicza, ogromny przeszło sześćset stron liczący tom Kukułki, *Francja a Polska po traktacie wersalskim*, obejmuje tylko trzyletni wycinek stosunków między obu krajami. Jest to niewątpliwie najobszerniejsze i najbardziej szczegółowe opracowanie okresu od traktatu wersalskiego do ratyfikacji polsko-francuskiego sojuszu w 1922 roku. Autor zebrał i sumiennie wykorzystał obfite materiały archiwalne znajdujące się w Polsce. Sięgnął również do archiwum czechosłowackiego ministerstwa spraw zagranicznych. Szkoda, że nie zrobił próby wykorzystania kapitalnej wagi archiwum Adiutantury Głównej Naczelnego Dowództwa — tzw. „archiwum belweder-skiego” — które obejmuje właśnie lata 1918-1922 i znajduje się w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Kopię mikrofilmową posiada biblioteka uniwersytetu Yale. Z archiwów

zagranicznych Kukułka powinien był przepracować dokumenty w Public Record Office w Londynie, tym istotniejsze, że autor nie mógł uzyskać dostępu do archiwów Quai d'Orsay lub francuskiego sztabu. Dokumenty niemieckie, dostępne dla badaczy, powinny być również uwzględnione. Nie ulega jednak wątpliwości, iż baza źródłowa pracy Kukułki jest bardzo szeroka i pozwala mu przedstawić w sposób szczegółowy i wnikliwy pierwsze lata stosunków polsko-francuskich.

Z tonu przedmowy wynika, że autor jest bardzo zadowolony ze swej książki, która przyniosła mu zresztą nagrodę w Polsce. W dużej mierze Kukułka słuszniej uważa, że pokazał możliwie pełny i prawdziwy obraz polityki francuskiej w stosunku do Polski. Bardziej kontrowersyjna jest jego opinia, że otwarcie archiwów francuskich nie powinno zmienić obrazu „strategicznych dążeń i prawidłowości tej polityki (Francji — PW) nakreślonej w niniejszej pracy”. W ogólnych zarysach zapewne nie, ale w istotnych szczegółach wydaje się, że archiwa francuskie mogą przynieść odpowiedź na szereg pytań, których autor nie mógł wyczerpująco wyjaśnić. Wciąż jeszcze nie mamy pełnego obrazu rozgrywek wewnętrznych w Paryżu w czasie negocjacji o sojusz polsko-francuski. Stosunek Francji do rokowań ryskich nie jest absolutnie jasny. Jaką rolę odgrywał Paryż w związku z czeską akcją na Śląsku cieszyńskim w styczniu 1919? Różne aspekty polityki francuskiej w odniesieniu do powstań śląskich wymagają jeszcze dodatkowych badań. Poruszam te sprawy tutaj także dlatego, gdyż autor uznał za właściwe „rozprawić” się we wstępie z innymi pracami na temat stosunków polsko-francuskich, szczególnie z *France and her Eastern Allies* niżej podpisanego, zarzucając im niedostateczne wykorzystania źródeł i przeciwstawiając im swe własne osiągnięcia. Tego typu akcent polemiczny byłby dla zainteresowanego czytelnika niewątpliwie interesujący, gdyby Kukułka zachował przy tym zasady *fair play*. Tak się niestety jednak nie stało i pragnąłbym wyjaśnić parę spraw, które dotyczą mojej pracy.

Określając moją książkę jako pierwszą pracę naukową usiłującą przedstawić całokształt polityki francuskiej wobec Polski od Wersalu do Locarno, Kukułka stwierdza że „nie uwzględnia ona źródeł archiwalnych żadnego z krajów, o których polityce zagranicznej mówi”. Następnie pisze, że oparłem się głównie na archiwach ambasad PR z Londynu i Waszyngtonu (a więc jednak są jakieś archiwalia?), na raportach posta amerykańskiego w Warszawie i rozmowach z dawnymi politykami polskimi i francuskimi. Jest nieco dziwne, iż Kukułka, który przeczytał moją książkę nader uważnie i cytuje ją kilkadziesiąt razy, nie zauważył zużytkowania przeze mnie wyżej wzmiankowanego archiwum belwederskiego, które było chyba główną bazą źródłową mojej pracy. Czyżby autor nie mając sam dostępu do tych zbiorów wołał o istnieniu ich zapomnieć? Po takim zrelacjonowaniu źródeł przeze mnie użytych, Kukułka zauważa, że uległem

„sanacyjnej wersji rozwoju stosunków polsko-radzieckich i endeckiej wersji rozwoju stosunków polsko-niemieckich”. Widać więc, że ciężkie grzechy ciąży na moim sumieniu. Wreszcie wyrażam się ponoć „z lekceważeniem” o pracach marksistowskich. Ponieważ większość poważnych dzieł o polityce zagranicznej Drugiej Rzeczypospolitej (z książką Kukułki włącznie) ukazała się w Kraju już po wydaniu mojej pracy, rzeczywiście nie miałem szansy cytowania zbyt dużej ilości publikacji. Zacytowałem jednak artykuł samego Kukułki, który określiłem jako „powierzchowny”. Może *hier liegt der Hund begraben*. Muszę się jednakże zgodzić z Kukułką, który krytykuje moje nie dość dogłębne przebadanie zagadnień gospodarczych i wojskowych. Oczywiście w tomie który jest o połowę mniejszy od studium Kukułki a obejmuje przeszło dwukrotnie dłuższy okres i włącza analizę spraw czechosłowackich, nie mogłem poruszyć jeszcze wielu innych spraw, które Kukułka przedstawił bardzo szczegółowo.

Główną zaletą *Francji i Polski* jest faktografia. Autor zgromadził ogromną ilość informacji i przedstawił je w interesujący sposób. Można mieć pewne zastrzeżenia co do ściśle chronologicznego podejścia, które czasem utrudnia lekturę. Książka jest nieocenionym źródłem do sprawdzania danych, ważnych i mniej ważnych, ale wątek narracyjny chwilami się rwie. Wśród bardzo interesujących aspektów pracy są sprawy wojskowe i gospodarcze, potraktowane bardzo obszernie. Wśród źródeł, z których autor korzystał, szczególnie interesujące są materiały z tzw. Teki Teslara (Centralne Archiwum Wojskowe), z których dowiadujemy się dużo o francuskiej misji wojskowej. Cenne są materiały Piltza. Autor przedstawił wnikliwie stosunki endecko-francuskie i przekonująco zrelacjonował sprawę tzw. endeckiego monopolu na frankofilizm. Zjawisko to było bardziej złożone niż to się wydawało. Paryż niezawsze chciał identyfikować się z endekami, a obóz Piłsudskiego w tym okresie nie miał tak anty-francuskiego nastawienia jak w latach późniejszych.

Książka Kukułki rozszerza i pogłębia nasze wiadomości o stosunkach polsko-francuskich w latach 1919-1922. Daje pełniejszy obraz przez uwzględnienie aspektów gospodarczo-wojskowych, słusznie podkreśla całą złożoność stosunków między obu krajami. Nie wydaje się jednak aby autor wysnuł jakieś uderzające nowe wnioski, lub podważył ogólną ocenę tych stosunków w ujęciu niżej podpisanego. Autor skorygował niektóre moje błędy i zakwestionował niektóre moje interpretacje, przeważnie jednak odnoszące się do spraw drugorzędnych. Nowych sformułowań lub też, bądź to pobudzających do dyskusji, bądź to frapujących swą oryginalnością nie znalazłem tu wiele. W konkluzji Kukułka podnosi znaczenie Czechosłowacji dla stosunków francusko-polskich — słuszna ale niezbyt nowa teza. W przeciwstawieniu do bliżej nie zidentyfikowanych publicystów historycznych piłsudczykowskich i historyków emigracyjnych, podkreśla

on iż Piłsudski nie mógł prowadzić „istotnie samodzielnej polityki”. Autor nie precyzuje pojęcia „istotnie samodzielna polityka” i można postawić pytanie, które z państw, a nawet które z wielkich mocarstw mogło taką politykę prowadzić. W innym miejscu pisze o dużym wpływie wielkiego przemysłu na politykę zagraniczną Francji, ale nie próbuje określić o ile ten wpływ był decydujący i w jakim okresie. Wydaje się, że dopiero dostęp do archiwów francuskich i to nie tylko Quai d’Orsay ale i Comité des Forges, pozwoli nam pokusić się o wyjaśnienie tej sprawy. Jaki wpływ na politykę zagraniczną wywierały francuskie koła wojskowe? W jakim stopniu poglądy partii politycznych III Republiki oddziaływały na formowanie polityki zagranicznej? Czy uważne przebadanie dyskusji i rezolucji zjazdów głównych partii politycznych może przenieść choćby częściową odpowiedź na to pytanie — trudno o tym wyrokować. Ale niemożność dania pełnych wyjaśnień nie zwalnia historyka od stawiania tych pytań i przyznania, że szereg spraw z tematyki polsko-francuskiej jest jeszcze nie zbadanych. Wydaje mi się, że konkluzja Kukułki mogłaby być rozbudowana i powinna była zawierać próbę ustosunkowania się do tych tak trudnych ale i kluczowych zagadnień. Summa summarum, ogromny tom Kukułki jest poważnym osiągnięciem. Jeśli strona faktograficzna góruje nad aparatem koncepcyjnym, to ogólny ton książki jest rzetelny, a opracowanie jako całość wysoce pozytywne.

W porównaniu z obu powyższymi pracami, nieduży tom Wroniaka wypada błado. Autor podjął się bardzo trudnego zadania, a mianowicie przedstawienia stosunków polsko-francuskich w okresie który jak dotąd jest mało przebadany. Lata 1926-32 to jak gdyby „okres przejściowy” w polityce polskiej, a epoka „briandyzmu”, jak ją Wroniak określa, w polityce francuskiej. Autor daje nam użyteczny zarys tych stosunków w oparciu o archiwalia polskie, ale nie jest dać w stanie nawet względnie pełnego obrazu tego zagadnienia. Nie chodzi tu zresztą o szczegóły, których uwzględnienie w stukilkudziesięciu stronicowym tomie byłoby niemożliwością, ale o prawdziwy wgląd w sprawy zasadnicze. Jak wszyscy badacze stosunków polsko-francuskich w latach między wojnami, Wroniak musi pogodzić się z faktem, że archiwa francuskie są wciąż jeszcze niedostępne dla badaczy. Niedawny dekret prezydenta republiki francuskiej pozwalający na otwarcie archiwów za ten okres musi być dopiero wprowadzony w życie. W tych warunkach nieodzowne jest rekonstruowanie polityki zagranicznej Francji poprzez archiwa dyplomatyczne innych krajów: Wielkiej Brytanii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych. Jak wiele można z tych materiałów wydobyć świadczy dość rewelacyjna praca wydana w tym roku w Ameryce John Jacobson’a, *Locarno Diplomacy*. Jeśli chodzi o „briandyzm” to jest on obecnie dyskutowany na nowo przez historyków i

uwagi na jego temat w pracy Wroniaka są zbyt powierzchowne i za łatwe. Tendencja do uproszczeń dominuje zresztą nad całą pracą, która jako teza doktorska byłaby niewątpliwie zadawalająca, ale jako poważne studium powinna się była ukazać w bardziej rozwiniętej i przemyślanej formie.

Rozdziały wstępne — zarys stosunków od Wersalu do Locarno, konferencja w Locarno i reakcja na nią we Francji i Polsce — nie wnoszą nowych elementów. Monografia Balceraka o Locarno jest bardziej przekonująca od nieco naiwnych potępień Skrzyńskiego przez Wroniaka. Oświadczenie ministra, iż odrzucenia Locarno stawiałoby „Polskę w izolacji na gruncie ideowym, politycznym, dyplomatycznym i prawnym”, Wroniak kwalifikuje jako „nihilizm polityczny”. Briand i inni mężowie stanu występują zbyt często w tej książce jako naiwni idealisci bez prawdziwego rozeznania politycznego. Konferencja haska i francusko-polskie rozmowy na jej marginesie są pominięte. Nie mniej praca Wroniaka ma swoją wartość. Autor interesując przedstawia cele i metody polityki zagranicznej Zaleskiego. Daje poprawny w swym ogólnym zarysie obraz stosunków między obu krajami. Uwypukla stosunkowo dużą samodzielność polskiej polityki zagranicznej w okresie od Locarno do 1932 r. Zapewne ze względów praktycznych kładzie duży nacisk na ówczesne głosy prasy polskiej — łatwo dostępnej dla badacza w Kraju — ale zbyt często daje się kierować ówczesnymi ocenami spraw, które mają już dziś dużą i konrowersyjną literaturę. Zbyt rzadko autor wskazuje na możliwości alternatywnych posunięć dyplomatycznych, które mogłyby dać lepsze rezultaty, a właściwie wskazuje tylko na jedną — zbliżenie Polski do ZSSR. Wydaje się, że autor w swym podejściu do problematyki lat 1920-1930-tych popełnia dwa błędy metodologiczne. Korzystając obficie z przekazów współczesnych sugeruje się nimi, kiedy powinien spojrzeć na rozwój wypadków z perspektywy historycznej. Z drugiej strony ocenia ludzi i zjawiska bez dostatecznego wczucia się w ówczesne warunki i nastroje.

Stosunki polsko-francuskie *per se* były w tym okresie, jak i w innych, tylko stosunkowo wąskim wycinkiem polityki międzynarodowej. Autorowi nie udaje się potraktować ich w szerszym kontekście. Winą tego jest z jednej strony zbyt wąska baza źródłowa, z drugiej brak swobody w poruszaniu się w jakże trudnej i skomplikowanej grze międzynarodowej tych lat. W rezultacie otrzymujemy zarys stosunków niewątpliwie przydatny ale zawężony i w osądach powierzchowny. Jeśli autor jest dopiero początkującym adeptem Clio, można mieć nadzieję, że w swych następnych pracach rozbuduje lepiej swój warsztat naukowy, a warunki pozwolą mu zapoznać się z archiwami zachodnio-europejskimi, koniecznymi dla głębszych badań.

Piotr WANDYCZ

POLSKA I WĘGRY MIĘDZY WOJNAMI

Okres między dwiema wojnami światowymi należy obecnie do historii mimo, że dla wielu współczesnych nam osób zalicza się on do przeżyć osobistych. Znaczy to, że historycy, którzy zajmują się jego analizą, mogą podchodzić do niego z pewnym obiektywizmem; ponadto, ponieważ udostępniono badaczom archiwa krajów Wschodniej Europy, można oprzeć dokumentację historyczną na nieosiągalnych jak dotąd źródłach jak na przykład tajne raporty Ambasadorów itd. Znany historyk węgierski, Endre Kovács, który poświęcił wiele prac stosunkom polsko-węgierskim, wykorzystuje w pełni te okoliczności; z tego też względu głównie jego ostatnia książka omawiająca te stosunki staje się interesująca dla szerszych kół czytelników.

Kovács dzieli swą pracę na cztery części i omawia w porządku chronologicznym rozwój kontaktów politycznych, gospodarczych i kulturalnych między tymi dwoma krajami. Podział na te okresy (od 1919 do 1926, od 1926 do 1933, od 1933 do 1937 i od 1938 do 1939) wskazuje na fakt, że Kovács zdaje sobie sprawę z tego, że stosunki polsko-węgierskie były w ciągu tych dwudziestu lat zależne od postawy i nacisków innych państw europejskich; wie on również, że mimo szczerzego pragnienia obu stron by wzmocnić za pośrednictwem wymiany handlowej i wspólnej akcji politycznej tradycyjne więzy przyjaźni, dążenie to było często podporządkowane ogólnym celom narodowym i interesom obu krajów. Zaczniemy od stwierdzenia, że po zakończeniu pierwszej wojny światowej Polska i Węgry znalazły się w całkowicie odmiennej sytuacji: Traktat Wersalski przywrócił Polsce niepodległość i zagwarantował jej granice, na Węgrzech natomiast doprowadził do rozczłonkowania kraju i do utraty nie mniej niż dwóch trzecich posiadanych terytoriów. W konsekwencji miliony Węgrów znalazły się pod panowaniem nowo utworzonych państw jak Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia, gdzie często traktowano ich źle naruszając ich podstawowe prawa obywatelskie. Podczas gdy Polska popierała (z wyjątkiem tylko wypadku Cieszyna) *status quo* narzucony traktatem i wypowiedała się za sojuszem wojskowym z Francją, celem i motorem całej polityki zagranicznej Węgier była rewizja Traktatu w Trianon. Te odmienne nastawienia nie wywoływały tarć między Polską i Węgrami tak długo, dopóki państwa domagające się rewizji granic europejskich były zbyt słabe by przeprowadzić jakąkolwiek decyzję w tym zakresie; a nawet w okresie tryum-

* Endre Kovács, *Magyar-lengyel kapcsolatok a két világhéboru között*, Akadémiai Kiadó, Budapest, 1971, 415 stron.

fującego rewizjonizmu nie doszło do żadnego antagonizmu na tym tle między Warszawą a Budapesztem. W rzeczywistości w latach między wojnami Polska usiłowała odegrać rolę uczciwego pośrednika między Węgrami a „Małą Ententą”, a w szczególności próbowała utorować drogę do odprężenia z Rumunią. Główną przeszkodą uniemożliwiającą to odprężenie była sprawa roszczeń terytorialnych, które wysuwały Węgry, a które w oczach całej „Małej Ententy” były nie do przyjęcia.

W dwóch sprawach jednak istniało szerokie porozumienie między reżymem Horthy'ego i Polską. Oba kraje były nastawione antykomunistycznie i w czasie wojny w 1920 roku Węgry przysłały z pomocą Polsce dostarczając w poważnej ilości broni i amunicji; oba też państwa odnosiły się z dużą podejrzliwością do Związku Sowieckiego, jako do źródła ideologicznej akcji wywrotowej. Łączyła ich poza tym wspólna niechęć do Czechosłowacji. Zarówno Polska jak i Węgry wysuwały — na podstawie uzasadnionych argumentów etnicznych — roszczenia terytorialne w stosunku do kraju Masaryka. Stanowisko Węgrów było zresztą bardziej bezwzględne; natomiast układ między Skirmuntem a Beneszem w 1921 roku, a potem rokowania między Skrzyńskim a Beneszem w 1925 usiłowały nadać nowy bieg stosunkom polsko-czeskim; w 1933 roku jednak, gdy Benesz odrzucił polską propozycję zawarcia sojuszu wojskowego, wszelkie próby pojednania spełzły na niczym. Antyczna postawa Piłsudskiego i jego pogarda dla Benesza były rzeczą znaną wszystkim. W ciągu kilku lat po pierwszej wojnie światowej zarówno Warszawa jak i Budapeszt przychodziły z pomocą finansową słowackiemu ruchowi separatystycznemu, a pod koniec lat trzydziestych przylały się upadkowi Czechosłowacji z dużą dozą *Schadenfreude*.

Kovács opisuje Benesza jako zręcznego taktyka, jako twórcę i koordynatora „Małej Ententy”, ale także jako oportunistę, którego wady wyszły boleśnie na jaw gdy zaczęło narastać niebezpieczeństwo ze strony Niemiec. Ufał on znanemu poparciu dyplomatycznemu i wojskowemu Francji, które zawiodło w momencie krytycznym, i wierzył, że Niemcy potraktują przyjaźnie Czechosłowację. W rozmowie z węgierskim prawnikiem, politykiem i przyjacielem Francji, Pawłem Auer'em, Benesz powiedział w 1934 roku czy 1935, że wolałby już *Anschluss* od restauracji Habsburgów¹. Nastawienie to wywodziło się z jego głębokiego przekonania (o którym wspomina również Kovács), iż udało mu się dojść do porozumienia z Hitlerem. Benesz bronił zębami i pazurami czeskich zdobyczy terytorialnych występując szczególnie przeciwko Węgom, które do 1938 roku nie stanowiły poważnego niebezpieczeństwa wojskowego; w ostatnim momencie zgodził się na odstąpienie Zaolzia Polsce, lecz odmawiał stanowczo oddania jakichkolwiek terytoriów Węgom. O ile Monachium było wynikiem francuskiej (a także angielskiej) odmowy walki

1. Pal Auer, *Fél évszazad*, Occidental Press, Washington, 1971, str. 110.

o zachowanie nienaruszalnych granic czeskich z roku 1919, o tyle przyczyną ostatecznego upadku Czechosłowacji była w dużej mierze „linia postępowania Benesa”, jego niezdolność do zawarcia porozumienia z Polską i Węgrami.

Problem, któremu Kovács poświęca wiele uwagi jest sprawa wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Granica taka istniała zanim Czechosłowacja nie zajęła Rusi Podkarpackiej pod koniec pierwszej wojny światowej; w ten sposób zablokowała ona tradycyjną drogę handlową Polski na południe. Skoro brak było przyjaznych stosunków między tymi dwoma sąsiadującymi ze sobą krajami, jest rzeczą zrozumiałą, że sprawę wspólnej granicy polsko-węgierskiej poruszył już w 1926 roku Władysław Studnicki w przemówieniu wygłoszonym na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. (Według Kovács'a Wilno i Kraków były głównymi centrami działalności pro-węgierskiej; z sympatiami pro-węgierskimi występowały koła pro-rządowe, konserwatyści z Towarzystwa Polsko-Węgierskiego oraz zwolennicy Piłsudskiego). Aż do 1933 roku, kiedy to prasa wypowiedziała się za wspólną granicą, mało stosunkowo polityków na Węgrzech wysuwało tę sprawę. Objęcie władzy przez Hitlera stworzyło konieczność przeprowadzenia podziału między terytorialnymi roszczeniami Węgier i rewizjonizmem niemieckim. Według Kovács'a pro-polskie nastawienia w węgierskiej polityce zagranicznej zbiegały się zwykle z pro-włoską (i do pewnego stopnia pro-francuską) orientacją. Zgodnie z taką właśnie linią polityczną miał postępować Gyula Gömbös, Premier Węgier od 1932 do 1936 roku, lecz na skutek nieufnego stanowiska Hitlera i odrzucenia przez niego pewnych roszczeń węgierskich, przyjął on — mimo, iż był pod głębokim wrażeniem wzrastającej potęgi dyktatora niemieckiego — postawę oscylującą między stanowiskiem zdecydowanie pro-włoskim i pro-niemieckim. Jeżeli chodzi zaś o wspólną granicę polsko-węgierską, to na początku Hitler i Naczelne Dowództwo armii niemieckiej odnosili się niechętnie do tej idei, lecz gdy nabrała ona konkretnych kształtów nie przeciwstawiali się jej. Dlatego też gdy ogłoszono powstanie separatystycznego państwa słowackiego, rząd hrabiego Pal Teleki'ego nakazał swym wojskom by wkroczyły do Rusi Podkarpackiej (15 marzec 1939). W ten sposób przywrócono do życia granicę polsko-węgierską; mimo, iż jako granica polityczna między dwoma niezależnymi państwami istniała ona tylko pół roku, znaczenie jej dla Polski okazało się bardzo istotne: po klęsce wrześniowej dziesiątki tysięcy żołnierzy i osób cywilnych schroniło się na Węgrzech albo przeszło przez Węgry w drodze na Zachód. Z drugiej jednak strony przyłączenie Rusi Podkarpackiej stworzyło jedynie niebezpieczeństwo dla Węgier, gdyż stała się ona punktem wyjścia i zapleczem dla przeprowadzenia całkiem niepotrzebnego ataku na Związek Sowiecki.

Postawa Rosjan w stosunku do wspólnej granicy polsko-węgierskiej sprowadzała się do milczącej zgody. Wyszło to wyraż-

nie na jaw w oświadczeniu Ambasadora sowieckiego w Berlinie, który powiedział Lipskiemu, że „ZSSR popiera stworzenie wspólnej granicy polsko-węgierskiej”²; dodajmy, że Moskwa uważała takie rozwiązanie za mniej złe z dwóch istniejących możliwości; drugą zaś możliwością było powołanie do życia niezależnej, lub do połowy niezależnej narodowej Rusi pod protektoratem niemieckim. Tego zaś obawiał się Związek Sowiecki. W książce swej Kovács nie porusza tego aspektu zagadnienia.

W ostatnim rozdziale tej dużej — i mówiąc nawiasem nieco gadatliwej — książki autor stwierdza, że bez względu na to jakie były zapatrywania węgierskich kół rządzących na ostateczny wynik wojny, koła te uważały, iż ze względów „moralnych” i praktycznych udzielenie poparcia Hitlerowi w jego napaści na Polskę było rzeczą niemożliwą. Nawet nie zezwoliły one na przejazd przez terytorium węgierskie wojskowych transportów niemieckich gdyż — jak to stwierdził zdecydowanie pro-niemiecki Minister Spraw Zagranicznych hr. Csaky — „wywołałoby to rewolucję” na Węgrzech. W istocie też pro-polskie manifestacje na Węgrzech nabierały nieustannie na sile i stawały się coraz częstsze mimo, że na długo przed wrześniem 1939 roku było rzeczą jasną, że wkrótce dojdzie do starcia między Polską a hitlerowskimi Niemcami. Rząd Teleki’ego (biorąc pod uwagę nastawienie węgierskiej opinii publicznej) nie zmienił swej polityki neutralności nawet po zaatakowaniu Polski; Niemcy zaś wściekali się w rzeczywistości z powodu tej „neutralności”, która w sposób tak widoczny zmierzała do popierania Polaków. Ciano zanotował wówczas w swym dzienniku: „Niemcy nie wybaczą Węgrom ich odmowy (chodziło o nieprzepuszczenie niemieckich transportów wojskowych); kiedyś też zapłacą oni za to”. W istocie też zapłacili w marcu 1944 roku, lecz w międzyczasie tysiące polskich uchodźców znalazło schronienie i gościnność na Węgrzech popierających teoretycznie oś.

Książka Kovács’a rzuca pewne światło na przeciągające się wahania i dwuznaczne manewry węgierskiej polityki zagranicznej w latach trzydziestych; fakt ten wywoływała w dużej mierze rozbieżność między głównym celem Węgier, to znaczy dążeniem do zmian terytorialnych a globalnymi celami imperialistycznej Rzeszy Niemieckiej, która starała się zredukować Węgry do roli satelity. W każdym razie w sprawach związanych z rewizją granic Węgry musiały działać jako „klient” potężniejszych mocarstw i stale potrzebowały ich dyplomatycznego poparcia. Polska polityka zagraniczna dysponowała w zasadzie szerszym polem do manewrów i stawki jej gry były większe. W moim przekonaniu Kovács jest niesprawiedliwy gdy utrzymuje, że „politycy polscy łudzili się myśląc, że Hitler poprzestanie na osią-

2. Anna Cienciała, *Poland and the Western Powers, 1938-39*, Londyn, 1968, str. 175.

gniętych zdobyczach i nie wysunie sprawy Gdańska i Korytarza”.

To prawda, że wydarzenia polityczne zniweczyły plany Becka dotyczące „Trzeciej Europy”, lecz liczne źródła stwierdzają, że nie miał on najmniejszych iluzji co do ostatecznych celów Hitlera i wiedział, że Niemcy powrócą do problemu Gdańska gdy tylko poczują się dostatecznie silne z punktu widzenia militarnego. (Podpisanie polsko-niemieckiego Paktu o nieagresji w 1934 roku podyktowane było wyraźnie dążeniem do zyskania na czasie). Beck wiązał może zbyt wiele nadziei z czynnikiem czasu, nie dysponował on jednak wówczas zbyt wielu możliwościami. Sojusz ze Związkiem Sowieckim? W 1915 roku wielki poeta z okresu będącego węgierskim odpowiednikiem epoki „Młodej Polski”, Endre Ady, napisał wiersz, w którym cytuje rozmowę dwóch biednych żołnierzy należących do pokonanej armii Rakoczi’ego: „Wychodzi na to samo, przyjacielu. (Czy to będzie wilk czy diabeł) zawsze ktoś nas pożre”. Tak prawdopodobnie myśleli liczni polscy przywódcy polityczni po śmierci Piłsudskiego i myśleli tak nawet wtedy, gdy usiłowali ukryć swój niepokój pod przykrywką pełnych ufności oświadczeń na temat potęgi wojсковей Polski. Węgry miały więcej alternatyw do wyboru, lecz nie na długo: w 1942 roku wypowiadając wojnę Związkowi Sowieckiemu, reżym podpisał na siebie wyrok śmierci. Jak do tego doszło to już inny rozdział historii, który, mamy nadzieję, znajdzie kiedyś swego obiektywnego, sumiennego i odważnego kronikarza.

George GÖMÖRI

(Przełożył z angielskiego Paweł Zdziechowski).

Tadeusz KATELBACH

„O WIELKOPOLSCE, ZŁOCIE I DALEKICH PODRÓŻACH”

Pod takim tytułem ukazała się w Polsce, wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy, książka Zygmunta Karpińskiego. Karpiński urodził się w 1892 roku, należy więc do pokolenia, którego najintensywniejsze lata pracy skończyły się wraz z końcem ostatniej wojny. Lecz autor pragnąc, by jego autobiografia objęła okrągłe półwiecze (1920-1970) uzupełnia ją także swą działalnością w dzisiejszej Polsce, a zatem w rzeczywistości z którą, zważywszy jego *background*, nic go poza pracą zawodową nie łączyło. Na szczęście w końcowej, najkrótszej części tomu nie

odprawia żadnych samokrytyk ani nie składa systemowi ukłonnów. Waży słowa, bo musi by, ostrożny. Dlatego ostatnie karty grzeszą niedomówieniami i są najmniej ciekawe.

Po cofnięciu uznania rządowi Arciszewskiego w lipcu 1945 r. Karpiński — wbrew stanowisku większości emigracji politycznej — postanowił wrócić do kraju i kontynuować tam działalność, której poświęcił najlepsze lata. Nie kryje, że jego stosunki z dobraćmi i licznymi znajomymi, nawet przyjaciółmi, uległy wtedy znacznemu oziębieniu, i „częściowo zupełnemu zerwaniu”. Nie mogli mu wybaczyć, jak się wtedy mówiło, „przejścia na stronę Warszawy”. Toteż rozstanie, zwłaszcza z pracownikami Banku Polskiego, którzy przez sześć lat emigracyjnych pracowali z oddaniem dla tej instytucji, było dla Karpińskiego ciężkim przeżyciem. Jakie względy przeważały?

W czasie cofnięcia uznania rządowi polskiemu byłem w Londynie. Osobiście nie wahałem się, lecz świadomość, że rozstaję się z krajem na długo, jeśli nie na zawsze, przynajmniej dla mnie była przeżyciem tragicznym. Ale nikogo nie potępiałem, kto nie mógł się pogodzić z taką perspektywą i, zamykając oczy na wszystko — wracał. Potępiałem jedynie tych, którzy powodowani wyłącznie względami oportunistycznymi, gotowi byli bić pokłony przed nowymi władcami, by zaskarbić sobie ich zaufanie i... robić karierę. Za klasycznych przedstawicieli tego typu uważałem m.in. Henryka Strasburgera, ministra skarbu w rządzie emigracyjnym i Józefa Winiewicza, przedwojennego publicystę, który nie z jednego pieca chleb jadał. Lektura książki Karpińskiego nie nasuwa wniosku, by jego decyzja powrotu do kraju podyktowana była względami oportunistycznymi. Zresztą mądre powiedzenie, lekceważone w młodych latach, głosi, że aby poznać człowieka trzeba z nim zjeść beczkę soli. Znałem Strasburgera i Winiewicza, Karpińskiego nie widziałem na oczy.

Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, jak „odbierają” w kraju pamiętniki starych panów nie ich rówieśnicy, lecz ludzie trzydziesto- czy czterdziestoletni, którzy nie pamiętają czasu rozbiorów, radosnych chwil odrodzenia w 1918 roku i Dwudziestolecia Niepodległości. Podobno czytane są z takim samym zainteresowaniem przez jednych i drugich. Jeśli tak, wspomnienia Karpińskiego dadzą czytelnikom krajowym bardzo wiele. Zwłaszcza, że ten wysokiej klasy fachowiec, bankowiec i finansista, umie pisać bardzo zajmująco, prosto, bezpretensjonalnie. Kto wie, czy zdolności pisarskich nie odziedziczyła po ojcu jego córka Ewa, której parę razy oddaje głos, cytując fragmenty jej doskonałych, niestety rzadkich, wyczynów pisarskich.

Słusznie już w samym tytule książki Karpiński, poznać czy z dziada pradziada, wybija na pierwszy plan temat jego sercu najbliższy — Wielkopolskę i drugi — związany z jego zawodem i nieprawdopodobnymi peregrynacjami złota polskiego, wywiezionego z kraju w tragicznych dniach września 1939 roku.

Zdawało mi się, że znałem nieźle Wielkopolskę. Mogłbym jak

z rękawa sypać nazwiskami poznańskich kolegów zetowych. Tyc, Korzeniewski, Kudlicki, Chmielewscy, I. Nowak, Konkiewicz, Seydlitz, I. Grabski, Surzyński, Glabisz, Hulewicz, Rosada, Jeszke — to tylko niektóre spośród wielu. Okazało się, że dowiedziałem się o Wielkopolsce z książki Karpińskiego wielu rzeczy dotychczas nieznanych.

Mieszkańska rodzina Karpińskich, skoligacona z poznańskim ziemiaństwem, tym się różniła od przeciętnych rodzin inteligencji poznańskiej, że była nie w teorii, lecz w praktyce — wszechpolska. Teodor Karpiński brał udział w powstaniu 1863 roku. Część Karpińskich opuściła Wielkopolskę przenosząc się do innych dzielnic dawnej Rzeczypospolitej. Stryj autora pracował w Warszawie, w petersburskim oddziale Banku Handlowego. Wszyscy utrzymywali z sobą żywy kontakt. „Ojciec — wspomina autor — niemal co roku wyjeżdżał czy to gdzieś na Zachód (Londyn, Paryż) czy Północ (Petersburg, Finlandia) a najczęściej właśnie do innych ziem polskich. Był parokrotnie w Warszawie, co należało do wyjątków wśród Wielkopolan, którzy swe świąteczne czy wakacyjne wyjazdy (określenie 'wczasy' było nieznane) przeznaczali raczej na odwiedzanie Wrocławia czy Berlina, a Warszawy niemal wcale nie znali. Ojciec — wielbiciel Mickiewicza — w 1897 roku, odbył nawet rodzaj pielgrzymki do Wilna, by szukać tam pamiątek po ukochanym poecie". Jeździli także Karpińscy do Krakowa — „ówczesnej Mekki polskości”. Sprawa całej Polski, a nie tylko partykularne, dzielnicowe problemy, były stałym tematem w Gnieźnie, gdzie się autor wychował. Cytowane często listy rodzinne, świadczą o atmosferze patriotycznej, jaka panowała w rodzinie Karpińskich. W liście Stanisława, pisanym z Warszawy w 1893 roku, czytamy: „Nadziejom każdy może dać ujście swobodne. Ja na przykład mniemam, że uda mi się przeprowadzić swoją kandydaturę na dyrektora Banku Narodowego przyszłej Rzeczypospolitej Polskiej, do której to posady przywiązana będzie płaca roczna 30.000 kościuszków”. W trzydzieści lat potem został pierwszym prezesem Banku Polskiego. Wspomnienia walki narodowej w Poznańskim wnoszą wiele szczegółów nieznanych. Autor od dziecka żyty był z tą sprawą, zwłaszcza, że ojciec, działacz narodowy i adwokat, występował nieraz w procesach politycznych, broniąc Polaków w sądach pruskich.

Ciekawe są wspomnienia czasów studenckich, które autor spędzał głównie w Monachium i w Berlinie. Zetknął się tam z kolegami, pochodzącymi z różnych zaborów, pracującymi w polskich organizacjach studenckich, kierowanych przez tajny „ZET”, w którego wewnętrznej strukturze orientuje się bardzo dobrze. Wspomina, jak to w związku ze zniesieniem przez Narodową Demokrację bojkotu szkół rosyjskich w Królestwie, młodzież potępiła ostro tę decyzję, przeciwstawiając się „objawom endeckiej polityki ugodowej”. Wspomina wyczyny zetowca Tadeusza Lechnickiego, który co niedziela prowadził ćwiczenia wojskowe

na wschód od Berlina. Czujna policja pruska nie potrafiła ich wytropić. Ówczesna polska młodzież akademicka w Berlinie poczuwała się do obowiązku opieki i współpracy z licznymi stowarzyszeniami robotników i rzemieślników. Ze świeżymi jeszcze śladami tej działalności spotykałem się wszędzie, gdy przez rok 1923-ci redagowałem *Dziennik Berliński*. Autor wspomina również ćwiczenia Związku Strzeleckiego, w których uczestniczył podczas krótkiego pobytu we Lwowie.

Po skończeniu studiów prawniczych i ekonomicznych Karpiński pracował w Berlinie, gdzie zastał go wstrząs rewolucyjny 1918 roku, jaki ogarnął pobite Niemcy cesarskie. Jak najszybciej wrócił do rodzinnego Gniezna. Tam przeżył chwile zrzucania jarzma pruskiego przez Wielkopolskę, żyjącą wtedy, jak się wyraża, „w niemal całkowitej izolacji” od reszty Polski, dzięki polityce Narodowej Demokracji. W przełomowych dniach listopada 1918 roku endecki *Kurjer Poznański* informował społeczeństwo, że „pogłoski jakoby legionści polscy byli w pochodzie na Poznań, zaniepokoiły ludność”... „Istnienia Naczelnika Państwa — pisze dalej — i wojska polskiego w Warszawie (nadal nazywanego 'legionistami') wielkorządcy poznańscy nie przyjmowali do wiadomości”. Poznańskie od Kongresówki dzieliła „granica” w Skalmierzycach. Przez tę granicę autor udał się do Warszawy, gdzie jego stryj Stanisław objął 11 listopada kierownictwo Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, by w tej instytucji „rozpocząć pracę zawodową w bankowości emisyjnej”, której poświęcił całe następne pięćdziesiąt lat.

W tomie liczącym przeszło 330 stron, wspomnienia o Wielkopolsce obejmują ponad jedną trzecią. Dalsze rozdziały, w których Karpiński omawia swą działalność w trzech bankach emisyjnych, a od 1924 do 1939 roku w Banku Polskim, stanowią będą dla badaczy problemów gospodarczych Dwudziestolecia Niepodległości cenny materiał. Lecz nie tylko dla nich. Każdy dowie się z tych rozdziałów o olbrzymim wysiłku ówczesnego pokolenia, mającego ambicję, by w niezwykle skomplikowanych warunkach odbudowywania państwa, jak najszybciej i jak najlepiej zatrzeć ślady niewoli politycznej narodu. Karpiński, pierwszorzędnym fachowcem, odpowiedzialny ze swymi kolegami za politykę dewizową, robił wszystko co było w jego mocy, by utrwalić możliwie dobrą pozycję złotego polskiego w kraju i na rynkach międzynarodowych. Starania te dały mu okazję do licznych podróży zagranicznych (które barwnie opisuje) oraz — do nawiązywania kontaktów z międzynarodowymi sferami bankowymi. Po raz pierwszy udał się do Stanów Zjednoczonych dopiero w 1938 roku, gdzie Bank Polski lokował znaczną część rezerw dolarowych. Nie przewidywał, że te znajomości przydadzą się bardzo szybko, gdy wypadki wojenne zmuszą go do wyjazdu „za złotem”, najpierw do Francji, potem z Paryża do Londynu, następnie do Stanów Zjednoczonych i znowu do Londynu.

W sierpniu 1939 roku zapas złota Banku Polskiego wynosił

463 milionów złotych czyli równowartość 87 milionów dolarów. Około 100 milionów było zdeponowanych w bankach zagranicznych, około 360 znajdowało się w kraju. Wywiezienie tego zapasu z terenu zajmowanego przez Niemców do Francji było przedsięwzięciem niezwykle trudnym. Odpowiedzialność za losy złota polskiego spadła we Francji na rząd gen. W. Sikorskiego. Tymczasem mijały miesiące, a nikt nie wiedział, gdzie się ono znajduje. W liście Prezydenta Raczkiewicza, motywującym decyzję udzielenia w lipcu 1940 roku dymisji Sikorskiemu, znalazł się zarzut zaprzepaszczenia, skierowany pod adresem ówczesnego ministra skarbu Strasburgera. Okazało się jednak, że złoto szczęśliwie powędrowało do Afryki. Ale i tam groziło niebezpieczeństwo wydania go Niemcom przez rząd Vichy. Gdyby nie postawa wszystkich urzędników, odpowiedzialnych za powierzoną im pieczęć własność państwa, złoto nie zostałoby uratowane.

Dobrze się stało, że autor poświęcił tyle miejsca wszystkim etapom dramatycznej odysei polskiego złota w czasie ostatniej wojny. Ujawnił wiele szczegółów ogółowi nieznanym, lub mało znanych. Słyszałem dwie relacje, pochodzące od osób, biorących bezpośredni udział w ratowaniu złota. W 1940 roku w Lizbonie opowiadał mi o tym b. minister skarbu Ignacy Matuszewski, jeden z konwojentów ładunku złota w drodze do Konstancy i Francji. Kilka lat temu, w Nowym Jorku, byłem na odczycie płk. Adama Koca. Opisywał szczegółowo warunki w jakich odbywało się wywożenie złota z kraju i późniejsze losy transportu. Między obu tymi relacjami a relacją Karpińskiego zachodzą różnice. Nie mam sprawą dociekać powodu tych różnic. To rzecz historyków.

Zetknąwszy się w Londynie w czasie wojny i po wojnie z różnymi prywatnymi i państwowymi urzędami, nabrałem przekonania, że urzędników brytyjskich cechuje — *sens of responsibility* i *sens of proportion*. Połączenie tych „sensów” sprawia, że ze wszystkich biurokracji, biurokracja angielska była (i może jest) najlepszą. Pogłębiło to przekonanie zetknięcie się z biurokracją amerykańską. Zygmunt Karpiński może chyba uchodzić za wzór urzędnika polskiego którego poczucie obowiązku przez całe życie górowało nad wszystkim.

Tadeusz KATELBACH

NIEMIECKI WRZESIEŃ W POLSCE

Opracowanie o polsko-niemieckim wrześniu¹ wyszło w trzydziestą rocznicę rozpoczęcia wojny, która w ostatecznym wyniku przyniosła obu narodom „największą klęskę ich dziejów”. Ma ono za zadanie wyświetlić na nowo „jeden z najbardziej nieprzyjemnych dyskusyjnych i decydujących epizodów stosunków polsko-niemieckich XX wieku: los Niemców w Polsce w pierwszych tygodniach drugiej wojny światowej”. Ciężaru gatunkowego tej broszury dodają autorzy przedmowy, z których dwu może pochwalić się wcale licznymi studiami o historii wspólnych dziejów². Celem tej pracy — jak informuje nas przedmowa — jest przez poznanie całej przeszłości, także i tej wstydlivej, oraz wzajemnych stosunków przyczynić się do zrozumienia, iż tylko współzycie oparte na „wzajemnej rzetelności i uczciwości” może uchronić oba narody przed ostateczną katastrofą. Tylko całkowita prawda o przeszłości, prawda która nie oskarża i nie potępia ale wyjaśnia ludzkie czyny może doprowadzić do obopólnego zrozumienia i pojednania. Że takie dążenie istnieje i po stronie polskiej świadczy przysłany z Poznania mikrofilm kartoteki „Centrali grobów pomordowanych Volksdeutschow” znajdującej się w posiadaniu tamtego Instytutu Zachodniego.

Dowiadujemy się przy okazji, iż historycy niemieccy przygotowują pracę, w której będą się starali przebadac w jakim stopniu są prawdziwe polskie zarzuty o niemieckiej piątej kolumnie, o powstaniu bydgoskim w dniu 3 września, o akcji sabotażowej i szpiegowskiej uprawianej przez niemiecką ludność zamieszkałą w Polsce. Jednakże już obecnie, w kilku liniach, autorzy przedmowy występują zdecydowanie przeciwko „legendzie” o jakimkolwiek powstaniu w Bydgoszczy. Wskazują przy tym, iż żaden sąd polski po wojnie nie oskarżył żadnego z Niemców o jakikolwiek udział w tymże powstaniu lub o jakąkolwiek dywersję. Także nigdy żadne żądanie wydania powstańca bydgoskiego lub dywersanta nie było wysłane przez rząd warszawski do mocarstw zachodnich. Podkreślono, iż 42,3 % oskarżonych zostało przez sądy polskie uwolnionych.

W Bydgoszczy i jej bezpośredniej okolicy jedynie jedna piąta niemieckich ofiar poniosła gwałtowną śmierć co by świadczyło o małym zakresie niemieckiej dywersji. W niektórych innych miejscowościach, jak w Słońsku na Pomorzu czy we wsi Sochelstein (jedynie podano nazwę niemiecką), pod Wrześnią doszło do całkowitej masakry męskiej ludności niemieckiej. Najczęst-

1. Peter Aurich: *Der deutsch-polnische September 1939*. Beiheft 10 der *Zweimonatsschrift Politische Studien*, München-Wien, 2, durchgesehene Auflage, 1970, 148 str.

2. Richard Breyer, Wolfgang Kohte, Gotthold Rhode.

sze wypadki to wywiezienie, po zaaresztowaniu, na wschód i tam zamordowanie. W wielu wypadkach, na przykład nad jeziorem Jeziuckim, ofiary zostały związane i zastrzelone z tyłu, z odległości mniejszej niż pięć metrów (str. 91). Wypadki te, jak podkreślono w przedmowie, świadczą że władze polskie nie planowały żadnych masowych egzekucji czy sądów zbiorowych, starały się jedynie o wywiezienie podejrzanych i o ich izolację. Przy ogólnym załamaniu się państwa doszło do samowolnych aktów mordowania więźniów. Autorzy usilnie podkreślają, iż nikogo nie obwiniają o popełnione czyny, ani narodu ani żadnej grupy ludności, stwierdzają tylko fakty. Nie ukrywają jednocześnie brutalności niemieckiej okupacji, wspominają iż grupy Volksdeutschów dołączyły się do akcji rozstrzeliwania ludności polskiej (str. 7), a później wielu z nich, w sposób sromotny, przyłączyło się do ogólnej polityki prześladowania polskości (str. 16). W perspektywie powojennej, dodają, cierpienia niemieckie wydają się małe wobec ogromu polskiego nieszczęścia i narodowosocjalistycznego okrucieństwa. Książka kończy się zresztą podaniem przykładów polskiej pomocy dla niemieckich więźniów, szczególnie ze strony jednostek wojskowych i apelem o konieczności pojednania między dwoma narodami. Żaden z przedstawicieli ludności niemieckiej w Polsce nie dostał się po roku 1939 na żadne wybitne stanowisko w partii czy administracji terenów wschodnich. Nawet średnie stanowiska zostały obsadzone przez przybyszów z Rzeszy. Wśród ofiar ponad 600 osób było powyżej 60 lat, 50 poniżej 15 lat. Ogólna liczba ofiar, jak to ustaliły po wojnie władze niemieckie, wynosiła 3.841 osób. A więc mniej niż to podał polski autor badający ten mało znany wycinek naszej historii³.

Właściwa praca zaczyna się bardzo niekompetentnym przedstawieniem przyczyn drugiej wojny światowej. Właściwie nie bardzo wiadomo kto ją zaczął i w jakim celu. A przecież nie trudno było sięgnąć po doskonały podręcznik, który rzeczowo oświeciłby cały splot wypadków wiodących do niej⁴. Następuje 21 stron opisu polskiej przedwojennej (od maja 1939) propagandy antyniemieckiej i przykłady fizycznych prześladowań ludności niemieckiej. Niecałe trzy strony są poświęcone Polakom w Niemczech, głównie wyliczenie polskich zażaleń ale bez wyjaśnienia czy słuszne. Czy był choć jeden wybryk wobec mniejszości polskiej, czy choć jeden antypolski artykuł ukazał się w prasie niemieckiej? Absolutne milczenie na ten temat pracy, która stara się o przedstawienie całej prawdy, każe się domyślać, iż nic nie zamąciło szczęśliwego życia polskiego w przedwojennej Rzeszy Adolfa Hitlera.

Najdłuższa, środkowa część książki, licząca 52 strony, po-

3. Karol Marian Pośpieszański: *Sprawa 58.000 „Volksdeutschów”*, Poznań, 1959. Liczbę ofiar ustalił on na 3.970 osób.

4. Gotthold Rhode: *Kleine Geschichte Polens*, Darmstadt, 1965.

święcona jest przeżyciom Niemców aresztowanych z wybuchem wojny i ich ewakuacji na wschód. Za każdym razem powtarza się ta sama kolejność wypadków: aresztowanie, według list przygotowanych w maju, ewakuacja na wschód, rozprężenie pod wpływem akcji lotnictwa nieprzyjacielskiego, bombardującego polskie linie komunikacyjne, postępujący chaos, rozluźnienie autorytetu władz i rządów, całkowite załamanie się państwa, zanik jakiegokolwiek ładu, panika i mordy więźniów, popełniane przez sterroryzowane i zrozpaczone jednostki; możemy tylko się domyślać, iż wielu z nich było prawdopodobnie psychicznie nie zrównoważonych. W ogólnym nastroju szybkiej klęski i paniki doszło w Bydgoszczy 3 września, już po wycofaniu się władz, do masowych mordów ludności niemieckiej. W Berezie Kartuskiej, dodajmy, Niemców traktowano nie lepiej ale i nie gorzej jak poprzednio Polaków-oenerowców. Osobny rozdział poświęcony jest dziejom Niemców powołanych do armii polskiej. Natomiast absolutne milczenie o losie Polaków w Rzeszy, o tragedii gimnazjów w Bytomiu i Kwidzynie; ani słowa wyjaśnienia czy Polacy byli powołani do armii niemieckiej.

W momencie gdy czytelnik przyzwyczaił się już do obrazu niewinnych Niemców, prześladowanych przez nierozsądnie podejrzliwych Polaków, trafia nieoczekiwanie na stronę opisującą niemiecką dywersję na tyłach polskiej armii. Tym razem nie brakuje porównania z polską działalnością; a więc przypomnienie, z powołaniem się na polskie źródła emigracyjne, iż ludność kaszubska po stronie niemieckiej dostarczała polskiemu wywiadowi cennych informacji o koncentracji Wehrmachtu. W dniu wybuchu wojny męska część wsi Wierszucin przeszła granicę i zgłosiła się do polskiej armii, w czasie wojny polska mniejszość w Niemczech chętnie dołączała się do akcji sabotażowej czy wręcz do partyzantki. Nie mniejszy patriotyzm wykazała i ludność niemiecka w Polsce, która zasiłała szereg wywiadu i grup sabotażowych. Specjalny obóz wyszkoleniowy został założony w Niemczech — w którym nie brakowało i Ukraińców z grupy Andrzeja Melnyka — by przygotować specjalne grupy uderzeniowe, mające działać na tyłach polskiego nieprzyjaciela. Pierwsze działania tych pierwszych komandosów drugiej wojny światowej nastąpiły już w nocy z 25 na 26 sierpnia; nie dotarł do nich na czas rozkaz odwoławczy. Doszło do walk i obopólnych strat na Śląsku i Pomorzu. W Łodzi oddział z 24 ludzi został zaaresztowany w chwili szykowania się do akcji. Największym wyczynem tej nocy było zdobycie przez 70 komandosów, przy minimalnych własnych stratach, przełęczy Jabłonkowskiej i wzięciu do niewoli ponad 2.000 polskich oficerów i żołnierzy. W momencie wybuchu wojny nastąpiły dalsze akcje, w jednym wypadku posłużono się skokami z samolotu; najbardziej udane było zajęcie dworca towarowego w Katowicach i utrzymania go do nadejścia własnych wojsk.

Niedokładności w pracy jest niewiele. Trudno się zgodzić, iż

druga wojna światowa była największą klęską Polaków czy Niemców. Rozbiory, potop były dla nas większymi katastrofami, dla Niemców pokój w Tylży i utrata ponad połowy terytorium państwowego oraz wojna trzydziestoletnia były gorszymi nieszczęściami niż lata 1939-45. Słusznie podkreślono, iż wrogość polsko-niemiecka jest raczej świeżej daty, ale niesłusznie umieszczono ją dopiero na przełomie XX wieku. Ze strony niemieckiej zaczęła się o wiele wcześniej, akurat dwieście lat temu, w 1772 roku (str. 5). Nie wolno natomiast historykom pisać, iż ludność niemiecka w Polsce jeszcze w marcu 1939 nie wiedziała nic „o rygorystycznych praktykach polityki wewnętrznej rządu narodowosocjalistycznego” (str. 25). Nie ma porównania między Niemcami, obywatelami polskimi, którzy dobrowolnie dołączyli do niemieckiej dywersji, a Polakami, obywatelami polskimi, zamieszkałymi w Polsce i wcielonymi siłą do armii niemieckiej, którzy skorzystali z pierwszej sposobności by dołączyć do macierzystych oddziałów, dowodzonych przez generałów Andersa czy Maczka (str. 110).

Ciekawe jest porównanie radości niemieckiej ludności w Polsce przy wkraczaniu wojsk niemieckich w roku 1939 z taką samą radością Polaków na ziemiach wschodnich w roku 1941 (str. 15). Naprawdę nakład w Polsce przed wojną miał *Ilustrowany Kurier Codzienny* ale *Mały Dziennik* (str. 34). Indeks nazwisk nie jest bez błędów: by wymienić dwa z licznych przykładów, Dr Kurt Lück jest na stronie 7 i 13 ale nie na 9; Dietrich Vogt jest na stronie 12 a nie 14.

Książkę tę odkładamy z wielkim rozczarowaniem. Nazwiska Ryszarda Breyer i Gottholda Rhode znane są nam jako sumiennych badaczy historii polskiej i stosunków polsko-niemieckich. Daliśmy temu wielokrotnie wyraz w recenzjach, w korespondencji prywatnej czy rozmowach osobistych. Z tym większym zażenowaniem musimy stwierdzić, iż w tym wypadku historycy z prawdziwego zdarzenia pozwolili użyć swych autorytetów do napisania przedmowy do bardzo przeciętnej pracy. Jest to po prostu chronologia wydarzeń od maja do drugiej połowy września 1939 roku, bez żadnej próby analizy zaszłych wypadków. O wiele wyżej stoi inna praca niemiecka⁵, o trwałych wartościach sumiennosci badawczej. Brak w niej jakiegokolwiek wysiłku zrozumienia przeszłości. Fakty są ścisłe, ale taka ich selekcja czyni z tego wydawnictwa jednostronne oskarżenie pod adresem Polaków, za bardzo to przypomina emocjonalne wydawnictwa ziomkostw, za mało w nim rzetelności historycznej.

Spróbujmy spojrzeć na to *sine ira*, o ile to możliwe dla Polaka pamiętającego jeszcze utraconą w wyniku sojuszu niemieckorosyjskiego niepodległość. Wypadki mordowania więźniów niemieckich na ziemi polskiej we wrześniu 1939 rzucają ciekawe

5. Otto Heike: *Die ersten Opfer des Zweiten Weltkriegs*. Zeitschrift für Ostforschung, XVIII, 1969, str. 475-482.

ale smutne światło na ludzką naturę. Udowodniają, iż są wśród nas sadyści i psychopaci, którzy tylko czekają na okazję, by wyładować swe nienormalne instynkty, udowadniają, iż ludzie normalni pod ciśnieniem psychicznych niezrozumiałych lub wymykających się ich kontroli wydarzeń zdolni są do czynów, których by nie popełnili w czasach „normalnych”. Jakież to ciśnienie psychiczne pchnęło Polaków do aktów gwałtu? Najważniejszą, ale i najdalszą, przyczyną była niechęć niemiecka do Polski zapoczątkowana w okresie rozbiorów. Trwała przez cały XIX-ty wiek, który można streścić w jednym zdaniu: państwa niemieckie powinny wszelkimi siłami udaremnić każdą próbę wskrzeszenia polskiej państwowości⁶. Gdy w wyniku pierwszej wojny światowej Polska po raz trzeci odzyskała niepodległość (druga niepodległość to Księstwo Warszawskie) cały naród niemiecki przyjął to jako narodową klęskę. Hasło, iż Polska jest państwem sezonowym było znane każdemu Polakowi jak i żale o „płonącej granicy niemieckiej na wschodzie”. Lektura niemieckich dokumentów dyplomatycznych ukazuje zarówno cały rozmiar niechęci do wschodniego sąsiada jak i ciche marzenia powtórzenia rozbioru z 1772 — zagarnięcia Pomorza bez wywołania wojny światowej. Wywiad polski doskonale się orientował, iż Rzesza, przygotowując wojnę, znalazła przychylny oddźwięk wśród Niemców zamieszkujących polskie ziemie. Stąd środki ostrożności i plany wywiezienia podejrzanych na wschód. Identycznie postąpiły w podobnych wypadkach i inne państwa, na przykład Kanada wobec swej mniejszości japońskiej. Szybki marsz wojsk niemieckich, okrutne ich zachowanie się na ziemiach już okupowanych, przemożne panowanie i terror wywierany przez lotnictwo niemieckie były tylko dopełnieniem polskiej gorczy, a nie jedyną przyczyną — jak twierdzi książka. Badając ludzkie sprawy należy wziąć i pod uwagę głębokie nurty ludzkiej psychiki, wybuchające w najmniej oczekiwanych momentach. Ciśnienie psychiczne wyładowało się przeciwko jednostkom, które na pewno w swej przeważającej masie nie były związane z niemieckim wywiadem czy niemieckimi komandosami. Ale czy czuły się związane z polskim państwem? Ludzkie sprawy są o wiele bardziej powikłane niż to się na ogół wydaje. Wiedzą o tym historycy. Dlatego dziwi ta przedmowa. O wiele większe zrozumienie wykazał inny autor niemiecki, który lepiej zrozumiał polską reakcję na niespodziewaną klęskę wrześniową⁷.

W przedmowie wielokrotnie podkreśla się chęć i usiłowania Niemców z Polski doprowadzenia do pojednania polsko-niemieckiego. Historyk polski może tylko wyrazić smutek, iż przeszło ćwierćwieku od zakończenia wojny wysiłki te nie wykazują żadnych postępów.

Stanisław BOBR-TYLINGO

6. Siegfried Baske: *Praxis und Principien der preussischen Polenpolitik, Forschungen zur Osteuropäischen Geschichte*, IX, 1963, str. 179.

7. Ulrich von Hassel: *Von anderen Deutschland*, Zürich 1946, str. 92.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu artykułu dr. W. Sukiennickiego pt. „Balfour i Polska” w numerze 17 *Zeszytów Historycznych*, doszłam do wniosku, że istnieje potrzeba sprostowania pewnych poglądów i wniosków tam mi bezimiennie przypisanych.

Dr Sukiennicki przedstawia wiernie politykę Artura Balfoura w stosunku do Polski. W moim artykule, w numerze 16 *Z. H.*, z którym autor polemizuje, przedstawiłam koncepcję małej i słabej Polski, która panowała wówczas w Foreign Office i którą podzielał Balfour. Autor sam podkreśla, że wiem i piszę o tym wszystkim. Tym niemniej, wyciąga zdumiewający wniosek, jakobyśmy głosiła, że „Polska w istocie rzeczy zawdzięczała swoją krótką niepodległość Wielkiej Brytanii; że to rząd brytyjski i w szczególności Balfour, wywarł silną presję na Rząd Tymczasowy, aby wydał odezwę uznając w niej niepodległą Polskę jako cel wojenny” (*Z. H.* nr 17, str. 55).

Otóż, ani w moim artykule w *Z. H.* nr 16, ani w żadnym innym, nie głoszę, że Polska zawdzięczała niepodległość Wielkiej Brytanii. Dr Sukiennicki przeto wyciągnął tu swój wniosek, a nie mój, że akcji brytyjskiej o której mowa, zawdzięczała Polska niepodległość. Tylko nakreślenie swoistego *trait d'union* między deklaracją z 30 marca a niepodległością Polski, i dodawszy do tego wniosek, że w deklaracji tej interwencja brytyjska odegrała rolę decydującą, można by dojść do wniosku, który mi jest przypisany. Nawet wówczas, trzeba by zignorować kontekst akcji brytyjskiej w moim artykule, oraz całość artykułu i jego wniosków, aby wyciągnąć wniosek, o który mnie posądza autor polemiki.

W kontekście mego artykułu, usiłowałam wykazać, że dla Balfoura był wówczas przekonujący argument wojskowy, tj., że w braku deklaracji rosyjskiej zadawalającej Polaków, istniała możliwość stworzenia wojska polskiego u boku Niemiec. Jest to punkt pierwszy depeszy Balfoura do Buchana z dn. 25 marca 1917 r. Niestety, opuścił go dr Sukiennicki w swoim tłumaczeniu z oryginału angielskiego, podanego przez prof. Piotra Wandę w numerze 15 *Z. H.* na str. 234. Ustęp który poświęciłam tej sprawie w *Z. H.* nr 16, str. 69, miał na celu uwidocznienie, że akcja brytyjska była wypadkową ogólnej sytuacji wojennej w którym sprawa polska występowała pod kątem wojskowym.

Autor stwierdza, że argument wojskowy użyty przez Dmowskiego wobec Balfoura został już przedtem rozpowszechniony przez dr. Filipowicza. Nie przypisywałam Dmowskiemu patentu w tej sprawie, ani też nie piszę historii pod kątem kto miał rację: Piłsudski czy Dmowski. Nie pasjonuję się

tą sprawą ponieważ uważam, że taka perspektywa wypacza historię. Faktem jest, że w marcu 1917 r. Dmowski a nie kto inny, argument ten Balfourowi przedstawił. Nie można też wagi tego argumentu zbyć twierdzeniem, że właśnie po rewolucji rosyjskiej, Niemcy nie potrzebowali już wojska polskiego. Skutki rewolucji na rozprężeniu się armii rosyjskiej nie były jeszcze widoczne.

Na stronie 40 swej polemiki, autor przypisuje mi „sugerowanie”, że cenzura francuska całkowicie zdławiła prasę polską we Francji. Otóż, jest to autosugestia autora. Chodziło mi tylko o wykazanie wielkiej ostrożności rządu francuskiego w stosunku do Rosji, co zresztą potwierdza dr Sukiennicki na tej samej stronie.

Można polemizować obiektywnie z moją oceną wpływu interwencji brytyjskiej na deklarację Rządu Tymczasowego z dn. 30 marca 1917 r. Piszę, że Rząd brytyjski „wywarł silną presję” w tym kierunku. Jest to mój wniosek na podstawie kwerendy którą przeprowadziłam dla prof. Wandycza i której prof. Wandycz użył jako podstawy dla swego artykułu w *Z. H.* nr 15. Żadne z nas jednak nie przypisuje interwencji brytyjskiej roli kluczowej, chociaż obojętnie skłonna jestem przypisać jej dużą wagę choćby z tego powodu, że Wielka Brytania była dostawcą niezbędnych materiałów wojskowych dla Rosji. Niemniej jednak, sprawa roli interwencji Balfoura jako przyczynka do deklaracji, nie jest jeszcze definitywnie wyjaśniona, można więc na ten temat polemizować. Nie rozumiem natomiast celu polemiki dr. Sukiennickiego. Nigdzie nie nazwałam Balfoura entuzjastą niepodległości Polski, a wystąpienie jego z marca 1917 r., umieściłam w kontekście wojskowym. Po cóż więc tłumaczyć w takiej rozciągłości memoriały Balfoura które potwierdzają moją ocenę jego polityki? Poza tym, chociaż główne memoriały tego ministra w sprawie polskiej były już dawno dostępne, nie wyczerpują one całości polityki brytyjskiej pod tym względem. Obawiam się dalszych skutków moich „sensacyjnych nowalijek” które znajdują się w moim artykule o polityce brytyjskiej w stosunku do Polski i Europy Wschodniej w okresie międzywojennym (*Tematy*, nr 31-32). Zresztą, w polemice obiektywnej *sine ira et studio*, którą jakoby przedsięwziął dr Sukiennicki, nie powinno być miejsca na taką terminologię.

Wreszcie, polemika byłaby pożyteczniejsza dla czytelników, gdyby autor, *cum studio*, zdobył się na wysiłek zrobienia odnośników do dokumentów, które cytuję, oraz nie opuszczał punktów mu niewygodnych, np. punktu pierwszego z depeszy Balfoura z 25 marca. Mógłby się też zastanowić nad angielskim tłumaczeniem *cruz*. Słowo to istotnie oznacza krzyż po łacinie. Po angielsku jednak oznacza „sedno rzeczy” wzgl. „zagadnienie węzłowe”. Kwestia polska nie stanowiła dla Balfoura „krzyża pańskiego” dyplomacji europejskiej. Po pierwsze, w oczach Balfoura nie posiadała takiej wagi; po drugie, zwrot tak katolickiego pochodzenia nie miał w kołach protestanckich obiegu. Dopiero później, podczas drugiej wojny światowej, Churchill pisał z myślą o generale de Gaulle, że najcięższym jego krzyżem był krzyż Lotaryngii. Ale Churchill był nie tylko wielkim mówcą ale też barwnym pisarzem. W okresie 1917-1939, sprawy polskie kwitowano w Foreign Office zwrotem *tiresome*, tj. nudne nużące, irytujące. To samo określenie znajduje, niestety, zastosowanie do pewnego rodzaju polemiki, choć pocieszać się można, że nie dorosła jeszcze do rozmiarów krzyża pańskiego nauk historycznych.

Kreślę się z poważaniem,

Anna M. CIENCIAŁA

Londyn, 11 maja 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z moim artykułem „Sprawy finansowe Polski w przededniu wojny” (Nr 21 *Zeszytów Historycznych*) przesyłam notatkę w sprawie rozmowy w dniu 18 sierpnia 1939 roku dra Leona Barańskiego, ówczesnego Naczelnego Dyrektora Banku Polskiego, z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem. (Notatkę tę drukujemy na str. 119-124. — *Red.*). Notatka ta została sporządzona przez dra Barańskiego natychmiast po odbyciu rozmowy z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem, a więc jeszcze przed wybuchem wojny, i uzupełniona przed końcem 1939 roku. Dr Barański udzielił mi jej fotokopię i zgodził się na jej opublikowanie. Podaje ona daty i fakty które uzupełniają mój artykuł wyżej wymieniony i oświetlają zagadnienia w nim poruszone z punktu widzenia Banku Polskiego.

S. KIRKOR



Sztokholm, 21 kwietnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 21-szym *Zeszytów Historycznych* przeczytałem list p. Puacza, w którym zajął się on moją osobą. Nie zamierzam wchodzić w polemikę z komentarzami autora owego listu — do moich wspomnień wrześniowych (nr 19-ty *Zeszytów Historycznych*). Czytelnik sam je sobie skomentuje. Pragnę natomiast zająć się faktami.

P. Puacz twierdzi, na podstawie otrzymanych jakoby z Polski doniesień, że nigdy nie byłem pracownikiem *Dziennika Ludowego* ani *Robotnika*.

Załączam fotokopię dokumentu, który stwierdza w sposób jednoznaczny, że pracowałem jednak w *Dzienniku Ludowym*. Z *Robotnikiem* natomiast współpracowałem, jak o tym sam w nrze 19-tym *Zeszytów Historycznych* wspominam. Współpracowałem — to znaczy, że opracowywałem dla redakcji tego dziennika artykuły zamówione.

Łączę wyrazy szacunku,

Rudolf LESSEL



Maroubra, Australia, 3 września 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszycie 21-szym *Zeszytów Historycznych*, na stronie 145 w artykule pt. Sprawa Podchorążych w Eastchurch, p. płk F. Kalinowski pisze między innymi: „Jak powszechnie wiadomo, w polskiej pragmatyce podchorąży był najwyższym stopniem podoficerskim i najniższym oficerskim; podchorążowie...” itd. Ze względu na ścisłość historyczną pozwolę sobie tę sprawę sprostować. W początkach lat dwudziestych podchorąży był stopniem pośrednim pomiędzy sierżantem (lub jego odpowiednikami) a starszym sierżantem. Wciąż jednak był podoficerem, chociaż przysługiwały mu tzw. oficerskie prawa towarzyskie.

W drugiej połowie lat dwudziestych, a może nawet wcześniej, podchorąży stał się jedynie tytułem wojskowym. Podchorążowie otrzymywali stopnie podoficerskie. Osobiście pamiętam rozkaz M. S. Wojsk. bodajże z maja 1939

roku, w którym wyjaśniono sposób zwracania się do podchorążych przez starszych stopniem, stosownie do posiadanego stopnia podoficerskiego, to znaczy przez „wy”, bo w owym czasie nie było podchorążych chorążych (to zdarzyło się jednemu chorążemu lekarzowi, po ukończeniu podchorążówki dopiero w 1943 roku w Iraku). W praktyce podoficerowie i młodszy oficerowie zwracali się do podchorążych przez „pan”. Oficerowie sztabowi chętnie posługiwali się trzecią osobą. Podchorążowie służby czynnej, tak odchodzący do rezerwy, jak i przyjeżdżający do służby stałej, kwaterowali na sali żołnierskiej. Tak przynajmniej było w 23 p.a.l. w Będzinie, w 1939 roku, gdzie piszący te słowa odbywał praktykę, po ukończeniu Włodzimierza, a przed odejściem do S.P.Art. w Toruniu.

Podchorążym na stanowiskach oficerskich w broniach konnych przysługiwał pocztowy osobisty, ale nie luzak do opiekowania się koniem. Chorążowie, będąc najstarszymi podoficerami mieli luzaków, ale nie mieli pocztowych. Nawet wprowadzony w Wojsku Polskim we Francji w 1939 roku dla niektórych podchorążych stopień aspiranta był stopniem podoficerskim pomiędzy chorążym a starszym sierżantem. W P.S.Z. pod dowództwem brytyjskim aspirant pobierał żołd starszego sierżanta. Regulaminowo wymieniano się na piśmie zawsze stopień podoficerski, jako pierwszy np. ogniomistrz podchorąży itp. *Nota-bene* znany mi jest przypadek kanoniera podchorążego. Ten nawet nie był podoficerem.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Adam POLOWIEC

SPIS TREŚCI

Paweł Korzec: <i>Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej</i>	3
E. Żagiełł: <i>Dwadzieścia lat niepodległej Litwy</i>	22
Piotr Wandycz: <i>Sprawa Józefa Becka jako attaché wojskowego w Paryżu</i>	34

DOKUMENTY

Stanisław Kirkor: <i>Rozmowy polsko-sowieckie w 1944 r.</i>	41
Kazimierz Iranek-Osmecki: <i>Meldunek specjalny 1/R. Nr 242. Pociski rakietowe</i>	65
<i>Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Narodowej R.P. z dotychczasowego wyniku jej prac</i>	81
Józef Lewandowski: <i>Instrukcja K. Skirmunta</i>	94
Konstanty Skirmunt: <i>Instrukcja ogólna dla Placówek</i> ..	96
Wł. Gomułka na aktywie partyjnym Huty Warszawa (Cz. I)	102

WSPOMNIENIA

Leon Barański: <i>Rozmowa z Marsz. Smigłym-Rydzem</i> ..	119
K. Rdułtowski: <i>Józef Piłsudski w Mińsku</i>	124
Wiktor T. Drymmer: <i>Zespoły dyskusyjne i organizacje tajne</i>	126

POPRAWKI HISTORYCZNE

Bogusław Miedziński: <i>Sprostowania spoza grobu</i> (ze wstępem Tadeusza Święcickiego)	134
---	-----

POLEMIKI

St. Żochowski: <i>Uwagi do „Grupy Szańca i N.S.Z.”</i> Z. S. Siemaszki	145
Z. S. Siemaszko: <i>Wyjaśnienie</i>	150
Jan Kowal: <i>List</i>	152
Roman Zambrowski: <i>Wspomnienia czy fikcja literacka</i> ..	153
Ludomir Wynar: <i>Uwagi do recenzji prof. T. Hunczaka</i> <i>na temat „Ukraińskiego Istoryka”</i>	161

RECENZJE

Witold Babiński: <i>Na marginesie książki J. M. Ciechanowskiego</i>	163
Adam Krzyżanowski: <i>Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu</i> (dok.)	177
Z. S. Siemaszko: <i>Wspomnienia wileńskiego Akowca</i>	204
Piotr Wandycz: <i>Polska a Francja w okresie między wojnami</i>	211
George Gömöri: <i>Polska i Węgry między wojnami</i>	219
Tadeusz Katelbach: <i>„O Wielkopolsce, złocie i dalekich podróżach”</i>	223
Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>Niemiecki wrzesień w Polsce</i> ..	228

LISTY DO REDAKCJI

Anna Cienciąła	233
Stanisław Kirkor	235
Rudolf Lessel	235
Adam Polowiec	235

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 28 SEPTEMBRE 1972
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 3^e trim. 1972

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

KSIAZKI HISTORYCZNE W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Józef Mackiewicz: *Kmita* (7 F)
- Tadeusz Kotelbach: *Rok złych wróży* (8 F)
- Stanisław Kot: *Jerzy Niemcewicz* (7 F)
- Paweł Zaremba: *Historia Polski, Tom I* (20 F)
- Józef Czapski: *Na nieludzkiej ziemi* (wydanie drugie)
(wyczerpane)
- Bernard Singer: *Od Witosa do Świrka* (15 F)
- Milovan Djilas: *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
- Jerzy Mond: *6 lat temu...* (Kulisy polskiego Października)
(wyczerpane)
- Maria Czapka: *Polacy w ZSSR (1919-1942)* Antologia
(wyczerpane)
- Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: *Polityka Becka* (12 F)
- Wincenty Witos: *Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III*
(87 F)
- Wiktor Sukiennicki: *Biała Księga* (wyczerpane)
- Gustaw Herling-Grudziński: *Imię świat* (wyczerpane)
- Borys Lewicki: *Terror i rewolucja* (15 F)
- Janusz Grzędziński: *Maj 1926* (9 F)
- Wacław Lednicki: *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905* (9 F)
- Wiktor Sukiennicki: *Legenda i rzeczywistość* (9 F)
- Leon Minkiewicz: *Z gen. Sikorskim na okazytule*
(23 F)
- Julian Kulski: *Stefan Starzyński w mojej pamięci*
(12 F)
- Eugenio Reale: *Raporty. Polska 1945-1946* (18,50 F)

18,50 F (dol. 4,25; £ 1,50)